

De. 11  
TOM CCLXVII.

ROK 67.

SERYA 9.

ZESZYT 799.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

L I P I E C.

1907.

---

TOM III.--ZESZYT 1.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1907.

## TREŚĆ ZESZYTU.


	<i>Str.</i>
1. LUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> . . . . .	1
2. O CHŁOPSKIM EPOSIE KŃONOPNICKIEJ, — przez <i>Stanisława May-</i> <i>kowskiego</i> . . . . .	38
3. RUCH PIŚMIENNICZY WE FRANCYI, — przez <i>Kazimierza Woźni-</i> <i>ckiego</i> . . . . .	74
4. MARLOWE I MICKIEWICZ, — przez <i>Andrzeja Tretiaka</i> . . . . .	92
5. LOSY SCENY DRAMATYCZNEJ W TEATRZE WARSZAWSKIM, — przez <i>W. Bogusławskiego</i> . . . . .	116
6. GUSTAW MOREAU, — przez <i>Jana Topassa</i> . . . . .	140
7. KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM, — przez <i>J. K. Kochanowskiego</i>	150
8. PIŚMIENICTWO:	
ZYGMUNT WASILEWSKI: Od romantyków do Kasprowicza. Studya i szkice literackie, — przez <i>Z. D.</i> . . . . .	175
EDWARD STRASBURGER: Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Kö- nigreich Polen, — przez <i>Z. D.</i> . . . . .	179
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Rozwiązanie drugiej Izby i nowe wybory. — Z powodu zjazdu pisa- sarzy katolickich. — Seminaryum nauczycielskie w Ur- synowie pod Warszawą . . . . .	181
10. Ś. P. HENRYK HOYER, — przez <i>Z. D.</i> . . . . .	194
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	196

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 7.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**




Ogólnego zbioru Tom 267.



BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1907.—Tom III.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1907.

1907. Tom III.

BIBLIOTEKA

WARSAWSKA



De. II 1

III tom III

# ŁUNA.

## CZEŚĆ DRUGA.

### I.

Paweł był całkowicie oddany partyi, w której znalazł cel, zajęcie, uznanie, stosunki przyjazne, pannę Malinowską, słowem, to wszystko, czego dotąd napróżno szukał w życiu. Pracowity czas upływał szparko. Minęła zima i wiosna, minęły letnie miesiące, zbliżała się jesień. Wypadki na widowni dziejów rozwijały się w tempie gorączkowym, i bieg ich zdawał się potwierdzać przepowiednie wodzów stronnictwa. Wojna zakończyła się klęską, olbrzymie państwo chwiało się w swoich podstawach, budziły się po długim uśpieniu rzesze ludowe, paliły się całe powiaty, objęte ogniem rozruchów chłopskich, wybuchały bunty w wojsku, wrzały przedmieścia robotnicze—zaniepokojony rząd cofał się, miękł, ustępował, obiecywał... Zapał ogarniał Pawła. Przed rokiem był tylko chwiejnym sympatykiem, był malkontentem, szukającym w skrajnym obozie przytułku dla skaleczonej ambicyi — obecnie przejął się gorąco ideą, programem, wiarą i nadziejami partyi. I pracował z całych sił. Mianowano go na rozmaite urzędy, w rzeczywistości nie mające znaczenia, a on spełniał te funkcye z właściwą mu sumiennością, z pedantyzmem, nieraz z zaparciem się siebie. Przykładał pieczęć, obliczał, numerował, katalogował, robił korekty, zanosił i przynosił, rozdawał, przechowywał, przepisywał... Złośliwi nazywali go bezpłatnym posłańcem partyi № 1-szy, to samo myślał o nim sztab główny. Ceniąc jego stanowisko towarzyskie i ofiarność pieniężną, oddawano mu honory, pochlebiano, traktowano z wyszukaną uprzejmością, ale to były pozory, za którymi ukrywały się nieufność, lekceważenie i szyder-

stwo. Paweł nie umiał poznać się na tem. Trzymano go w odległości, odsuwano od wpływu i władzy, a jemu się wydawało — do czasu zresztą—iż urzeczywistnił się jego sen o buławie, że on jest jednym z dowódców, że w tej doniosłej epoce dziejowej oddziaływa bezpośrednio na losy narodu. To też, gdy zdarzało mu się spotkać przedstawiciela innych obozów, wydymał pogardliwe wargi, patrzył z wysoka i wyniośle mówił: *my*—*pluralis majestaticus*. Zaspokojona na razie ambicya, zajęcie, duma sumienia, przekonanego o pierwszorzędnej użyteczności dokonywanego trudu, dały mu warunki szczęścia, za którym oglądał się tak długo. Była także inna przyczyna, może najważniejsza: mianowicie zanik roboty wewnętrznej, tem bardziej ospałej, im gorliwszą i ruchliwszą stawała się czynność Pawła nazewnętrzną. „Rachunek myśli,“ któremu poświęcał niegdyś i w każdym okresie życia tyle udręczonych godzin, leżał odłogiem, miledzał od dłuższego już czasu Wielki Inkwizytor wewnętrznego kościoła, kontroler państwa duszy, podziemny szperacz; rekiны smutku, które ukazują się tylko na cichych wodach, które przez wszystkie lata ubiegłe towarzyszyły Pawłowi w jego wędrówce, przestały wyrzucać się... Okręt życia mknął—kapitan chwycił wrażenia, uwijał się, sterował, był zadowolony. W ogromnem, pustem, po wyjeździe żony, mieszkaniu, żadne echo posępnej przeszłości nie mąciło mu jego szczęścia. Za to często brzmiał w niem śmiech panny Malinowskiej, która „wpadała“ prawie codziennie po informacye, bawiła długo, czarowała kusząco, i często gwarno było od odbywających się zebrań, a, gdy zostawał sam, pracował. Potem, znużony, kładł się i zasypiał. Od samego zaś rana były znowu zajęcia, liczne, bardzo ważne, niezmiernie odpowiedzialne... Wychodził na miasto albo wyjeżdżał kędyś z jakimś tajemniczem poleceniem, w nielicznych wolnych chwilach odwiedzał Janka Śniałowskiego, z którym zaprzyjaźnił się, pannę Malinowską, kogoś z dawniejszych znajomych. Tych ostatnich wszakże niechętnie i coraz rzadziej. Jedni bali się go, niby straszego Dantona; inni, jak naprzykład Obroński, drwili; jeszcze inni próbowali nawracać i ratować, i, jakkolwiek panie z towarzystwa, niegdyś obojętne i znudzone, teraz mimo, a może właśnie z powodu „krwawej“ opinii, cisnęły się do niego i słuchały z upodobaniem, gdy on z niemniejszym upodobaniem, dla obudzenia skruchy i trwogi, malował na ich benefis przeraźliwe obrazy—prawie wszystkie domy zamknęły mniej albo więcej ostentacyjnie przed Pawłem drzwi. Rzucono klątwę na niego—i byli nawet tacy, którzy przestali poznawać go na ulicy. W świsstkach humorystycznych pojawiły się karykatury „czerwo-



nego hrabiego:“ w piśmie poważnem—artykuł o manowcach myśli politycznej; w gazetach brukowych wrogiego obozu — złośliwe zaczepki. Człowiek, nieznagy i nieznaczny do niedawna, wypychany zewsząd, zaczynał stawać się poniekąd głośnym. Radowało to Pawła, który ten „huczek,“ tworzący się około jego imienia niewybrednie nazywał sławą, i, podkreślając starannie, gdzie mógł, ile mógł, swoją krańcowość, roił już o tej niedalekiej, zdaniem jego, godzinie, gdy on odegra doniosłą rolę łącznika i pośrednika, gdy dzisiejsi wrogowie ubiegać się będą o jego względy a on powagą swoją skupi wszystkie stronnictwa i położy kres walce partyjnej, której nie przestawał uważać za szkodliwą. Będzie to dzień jego tryumfu—czekał.. czekał dosyć już długo i niecierpliwiał się. To też kiedy któregoś dnia o południu zameldowano mu bankiera Żymirskiego, skwapliwie kazał go przyjąć i wyprostował się dumnie, przekonany, że ta niespodziana (choć spodziewana) i niezwykła wizyta ma polityczny podkład i pierwszorzędne znaczenie.

Bankier wszedł krokiem żwawym, z wesołą pewnością siebie, z uśmiechem przyjaznym, przywitał się zamaszycie.

— Jako dwa na słońcach swych przeciwne bogi — rzekł banalnie — hrabia nie spodziewał się.

— Nie spodziewałem się... chociaż... — niegrzecznie odparł Paweł i, wydymając wargi, przyglądał się wyniośle temu sławnemu przeciwnikowi, który przed rokiem nie raczył z nim rozmawiać, a teraz przychodził pierwszy.

Żymirski wykonał lekki półukłon i, patrząc słodko z podełba, szepnął:

— Dziękuję za: „chociaż“ i proszę o wyjaśnienie.

— Chociaż... — Paweł urwał jeszcze raz, nie chcąc odsłaniać kart.

Nastało milczenie

— Hrabia nie wyjeżdżał na letni wypoczynek?

— Zbyt dużo jest pracy...

— Jaki też żal, że pan hrabia nie nam poświęca swój czas, swoje zdolności, swój zapał gorący...

— Chciałem niegdyś... odrzuciliście... dziś cieszę się, że nie poszedł z wami. Wybrałem jedynie właściwą drogę.

— Odbylem ewolucję — dodał po chwili dobitnie — tę samą, co i cały naród. Zacząłem od pozytywizmu, potem kierunek ludowy, skończyłem na socyalizmie...

Była to ulubiona myśl Pawła, którą od czasu, gdy mu ją ktoś podsunął, powtarzał i sobie i innym przy każdej okazji.

— Ach tak... — z roztargnieniem zgodził się Żymirski.

Znowu zapadło milczenie. Gość patrzył to tu, to tam, podnosił oczy na sufit, jak gdyby przybył dla zbadania tego pokoju, unikał przenikliwego wzroku Pawła.

— Niespokojne czasy — mruknął, żeby coś powiedzieć.

— Doniosłe, brzemiennie wielkimi zdarzeniami czasy—poprawił go znacząco gospodarz — wszystko już przygotowane i, jak przed walną bitwą, czekam...

— Żeby w odpowiedniej chwili skinąć buławą — podchwycił Żymirski

Wyglądało to na żart, ale Paweł odparł poważnie:

— Nie ja sam kieruję, jest nas kilku...

Rozmowa urwała się. Bankiera ogarnęła zaduma. Paweł, rozparty niedbale, gładził swoją brodę, którą zapuścił dla nadania sobie bardziej charakterystycznego wyglądu, i niecierpliwił się.

— Czemu zawdzięczam wizytę pana—odezwał się—mam tak dużo zajęćia...

— Przepraszam bardzo hrabiego... istotnie... jego czas jest tak cenny... wpadłem tu na krótki moment...

Żymirski, stroskany i zgnębiony przed chwilą, ożywił się naraz. Odzyskał wesołą pewność siebie, z którą wszedł, miał uśmiech...

— Pozwoliłem sobie, ośmieliłem się narzucić się panu... Jakkolwiek nigdy nie łączyły nas bliskie stosunki, ja mimo to... hrabia zapewne zdziwi się...

Im trudniej było mu wykrztusić interes, dla którego tu przyszedł, tem stawał się weselszym. Mówił z intonacją niemal figlarną, jak gdyby flirtował ze sztywnym i napuszonym gospodarzem. Oczami kokieteryjnie szukał spojrzenia Pawła, uśmiechał się ciągle.

— Strzelił mi do głowy pomysł, może niewczesny, zaraz go wyłuszczę, pan hrabia osądzi...

Tu zatrzymał się, spojrzął w ogromne lustro, w którym odbijał się całą postacią, i patrząc to w gospodarza, to w siebie, opowiadał dalej:

— Przed rokiem mniej więcej teść hrabiego a mój współnik Hilary Kamieniecki, proponował hrabiemu lokatę kapitałów. Uczynił to w moim imieniu, a bez mojej wiedzy. Hrabia odmówił, otóż chciałbym zapytać o powody.

Twarz Pawła, który od początku nastroił się na wysoki ton polityczny i przygotował się do wysłuchania doniosłej noty dyplomatycznej, stała się kwaśną.

— Pan wybaczy—odparł oschle—ale ja nie widzę potrzeby... zresztą nie mam ochoty spowiadania się.

Żymirski nie zmieszał się zupełnie. Uśmiechnął się i jeszcze swobodniej, z wesołą niedbałością mówił:

— Bank mój cieszy się taką opinią, że odmowa hrabiego nie uraziła mnie, a tylko zaciekawiła. Wobec ogromnie zyskownych warunków, które postawił był pan Kamieniecki, wydała mi się także dziwaczną... Bywają ludzie uparci, bywają upory...

— Do czego pan zmierza? — przerwał Paweł.

— Właśnie zaraz. Przyjechałem do hrabiego z propozycją... to nawet prośba... Wówczas pan Kamieniecki chciał hrabiemu jako zięciowi przysporzyć dochodów, teraz tu chodzi o mnie... Czasy są tak ciężkie, że nawet ja, że nawet mój dom bankierski odczuwa ich ciężar. Nie potrzebuję tłumaczyć... zastój na całej linii, tchórzliwe kapitały uciekają za granicę, brak gotówki... — coraz figlarniej, coraz żartobliwiej tłumaczył Żymirski — proszę tedy o pożyczkę na tych samych warunkach... warunki mogą być nawet lepsze... Hrabia zechce dopomóc mi, a przez to krajowi... tym setkom i tysiącom, które mnie zawdzięczają... Będzie to czyn obywatelski... pożyczka na krótki termin...

Bankier skończył i wlepił wzrok w gospodarza. Jeszcze na twarzy igrał mu uśmiech.

— Ja nie mogę się zgodzić — rąbnął Paweł.

— I to jest ostatnie słowo?... — już bez kokieterji spytał Żymirski, a głos dźwięczał mu trwoga.

— Tak.

Nastąpiła cisza. Bankier przyglądał się chwilę Pawłowi — i nagle jakby osłupiał. Spojrzenie jego pięknych, rozumnych, rozweselonych oczu stało się tępe i ogłupiałem, zgasł uśmiech, otwały mu się usta... Zsunął, niewiedzieć dlaczego, z prawej ręki rękawiczkę, potem z lewej, położył rękawiczki na stole, splótł ręce, zgarbił się i pod ciężarem troski siedział zgnębiony, niedołężny, osłupiały. Zdawało się, że zapomniał, gdzie się znajduje, że nie spostrzega gospodarza, który się niecierpliwił. Paweł chrząknął znacząco, ale to nie pomogło: bankier nie widział go i nie słyszał. Czas upływał...

— Przykro mi niezmiernie — głośno odezwał się Paweł. Wówczas Żymirski wstał.

— W takim razie... — bąknął.

I wyszedł krokiem powolnym, ociężałym, leniwym.

— Pan zapomniał rękawiczek — dopędził go w przedpokoju Paweł.

— Dziękuję... jestem roztrzępany... — uśmiechnął się apatycznie, z przyzwyczajenia.

— A z mojej propozycji—nic?—spytał tak samo apatycznie.

— Mówiłem już...

Bankier ociągał się jeszcze moment, zdawało się, że coś sobie przypominał, albo, że mu żal rozstawać się z tem mieszkaniem, z jego gospodarzem, z tą chwilą... Był niezmiernie znużony. Niechętnie schodził na dół. Przed jakimiś drzwiami zatrzymał się, odczytał nazwisko na tablicy: Mieczysław Ohnefater Dr. medycyny, badał długo ten napis, wreszcie usiadł na ławie pod oknem.

— Mieczysław Ohnefater—powtórzył sennie—żyd a imię polskie, imię królewskie... choroby sekretne... zabierają nam wszystko, nawet królów naszych... Ich jest tryumf... przez nich ginie ten kraj... wciskają się przez wszystkie szpary, pełzać umieją i piąć się... zdobywają... wsiakają trucizną do duszy narodowej... — gadał. Oni to są chorobą sekretną ojczyzny—zdobył się na dowcip i umilkł w sobie. Nasunęło mu się jeszcze kilka uwag potocznych, parę pospolitych spostrzeżeń, pełzały pod czaszką jakieś zdania bez związku i treści, niby z książki, przerzucanej pośpiesznie, odczytywanej beładnie, gdzie padnie wzrok. Apatykiem spojrzeniem patrzył przed siebie w barwne plamy, które słońce rzucało na ścianę, świecąc przez kolorowe szyby okna, i świadomość jego stała się martwą, właśnie, jak owa ściana, która biernie przyjmowała promienną pieczęć. Myśl usnęła niby najemny posługacz, który, porzuciwszy śród drogi ciężar, idzie kłaść się do rowu i śpi, aż go nie zbudzi krzykiem i batem dozorca. On nie chciał jej budzić.

Ktoś biegł po schodach — doktor Ohnefater, który znał bankiera.

— Pan dyrektor zapewne do mnie — witał uprzejmie — dlaczegoż tu? czyżby służący nie otworzył? to nie jest godzina przyjęć, ale dla pana dyrektora...

— Ja sobie tak... odpoczywam ..

Potem szła jakaś dostojna dama z dostojną zadyszka, potem uczeń gimnazjum, listonosz, stróż domu, młody człowiek w wytartym ubraniu z grubym kijem — wszyscy pytali go wzrokiem: a pan co tu porabiasz? Nie zwracał na nich uwagi. Zajmowały go barwne plamy słoneczne na ścianie — odpoczywał. Gdyby mu kto przepowiedział, że on, najczynniejszy w tem mieście i najwesejszy, najbardziej dbały o pozory człowiek będzie wysiadywał na schodach, w cudzej kamienicy, przed drzwiami D-ra Ohnefa-

tera, gdyby mu kto pokazał jego samego z twarzą osowiałą, z tępem wejrzeniem, z otwartymi ustami, zgarbionego trywialnie, jak przeciętny „niedojadacz chleba,“ którego we dnie gniecie praca a w nocy gryzie troska!...

Wreszcie w pewnej chwili dźwignął się i poszedł. Przed bramą czekały konie. Stangret, nie otrzymawszy żadnego rozkazu, woził go długo po mieście. Żymirski nie odpowiadał na ukłony licznych znajomych — nie widział ich poprostu. Szklanym wzrokiem patrzył przed siebie, siedział zgięty, przytłoczony, marny na tle świetnego powozu, ruchliwych ulic, wesołego dnia. Pogoda była piękna. Chmury gromadziły się zwałami na zachodzie, zlewając się w groźną siność, ale w górze śród radosnego błękitu świeciło słońce. Chwilami zrywał się wiatr, podnosił obłok smrodliwego kurzu, strącał z drzew przedwczesne liście — i opadał razem z kurzem. Gorące tchnienie tego wiatru przyniosło Żymirskiemu przypomnienie wsi, rzecznej kąpieli, upalnych miesięcy letnich, które spędzał raz w willi podmiejskiej. Było to dosyć dawno... na początku kariery... wkrótce po skończeniu szkół — obliczał sucho.

— Na początku kariery... jest początek i zawsze jest jakiś koniec...—urwał. Myśl spała ciągle, porzuciwszy ciężar śród drogi. Więc śledził za liściem, który spadł na przednie siedzenie. Utrzyma się, czy nie utrzyma się? Zabrał go powiew...

Dopiero, gdy u kresu spacerowej ulicy w zwykłym miejscu furman okrążył latarnię i stójkowego i zawrócił nazad do miasta, pożałował, że nie może jechać dalej, wciąż przed siebie. Nie chciało mu się do domu, między ludzi, zwłaszcza do domu... Wyskoczył z powozu, powlókł się chodnikiem, potem ścieżką w dół do ogrodu. Wybrał aleję bezludną, cieniistą, ciemną. Nad głową szumiały, wrzały, oburzały się drzewa,—potem milkły naraz, przekonane w tym sporze, może znużone... Wówczas słychać było daleki gwar miasta. Żymirski zdjął kapelusz i siadł na pierwszej z brzegu ławie w gęstwie zielonej, pod sklepieniem konarów, nad którym wysoko luzurowym uśmiechem uśmiechało się odległe niebo. Przez jakąś lukę liściastego pułapu tryskał promień słońca, kładł się uroczą smugą na dróżce, na kobiercu trawnika, lgnął pieszczotliwie do odziumka modrzewia, urywał, przerznięty pasmem cieniu, i dalej torował sobie drogę do zarośli, między które zakradał się niebaczny i ufny, jak dziecko. Tam czekała nań zguba: gasł w mroku, ginął w ciemnej jaskini brodatych zbójców... Oczy szły za nim do końca... Drzewa szumiały, radząc tłumnie na wiecu, cichły, ważyły coś pod błękitem i znowu wszystkie

wybuchwały... Należało słuchać ich dumnej mowy, wyniosłego gniewu, skargi odwiecznej.

Zakątek był cudny, ale Żymirski nie umiał odczuwać piękna w przyrodzie. Powiódł obojętnem okiem dokoła, poszukał na horyzoncie chmur, zapowiadających burzę, jak mieszczuch na wycieczce, który, żałując nowego kapelusza i palta, boi się zmoknąć, szukał budki z wodą sodową — chciało mu się pić. Nawet i tu w cieniu prastarych drzew było gorąco. I znówu krótkie, jak błysk, przypomnienie owych dawnych wakacyj i kąpieli rzecznej, rozkosznej w upał; wspomnienie, rzekłbyś, fizyczne chwili szczęścia cielesnego, i tęsknota jakoby także fizyczna... zamglone marzenie o czemś bezpowrotnem, świadomość utraty, poczucie znikomości, zaprawione żalem... Wynurzają się bojaźliwie z oddali jakieś obrazy, widzenia dzieciństwa, młodości, minionych uciech... Jak dobrze patrzeć w ich twarze, jak słodko śnić! Gdybyż było można! Gdybyż na spodzie nie tkwiło szorstkie przeświadczenie, że to się skończyło na zawsze, że na wieżach miejskich zegary wybijają godzinę po godzinie a każda godzina... gdybyż nie cień trwogi, niejasny i niepewny, z każdą chwilą wyraźniejszy, dłuższy, szerszy, straszniejszy, cień, który odrzuca... to widno, za plecami ukryte... Obejrzał się, jak człowiek, który czuje utkwione w niego wejrzenie... Prysł nietrwały czar wspomnień, którego w zwykłych warunkach życia, trawiony gorączką czynnych dni, nie kosztował nigdy i Żymirskiemu poczęła dziwnie ciężać pustka tego odludnego miejsca... Trwoga roztacza tu skrzydła o drżących piórach, od których wieje zimno...

Od szeregu lat nie zdarzyło się bankierowi przebywać samotnie pod niezmiernem niebem, w pustce i ciszy, wśród drzew szumiących groźnie, w obliczu natury, łagodnem dla smutnych, zimnem dla zboliałych, pięknem dla szczęśliwych, martwym dla sennych, strasznem, jak spojrzenie w przepaść dla tych, co budują domy w nizinach. Przychodził tu wesoły w wesołem towarzystwie, na tych samych ławach oczekiwał niecierpliwie znajomych, w tych alejach politykował z przyjaciółmi — nie widział, nie słyszał, nie patrzył — znał rojne i strojne wybrzeża morskie, modne hotele na szczytach gór, z których się przygląda, gawędząc, wschodom słońca, gwarne wycieczki, śmiech nad wodospadem, śniadania nad przepaścią, szelest jedwabiu i uściski na pokładzie statku, w nocy, na morzu... Co roku w porze właściwej wyjeżdżał tam, dokąd udawali się wszyscy „na wypoczynek“, wracał, gdy wracali wszyscy. Był towarzyski. Albo pracował społecznie, albo bawił się w tłumie.. Przeprowadził go do tego ustronia instynkt

pierwotny, ten sam, który choremu zwierzęciu każe kryć się w najciemniejszym kącie — a właśnie tu ocknęła się w trwodze myśl, tak długo uśpiona. Więc uchodził stąd pośpiesznie, ratował się ucieczką z tego miejsca, cichego jak grób, od milczącej tajemnicy, która otoczyła go ze wszystkich stron, od prawdy, która zamajaczyła przed nim w jednym mgnieniu na mgnienie.

Pędził, nie wiedząc jeszcze dokąd i do czego, ale już zbudził się w nim spryt samozachowawczy i wrzała w głowie praca. A była pora ostatnia.. Gdy w ramnych godzinach, otrzymawszy kilka wieści najgorszych, zrozumiał, iż to są ciosy, druzgocące ostatecznie moralne i materyalne podstawy instytucji, z którą związał swoje istnienie, rozpacz podsunęła mu niefortunny pomysł zwrócenia się o pomoc do Pawła. Pojechał natychmiast i pewny był pomyślnego wyniku. Popsuty powodzeniem wierzył w swoją gwiazdę, zresztą tonąc chwycił się brzytwy, jak bywało już nieraz. I zawsze, co prawda pokaleczony i skrwawiony, dopływał do brzegu... Przymuszczał, że jeszcze i tym razem... Wchodził do owego salonu w szparkiem, wesołem podnieceniu, tak dobrze znanem mu z wyścigów, w których biegały jego konie — derby wszechrosyjskie—z gry w karty o najpóźniejszej nocnej godzinie, kiedy po grubej przegranej szło o ostatnią największą stawkę...

I zostaną mu na zawsze w pamięci chwila, krótsza niż trwanie najszybszej myśli, chwila oczekiwania na odpowiedź, a także prześliczne złocenia i wykwintne rzeźby stołu, na który patrzył wówczas...

Odmowa Pawła zwała go poprostu z nóg. W bezmyślnem osłupieniu siedział na schodach, bez celu jeździł po mieście, zabrnął aż tu, zmarnował tyle godzin... Skupioną energią woli, wyteżonym trudem przebiegłego rozumu odrabiał stracony czas. Jeszcze przez chwilę szukał ratunku. Zebrał do garści rzeczywistość, ujął ją śmiało, ogarnął dokładnem spojrzeniem, próbował wycisnąć z niej „dobroczynny olejek“ jakiegoś sposobu. Przekonał się niebawem, że niema wyjścia, że nie pomogą wybiegi, półśrodki, wykrętne podpórki, że zapadł się wszystek gmach. Wiedział o tem od samego rana, wiedział przez cały czas i wówczas, gdy uśmiechając się wkraczał do salonu Pawła i potem, gdy wysiadywał przed drzwiami D-ra Olnefatera, gdy tłukł się po mieście, gdy udawał się do parku po ukojenie — i tchórzył. Teraz wstąpiło weń męstwo.

Stojąc na chodniku o trzy kroki od swego powozu, rozmyślał. Wpatrywał się w pęknięcia asfaltu, w żelazną kratę, otaczającą zagłębienie dokoła drzewa, w nudny rysunek drewnianego bruku, a podczas tych kilku minut myśl dokonała niezmiernej ro-

boty — i zatrzymała się bezradnie. Wówczas stanowczym rozkazem woli pchnął ją dalej — do krawędzi... Kilka zdań gotowych, przysposobionych na tę okoliczność, jak gdyby zapożyczonych u kogoś albo wyuczonych na pamięć przed wielu dniami...

— Nie dożyję hańby, nie przeżyję tej chwili.. jest wyjście jedyne, ostatnie... On, Żymirski odejdzie, gdy wybije godzina... godzina wybiła... Hańba...

Szeroka, piękna ulica zapełnia się w jednym mgnieniu tłumem ludzi... szydzące oczy, pociski gniewnych słów, piekący wrzask śmiechu, pręgierz wstydu... kara... okrutna radość wrogów... kłamstwo całego życia obnażone... Stało to wszystko przed wzrokiem, przepłynęło przez serce falą gryzącą, która wyżarła resztę nadziei, ostatnią ochotę i Żymirski ujrzał przyszłość, szczerze po raz pierwszy spojrzął w samą twarz widma—i zgodził się. Położył śmiały pewną ręką podpis pod postanowieniem, które było wyrokiem, odzyskał spokój i panowanie nad sobą.

— Nie dożyję hańby... umrzeć trzeba... Dowiedzie im, że umie być odważnym... Żymirskiemu nie zarzuci nikt... — szeptał, wsłuchując się z lubością w grozę tych słów. Chwyciło go za gardło wzruszenie. Objął oczami miasto, wysokie drzewa, zanurzone w błękiecie, niebo, siną chmurę na zachodzie, potem zwrócił się do stangreta:

— Proszę do banku — rzekł głosem niezwykłym, z serdecznością w tonie.

Kasztany pomknęły.

„Trzeba zabezpieczyć mu przyszłość... wierny sługa!“—pomyślał Żymirski, patrząc w plecy swego furmana.

— Ile też macie dzieci? — spytał.

— Pięcioro proszę jaśnie pana...

— Bądźcie spokojni, ja będę się troszczył...

Stangret uchylił czapki.

Żymirski czuł, że zmiękło w nim serce, że napełnia je rzetelna dobroć, i że ogarnia go stan, pokrewny szczęściu. Dziwił się. Na krótkim dystansie między ogrodem a bankiem rozważył, uplanował i przygotował wszystko, zaczynając od interesów a kończąc na pogrzebie. Gdy przejeżdżał obok kościoła, w którym odbywały się zwykle nabożeństwa żałobne, ukazał się jego wyobraźni katafalk z jego własną trumną, tonący w zieleni, obsypany wieńcami, otoczony tłumem i wpatrywał się bez strachu w ten obraz, groźny dla wszystkich, a jemu miły. Przesunęły mu się także przez głowę utarte zdania z mów, które wygłoszą zapewne nad jego zwłokami tak jak nad tyłu w tym samym kościele, zda-



nia o wielkich zasługach i wielkiej szczerbie, o śmierci, która bezlitośnie podcięła w pełni sił, o niepowetowanej stracie, o lekkiej ziemi, którą zmarły tak ukochał... Uśmiechnął się.

On sam, gdyby to było możliwem, powiedziałby najlepiej o sobie nad sobą...

Z rozjaśnioną twarzą wszedł do banku. Kończyły się już zajęcia i tylko przed kasą czekało jeszcze parę osób. Żymirski przywitał się uprzejmie z urzędnikami, potem zamknął się w swoim gabinecie. Tu robił rachunki, pisał listy i notatki, naradzał się z najstarszym pomocnikiem, z kasyerem, któremu kazał przynieść sobie gotówkę, przeglądał księgi, dawał wskazówki. I znowu udał się do biur, chodził po wszystkich salach, gawędził, żartował. Znał na wylot każdego pracownika i każdemu z nich rzucił dobre słowo, najbardziej właściwe. Obarczonych rodziną zapypytywał o dzieci, chorych o zdrowie i skutki kuracyi, dla młodych elegantów i fireyków miał koncept, w miarę lekki... Kłaniali mu się z uśmiechami — a on jak łaskawy monarcha nie zapominał o nikim. Nie pominął i portyera, którego synka pogłaskał po głowie... Czynił to z ciągłą pamięcią o powziętym postanowieniu i celowo, ciesząc się z góry na komentarze, któremi nazajutrz upiększą każdy jego giest i słowo, ciesząc się, że spokojem swoim wzbudzi podziw a dobrocią — rozczulenie. Ukończywszy ceremonię bankową, pojechał do Obrońskiego, o którego chodziło mu najbardziej. Ponieważ nie widywali się w ciągu letnich miesięcy, rzucił mu się na szyję z niezwykłym wylaniem niezwykłej serdeczności. Obroński zachowywał się sztywnie.

— Co za czułości!... pokochałeś mnie temi dniami... bardzo nagle... są dwa rodzaje pocałunków przyjaźni: Judaszowe, przed albo po zdradzie, i te, któremi się toruje drogę do kieszeni i pożyczki — mruknął opryskliwie i swoim zwyczajem poufale obejrzał Żymirskiego od stóp do głowy.

— Zbladłeś i zmizerniałeś podczas kanikuly. Nie wyjeżdżasz teraz nigdzie?

Bankierowi o mało nie wyrwało się, że odjeżdża dziś jeszcze, daleko i na zawsze ale w porę powstrzymał się.

— Nie mogę — odparł obojętnie — mam dużo zajęcia.

Postanowił i tu nie zdradzać niczem swego zamiaru, żeby potem... już po wszystkim Obroński tem więcej ocenił jego hart i spokój. Więc kręcąc się po salonie rozprawiał wesoło.

— Lubię tę twoją „Jesień...“ A i tu główka wcale niezła... portret twojej matki zdaje mi się? tak... przypominam sobie... poczekał... a tu jest coś nowego!...

— Przed chwilą rozpakowałem — pochwalił się Obroński i sam zbliżył się do obrazu.

— Przyjrę się...

— Stań tu... — popychał Obroński, który nie tylko szczycił się swoim znawstwem, ale także głęboko i szczerze kochał sztukę.

— Nie wyczytałem podpisu... Stachowicz, Alchimowicz... kto to?

— Mniejsza o nazwę i firmę... patrz... — krzyknął Obroński.

Pogardliwy dla wszelkiej gawiedzi, zazdrosny o swoje obrazy Obroński nie pokazywał ich prawie nikomu, a najrzadziej bankierowi, który nie miał zgoła zmysłu do piękna, dziś wszakże nie mógł oprzeć się pokusie pochwalenia się nowym nabytkiem — i już żałował.

Na płótnie była łąka bujna i rośna w chłodnym połysku słońca, które dopiero co weszło, łąka urodzajna i przekwitła a nie skoszona i dziewczyna wiejska z zaścianku, nad wodą naga zupełnie, ze szkaplerzem na szyi, z koleczykami w uszach. Godzina poranna, godzina codziennego cudu i szczęścia, czysta chwila porankowej radości. Malował Andrzej Hryszcz.

Bankier mrużył oczy, związał rękę w trąbkę, przestępował z nogi na nogę, kiwał głową, cmokał.

— Nieźle... tak... wcale dobre... nawet bardzo ładne — wyrokował — co za ciało! jędrne, jak gruszka, zdrowe — tu uszczypnął znacząco Obrońskiego — i buziak uoczy i oczęta takie, co to szukają, czy niema za krzakami chłopca — zaśmiał się.

Obroński bez ceremonii odciągnął go od obrazu. Był zły, milczał posepnie jakiś czas, potem wybuchnął:

— Obrzydliwi jesteście! Rzecz piękna a wy zaraz do ciała, do łydek... I ten wasz mdły styl, który zna tylko główki, widoczki, oczęta, uśmieszek, łezki tak jak kawunię, bufeczki, masełko i śniadańko... Gdybym był malarzem, uciekłbym od was. Nie wiem, czy gdzie jest takie zepsucie smaku, jak tu, i takie lekceważenie sztuki... Przyglądałeś się temu obrazowi, niby jakiej facetce, a udajesz zachwyt jedynie dla tego, że wiesz, iż ja się znam. Na wystawie przeszedłbyś obok obojętnie. Chodźmy stąd...

I zaprowadził Żymirskiego do pokoju, w którym zwykle przyjmował gości, gdzie wisały na ścianie liche reprodukcje o zakazanej treści.

— Tu możesz patrzeć i podziwiać, ile się zmieści. To właśnie dla ciebie — drwił.

— Ja szukam treści, ty przenosisz formę...

— Wiem już wiem... nie potrzebujesz rozwijać swojej myśli... towar społeczny, ubóstwo narodu, podnoszenie mas... mogę wyliczyć wszystkie argumenty... nauczyłem się na pamięć, chciałem gorąco nawrócić się, ale my jakoś zawsze odmiennego zdania, z innej strony... Naprzykład dziś: ty rozpromieniony, a ja w tych doskonałych, w tych najśodszych czasach...

— Co ty dostrzegłeś złego w tych czasach—przerwał Żymirski, w którym odezwał się temperament polityka—po raz pierwszy od stu lat zaświtał narodowi brzask nadziei... czekamy wszyscy, spodziewamy się...

Obroński zaśmiał się, poklepał go po ramieniu.

— Co ja dostrzegłem?—zgrzyźliwie powtórzył. Nie wspinając się na palce, sięgam wzrokiem po nad głowami waszemi, po nad poziom dzisiejszego dnia... Idzie ciemność i zamieszanie, zbliża się epoka najpaskudniejsza, okres panowania gminu. Ona już jest, ta epoka. Bronimy się jeszcze, ale zaleją nas płytkie wody... Jego ekscelencya gmin, jego tyrańska mość. Będzie żniwo dla niewolników i pochlebców, dla gadułów i miernot. Wysokim zlecać dumne głowy, zamilkną mądre usta śmiałych i wydan zostanie rozkaz pełzania. Najgłupszy wleżą na beczki i wyżsi o wysokość wypróżnionej beczki piwa, wrzeszczeć będą na rynkach. Ja tego nie doczekam, bo nie chcę...

Sposepniał, potem, spojrzawszy w twarz bankiera, uśmiechnął się uragliwie.

— A ty się palisz do tych czasów, ty aż drżysz z niecierpliwości... Zaskarbiasz łaski oddawna, już dziś jesteś ulubieńcem—osiągniesz wszystkie zaszczyty... ty—po-pu-larny... — termin niewłaściwy... należy mówić: plebejarny a po polsku: gminny — popularność — wielkie bogactwo... to cały kapitał a złożony z samych miedziaków, które się gromadzą latami... trzeba wiele chodzić, wiele gadać, żebrać... na jednej ulicy dadzą ci grosz, na drugiej — trzy grosze — wszystko się przyda do czasu, aż nowy władca każe wypuścić nową monetę obiegową... wówczas ab ovo...

Od ciętych ciosów ironii rozleciała się na Żymirskim papierowa zbroja wyniosłego spokoju, którą był wdział na siebie. Nie wytrzymał, stanął w obronie epoki, lasał stronictwa, cierpiących tłumów, ideału narodowego, maluczkiej a doniosłej pracy maluczkich, uniósł się, wygłosił mowę, jak gdyby na zebraniu, bijąc oklaski, jak gdyby za nim nie było widnia a przed nim — tego, o czym w tej chwili zapomniął.

— Mówiłeś pięknie — odezwał się Obroński, gdy on skończył — przyznaję, ale ja... ale ja odpowiem ci... słuchaj... Żądasz,

bym ukorzył się przed nieśmiertelnym człowiekiem — przed społeczeństwem, przed olbrzymem, któremu na imię: naród, przed wielkiem dziełem małych ludzi, żyjącem przez wieki a pomnażanem w każdym szeregu lat, którem jest dobro społeczne, rozczulasz się nad niezmiernem sercem zbiorowem, nad zbiorową miłością, twierdzisz, że tłum ma ideały, nazywasz ideał posągiem, zlepionym przez tysiące kochających rąk a dzieje — świetlanym pochodem maluczkich, z których każdy niesie swoją zapaloną świeczkę... Słuchaj, tak piszą gazety, tak gadają na wiecach mówcy. I jedno i drugie: gazety i wiece powstały na obstalunek Jego najgłupszej Mości — Gminu. Że płatni pochlebcy pochlebiają, nie dziwnego—niedbale szydził Obroński ale że ty, człowiek rozumny, w poufnej ze mną rozmowie, gdy nikt nas nie słucha, gdy wiesz, że ja twoich słów nie będę podawał do pism, że ja egoista i wstecznik... to taki lapsus orationis... to zabawne qui pro quo... Przecież ty sam temu wszystkiemu nie wierzysz — no, wyznaj...

— Wiem, wiem—niechętnie odparł bankier—nie należało tracić słów... nie przekonam... żyjesz bez wiary, więc dziwisz się... Obroński zaśmiał się znowu.

— Czy ja bez wiary? no, może i tak.. obchodzę się jakoś...—kpiącemi oczami przyglądał się bankierowi—wstyd mi przed tobą, przed twemi zasługami, przed twoją żarliwą pracą... nie śmiem oczu podnieść...

Rozmowa szła torem niepożądanym dla Żymirskiego. Przyszedł tu z gotowym planem niby z rolą, wyczoną na pamięć, zda się dla odegrania sceny a wdał się niepotrzebnie w przewlekły spór polityczny i od samego początku był przedmiotem szyderstwa. Obroński i tym razem wziął nad nim górę. Twarz bankiera, rozgrzana w ogniu rozpraw, gasła i pochmurniała. Niechętnie słuchał zjadliwych wywodów, nie odpierał napaści, mimo, że przeciwnik co jakiś czas rozyniślnie urywał, spodziewając się odpowiedzi, znosił cierpliwie żarty, czekał końca. Wreszcie Obroński umilkł.

— Te nasze dysputy tak mało warte! odezwał się Żymirski.

— Zapewne...

— Każdy idzie swoją drogą i wszelkiej drodze jest kres...

Obroński dumiał.

— Bóg objawił się nie tłumom—rzekł niespodzianie—a wzywał do siebie Mojżesza na wysoki szczyt. Tam wśród gromów Bóg obcował z wielkim człowiekiem.

Bankier potakiwał machinalnie:

— Gdy Bóg był na ziemi—rozwiął swoją myśl Obroński—gawiedź szła za Nim przez ciekawość, z powodu cudów, które On czynił, dlatego, że uzdrawiał i karmił... gmin jest ciekawy. . Wybranych, takich, co poznali i umiłowali, było nie wielu... Po-tem skazano Go na śmierć i tłuszcze wyły pod krzyżem... Takim jest twój zbiorowy człowiek, tak było i będzie przez wszystkie czasy... to wiekiusty symbol...

Żymirski, przyzwyczajony do drwin, spojrzął ze zdziwieniem w chłodną i piękną twarz Obrońskiego.

— Jeśli narody powstały i trwają, jeśli pięknem może być życie, to tylko dlatego, że schodzą tu czasami wielcy, że brzmi ich głos. . a wszelkie zbiorowości! Gdybyś niewiedzieć ile usypał piasku, nie będzie zeń góry — szczyty są z jednej bryły. I duch jest z jednej bryły... Grzeszy, kto rozkrusza go na żwir, żeby posypywać chodniki, żeby zmieszać się ze spóecznym piaskiem—dokończył ciszej Obroński

I naraz sposepniał, zły na siebie o swoją gadatliwość. Po-tem dla zatarcia wrażenia i słów szczerości wydobyl z szuflady jakiś przywieziony z zagranicy album z ilustracyami, niekoniecznie budującymi i plótl anegdoty. Bankier wstał i począł się żegnać. Powiedział był sobie, że wyjdzie nie napomknawszy ani słowem... tymczasem, ponieważ Obroński był roztargniony i lekceważący, w przedpokoju rzekł z naciskiem:

— Wyjeżdżam daleko i na długo...

— Aż tak — mruknął obojętnie Obroński.

— Nie zobaczymy się chyba...

— Przecież nie pozwalają ci zajęcia?!...

— Na tę podróż zawsze jest czas... — i miał już wyjść.

— Gadasz jak przed śmiercią — zażartował Obroński.

— Bo przed śmiercią — wyrwało się Żymirskiemu. Czekaj teraz.

— Życzę przyjemnej podróży! — był żart.

Bankier zawahał się. Nagle szybko postąpił ku Obrońskiemu, wziął go za rękę i twarzą w twarz szepnął:

— Ty kpisz... a ja naprawdę... nie zobaczymy się więcej...--złamał mu się głos.

— Zbankrutowałeś? niespokojnie spytał Obroński—tak... przypuszczałem oddawna...

Żymirski nie odpowiedział nic. Było milczenie. Obroński zbladł bardzo — myślał pochyliwszy głowę.

— Pójdę już! — cicho powiedział bankier — wierzę, że mnie nie zdradzisz...

Teraz mógł już iść. Ale Obroński nie puścił go. Popchnął go pod światło, potem uważnie zajrzał mu w oczy. Patrzył chwilę...

— Nie odbierzesz sobie życia — rzekł niedbale.

— Postanowiłem...

— Mimo to nie zrobisz. Jestem o ciebie spokojny... Będziesz wolał drapnąć i wybierzesz podróż wagonem, nie tę inną...—urwał.

— A przedewszystkiem... a jeśli ja nie pozwolę ci... to się pokaże! — wybuchnął niespodzianie i znowu urwał.

Widać było, że Obroński nie żartuje tym razem. Miał twarz złą, wykrzywioną, groźną.

— No żegnaj! — i Żymirski wyciągnął rękę.

Ale Obroński cofnął mu swoją i poszedł szybko w głąb mieszkania.

## II.

Teraz z kolei wypadła wizyta u panny Malinowskiej. Ponieważ było blisko, bankier odesłał konie i poszedł piechotą. Chciał także ochłonąć... Tłukł się w nim gniew, najjadliwszy i najgłupszy, bezsilny gniew pokonanego, piekło jak policzek przypomnienie sceny niedorzecznej, upokarzającej i śmiesznej, w której zbłądził się, męczyło poczucie winy, dosadne, mimo, że dla usprawiedliwienia siebie malował charakter Obrońskiego na czarno. Znalazł ulgę w myśli o bliskiej zemście. „Jeszcze ty pożałujesz... przekonasz się... pożałujesz, gdy będzie za późno...” powtarzał z dziecinnym uporem, z dziecinnym zadowoleniem i rysował przed sobą obraz z katafalkiem, z trumną, w której spoczywał on, taki młody i taki potrzebny, z Obrońskim, który stał nad tą trumną blady i zgnębiony, pełen żalu i skruchy, podziwu i przerażenia... To go pocieszyło. Potem przywołał podniosłe myśli, po których piął się coraz wyżej niby po stopniach, aż dosięgnął obranego wierzchołka i zaczął przygotowywać się do rozmowy z panną Malinowską. Nie było jej w domu. Postanowił zaczekać. Niecierpliwym krokiem przemierzał to znane mieszkanie, w którym upłynęło mu wiele godzin życia; wspomnienia, jakkolwiek on nie lubił obcować z przeszłością, cisnęły się same, dziwaczne, zgrzytające, sprzeczne, niezwykłe, tak jak niezwykłym był jego stosunek z tą kobietą.

Przecież już sam portret, przed którym zatrzymał się na chwilę!... Uśmiechnięta, w balowej sukni, z trupa czaszką w ręce

stała na jakimś wzniesieniu, niby na rusztowaniu, u którego stóp wiły się węże o twarzach ludzkich, złych i wynędzniałych. Rozgniewał go w swoim czasie ten pomysł ekscentryczny, jaskrawo wykonany przez młodzieńczego malarza, i tylko tyle wymógł na niej, że zgodziła się przenieść „portret“ z sypialni do pokoju jadalnego. Wisiał tu wśród kilku reprodukcij bezwstydnego Rops'a... Często podczas kolacyi, która wydawała mu się przyjemną, w najweselszej chwili, ona wskazywała czaszkę trupa i mawiała:

— To jest twój „czerep...“ takim będziesz i to prędko! a ja się zaśmieję...

A gdy on milkł, rozdrażniony, że popsowała mu nastrój, wówczas śmiała się naprawdę:

— Widzisz! boisz się!... żyć się chce... i bardzo... Malińciu daj buzi! Malińciu jakaś ty śliczna! — wyszydzała jego czułości.

Taką była dla niego oddawna. Próbował najrozmaitszych sposobów: olśniewał ją świetnością drogich kamieni, spełniał wszystkie zachcianki, ulegał, sypał pieniędzmi, traktował z szacunkiem, z rycerską galanterią — i nie potrafił wskrzesić tych czasów, gdy przed laty ona na klęczkach wielbiła, na klęczkach kochała, gdy on był panem a ona — pokorną, oddaną bez granic służebnicą.

Zmieniły się role... Żymirskiemu przychodziło często na myśl, że panna Malinowska nienawidzi go, że dzieje mu się krzywda, że pora by zerwać stosunek, w którym rozkosz odurzającej woni psuł w każdej chwili za lada dotknięciem ból skaleczonych od kołców rąk, że ta kobieta, dziwna, cyniczna, brutalna, niewdzięczna, ponura—ze wszystkich na świecie najmniej odpowiednia dla niego, który lubił rozrywkę, śmiech, wesoły połyk powierzchni, niekosztowną przyjemność łatwych rzeczy, że mógłby jak inni znaleźć sto innych a właśnie łatwych, przyjemnych, wesołych—postanowił zerwać i nie zrywał. Oprócz namiętności, rozpalającej się z latami, nienasyconej nigdy a podsycanej chłodem i oporem, więziła go obawa, iż ten stosunek, który on najstaranniej i najprzebieglej, niby przestępca zbrodnię, ukrywał przed światem, o którym nie wiedział, zdawało mu się, nikt krom Obrońskiego, nabierze po zerwaniu rozgłosu, iż panna Malinowska, znając jego słabość, jego chorobliwą na tym punkcie drażliwość i dbałość o opinię, przez zemstę uczyni z tej sprawy, której z powodu pewnych komplikacyj łatwo było nadać pozory szpetne, hałaśliwy skandal. Wrogie pisma wrogiego obozu, złożonego przeważnie z dawnych przyjaciół i towarzyszków broni, czekają tylko na taką sposobność... Połałyby się strugi brudnej wody,

zasypanoby go pomiotem kamieni potwarczych, wywleczonoby z przeszłości „grzechy młodego wieku.“ Niestety były błędy młodości... Żymirski pamiętał, że przed laty, w epoce skrajnych umiesień serca i myśli, on tę samą pannę Malinowską nazywał narzeczoną, potem, gdy zamieszkali razem — żoną, że była przysięga, szumna i uroczysta, złożona w obecności kolegów dla uświęcenia związku wolnej miłości, że urodziła się córka, nieżyjąca dziś... i sam rozgrzeszył siebie oddawna z tych win, które nazywał „czerwonym rapsodem,“ ale bał się złości ludzkiej i wiedział, że w opinii jedno oszczerstwo, rzucone w porę i umiejętnie, przeważa ciężar największych zasług. Choćby był jak Jan Żabski nieskazitelny, tanci potrafią splugawić, zohydzić, oplwać jego imię, i mozolny trud jego dni, wytrwała praca nad pozyskaniem uznania, chwały, szacunku i miłości, nad zdobyciem przydomku „nieposzlakowany,“ który zaczynał przyrastać do jego nazwiska, nad dorównaniem i prześcignięciem Jana Żabskiego, praca, już uwieczniona poniekąd powodzeniem, obróci się na marnie... Należało tedy ukrywać, czekać cierpliwie, znosić, pokutować przez długie lata za krótki rapsod czerwony i, zastaniając o ile możliwości drugie oblicze tej Janusowej miłości, oblicze, wykrzywione nienawiścią, złe i brzydkie, zadawałać się skąpym okruczem rozkoszy, który spadał czasami z królewskiego stołu... Zresztą gniew najbardziej zawzięty, na jaki tylko było stać jego niegwaltowną naturę, jeśli wrzał w nim w pewnych chwilach, najczęściej „na schodach,“ „po szkodzie,“ jałowy, niby ów dowcip „na schodach,“ tajał jak garść śniegu, kładł się kornie u jej stóp, jak bojaźliwy piesek, gdy raczyła uśmiechnąć się, spojrzeć przyjaźnie... — w obliczu jej piękna, jej groźnej siły...

Im więcej ulegał, tem mocniej ona pogardzała nim. Utworzyło się błędne koło, z którego nie było wyjścia...

Złowrogi portret natrząsał się z Żymirskiego, z jego uroczysteju zadumy, jej oczy przecudne śmiały się z obrazu ohydnie... On patrzył i widział tylko piękno twarzy, pięknej na płótnie i w życiu. Źródło podniosłych uczuć, które od kilku godzin biło w jego sercu, nie przestało tryskać, nie zniżyło się... Przebaczał złe, wdzięczny był za dobro. Przyszedł tu ze słowami tkliwemi, z pożegnaniem, nie dla wymówek, chciał zostawić tu, jak wszędzie, pamięć wzniosłą i rzewną. Na ulicy układał zdania, któremi miał przemówić, zobowiązać, rozczulić... Tymczasem w samotności było mu nijako—niema scena przed portretem dokuczyła... Wziął tedy ćwiartkę papieru i zaczął pisać list pożegnalny, ale właśnie nadeszła panna Malinowska. Przywitała go



obojętniej, niż zwykle, i zaraz poszukała oczami, czy aby czego jej nie przyniósł. Tylko upominki rozchmurzały jej twarz

— Gorąco jest i zmęczyłam się — rzekła, siadając.

— Możebyś wyjechała na wieś?...

Powoli zdejmowała rękawiczki, okrycie, kapelusz. napiła się wody. Na Żymirskiego nie zwracała uwagi. Wypadła jej szpilka i zsunęły się włosy,—nie poprawiła uczesania. Była w usposobieniu, które znał, którego bał się, w apatyi i zniechęceniu do wszystkiego. Stawała się w takich razach cyniczną.

— Wybierasz się w podróż? — spytała obojętnie, zajrzawszy do listu.

— Tak... — przygotowany okres ugrzązł w gardle.

Panna Malinowska ziewnęła głośno, ordynarnie.

— Łysiejesz — rzekła potem — i żadna panna już ciebie nie weźmie. Postarzejesz się, a wówczas pojedziemy do kościoła i hu-czne sprawimy sobie wesele... — zaśmiała się.

— Nudny jesteś! — mruknęła po chwili, widząc, że on jest niezwykle poważny, i odwróciła się do niego plecami.

Żymirski ciągle milczał.

— Idź że już! Siedzisz, niby na pogrzebie i napędzasz mi nudy... Zgrałeś się na wyścigach? co?

— Przyszedłem pożegnać ciebie—nieśmiało zaczął bankier— odjadę dziś wieczór na długo... Malińciu...

Podniosła na niego spojrzenie, trochę niespokojne.

— A zostawiłeś pieniędzy dosyć?

— W banku — szepnął.

— Co tam w banku!... podpisywać, posyłać, kłaniać się i kłaniać... daj mi do ręki!...

Żymirski sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę bankocetli, a ona, przeliczywszy, targowała się z nim.

— To za mało! daj więcej... widzę, że masz...

Zabrała mu sama sporą kupę. Żymirski nie bronił, tylko rumieniec powlókł mu twarz. Te pieniądze były przeznaczone dla rodziców, na dobre uczynki...

Panna Malinowska poszła ku kanapie i położyła się, podsunąwszy sobie pod głowę stos stówek. Rozpiął się jej stanik, włosy polały się strugą, złośliwymi oczami patrzyła w bankiera.

— Malińciu pokochaj przed drogą, Malińciu pożegnaj — jąła przedrzeźniać jego głos.

W nim rzeczywiście odezwała się żądza, ale pohamował...

— Pójdę teraz — rzekł, unikając jej wzroku — kiedy my się zobaczymy?... Chciałem przeprosić ciebie za wszystkie krzywdy, za winy moje... — mówił cicho.

— Jaki ci święty! spowiadałeś się i ksiądz nakazał... i ja mam przebaczyć... Chodź tu! — krzyknęła.

Zbliżył się posłusznie. Ona ujęła głowę jego w obie ręce, za włosy i pod brodę, trzęsła głową.

— Czytałam niedawno o tamtej, co to, kochając, zapragnęła mieć ściętą głowę ukochanego i, dostawszy, tańczyła z nią i całowała w usta... Patrzę, jakbyś ty na półnisku wyglądał... fe... łysy... Już wolę trupa czaszkę... Gdy umrzesz, każ mi przysłać swój „czerep.“ Postawię go pośrodku sali, urządzę bal — gadała.

— Puść mnie, już muszę iść...

Pauma Malinowska zerwała się z kanapy.

— Nie pójdziesz i nie pojedziesz — wybuchła — ja wiem, co znaczy ta podróż, i skąd to czułe pożegnanie... Wybierasz się w konkury za jaką hrabianką... Tu boisz się, bo ja tu jestem, więc tam gdzieś pod sekretem... I wrócisz po ślubie, i będziecie gruchali, a ja mam zostać w błocie... Nie pojedziesz... słyszysz, ja ci to mówię... Nie pozwolę... a jeśli... spróbuj tylko, pójdę tam do jasnej panienki, zaprezentuję się, opowiem wszystko, rozgłoszę... — krzyczała.

— Ależ nie... uspokój się... zaręczam... moja podróż... gdybyś ty wiedziała... — bronił się.

Nie chciała go słuchać i posypały się na Żymirskiego niby błoto z rąk uliczników wszystkie przekleństwa, złorzeczenia, szyderstwa, któremi pastwiła się nad nim w złych godzinach, do których miał czas przywyknąć... Wspominała na nowo całą przeszłość, wydobywała z potoku lat swoje krzywdy i żale, jego grzechy, lała mu w serce wrzątek nienawiści... Żymirski zasłonił rękami twarz i stał nieruchomo... Wreszcie ogarnęło go takie obrzydzenie i do niej i do jej słów i do tej chwili ohydnej w porównaniu z nastrojem, który on w sobie utrzymał, że wyrwał się gwałtem z jej rąk i zmykał. Puściła się za nim, w przedpokoju szamotali się, zknógl ją i wybiegl. Pędził po schodach a za nim jej wrzask, szpetne wyrazy...

I znowu, jak po rozmowie z Obrońskim, moment rozdźwięku, wywołany zgrzytającym zetknięciem z rzeczywistością, pospolita złość, niesmak i wstyd człowieka, który nie chce do tego się przyznać, a widzi wewnątrz oczami, iż naraził się na śmieśczość... Wysokimi słowami o przebaczeniu uspakajał siebie, dźwigał i wypychał siebie z powrotem na uroczyste wzgórze, na którym pragnął przebywać, na którym po raz ostatni miał zaświecić ludziom... Szczuty ich szyderstwami, czerpał pociechę z piękna myśli swoich i czynów. Szedł właśnie do Jana Żabskiego, żeby

pojednać się z nim, z rywalem, któremu zazdrościł, któremu starał się szkodzić, i wzniosłość tego niespodzianego postanowienia napęliła go wzruszeniem. Ukojony, już zupełnie pogodny drapał się po wąskich i ciemnych schodach do wodza stronictwa.

Jan Żabski przyjął go po swojemu sztywnie i zimno. Jak gdyby gościowi, który jest pierwszy raz w domu, ceremonialnie, mrużąc coś, podsunął krzesło, potem zapiął surdut aż pod szyję, wyprostował się i czekał. Upłynęło kilka milczących minut.

— Czytacie? — spytał Żymirski.

— A tak...

— Coś nowego?

— Dzieje porozbiorowe...

Z tym gospodarzem trudno było prowadzić rozmowę.

Żymirski popatrzał mu w twarz, w tę twarz bladą, martwą, nudną, niby ściana, rzekłbyś powleczoneą kurzem lat, popiołem wygasłych na zawsze uczuć, rozejrzał się po pokoju. Od powrotu do kraju, to jest od kilkunastu lat Jan Żabski nie zmienił mieszkania i wszyscy w mieście znali te dwie izdebki. Było tu smutno jak w więzieniu. Przez zakratowane staroświeckie, wysokie okno, które wychodziło na nędzne podwórze, wpadało stale nawet w tej godzinie blasku słonecznego szare i mętne światło, jak gdyby na świecie trwał zmierzch bez końca. Z ulicy przez grube mury odwiecznej rudery nie przeciskał się żaden odgłos — panowała cisza. Kilka najniezbędniejszych sprzętów i książki, leżące stosami na podłodze u ścian, okrytych pleśnią wilgoci, na stole i krzesłach, zapępiały tę celkę. Kwiatów nie było i żadnej rzeczy, która zabawia, cieszy, rozwesela oczy ludzkie. Zamiast obrazów, portretów, fotografii — stare mapy dawnych ziem, rozwieszane wszędzie; nad łóżkiem, na półce — krzyż drewniany z białym Chrystusem, podobno robota i pamiątka właściciela z czasów wygnania.

— Zbliżają się doniosłe wypadki — znowu odezwał się bankier — wszystko zdaje się zapowiadać rychły przewrót w państwie.

— Czekaj tatka latka... tylko o własnych siłach...

— Tak. Naród, który ma takich ludzi, jak pan, może odrozić się... silny jest...

I ten komplement, wypowiedziany z naciskiem, nie wywołał echa.

— Pracujemy wspólnie a spotykamy się rzadko i nigdy nie miałem sposobności wyrazić panu głębokiej czci, całego uznania... Działalność pana i charakter... — ze wzruszeniem mówił Żymirski.

Gospodarz uśmiechnął się nieznacznie.

— Jeszcem nie umarł... po śmierci będzie czas... — mruknął. Nastąpiła cisza, ponura w tym ciemnym i surowym pokoju.

Jan Żabski jął machinalnie przewracać karty książki. Szleściły stronicę... Bankier pochylił głowę. Ogarniała go zaduma, kładł mu się na sercu dziwny ucisk. Z ruchliwych ulic, z wesołego chodnika życia, ze swego sztucznie usypanego pagórka zabłądził tu jak gdyby do grobu, i opadła szumna fala uczuć, zgasł blask świetlistego nastroju... Ukazują się oczom groźne zarysy, narzucają się myśli, cudze myśli wyległe w surowem milczeniu tego pokoju, zrodzone z chłodu i cieniu mogiły... chłód wieje, rozpościera się posępny cień — całun...

— Czy wolno człowiekowi zejść ze stanowiska? — spytał Żymirski.

— Nigdy.

— A jeśli brzemień przewyższa siły?

— To frazes... Nie słyszałem, żeby człowiek wytrwały nie mógł udźwignąć... — była odpowiedź stanowcza i oschła.

Żymirski nie pytał więcej. Przyglądał się stronicom książki, które przewracane opadały z szelestem, jak gdyby liczył je, dumiał... Przyszło mu na myśl, że tak samo mijają, że tak samo szparko minęły lata... Trochę szmeru, zygzak na piasku czasów, który wnet zatrze się, jak nikły ślad zmykającej jaszczurki na gościńcu — i nic, nic... Zbiorowe dzieła ludzkie trwają, człowieka, twórcę ich pochłania niepamięć, tak jak pusta świątynia połyka odgłos kroków zabłąkanego na chwilę przechodnia... Ten „nieskazitelny“ i on zginą jednak... świat zapomni, gwarne i wartkie życie zaleje... Dziś jest między niemi przepaść: on — powalony, ten zwycięzca... i jakże pysznić się będzie!... jakiegoż blasku nabierze jego jałowa, nie wystawiona nigdy na żadną próbę cnota! Pozbędzie się współzawodnika, zagarnie całą władzę, ogłosią go najpierwszym... Na krótko... parę lat przejdzie... i on, on także... nieskazitelny, sławny...

W tym smutnym wniosku była pociecha.

— A ostatecznie wszystko mija — szepnął Żymirski.

— Co panu po tej filozofii sentymentalnych poetów i melancholijnych panien? — zgryźliwie zdziwił się Jan Żabski.

Bankier uśmiechnął się banalnie.

— Nie powiedziałem istotnie nic nowego...

Zamilkł i milczał. W pamięci tkwiły mu szczytne słowa, które miał zostawić w puściźnie swemu rywalowi — odsunął je ze zniechęceniem. Patrzył w ziemię. Potem wolno podniósł spojrzenie, powiódł niem po zapyłonych mapach, po stosach ksiąg,

zatrzymał je na zachmurzonej twarzy Jana Żabskiego, i snuł jakieś wnioski, trawił jakąś myśl... Upływały minuty, tamten przewracał stronice...

— Pan potępi mnie... — cicho zaczął bankier i urwał.

— Ja pana?

— Służyłem sprawie jak mogłem...

Szelest kartek.

— Może zawiniłem...

Jan Żabski niżej pochylił się nad książką.

— A zawsze dobro kraju...

Rozrzewnienie tamowało Żymirskiemu głos, rozrzewnienie dobroczynne, w którym niby sól w wodzie, rozplynał się ciężki smutek tej godziny.

— Dobro kraju... hm... źle jest w tym kraju — pochmurnie zauważył gospodarz — czytam tu właśnie... — leniwy w mówieniu nie dokończył.

Żymirski mimowoli zajrzał do książki.

— Pożegnaj już pana — rzekł nagle z bezwiednem rozdrażnieniem.

Jan Żabski podług wszelkich prawideł grzeczności odprowadził go do przedpokoj. Podał palto, przesłał ukłony rodzicom — i wrócił do przerwanych zajęć. Wydało mu się po chwili, że ktoś idzie do niego po schodach, że ten ktoś zatrzymał się podedrzwiami i, przeczekawszy kilka minut, znowu zbiegł na dół.

— Szpicel — pomyślał Żabski i pracował dalej.

### III.

Żymirski trafił do domu na koniec obiadu. Usiadł na swym zwykłym miejscu między rodzicami, nawprost portretów przodków we wstęgach, w orderach, w mundurach, zmiatał bez apetytu, dla dogodzenia matce, niesmaczne, oszczędne, źle przyrządzone potrawy, ojca zabawiał polityczną rozmową. Stary Żymirski, który przez rok ostatni posunął się znacznie, zadawał prawie codziennie te same pytania — syn odpowiadał cierpliwie.

— Jakże tam z wojną?

— Już pokój zawarty...

— Na dobrych warunkach?

— Przecież ojciec czytał!

— Tak, ale twoje zdanie...

Wlokła się nużąca gawęda. Potem pan Szczepan nawrócił do przeszłości, którą od czasu, gdy stał się gadatliwym, lubił wspominać i opowiadał rozwlekłe dzieje powstania, zbyt dobrze znane obecnym, dzieje własne, dzieje towarzyszków młodości, których nie widywał, do których tęsknił, których nie było już na ziemi. Ale przed nim ukrywano starannie śmierć każdego rówieśnika, więc co jakiś czas, przypomniawszy sobie drogie imię, wstawiał:

— A nie spotkałeś tam gdzie Alfreda Palińskiego?  
albo:

— Gdy zobaczysz Jasia Mirowskiego, powiedz mu, żeby też wybrał się do mnie...

— Trudno ojcze... chory jest.

— My wszyscy starzy i niedołęzni... jeśli policzyć wiosny...  
I dumał chwilę.

— Potok życia bieży — dodawał — a ja ich widzę przed sobą takimi, jakimi byli... w pełni sił... Mój Boże, przecież i ja niedłyś... a ot... niedługo... i zejdziemy się wszyscy pod Boską strzechą, pod dachem wiecznego Boga...

Matka przysłuchiwała się tej rozmowie z nieokreślonym uśmiechem osoby głuchej. Bankier wiedział, że przy czarnej kawie pochylił się do niego i będzie go indagowała o panny, które wszystkie po kolei swatała mu w zaniepokojonym sercu matczyńskim. W dniach dobrego humoru on sam żartował i układał do wspólni z nią projekty małżeńskie, opisując malowniczo wdzięki i zalety jedynaczek — dziś zbył ją zniechęconym gościem.

— Nie machaj ręką, Karolku... pora już... my starzy, powiedzieliśmy sobie, że doczekamy wnuków... czas leci... śpiesz się Karolku... ojciec ożenił się późno, a młodszy był od ciebie...

— O czym tak rozprawiacie szeptem?—niecierpliwiał się stary Żymirski, który także źle słyszał.

— Namawiam do żenienia się...

— Namawiać nie można. Jak spotka przeznaczoną, sam zechce... Wan, kobietom zawsze swatowstwo w głowie i na języku... kot z sadłem... sadło cudze... Mnie namówili i żałuję...

Śmiał się dobrodusznie, śmiali się oboje, patrząc sobie w oczy, niby kochankowie, szczęśliwi i pogodni na schyłku, po latach burz i smutków, po znojnym dniu o godzinie zachodu, którą żegnali żalem wyblakłych oczu, żalem serc, czujących bliskość pierwszego w życiu, ostatniego, wiekuistego rozstania, bezbolesną tęsknotą starości spracowanej, więc spragnionej wytchnienia.

— A w interesach, jakże tam? krucho? — niespodzianie spytał pan Szczepan — czasy są ciężkie... czytam... narzekają wszyscy...

Od lat wielu, od chwili, gdy, znużony, wycofał się z instytucji, zadał to pytanie po raz pierwszy.

— Żyjemy, przetrwamy — odpowiedział syn.

Obiad był skończony. Bankier wstał, całował ręce rodziców.

— Czego tak śpieszysz? — zatrzymywał ojciec — wpadasz, jak po ogień... nie widzujemy się prawie...

— Jutro będę miał czas — bąknął — dziś zajęcia...

Niezmiernie zmęczyły go rozmowa, widok tych dwojga rozpromienionych staruszków, rozkochanych w sobie i w nim, którzy nie wiedzą, nie domyślają się... widok tego pokoju, w którym, jak mógł sięgnąć pamięcią, nie zmieniło się nic... Wymknął się. Matka wybiegła za nim.

— Karolku, poczekaj! — wołała — miesiąc upłynął, ale nie przychodziłeś do nas temi dniami... Masz tutaj... zaoszczędziłam trochę z tych pieniędzy, które mi wyznaczyłeś miesięcznie... raz oddaję Fredowi, raz tobie... po kolei, żeby była sprawiedliwość... czasy takie ciężkie, drożyzna... ale zawsze trochę... siedemdziesiąt pięć rubli — mówiła z dumą.

Syn wziął pieniądze, podziękował szeptem warg, które zatrząśły się...

— Mamo, nie zasłużyłem... ale ty pożaluj...

Z tą myślą niejasną, z tem uczuciem niewyraźnem, niedopowiedzianem do końca, wszedł do swego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, usiadł przy biurku, rzekłbyś do pracy, a usiadłszy, zrozumiał, iż on nie ma już nic do robienia, że zostało tylko to jedno, ostatnie... Nieruchomy nieruchomem spojrzeniem, które nic nie widzi, spoglądał... Ta chwila musiała przyjść...

Postanowienie, powzięte w momencie rozpacz, samo ciężarem swoim, niby kamień, stoczyło się na dno świadomości, żeby leżeć tam przez dzień cały w mroku i zapomnieniu. Płynął po nad nim bystry nurt wrażeń jasną falą, Żymirski patrzył w nią i widział własne odbicie, zajęty własnem odbiciem. To wszystko, co świetny bankier czynił, mówił, myślał do tej pory, było efektownym monologiem samobójcy, deklamowanym z lubością przed sobą samym i przed audytoryum. Gdy monolog dobiegł do końca, ogarnął go niepokój, jak aktora, któremu by ktoś nad uchem krzyknął rozkazująco: grałeś swoją rolę z talentem — to wszakże nie scena — spełnij natychmiast, coś zapowiedział... umrzyj! i przerażony patrzył dokoła, pytając, zali to jest prawda. Odpo-

wieść, którą wyczytał w mroku duszy, w ciemności pokoju, zniażdżyła mu serce, wolę, myśli...

Przejeżdżając koło kościoła i po rozmowie z Obrońskim, dwa razy wytworzył był w imaginacji zupełnie realny obraz śmierci własnej z realnymi akcesoryami: z katafalkiem, z trumną, z żalobnym tłumem, ale przypominał w tem dziecko, które, nie rozumiejąc grozy i nieszczęścia, bez końca rysuje pogrzeby osób najdroższych. Zatrzymywał uwagę na powierzchni, brał stronę malowniczą i przyjemną obrazu, spokojny bezwiednem poczuciem, oszukiwany złudzeniem, najbardziej z pozoru niedorzecznem, a tak powszechnem u ludzi, zwłaszcza u tych, którzy chętnie rozprawiają o śmierci własnej, złudzeniem, że on, Żymirski, przecież nie umrze, bo umrzeć nie może... I nieraz, w przeciągu tego roku, w godzinach krytycznych, których było wiele, strudzony walką, wyczerpany beznadziejną pracą, gnębiony widmem nieuniknionej ruiny, zmorą hańby, powtarzał sobie, że pora już skończyć z tem wszystkim i nawet wzdychał do chwili, kiedy z tonącej łodzi sam skoczył w odnęt. Widział wówczas w śmierci wytchnienie dla skołatanego, ucieczkę dla zhańbionego, sen pokoju, i tęskniąc, cieszył siebie tą daleką, ukrytą na dnie duszy, niby dukat na czarną godzinę, nadzieją... Bez oporu i bez strachu sięgał po nią dziś o południu. Myśl samobójcza wyłoniła się z głębin, dojrzała i stanowcza, uznał jej zbawczość, z radością w onem śmiertelnem znużeniu przyjął łaskę nieistnienia, którą mu niosła, i pokrzepiony poszedł drogą, którą ona usłała przed nim do jedyne go wyjścia, do jedyne go schronienia... Szybko zbiegły ostatnie nieliczne godziny...

Żymirski wierzył szczerze, że spełni swoje postanowienie, i z energią, która naraz wezbrała w nim, poświęcił się wykonaniu nowej a zajmującej roli. W banku napisał parę wzniosłych listów i wolę przedzgonną, odwiedzał przyjaciół i wrogów, prosił o przebaczenie, żegnał... Gdy wracał z miasta do domu, idąc, pamiętał, że to ostatni raz, i z rozrzewnieniem patrzył w twarze ludzkie, w niebo, na ruch uliczny, rozstawał się, błogosławił myślą miłującą. Na każdym kroku, gdzie tylko stąpił, wyrastały przed nim wspomnienia prac życia, ślady czynów, dowody zasług. Tu kuchnia ruchoma, tam pogotowie, gdzieindziej mieszkania robotnicze, ogrody, szkoła wieczorna, czytelnie... Do żalu, z którym żegnał, mieszała się duma. I szeptał: „ilem mógł, uczyniłem... w znoju zeszyły dni moje... służyłem ci, miasto ukochane, miasto rodzinne, dziś odchodzę...“ Zdawało mu się, iż wszystkie okna kamienic uśmiechają się do niego ze smutkiem, że smutek



jest w oczach przechodniów, którzy domyślają się, że zbierają się za plecami jego tłummy, żeby iść za nim, odprowadzić go, nie dopuścić... „To jest Żymirski, ten, któremu zawdzięczamy tyle, którego cenę poznamy, gdy jego nie będzie...“ — był szept ze wszystkich stron... A w nim wielkiem ukochaniem biło serce i chciałby ścisnąć, obejmować, garnąć, i zapał pchał go do czynu, do jednego ogromnej miary czynu, w którymby zawarł całą moc uczucia... Dobra, wzruszająca chwila!... przedłużał ją, wybierając drogę najdalszą, zbaczając to tu, to tam, żeby widzieć, żeby być wszędzie. Wynagradzał sobie za gorzyc rozmowy z Obrońskim, za cyniczne szyderstwa panny Malinowskiej, za smutek, który wkradł się w niego w posępnej celi Jana Żabskiego, smutek żalostnego porównania własnej doli, świetnej, kwitnącej kwiatami radości, bujnej z tą samotną, szarą, ponurą, ale spokojną i czystą, smutek zazdrości i żalu, że odrobić trudno, że naprawić — późno... Chodził, zbierał owoce plonu, plótt sam dla siebie wieniec chwały, dożynkowy wieniec... Ten nastrój zgasł na progu własnego domu. W jadalni, pełnej wspomnień dzieciństwa i sławy rodu Żymirskich, dumającej na odwiecznych portretach, wobec rodziców, w ciszy ich szczęścia, w zmierzchu dopalającego się dnia pojawiło się po raz pierwszy uczucie, które było pospolitą zrozumieniem prostackiego zdania: to nie są żarty. Zwykłemi, rażąco gminnemi słowy strącił go z wyniosłego szczytu, na którym przebywał, niepokój. I naraz zinaćło się w nim wszystko. Z trudem doszedł do końca obiadu, wyrwał się, śpieszył tu w nadziei, że w samotności, w poufnym obcowaniu z sobą przemoże rozstrój wewnętrzny, który się poczynał... Ale tu czekała czyhająca zdawna trwoga. Gość był okropny. Przepadły gdzieś bez śladu słowa wyśmienite, które miał na każde zawołanie, które brał garściami, któremi sypał za siebie, w siebie, przed siebie, zastygły myśli, czyniące wrzawę, stała się głucha, niema, chłodna cisza. W tę ciszę i pustkę wpatrywał się nieruchomym wzrokiem osłupienia, nadaremno szukając dna i oparcia, coraz dalej zapuszczał się w odmět, w coraz głębszy mrok... otchłań...

Gminne napomnienie, że to nie są żarty, zgrzytnęło w nim uraglawie, niby czyjś obcy rubaszny głos i przetarł oczy, jak skazaniec, którego budzi wśród nocy uderzenie sołdeckiej kolby. Trzeba wstać, trzeba iść posłusznie... sen minął... tam za drzwiami jest śmierć... śmierć rzeczywista, prawdziwa, jedyna w każdym życiu, ostatnia i beznadziejna, straszna i nieodwołalna, nie ta urojona, z podniosłego monologu, malowana, malownicza...

Widział ją w całej przeraźliwej prawdzie, objął ją w jej najprostszej, wiadomym każdemu, dosłownym znaczeniu. Zrozumiał nareszcie, że za godzinę, za dwie, on, Karol Żymirski, przestanie istnieć; że jego, Karola Żymirskiego, który siedzi na tym obitym skórą fotelu przed biurkiem, który pracował, walczył, jeździł kasztanami po mieście, zazdrościł Żabskiemu, przemawiał na posiedzeniach, zbierał oklaski, codziennie brał zimną kąpiel, wygrywał wielkie na wyścigach nagrody, co rana wstawał pełen wesołej energii — nie będzie...

Że przyjdzie wtorek, że przyniosą gazety, że zbierze się walne zgromadzenie, że odbędą się wybory prezesa, do których przygotowywał się, których czekał, że miasto obudzi się ze snu, zaturkocą dorożki, zaroją się chodniki, odejdą i przyjdą pociągi, tam w banku portyer z małym synkiem otworzy drzwi, a jego, Karola Żymirskiego — nie będzie... Był, rósł, rozwijał się, dążył i zdobywał, budował gmach wspaniały, gmach wieczny, weselił się, ozdabiał, pomnażał pokoje, chodził po nich dumny i bezpieczny, stopień po stopniu, piętro po piętrze, piął się w górę — i naraz... Nie będzie go tu, ani nigdzie, runie gmach — i nigdy to życie...

W dreszczu objawiło mu się zimne prawo ludzkiego istnienia — i straszliwym krzykiem przerażenia zawołała woła życia... O południu, tam, u wejścia do ogrodu był krótki sąd. Karol Żymirski — sędzia, na ławie oskarżonych — życie. Skazał na karę śmierci — miał spełnić. Szybkim krokiem człowieka, który chce pozbyć się brzemienia, kierował się ku przepaści, w którą postanowił stracić, niósł życie do zagłady, jak gdyby rzecz obcą, rzecz cudzą, która nie budzi współczucia... A nad samą przepaścią rozdarł mu serce krzyk — to życie wzdrygało się, wyrывało się z rąk nieubłaganych, broniło się wrzaskiem trwogi, prosiło zmiłowania... Jak obłąkany, począł uciekać... Cisnął do piersi co sił jedyny, najdroższy skarb, to oszalałe ze strachu życie, własne życie, życie Karola Żymirskiego, które sam niósł do zagłady, szalony, niepomyślny... Był już na skraju, u samego kresu, o jeden krok, o krótką, jak westchnienie, chwilę... Widział zgrozę, której oblicza nie znoszą oczy żyjących... Straszny, niezapomniany, rozpaczny skowyt trwogi... ostatnim wysiłkiem, dziką żądzą wprężonych ramion, szponami palców uchwycił się krawędzi — zawisł nad otchłaniają — skoczył na brzeg — ocalał... I biegł, tułąc w objęciach ukochanie człowieka, żeby najdalej od tego miejsca, od skały obłądu, o którą rozbiło się jego męstwo, od progu Nocy i zniszczenia... Teraz nie odda nigdy, nie odda nikomu... życie — bo-

gactwo rozkoszne, miłość nad miłościami... Jak płomień, jak hymn, jak szumiący wodotrysk, wybuchła z głębin jestestwa radość... Nie mogły nacieszyć się oczy, iż patrzą, ręce, iż czują dotknięciem miękkie sukno biurka, serce, że bije, piersi, że dyszą... Żymirski zerwał się, miał pędzić kędyś z wieścią o swoim szczęściu z upojonem wołaniem, że żyje, że żyć będzie... Ale nie długo gościła zwycięska radość... Ocieężałym krokiem poszedł tylko ku drzwiom, zaświecił elektryczność, wrócił, usiadł na tym samym fotelu, zwiesiwszy głowę, dumął. Myśli, istotne, szczerę, nieobludne, trafne i doniosłe myśli, zrodzone z nieszczęścia, które niby interesanci przed godziną przyjęć w poczekalni gromadziły się w ukrytej komorze, wyważywszy drzwi, napłynęły szturmem. Niby gwałtowne strugi nawałnicy, potem jak leniwe krople słotnego deszczu, lały się, padały, sypały się, ściekały na kruchą bryłę radości i znyły ją, splukały, strawiły tak, że nie zostało z niej nic. A one, pracowite, cierpliwe, uparte padały dalej kroplami, żłobiąc, drażąc, torując sobie drogę do duszy. Dotarły. Wówczas odezwał się sędzia, którego jeszcze nikt nie zdołał przekupić, który, ukryty w odległym przybytku, niewidzialny, gardząc pustym zgiełkiem pospolitych godzin, waży w milczeniu na swojej nieprzedajnej wadze myśli, zamiary i czyny człowieka, dnia żywota: świetny bankier słuchał głosu sumienia. Był początek męki. Żymirski pokornie pochylił głowę, nie zaprzeczał, ulegał... Własnymi rękami, a posłuszny cudzej woli, zrywał szumne szyldy, barwne szmaty, świecące zasłony, w które przystroił był dom swego pomieszkania, zdarł dach kłamstwa, rozwalił spróchniałe wiązania fałszu, wyrócił zbutwiałe belki obłudy, zniszczył do ena, do kamienia węgielnego krzywdy... gruzy podeptał... na gruzach zgłębił przeznaczenie... patrzył w daleką drogę... każał się...

I znowu szukał ucieczki, podstępnie zmierzał do tajnej furtki, za którą jest noc zgrozy, ale i koniec wszelakiej kaźni.

— Nie zdołasz! Nie sięgaj przeto wykrętnie po śmierć...

— Oszukiwałeś śmierć, oszukiwałeś siebie—padły ściśle prawdziwe słowa — Życ będziesz. Cierpieniem odkupisz... bo tylko cierpieniem... tu, gdzie była wina, dotknie ciebie kara... w hańbie legniesz... cierp... a może po latach...

— Po latach, po latach... po latach hańby—bezsilnie powtarzał Żymirski i znużony, nawet myślą nie mógł ogarnąć niezmiernych obszarów cierpienia... I to jest życie, życie, które, stojąc nad przepaścią, cisnął trwożnie i miłująco do piersi... Lepiej było...

Wiedział, jaką ma być ta kara, kara hańby i poniżenia, kara pogardy przyjaciół, radości wrogów, kara nędzy i wstydu, poniewierki, błota... Trzeba mu przejść przez długie ulice pełne szyszających, przez tłumy gniewne, wśród śmiechu gawiedzi i płaczu najbliższych... Długie ulice tego miasta, w którym wyrósł, które pokochał... domy, domy... we wszystkich oknach twarze... palcami pokazywać go będą, wzrokiem smagać... różgi spojrzeń, szepety i wrzask... na ustach gawiedzi jeden wyraz, ten sam, dla oczu gawiedzi — widowisko... Męka bez granic, bez miary dla niego, który chodził w chwale, którego te same pomiatające, złorzeczące tłumy czyły, który wspiął się na szczyty...

Zamknął oczy przed zmorą, widoku znieść nie mógł... Wy-rwał mu się jęk błagalny, westchnienie, szepet lęku: Boże!..

... Przez liczne lata, od chwili przelomu, Imię to, które w wyznawczym programie związał z ojczyzną, często spadało mu z ust — nie było Go w sercu i w życiu... Żymirski, szermierz kościoła, gorliwy obrońca katolickich tradycji narodu, który gnębił przeciwników politycznych bronią religijną, wydawał pisma klerykalne „dla ludu“ i nawet od czasu do czasu, gdy zachodziła potrzeba zamianifestowania, zaszczycił swoją popularną obecnością świątynię — nie wierzył... Teraz padł na kolana... wołaniem rozpaczy wzywał cudu, pomocy, zmiłowania...

Ręce złożył do modlitwy, jak niegdyś uczyła go matka, szeptały coś jego wargi...

W tej chwili zadzwonił telefon. Dźwignął się z klęczek, śpieszył w dziecinnej nadziei, że to cud, że Bóg nie odmówił, że zjawia się pociecha, przychodzi wieść zbawcza...

— Co robisz z dzisiejszym wieczorem? — najzwyczajniej w świecie pytał przyjaciel, jeden z wielu, towarzyszy z obozu.

...Możebyś do mnie... zebrało się kilka osób... gawędzimy... przyjechał Wroński i przywiózł kupę nowin... Zwycięzamy na całej linii... Czytałeś dzisiejszą gazetę... przeczytaj koniecznie... Jan bez ziemi, bez mowy, bez głowy palnął deklarację, występuje przeciw tobie... Nie udało mu się... napisał marnie... musisz odpowiedzieć... — gadał przyjaciel.

Żymirski odszedł, nie dosłuchawszy do końca. Telefon dzwonił przeciągle i niecierpliwie, ale jego nie obchodziło nic zgoła... Ci przyjaciele opuszczą jutro, odwrócą się ze wstrętem, pierwsi pójdą do Jana Żabskiego, pierwsi, żeby wyprzeć się spółnictwa, cisną w niego kaufieniami... Jutro... stargane, śmiertelnie zmęczone myśli szły na ten sam szlak i otoczyły kołem to samo miejsce, drzewo ludzkiej nadziei strzaskane od gromu nieszczęścia, tak

jak córki otaczają trumnę ze zwłokami matki. I widział, znowu widział już po raz trzeci obraz najbardziej okropny, obraz męki: długie ulice ukochanego miasta, te same, któremi chodził dzieckiem, potem szczęśliwym młodzieńcem, któremi jeździł jako mąż sławny, witany ukłonami uznania, uśmiechami przyjaźni, długie ulice, szeregi domów, twarze w oknach, tłumy szydercze, rozgrzane nienawiścią, wrzask wrogów, złowieszczy pomruk, jeden wyraz na wszystkich ustach, jedno spojrzenie we wszystkich oczach—spojrzenie wzgardy... i on, Karol Żymirski, nieskazitelny mąż, wleczony wśród wyjącej tłuszczy, zdeptany, oplwany, złamany na zawsze... Taką to pokutę ma odbyć... tem cierpieniem odkupić... I za co?! Miłował, krajowi służył i miastu temu... tyle uczynił, okrył się chwałą, polyskliwym płaszczem znamienitych zasług... Grzeszył, ale oddany był sprawie... Niechże ratują go ci, którzy mu klaszczą, którzy noszą go na rękach — przyjaciele, wielbicieli, pochlebcy...

Gdy Jan Żabski zamknął za nim drzwi, chciał wrócić i wyznać wszystko. Wbiegł po schodach, stał chwilę przed drzwiami — i cofnął się... W krajach, rozwiniętych politycznie, jest solidarność partyjna. Jego hańba spadnie hańbą na stromnictwo, stanie się orężem niebezpiecznym w ręku nieprzyjaciół, zaszkodzi sztandarowi. A są fundusze, możnaby ogłosić składkę potajemną — trudem cierpliwym wynagrodzić... Wroński, rozumny, bogaty, przychylny... Jak bańka mydlana, prysła nadzieja, którą na moment przywołał, żeby wnet uznać jej błahość. Tak samo prysły wszystkie pociechy, pomysły, projekty. Sposoby, które brał po kolei z oszukańczego składu i badał bez wiary w ich skuteczność z niecnego przyzwyczajenia. Oddawna wyczerpał wszystko, nawet Kamienieckiego, którego tyle razy wyprowadził w pole, nie było w mieście, a on wciąż obliczał, snuł kombinacje, wyteżał pamięć i sam rozwaliwszy budowę, w którą uderzył, którą zatrzęsł piorun, próbował kleić z drzazg, ze strzępów, z próchna. Rozumiał nicość tej roboty, a prowadził ją dalej, jak gdyby chodziło mu o zabicie czasu, plótł myślą, jak nieraz człowiek plecie językiem, żeby zamknąć komuś usta... Miał w tem swój cel, działał przebiegle... Wyrwał się z pod pręgierza, pod którym postawiło go sumienie, teraz chciał uspić jego czujność, przesypując piasek jałowych myśli, krążył po pokoju krokiem ociężałym, leniwym, niechętnym, potem coraz szybciej, śmieiej... W pewnej chwili zadzwonił... I chwiejnym głosem kazał lokajowi conajprędzej pakować rzeczy. Pomagał sam. Staś przynosił garniturę, on segregował, wyznaczał im miejsce w tym kufrze, albo w tamtym. Wybrał krawaty, wsunął do tłumoka parę powie-

ści... Trzęsły mu się ręce, twarz oblała się krwią i była cała w plamach...

— To jaśnie pan chyba na długo — zauważył służący.

— Jak wypadnie — odparł nie podnosząc oczu.

— Zapakowałem i zimowe ubrania...

Gdy wszystko było skończone, dopiero wówczas spojrzął na zegarek i odetchnął z ulgą. Miał jeszcze do odejścia kuryerów dwie godziny. Była ósma... dużo czasu, zawiele... I znowu był sam w pokoju z myślami... Rozpraszał je... nieznośnym był ich brzęk nieustanny... gadały myśli rozmaite o tem, o owem... ktoś śmiał się jadownicę... płakało coś... przechodząc koło zwierciadła widział swoją twarz, która wydała mu się okropną, cała w wypiekach, w plamach, jakoby w krwawej ospie... Trzęsły się wciąż ręce... Dwie głowy na ścianie, dwa czoła, oczy patrzące Kościuszki, Mickiewicza... Zawiesił był te wizerunki — wierny, miłujący syn ojczyzny — i znosi urąganie... Trzęsły mu się wciąż ręce, czuł pod powiekami, które przymykał, płomień żrenie... pała się oczy, męczy każde spojrzenie... Zgasił światło i chodził w ciemności po tym samym szlaku, który deptał, deptał... A w mroku jakieś palce dotykają jego czoła... może to jest skrzydło trwogi o chłodnych piórach?... i z kąta gdzie, stoi szafa, wysuwa się postać... Znowu zaświecił... Skupił uwagę nad rozkładem jazdy, odczytywał stacyę po stacyi, ilość wiorst, ceny biletów dla dzieci i dorosłych — książka dygotała, maciły się litery... Chodził... Wreszcie, zacisnąwszy zęby, niby przed operacyą, podstawił głowę pod cios... na nic zwlekanie, lawirowanie... niech spada na niego prawda — wytrzyma...

„Podły! uciekasz, a miałeś umrzeć!... wepchnąłeś w nędzę rodziców, tysiące rodzin, które zaufały... wykradłeś z banku, co się dało i zmykasz... nie zmyjesz nigdy i niczem!... oszust podły jesteś i tchórz...” — jak rozpalony drut przeszyły świadomość szybkie myśli i zdawało się, że syknęła z bólu spieczona warstwa mózgu.

Żymirski zatrzymał się i czekał — chciałby już cały ból odcierpieć odrazu...

„Ja słucham... ty mów...” — rzekłbyś, zwracał się do kogoś. A była cisza. Nie stanęło do rozprawy sumienie... Wówczas on sam spuścił się na dno i śmiało zastukał do drzwi, za którymi tało się, żeby dokonać gwałtu... Obłuda szła za nim na palcach, szeptała mu do ucha słowa, a on sypał je wszystkie, kładł na nieprzedajną wagę. On szermierz nielada, znalazł obronę: zastaniał się cierpieniem, męką, którą już zniósł, nazywał pokutą boleść,

którą jemu, człowiekowi szlachetnemu, sprawiały i ucieczka, i niedola rodziców, i krzywda, wyrządzona bliźnim, widział w tem karę dostateczną i zdjęty żalem a skruchą, usprawiedliwiał siebie... Słowami, skapaniami we łzach, byłby skruszzył w tej chwili serce, najbardziej zatwardziałe—łały mu się strugą obfitą coraz piękniejsze, coraz bardziej trafne, ale nie zaważyły na owej nieprzedanej szali... I mowa obrończa i uczucie rozbijały się wciąż o jakąś dziwną zaporę. W duszy trzepotał się niepokój, jak w ciemnym pokoju odbłask dalekiego chwiejącego się na wietrze ogniska... Ktoś śmiał się, ktoś szydził, ktoś plwał mu w twarz... Słuchacze na sali daliby mu oklaski za setną część tych górnych myśli... tu samego siebie należy przekonać... Więc gadał do siebie... Gadał o wielkiem cierpieniu, o żalu rozłąki z krajem, o porzuceniu prac, o tułaczce i gorzkim wygnaniu, o karze, którą sam sobie wymierzył, o siłach, które złamały się w nieszczęściu, i ciszej, z pewną nieśmiałością, o zasługach, o długim łańcuchu czynów, trudów, ofiar... Z niezmordowaną wytrwałością tłómaczył, udowadniał, wykładał, naglony obawą, że, gdy on zamilknie, tanten, którego nie potrafił przekonać, zaśmieje się w żywe oczy... I, dziwna rzecz, unikał lustra, i swego odbicia, i tego spojrzenia, któreby spotkał...

W tej chwili zajaśniał szereg pokojów, przez które lokaj prowadził jakiegoś gościa. W Żymirskim skureczyło się, ściępiło, zamarło serce — potem dwa jego uderzenia bardzo rozgłośne, raz po razie...

— Proszę jaśnie pana... ten pan koniecznie... — mówił coś lokaj.

Bankier nie zrozumiał... Gość usiadł sam bez zaproszenia.

— Śniałowski — zaprezentował się dobitnie.

Żymirski patrzył przenikliwie w jego krawat, w podbródek, w usta — do oczu nie śmiał...

— Pan dyrektor, widzę, bardzo nierad — spokojnie zaczął gość, który musiał coś zauważyć w jego obejściu — przepraszam... pora może niewłaściwa... mam pilny interes... słyszałem o wyjeździe...

Teraz dopiero Żymirski obejrzał go od stóp do głowy. Młodzieniec, ubogo ubrany z kategorii neurasteników, którzy wpadają do nieznanych mieszkań o każdej godzinie, zawsze umieją dotrzeć i, grożąc natychmiastowem samobójstwem, proszą o 25 rubli... twarz ujnująca młodością, blaskiem oczu, upartą, śmiałą linią wąskiego czoła... głos stanowczy o brzmieniach bezwzględnych...

Leniwie słuchał...

— Przyszedłem wstawić się za Karolom... za Korolem Borkowskim, którego pan usunął bez przyczyn dostatecznych, a jak twierdzą niektórzy, jedynie za przekonania...

Bankiera, to przypomnienie przeszłości niedawnej a obumarłej na zawsze, na zawsze, przeszłości, gdy on rozporządzał się, działał, rozgniewał i dźwigał ludzi, gdy był potężny, napełniło żalem... Myśl poszła kędyś błędzić...

— Pan dyrektor nie słucha uważnie — natarł energiczny gość — tymczasem tu życie człowieka... istnienie całej rodziny... Karol jest w nędzy... a za przekonania... nie przypuszczałem, żeby taka cenzura...

— Pan należy do partii? — cicho spytał Żymirski, uważnie patrząc w przybyłego.

— Tak — była odpowiedź szorstka i trochę wyniosła.

Bankier nie przestawał patrzeć. Myślał teraz, iż to jest wróg, jeden z tych, którzy ucieszą się z jego upadku, zatrąbią w trąby, uderzą na alarm, rozdmuchają, pastwić się będą — i nie mógł oprzeć się pokusie zgnębienia, skoro jeszcze miał władzę.

— Trudno, proszę pana — rzekł uprzejmie — dymysyi nie cofnę.

— Dlaczego? — skoczył Śniałowski.

— Zaraz panie... niech pan nie unosi się... — najgrzeczniej mówił — właśnie dla przyczyn... właśnie pan odgadł... Instytucya, w której pracował pan Borkowski, instytucya narodowa... jakże pan chce, żeby w niej mieli przytułek ci, którzy wypierają się ojczyzny, którzy ojczyźnie szkodzą... jest tylu bez chleba najgorętszych, najlepszych patryotów.

— Przyszedłem tu — wybuchnął gość — byłbym nie przyszedł... Ale ja nie chciałem wierzyć... myślałem: nieporozumienie... bo żeby tak cynicznie przyznawać się... panie, ja nazywam rzeczy po imieniu... to podły, to niecny postępek...

Żymirski uśmiechał się — obraźliwe słowa sprawiały mu satysfakcyę... Śniałowski spostrzegł to — urwał. Płonącemi, gniewnemi oczami spoglądał... I naraz w tych oczach zajaśniało coś niewypowiedzianego.

— Widziałem dziś pana — rzekł stłumionym głosem — tam na schodach, gdzie Paweł... poznałem na twarzy cierpienie... pan zrozumie niedolę... nędzę dzieci, ojca... Uniosłem się, przepraszam... ja wstawiam się... człowiek ginie... — zachłysnął się, jakgdyby łzami.



— Umiecie udawać pokornych i litościwych, gdyście słabi, a przecież nikt, tak jak wy, nie potrafi deptać, szarpać, mordować... byleby wam siłę dano... — ukąsił bankier.

Gorący, natchniony, rozwarty dla szczęścia górnej chwili wzrok Śniałowskiego cofnął się pośpiesznie, niby ręka wyciągnięta po chleb, a obrzydzone śliskiem dotknięciem gadu. Śniałowski zerwał się i wyszedł bez słowa. Lokaj prowadził go przez szereg salonów, które zapalały się, gasty...

„Twarz szlachetna i ruchy pańskie, dusza gorąca, porwana tą fikcją... skąd on się wziął wśród nich?! — myślał Zymirski i wnet o wszystkim zapomniał. W samotności, która uczyniła się, ogarniał go znowu lęk. W duszy pełgał niepokój, jakoby połysk miecza, który wisi nad czaszką. Myśli rozpierzchały się i kaleczyły się, czegokolwiek dotkną. Był bezsilny, znużony coraz bardziej... to przypominał mu się giest Obrońskiego cofnięcia ręki, to nagle stawał portyer banku, którego wieloletnie oszczędności utonęły w kasach domu „Zymirski i S-ka,“ to owe pieniądze matki... surowa prawość ojca... zgroza jutra dla rodziców... Dla odwrócenia uwagi wyjmował zegarek, obliczał godzinę, brał ze stołu list... I nagle wynurzała się z przeszłości pewna pani, która w bezgranicznym zaufaniu powierzyła mu syna, syna i majątek, która w tym samym pokoju, po długiej rozmowie, gdy on, zapalony, płonącymi słowami rozniecił i w sobie i w niej najświętszy ogień umiesienia, naraz ukłękła i pocałowała go w rękę... potem znowu budziła się troska o byt rodziców, ukazywały się rozmaite chwile życia, szczytne i szczęśliwe, i ukrytym kolcem raniły pamięć... przedmioty odzywały się głosem żywym, spoglądały żywymi oczami... w dokuczliwym zamęcie poczynały brzmieć i uragać własne słowa, obietnice, zaklęcia, rzuczone niegdyś tłumom, przyjaciółom, sobie samemu... Występował mu na twarz runieniec, najbardziej okropny, żrący serce runieniec, który piecze policzki człowieka samotnego, gdy wstydzi się własnych myśli... tak, tak... stypendya młodzieży zagarnięte... składki na bibliotekę publiczną... ubogie grosze biedaków — wspominał mimochodem i uciekał... Badał najpilniej tytuły i okładki książek, ustawionych na półce... A po szybach duszy dalej bełbniły krople tych myśli przelotnych a nieprzerwanych, uporeczywych... Zaczynał tracić panowanie nad sobą, tworzył się w nim jakgdyby jeden jęk... W pokoju rozległo się szlochanie... Dokaż schronić się, gdzie znaleźć ciszę, wytchnienie, sen? jak zamknąć usta pamięci, która opowiada, rzeczom, które mówią? Gdzie mrok, w którym by wszystko zagasło? bo oczy widzą, patrzą,

cierpią — umęczone oczy... jak zabić tę pracę, której niema końca?... w serce przenika spojrzenie znużonych, oddanych, ufających źrenic matki — i łka serce...

Staś lokaj zastukał do drzwi — była już pora odjazdu. Na widok służby, zebranej w sieniach, Żymirski odzyskał przytomność umysłu, rzutką, sprawną, odważną... i zrozumiał, że przede wszystkim pozory... Żartował tedy, jak zwykle w takich razach, zostawiał dyspozycyę... Na progu złapała go panna służąca, prosząc do matki. Zawahał się, ale odmówił.

— Proszę powiedzieć, że późno już... że ja za parę dni wrócę... — rzekł cicho niepewnym głosem.

I jeszcze raz zawahał się.

— Nie pora — szepnął.

Wolnym krokiem ruszył do powozu. Konie parsknęły na dobrą wróżbę... Odjeżdżając, obejrzał się. Światło było w oknach matki. Zapewne stoi tam kreśli znak krzyża i zmęczonemi oczami... żegna... czyżby nigdy? czyżby to wszystko miało być prawdą?

Stłumił łkanie.

„Póki sił, byłem z wami... opuszczam, bo nie mogę, nie mogę...” — znalazł pociechę.

Mknąc przez miasto, nie myślał o niczem. Patrzał co chwila na zegarek, liczył pakunki, czytał szyldy, gonił wzrokiem przechodniów. Zresztą zwykle przedpodróżne podniecenie, w którym tkwi nieokreślona nadzieja... Turkot zajeżdżających przed dworzec dorożek, wrzawa, pośpiech uwijanie się tragarzy, wesoły ruch, który porywa w swój wir, zapach węgla, przeciągły gwizd lokomotywy, przedsmak podróży, pędu, powiew dali nieznaney... świat szeroki...

Obroński był na dworcu. Zbliżył się odrazu i, nie witając się, powiedział:

— Odgadłem, że ucieczka... ja chcę kilka słów... może tu... — wskazał dwa fotele.

Miał zmienioną twarz, i bankierowi, który przyglądał się z niepokojem, wydało się, iż zbrzękły mu pod płowym wąsem wargi.

— Kilka słów... przeszkadzam i wstrzymuję — mówił szorstko urywanym sposobem, z widoczną przykrością — chcę tylko wyjaśnić, dlaczego ja, jakkolwiek szcycę się legalnością i dbam o to, żeby zawsze być w porządku z prawem... no i z sumieniem, dlaczego ja nie uprzedziłem o tym wyjeździe... Należało oddać w opiekę władz, należałoby jeszcze tu... — padła groźba.

Bankier skurczył się, zinał, zmarniał na swoim krześle, jak-gdyby chwymano go już za kołnierz i nie wiedział, dlaczego nie mógł oderwać oczu od dużej ręki Obrońskiego, ozdobionej sygnetem. Spróbował uśmiechnąć się. Uśmiech był blady i nędzny.

— Nie uczyniłem tego — tłumaczył Obroński, zadając sobie przymus — I właśnie... poczuwam się do pewnej winy...

Spuścił oczy, może pierwszy raz w życiu nie patrzył prosto w twarz.

— Tak, poczuwam się do winy, a to, że wyznaję ją przed szubrawcem, to kara niemała... Zasłużyłem... Domyślałem się bankructwa i dla tego przed rokiem wycofałem swoje udziały... Już wówczas obowiązkiem moim było ogłosić, ostrzedz... Nie zerwałem także współki wyścigowej i wygląda na to, że my—dwaj przyjaciele, z tej samej kompanii, jednakowego stempla... są pozory... przewidziałem wiele... ale takiej podłości, ucieczki i tego wszystkiego... dopiero dziś...

Obroński wstał, pchnął krzesło i, nie dokończywszy mowy, wyszedł.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

## Chłopskim eposie Konopnickiej.

Kiedyś, gdy wichry i burze przewieją,  
I rozbłękitni się w sobie wiek słońca,  
O tej siermiędze mówić będą w świecie  
I zwać jej dzieje ludu epopeją.  
I może wtędy nawet my, my sami,  
Wśród narodowych skarbów i pamiątek  
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek  
Chować będziemy i oblewać łzami.

*Konopnicka, Poezye II, Warszawa 83.*

Eposu Konopnickiej nie można wyjmować z historyczno-literackich ram ubiegłego trzydziestolecia. Powstańczy rok, ten, któremu trzeba było ołówka Grottgera, żeby wypoetyczniał, znieczulił społeczeństwo, więc musiał znieczulić i literaturę. Ledwie porosła w pierze poetyckie garść Buławów i Sęczkowskich, Bartusówien i Otawów, Komorowskich i Dzieduszyckich, Wierzbickich i Wysockich — wodzi piórem z lubością po obwodzie życia, zamiast sięgnąć do jego wnętrza.<sup>1)</sup> Dynamikę uczuć zastępuje u nich statyka opowiadania nudnego, zagrzęzłego w opisy. Wrócej energią, z ostatnim strzałem powstańczym zrymowanej pieśni, przeciwstawiają ci poeci o duszach, wziętych na powróż — epos, czczo skandowany. Dodawać nie trzeba, że chrzest bierze każdy do nowej sorty należący poemat z kropielnicy romantycznej. Kierunek wychodzi od Pola i Syrokomli.<sup>2)</sup> Stąd jaskrawą tendencją brnie poeta nałogowo w przeszłość, a równocześnie bezbarwnem

<sup>1)</sup> cf. *Chmielowski* „Współcześni poeci,” str. 387—435, nadto *Grabowski* „Poezya polska po r. 63,” str. 210, 216—221.

<sup>2)</sup> Rzecz prosta—idzie o twórczość, nie o twórców: Syrokomla † 1862, Pol † 1872.

wykonaniem fałszuje jej proporce. I tak być musiało! Odwrócona sfera wartości nie zaraz pozwoliła przepuścić przez siebie światło krytyczne. Pólinstynkty i półruchy życia bieżącego odzywać się zaczynają bardzo późno. Dopiero schyłek lat osiemdziesiątych przynosi poematy epickie, poświęcone chłopu, koło którego tymczasem ześrodkowała swoją akcję najpiękniejsza epopeja: rzeczywistość. Odwieczna, specyficznie polska historia stołu i nożyc powtórzyła się raz jeszcze. Co prawda obwołany hałaśliwie bohaterem chłop nie od razu znalazł w literackim przedstawieniu swoją późniejszą, krwistą a zwartą psychologię. Objawy jego życia, modernizowane na zabój według jaskrawych paragrafów nowej szkoły, odskakują za wyraźnie od polskiej, po dawnemu egzaltowanej duszy poety. Niedostateczna fuzya obu pierwiastków: przedmiotowego i podmiotowego sprawiła, że transparentowy „chłopek“ romantyków grasował dalej w poezji, tylko sensacyjniej prezentowany, wśród trywialniejszych efektów. Ale każdy nowy poemat, w grubą sieć realizmu chwytający idealną duszę poety, dowodził, że popęd do epickiego tworzenia wisi w powietrzu. Od szkicowych, akcją zewnętrzną zaczepionych o lud, prób, półdzie ten popęd do dojrzałej, kątem wieczności lud mierzącej, kompozycji. Związek między zapomnianymi próbami a głośną kompozycją utrwaliła chronologia. W dziewięćdziesiątym drugim roku rozpoczęty „Pan Balcer w Brazylii“ jest wypadkową prądu epickiego, przez całe trzydziestolecie pracującego prawie niewidzialnie, w anonimowej przyłbicy, z której wynurzały się raz po raz fizyognomie poetów, nie spotykanych poza ulotnemi szrankami recenzji.

W sferze tego prądu powstawały niegdyś rzymskie, na cienką nić opowiadania nawleczone, poematy Konopnickiej „Klaudia“ i „Tarcza Scypiona“, zręczniejszarywające epiką „Obrazki“ i wreszcie w niedwuznacznym celu podjęte fragmenty „Imoginy“, pracy nad oktawą poświęcone. Ale na kunsztowne doskonalenie zmysłu epickiego nie pozwalał rozgwar liryki, wręcz w formie, samorzutnej w treści. Ferment coraz nowych uczuć rozsadzał każdy kształt życia zewnętrznego. To też pełnego kąta życiowego nie zatoczył żaden poemat. W wierszu znajdowałaś, co najwyżej, okruchy rzeczywistości, dowolnie pędzlem lirycznym cechowane. Inaczej być nie mogło. Liryk musiał wypowiedzieć swoje ostatnie, syntezą będące słowo, zanim odezwie się epik. I co więcej, liryka musiała doszczętnie wypompować esencję wewnętrzną, nim epika zwróciła się z reflektorem poetyckim na zewnątrz.

Psychologicznie taką kolej rozwojową uzasadnia historia naszej literatury, nasuwając analogię choćby z Mickiewiczem, któ-

rego uczuciową rdzennie twórczość zamyka podobnie epilog opisowy. Rzecz jasna, że dorobek idealny liryka nie zawsze przechodzi na epika. W eposie Mickiewiczowskiej ciężar gatunkowy zdarzeń czy kierunek działań ludzkich nie zawisły bynajmniej od syntezy, którą zdobywał poeta w długoletnim ciągu twórczości lirycznej. W eposie Konopnickiej przeciwnie, wszystkie tryby i trybiki akcji, wszystkie koła i kółka dusz — nakręcone są kluczem tej samej syntezy, którą pieśń liryczna poprzednio sformowała.

A na tę syntezę, jak słusznie zauważył Potocki, składają się dwie moce: „moc własna ludu“ i „moc własna poetki.“<sup>1)</sup>

Pierwsza, z twórczości rodzajowej dająca się wyłowić, określa psychofizycznie typ ludowy o zmysłach, dzięki materialnemu kierunkowi zajęć wyostrzonych, o zacieśnionym przez poddaństwo mechanizmie uczuć, o wyobraźni drażnionej syrenim głosem i pawim strojem przyrody. Typ ten sprowadza poetka do jednostki, głową trącającej o okap chałupy, więc pozbawionej potrzeby szerokich uogólnień, kwadratu zdrowego rozsądku nie przekraczającej.

Druga „moc,“ w twórczości osobistej odbita, pozwala sportretować typ poetki samej. Omfócona przez wszystkich recenzentów nadwyżka „programowości,“ psująca pierwsze utwory Konopnickiej, dowodzi tylko jej żywego interesu dla spraw środowiska. Pociągnięta w późniejszą twórczość, będzie regulować tempo każdego wiersza zgodnie ze współbrzmującym marszem partii ludowej. Wyższa nad pospolite kolizye życia, dokumentuje przecież znajomość realnych potrzeb w pierwszym wolnym felietonie dziennym, w namiętnej, wedle znanego aforyzmu Goethego o krytyce, skonstruowanej rozprawie literackiej, w zdrowych kurendach do kobiet, czy wreszcie szerszych okólnikach redaktorskich. Mimo idealizmu, promieniującego z tych wszystkich prac, nie roztopiona w ideologii, rzuca w „Trzeciej seryi“ zwarty postulat społeczny. Prawda, że na jakość tego postulatu wpłynęło raczej napięcie uczuciowe, aniżeli twarde przesłanki spekulacji. Iść za daleko, wylamywać się z pod klucza opinii nie dozwolił Konopnickiej temperament, poddany prawom środowiska. Dlatego zabrakło w jej twórczości pierwiastka męczeńskiego — tego, który przecina włókna łączące człowieka z masą, odciąga bezwzględnie od jej macierzystego ustroju, a zato każe własny ideał ryć w duszy, ponad chór codziennej tragedyi wzlatywać krwawym głosem bohatera.

<sup>1)</sup> Antoni Potocki: „Marya Konopnicka,“ str. 64—5.

Obie, mimochodem tu wskazane, „moce,“ które utleniła synteza poetki, złożyły się na powstanie Balcera.

„Moc własna ludu“ wypełnia poemat materiałem przedmiotowym, tym, w którym brodzi z reguły rylec epika za jednogłośną aprobatą teoretyczną wszystkich czasów.

„Moc własna poetki“ daje w poemacie początek dygressyom podmiotowym, intrydze duszy, czego nie znały ekskluzywne reguły arystotelesowskie i pogłębiając szczegół za szczegółem, cechuje całość nowożytnym stygmatem.

Zbliżone wykładniki tych „mocy“ doprowadziły do stopienia obu żywiołów: przedmiotowego, znaczącego etapy akcji i podmiotowego, bodźcem wypadków pobudzanego co krok do nowych wybuchów.

Efektom stopienia jest forma wspomnień, z ust bohatera płynących szorstkim a przecież wzniosłym trybem, forma, której wiele zawdzięcza „Pan Balcer w Brazylii.“

Dlaczego „Pan Balcer?“

Nazwisko chłopca polskiego, położone nad epopeją, dowodzi, że życie tego chłopca mogło być przedstawiać interes dla epika. I przedstawiało! Brak zdecydowanych, stale działających wpływów cywilizacyjnych pozostawił jego ustrój plemienny nieskazitelnym. Przecież początki cywilizacji włączają już koncepcję tego ustroju w świadomość chłopca samego. Inaczej środowiska epickiego wyobrazić sobie nie można. Jednostka wedle jego praw musi się jeszcze mieścić patryarchalnie w masie. I mieści się istotnie, wiążąc sfery swojego życia wewnętrznego po prostu, bez komplikacji, któreby wymagały komentarza. Masa natomiast musi już nosić zwarte cechy indywidualności. Tej zbiorowej indywidualności, której niezróżniczkowane formy dadzą się pocie tem łatwiej zebrać i tem syntetyczniej przedstawić. A udowodniać chyba nie trzeba, że grube, dopiero co wykłute cechy indywidualności miała w sobie masa chłopstwa, zawisała od przyrody w trybie zajęć, słabo związana z warstwami wyższemi. Zresztą rozstrzygająco działał moment historyczny. Chłop, wyciągnięty z pod pręgierza pańszczyzny, a nie wpakowany jeszcze pod skrzydła towarzystw oświaty—stawał się właśnie, dzięki temu momentowi przełomowemu, materiałem dla epika ważnym.

A dlaczego Pan Balcer ma cierpieć i działać „w Brazylii?“

Egzotyzm polski inne ma źródło, niż u reszty narodów. Syn oschłej, sportom oddanej Anglii, Kipling, opisuje z wyrachowaniem artystycznym swojego Indusa, eksploatuje go, jak plantację literacką. Poetyczny wyrzutek kolonialnej Holandyi, Dekker, ma-

że kał własnego kraju, broniąc głodzonego, obdzieranego z godności ludzkiej Malaja. Przeżyty Europejczyk, Viand, jedzie w kacucie pierwszej klasy nad brzegi dalekich mórz po wrażenia głądkie, jak welin jego książki.

U nas inaczej! Latarnik Sienkiewicza i Balcer Konopnickiej z jednej strony, a Srul Szymańskiego i Aleksander Sieroszewskiego z drugiej—nie dobrowolnie opuszczali kraj. Proroctwo Skargi pędzi ich, jak wichry, to samo, które niegdyś trzęsło węglami Rzeczypospolitej i w proch rzucało największe głowy. „Będziecie nie tylo bez pana krwie swoiey, y bez wybierania iego: ale też bez oyczyzny y Królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczegowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej wazono, będą.“<sup>1)</sup> Oto geneza, o rdzeń przeszłości zaczepiona, zrozumiała dla każdego, kto sięgał do ośrodków naszej produkcji literackiej. Tem zrozumiała, że bliska postulatów piękna, sfermentowanych w epoce romantyki. W tę genezę właśnie zapatrzony, muszę uważać za mało rycerskie twierdzenie Feldmana, jakoby poetka wyrwała chłopca z jego środowiska, bojąc się o swoje obrazy wobec konkurencyj Pana Tadeusza.<sup>2)</sup> Polemikę niemniej wyłącza scholarskie przypuszczenie Gallego, jakoby poetka wedle z góry powziętej metody stwarzała warunki niezwykle dla badanego zjawiska, żeby jego objawy wystąpiły tym czyściej.<sup>3)</sup>

Fakt można mierzyć tylko faktycznymi przyczynami. Oddana służbie publicznej, bystro śledząc sprawy aktualne, nie mogła Konopnicka przeoczyć wielkiego znaczenia emigracji. Opiekując się chłopcem w kraju, przywiązała się do niego tak, że trudno jej było puścić pupila w daleką drogę samego. Więc powędrowała za nim. W tym prostym procesie dopatrywać się chyba nie potrzebujemy „ucieczki przed konkurencją“, jak chce jeden krytyk, lub „metody przyrodniczej“, jak woli drugi.

Stosy ucinkowych artykułów i gorących broszur, na prędce sporządzanych statystyk i policyjnych kronik musiały ciągnąć żywą imaginację, poddawać plan, rozżarzać współczucie. Wykłuwała się wielka, tragiczna myśl, która kiedyś wzlecieć miała wysoko nad karty poematu.

<sup>1)</sup> Skarga: III kaz. o „Niezgodzie domowej“

<sup>2)</sup> Feldman Wilhelm: „Piśmiennictwo polskie“, I, 101.

<sup>3)</sup> Henryk Galle: „Twórczość poetki Maryi Konopnickiej.“ Bibl. Warsz. 1902, III, str. 361.



Ten jeden tysiąc zatonął do morza ...  
 Ten drugi tysiąc polegął od moru ...  
 Ten trzeci tysiąc zaprzepadł w bezdroża ...  
 Ten czwarty padnął kamieniem u boru—  
 Na wielkiej drodze stoi męka boża ...  
 — Czekałże, ziemio-sieroto, wieczoru ...  
 Czekala ziemia ... przyszły do niej posły,  
 — Powiały wichry, garść prochu przyniosły! ...<sup>1)</sup>

Chcąc nie chcąc rozumiemy stosunek między grzmiącym, męskim słowem Skargi, a cichą, kobiecą pieśnią Konopnickiej. I co więcej, rozumieć zaczynamy samo tło emigracyi, w które poetka wplotła wizerunek swojego bohatera. Zresztą związek Balcera z bieżącym życiem polskim, z przesłanek historyi wysnutem, zbyt jest rzeczowy, żeby nastroczał potrzebę dyskusyi. Wiemy, czem były dla naszego chłopca chłodne fale Atlantyku, raz gładkie, jak bity gościniec, to znowu pokazujące zęby, jak wilk. Wiemy, co za elementarna siła pędziła chłopca z błędną twarzą po tej wodnej drodze. Wiemy, jak mu było na odjeździe i dlaczego musiał odjeżdżać. Nie są nam tylko znane jego dalsze losy i te opowiada nam Pan Balcer. Chcę zdać pokrótce sprawę z tego opowiadania, nie pedanterią wiedziony, ale pewny, że taka praca pozwoli tem silniej zredukować wrażenia, z lektury wyniesione i tem ostrzej wytyczyć linie przyszłego sądu. Dlatego, zdając sprawę, wchodzić będę tylko w sytuacje najwalsze, uwzględniać momenty krytyczne, wykruszać ze strof treść najistotniejszą.

W pierwszej pieśni<sup>2)</sup> tysięczna gromada emigrancka puszcza się portu, krzyżem naznaczywszy ściśnięte piersi. Ogłuszoną morzem uspokaja dopiero gwiazda, na której widok z gromady, o ziemię ciśniętej, bucha, jak na komendę, pieśń pobożna. Nocleg wśród stłoczonej pod podkładem masy ludzkiej zdobywa nawet najstateczniejszy między chłopami, Balcer, przy pomocy pięści. Podrzucone co moment głowy chłoną na zgniłej słomie w zepsutem powietrzu sen o polskim polu. O świcie poweselała gromada, łączy się w gadatliwe kupy, żeby sobie nawzajem napędzić animuszu. Lekcewały drogę, praktyk i znawca, Opacz, podrwiwając z mniej opolerowanych towarzyszy. Wątek drwin, niezbyt zręcznie, podejmuje spanoszały Magier, żeby, dmuchając w pęcherz szlacheckich pretensyj, wywołać ostre starcie z chłopem do szpiku kości, Za-

<sup>1)</sup> Bibl. Warsz., 1897, IV, str. 446.

<sup>2)</sup> B. W., 1892, III str. 468—507, IV, str. 442—68.

tratą. Łagodzi obie strony doraźnie anegdota Opacza. Nastrój słuchaczy zamąci przecież rychło wzmianka o Niencach, patentowanych sprawcach biedy chłopskiej. Biedzie zaradzić ma złote runo brazylijskie. Wśród naiwnych dysput centrum rajców, zajęte przyszłym gospodarstwem, rozpatruje jego wymiary w kwadratach fantazyi. Tylko swawolnych dziewuch, prześladowanych się nawzajem kryjomemi miłośkami, nie ciągną egzotyczni kawalerowie w kolorowej skórce. W miarę, jak postępuje droga, spadają akcje wychodźców. Morska droga zaczyna wyłom robić w twardej dotąd kolumnie chłopskiej. Nawet silnego między silnymi, Balcera, dosięga ona. Brudni i głodni, wstrętni sobie samym, rozjuszeni przeciw drugim, mają się chłopci kolejno—wódki, przed którą broni skutecznie pompa okrętowa, walk z innymi nacyami, które kończą się obustronnym guzem, wreszcie kart, do których ciągną fachowe indywidualia. Błędnego rycerza, podskubującego kieszenie na prawo i lewo, chwyta w mściwe ręce zgrany do grosza Przytuła. Zabójstwu przeszkodzi w sam czas świątobliwy Horodziej, Przytule wracając wydarty grosz, gromadę podnosząc mądrą nauką. Tymczasem załoga, podchmielona dzięki hojności kapitana, przy zaimprovizowanej muzyce puszcza się w płasy. Wśród zabawy wszczęta bójka między chłopem a majtkiem byłaby przybrała szersze rozmiary, gdyby nie pośrednictwo burzy do późna trwającej. Ledwie chłopskie fryce ochłoneły po różgach strachu, wybucha razem z nowym dniem łuna płonącego w pobliżu okrętu. Rozbitków, przewiezionych na emigrancki pokład, wspomaga kto groszem, kto pociechą. O własny los zatroskana gromada oczy ledwie zaczepiła o zieloną dekorację wyspy pobliskiej. Pogłoski o morze, szerzone mimo zakazu, ustają dopiero, kiedy Zatrata i Bugaja za zbytnią zapalność zaczęto chłodzić pod kluczem. Niebawem brutalna rewizya wykrywa w chustach macierzyńskich Szcześniakowej zatajonego trupka. Pod hypnozą nieszczęścia skacze chłopska matka za dzieckiem w wodne bezdna. Morze udobruchane niesie już emigranta bez przygód pod równik, którego terytorium cczą żeglarze uroczystą fetą. Humor dopływających zaognia się na widok delfina, niezawodnego zwiastuna pogody. Śmiechem i płaczem, gwizdaniem i modlitwą, czapkami, w górę rzucanemi i wyżej lecącym śpiewem—wita pstra gromada ledwie przeblęsnęła kontury ziemi. Rozważny a ciekawy Balcer lustruje przy pomocy tłumacza port, rozbrajające uwagi roniąc nad flagą brazylijską. Tłum chłopski tymczasem wybiera wśród gwałtownych narad posła, któryby afekta przybyszów wyłożył królowej, pędzłem wyobraźni wymalowanej na brzegu rozumie się razem z koroną, ber-

łem i jabłkiem. Kandydatów jest na szczęście za dużo. Zamieszaniem kieruje po mistrzowsku wychowanek klasztorny Czop — póki nie wyłoni się z najmniej spodziewanej strony samozwańczy poseł w rańtuchu: Kachna z nad Buga. Gorejące uczuciem słowa staruszki pozostaną bez skutku. Nie dosnuje się włókno fantazyi. Zepchniętą w szalupy, a następnie lasem bagnetów otoczoną gromadę wojsko odstawia do baraku portowego.

W drugiej pieśni<sup>1)</sup> wyruszają emigranci w pochód za przewodnikiem Murzynem, kapelującym na bębenku. Po drodze spotykają niedobitków polskich, z zabójczych kopalni w Minnas Goeres wracających, zdziesiątkowanych febrą, trupami znaczących za sobą trop. Mimo tragicznego horoskopu dociera niepewny tabor do Pinhero, gdzie czekać trzeba było w emigranckim schronisku pod strażą polskiego wychodźcy, aż tu złymi wiatrami zagnanego. W rozpróżnioną gromadę zaczyna się wkradać dezorganizacya. Po strunach nie skrzypiec, ale tych dusz napiętych gra Bartek Muzyka, kubek czaru wylewając na opustoszałe, wyczekujące cudu głowy. Horodziej, który jak zwykle prym duchowy trzyma w gromadzie, trzeźwi rozlulanych kazaniem grzmiącym. Równocześnie zjeżdża do emigranckiego domu świeża partya niemiecka. O nieprzychylniej pozycji wzajemnej obu stron zadecydowało pierwsze zetknięcie. Tymczasem na obóz chłopski spada febra, wynalając połowę gromady. Pochowkom asystują z nakrytymi głowami i fajkami w zębach Niemcy. Rozjuszone baby polskie, z czem która miała, rzucają się na heretyków, ustępując z placu bitwy dopiero przed psami strażnika. Po trzechdniowym deszczu odświeżone powietrze uwalnia wykoszoną pół na pół gromadę z pod klucza kwarantanny. Na czele rusza Balcer, za nim otucha, jak biczem, pędzona ława chłopska. Wezwani umyślnie Murzyni klecą trzciniane chałupy, bez fundamentów, belek czy krokwi, liścien poszyte, a obrzucone błotem. Rozpoczyna się gorączkowy, rozpędem mazurskich dusz zaogniony karczunek przy wtórze nadziei, wygrywającej najfantastyczniejsze melodye. Różnicy zdań pomiędzy kolonistami pozwoli się wykluć narada nad urządzeniem przyszłej kolonii. Młodzi, reprezentowani przez Kosa, obcym wpływem kuszeni, chcą luźnego bytu z wytkniętym chciwie interesem osobistym. Starsi, w Horodzieju mający rzeczownika, żądają w imię interesu powszechnego tradycyjnej wsi, któraby demoralizowaną z dnia na dzień gorzej kupę ludzką sprzęgła organizacyjnem ogniwem.

<sup>1)</sup> B. W., 1897, IV, str. 82—104, 293—314, 427—46.

Narady, późno w noc przeciągane, tłumii tęsknota, w jednym kierunku zwracająca dusze, przed chwilą zwaśnione, zmiękle w ciepłe wspólne ognisko. Koniec wieczorynce położy myśl rażna o toporze, który czeka jutrzejszego świtu. Ale spala się świt za świtem — a praca nie postępuje. Wieczyste, na kamień stwardłe pnie drzewne nie puszczają w siebie ostrza, pot tocząc z ciał, pasyę z dusz. Zięba i Zatrata, Sekura i Dudek—wydobywają resztki sił z ramion, klnąc, czy szlochając, wściekając się, czy hamując wściekłość. Osiedli na górze—mimo rzadszego zadrzewienia, cięższą mają pracę ze skalistym gruntem, którego orzący pług nie rozwali, z którego siew zedrą ptak czy wiatr, zgodni w łupiestwie towarzysze. Najciężej przyduszony rozpaczą Przytuła znika, Balcercowi z mieszka cisnąwszy na pożegnanie garść miedzi, okup mszalny za duszę. Po pewnym czasie i architektura murzyńska okazuje się nietrwała. Reszotka dzieci, uszła z pod sierpa moru, zaczyna chorzeć. Rośnie lament bab, rośnie i troska chłopów. Ognisko kowalskie Balcera przyciąga i zestrzela powoli te lamenty i troski. Niespodziane hasło do odwrotu, padłe z ust szewca Dudka, galwanizuje zesztyniałą gromadę. Ale do odwrotu nie zaraz przyszło. Łudzeni wieścią o blizkiej osadzie polskiej, przemysłają chłopci dniami całymi nad owem sąsiedztwem, nerwy naprężając jak struny. Na dobitkę złego dowiadyuje się osadnik, spragniony soch i pługą, wołu i ziarna, że sadzić będzie mógł tylko kukurydzę i fasolę, gracą walcząc z ziemią nieprzystępną. Wrzaskliwe unisono bab i chłopów ucisza uwaga Zięby, próżność krzyku wykazująca. Idąc za radą przemysłnego dyplomaty, postanawiają chłopci posła wyprawić do królowej angielskiej, któryby zdał liczbę z cierpień gromady, ścianami kniei ściśniętej. Przerywa tok obrad wiadomość o śmierci samobójczej Przytuły. Powieszzonego odejmują chłopci od drzewa, w rozpachy głuchej moszcząc mu dół. Przygnębienie wracającej do domów gromady rozprasza celny strzał Żuka, w ślepie nadybanego tygrysa wymierzony. Towarzystwo zasiada do gawędy, ze względu na świeżo obdzieraną skórę, koło myśliwstwa ją okręcając. Zagajny, mistrz do broni i łgarstwa, rzuca pomnikowy obraz kłusownictwa. Koźbiał, uwikłany wspomnieniem w inne, droższe obrazy, zachwala nad wszystko wodne łowy, wobec czego wszczyna się spór, towarzystwo dzielący na dwa obozy, a zagłuszony dopiero historią strzelby Żuka. Wichura, wywołana śmiercią wisielca, tłumii rozmowy i zamyka serca kluczem strachu. Kiedy rezygnacya do reszty podmulila dusze, zjeżdżają urzędnicy pańszczyznę rozpisać. Następuje gwałtowna eksplozja, której skutki doraźne odwrócić umiał swoim

taktem Balcer. W grzmiących siłą peryodach tłómaczy mówca posłom krzywdy, lecące na głowy ludu, oszukiwanego całymi mieszkańcami, wyzutego z dóbr wszelkich, zaprzedanego jak bydłę co zręczniejszemi rękami w niewolę ciała i ducha. Kończy scenę sromotny odwrót posłów, wygrzmoconych pięściami bab bez względu na nietykalność poselską i co gorsza obrabowanych z artykułów żywności i narzędzi rolniczych, jakie ze sobą przywieźli. Drzwi do powrotu otwierają się przed dobrowolnymi skazańcami same.

W pieśni trzeciej<sup>1)</sup> stopniała gromada, zdana na własną przemyślność, obiera drogę przez bory. Po trzydniowem państwie, przygód, potu i lęku pełnem, dowleka się do popasu, wrącego niedawno życiem. Sępy, pierzchłe wobec intruzów, odkrywają doskonale oczyszczony z ciała skielec oraz krzyż z dwudziestu nacięciami i polskim, lakonicznie straszny napisem. Z pękających od skwaru kup ziemi, które miały dać wieczny odpoczynek ciałom, wyłażą wzorzyste dekoracje kości, szczątki kapot i rańtuchów. Bez pacierza, któryby na bluźnierstwo wyglądał wobec potwornej sytuacji, wznoszą chłopci kopiec nad resztkami sępiej biesiady, a na krzyżu znaczy Balcer dwudziesty pierwszy zacios. Żeby złagodzić wrażenie, jakie padło we wszystkie serca ciężarem kamienia, Horodziej przyzywa Chrystusa na przewodnika w dalszej drodze.

Z kolei cztery dni maszerują o pustych żołądkach wskrós niezbrodzonego, tu i owdzie porytego kretowiskami murzyńskimi, stepu. Natknąwszy się na stado bawole, Zagajny daje upust życiu strzeleckiej i hukiem ściąga Murzynów, pilnujących stada. W mig przychodzi do walki, na szczęście uwieńczonej obustronnem porozumieniem. Bawół, chwycony przez Murzynów na sznur, a potem na zaimprovizowanej ze trzciny kuchni przyprawiony, dostaje się za paczkę bakunu chłopom, którzy zaraz po uczcie rzucili się do snu. Z wioski murzyńskiej wynosi Zatrata na plecach malca polskiego, osieroconego przez przeciągającą temi stronami partyę wychodzącą. Tymczasem step puścicje, twardnie i piętrzy się. Skaliste flizy poczynają pielgrzymowi palić stopę ogniem. Resztki żywności wychodzą, ciała słabną. Niedawno jeszcze pełen nadziei chłop truchleje, chwytany ze wszystkich stron w mątnię gór. Puste juki ciężą zagłodzonym skieletom, skórą obciążniętym, popychanym sprężyną rozpaczy naprzód. Wnet zaczyna się i śmiertelna kośba. Dał głowę sierota, dźwigany przez Zatrata,

<sup>1)</sup> B. W. 1900. IV str. 141—73, 336—54. 1901. IV str. 107—127.

przybijając chłopą do ziemi ciężarem swego wytłętego ciała. I śmierć zawiera za chłopem chytrze wrota, któremi wchodził. Zamknięty po pięciodniowej wędrówce w skalistym lochu, którego okienkiem było niebo, a kluczem słońce, popada w apatyę głuchą. Próżno Balcer głosem, wymłóconym z wiary, jak ze ziarna, radzi iść jeszcze do rana. Wrażym komentarzem do tej rady jest zmetły krwawo mózg Szczęśniaka, spadającego równocześnie z prostopadle wzniesionego zbocza. Jak na komendę wali się chłopski tabor z nóg, gdzie kto stał, wśród okropnych bluźnierstw męskich i okropniejszych skarg kobiecych. Nieruchomością ległej masy przyciągnięci, zaczynają w powietrzu krążyć skrzydlaci zbóje, grożąc mieczem dzioba czy hakiem pazura. Ostatni zapas energii wydobywa z niemej, w mogiłę przemienionej gromady ludzkiej — Marychna Dudkowa. Mężowi przekleństwo plunąwszy w omdlałe oczy, rzuca się przed siebie chłopska bohaterka z dzieckiem wzniesionem wysoko, niby z chorągwią macierzyństwa. A za nią porywają się kobiece i męskie zastępy, płomieniem jej słów krótkich owiane, wichrem łez wstrząśnięte, z głębi własnych cierpień, jak z dołów mogiłnych wstające. Po trzydniowym, pełnym heroizmu pochodzie—zwolniała okolica, uciekł nagle widnokrąg, puściły się gęsto wody. Głowy, zamroczone nagłym ciosem szczęścia, zaniosły się od tęsknoty. Skrócona perspektywa za rzeką, do której przebierano się właśnie, postawiła chałupę, tę cudowną metę, do której czołgają się w żółwiem tempie nogi i z ptasią chyżością lecą serca. Ale chciwa rzeka zażądała przewoźnego. Cichutko, na ramionach Balcera wsparty, kończy rachunki ze światem Horodziej. W wizyi godnej Mojżesza, zwróconej miłującemi oczami ku tej ziemi, także obiecanej, ku której jego pielgrzymi kostur prowadził w pył codziennych dróg zapadłe dusze, błogostawi dalszemu pochodowi. Ciało, które wiek prawie nosiło gołębiego ducha, złożono pod kamieniem. Osierocona gromada ruszyła w dół rzeki skłęśłym, drzewiastym, zwierza, ptactwa i ryb pełnym krajem. Ale zamagnetyzowane nostalgią dusze nie przepuszczają w siebie promienia piękna z zewnątrz. Uwagę pątników zwróci co najwyżej napotkana z prowiantami banda murzyńska albo niebezpieczne dla życia wojsko mrówek. Miesięczny marsz wysysa wszelki interes z mózgow poza tym jednym, który wéwiczyl kroki w automatyczny, zawsze przed siebie podany ruch. W każdorazowym, z pojedynczych stąpnięć złożonym wysiłku, roztopia się cel drogi. Walka z przestrzenią chłonie z niezdrową szybkością resztki energii duchowej gromady. Czad mistyczny wali do głów, kręcących się w takt halucynacyi. Niebezpieczeństwo tej subtelnej,

z widzeń oka mającej sieci pierwszy ocenił przy pomocy swego praktycznego instynktu Balcer. Jak z sieci wydobędzie towarzyszy, tego nam już nie powie poemat.

Układ „Balcera“ przypomina formą potężny tryptyk. Pieśń pierwsza „Na morzu“ i trzecia „Powrót“—to boczne skrzydła, anabazę i katabazę armii chłopskiej przedstawiające. Pieśń druga, bez tytułu, najobszerniejsza, zamyka właściwy obraz osadnictwa.

Układem wyróżnia się pierwsza pieśń dodatnio od następnych. Porządna, każdy szczegół rejestrująca dyspozycya, przed puszczeniem pióra w ruch rzucona—dowodzi sumiennego planu epickiego. Pokażna suma zdarzeń, nie schodzących z ócz, zapewnia przewagę żywiołowi przedmiotowemu. W pomysle na wielką skalę zakrojone, w wykonaniu nie mniej świetne obrazy („burza,“ „pożar okrętu,“ „połów rekina“) rozszerzają epicką wartość pieśni. A i przewlekła dydaktyka, psująca poszczególne ustępy („opis okrętu,“ „nacye na okręcie,“ „port Santos“), źródło swe ma w panującym nastroju epickim. Znajomość życia okrętowego i morza nasycza realistyczną prawdą opisy, pod działaniem zniszczeń je wydobywając. Co więcej pokład okrętu zestrzela luźne chłopskie kupy w całość, dającą się ująć jednym rzutem oka. Otucha wreszcie gromady emigranckiej, nieskażona dotąd zawodem, trzyma w zwykłej skali życie wewnętrzne bohaterów, nie pozwalając zbyt emancypować się żywiołowi podmiotowemu. Przecież i słabe strony rzucają się odrazu w oczy. Akcyę, ściślej pojętą, paraliżuje morze, na bezczynność przymusową skazując emigrantów. Ekspozycyi, obejmującej zawiazki choćby przyszłej akcyi, brak. Ogólnej sprawy emigracyi nie ześrodkowała poetka w osobistych sprawach bohaterów. Codziennych, zręcznie zaobserwowanych drobiazgów nie nasnuła na wrzeczono ciągłości. I dlatego strofy postępują, bohaterowie zmieniają się na scenie okrętowej, a akcyi jednolitej, z tła emigracyi wyrastającej, a w każdy opiewany wypadek logicznie wprowadzanej—nie widać.

Złe pogarsza się w pieśni drugiej. Brak tytułu i dyspozycyi nad wierszami dowodzi rozerwania uwagi twórczej. Rozsypani luźnie bohaterowie, straciwszy koncentracyjny grunt okrętu z pod nóg wyrykają się z pod jednorazowej, zbiorowej obserwacyi. W braku znajomości amerykańskiej przyrody rzuca poetka na ekran fabuły obrazy fikcyjne. A magiczne światło intuicyi musiało psuć pełne, w słońcu wykwijające się zwykle wrażenie, jakie powinien zostawiać epik. Że zaś czczym, mimo fantastycznej przyprawy, obrazom amerykańskim przeciwstawia poetka co krok swojskie, pełne realistycznej teźyżny—stad powstaje pewna wadli-

wość psychologiczna: obraz, bezpośrednio zmysłami dotykany, uderza konwencyjonalnem kłamstwem obraz zaś telepatycznie odczuwany, przybliżony fibrami tęsknoty, uderza przebogatą, wszechstronną prawdą. Zawód po zawodzie wreszcie, padając w dusze bohaterów. rwie akcyę na strzępy i wyzwała tajony w głębi wier-sza element podmiotowy, jakościowo i ilościowo wzrosły do niebezpiecznych rozmiarów. Niedawną hipertrofię epizmu, zawikłanego w suche stronnice dydaktyki, równoważy poetka hipertrofią liryzmu. coraz więcej wybuchowych strof rzucając z pod pióra. Brak akcyi, dotąd zrozumiały na tle morskiej podróży, teraz uderza tembardziej. Wkrada się fragmentaryzm, bez logicznych ogniwi składający ustępy, kropkami zastępujący te ogniwa.

Gorzej jeszcze dzieje się w pieśni trzeciej. Wyszuszywszy duszę w męce codziennej, w mistyczną gnuśność zagrzeźły, chłop wyzuł się z potencji do reszty. „Działać“ on już — w rozumieniu epickiem — nie będzie. Nie pomoże ciągła zmiana miejsc, wśród których kroczy emigrancki tabor. Zanknięty w sobie na siedem spustów, chłop okiem nie rzuci na otaczający go świat. Więc i wyobraźnia nowych obrazów nie rozwiesza przed czytelnikiem. Poetka parafrazować będzie ze zmianami w stylizacji dawne. Na domiar złego pauzy chronologiczne między pojedynczymi ustępami, wydłużane stopniowo, kropkami coraz gęściej znaczone, czynią z pieśni pamiętnik, pełen notat, w różnych czasach powstałych i wskutek tego wewnątrz nie spojonych należycie.

Lepiej powiodło się poetce z galerją kreacyj ludzkich. Postawiony na pierwszym planie Balcer przedstawia obok słabej domieszki charakterystycznej typ chłopski, szeroko pojęty. Wąs nąkrecony i naciągnięta na ucho magierka, fajka, tkwiąca w zębach i spotężniałe od młota ręce, za pas wetknięte, nogi wreszcie, obute wysoko, a szeroko rozstawione w kroku—oto podobizna bohatera zewnętrzna, twardo wyrzezana w kartach poematu. Uzupełniają ją rysy głębsze, które czytelnik z akcyi samej wydobędzie.

Zdrowie, hartowane codzien u kowadła, pozwala Balcerowi znieść bizuny pątniczego głodu, czy dziesiątkującej febry, syzyfowego karczunku, czy beznadziejnej włóczęgi. I u wychowanka kuźni, namiętności, prasą konwenansu nie spłaszczone, wybuchają w bitkach, gęsto staczanych, i płonących oracyach, w gwałtownej gestykulacji i eksplozywnym stylu. Hamuje namiętności pierwszy, ledwie sformowany popęd kulturalny, zupełnie zrozumiały u bywalca, który w swoich wspomnieniach zawadza ustawicznie o Żuków i Częstochowę, Warszawę i Kraków. Popęd ten od kultu okrągłej-szych form w życiu codziennem prowadzi do walki z barbarzyń-



skiem i formami w życiu gromadzkim, od wyostrzonego poczucia godności osobistej do solidarnych ustępstw na rzecz większości, od wycieczek przeciw owczej, laską warcholstwa kierowanej dezorganizacji do apoteozy konserwatywnego porządku. Pod łagodzącym wpływem kultury zaczyna się utleniać w psychice Balcera uczuciowość, zgodna z fizycznym podkładem: więc na ogół szorstka, momentalnie molowa aż do tkliwości, z ziemią związana równie silnie, jak z człowiekiem. Uczuciowość ta o materialnym punkcie wytycznym, chyba bardzo silnie targnięta z zewnątrz, przekracza skalę średnią, dającą się wywieść z elementarnych pierwiastków typu. W tej skali zresztą utrzymuje ją rozsądek, wyrabiany z dnia na dzień, bez krytyki sumujący swe zdobycze, lekturą Biblii i sennika ugruntowany. Dziwić się nierównej wartości zbiorów, jakie zawiera kowalska filozofia Balcera, trudno. Obok komicznych, brakiem książkowego wyszkolenia tłómaczonych chyba, znajdzie się w niej cenne, pełne głębi życiowej maksymy, pod polepą wiejską poważnego obserwatora zdradzające. Jedne i drugie wiąże umysł o trzeźwej konstrukcji, operujący samodzielnie, w działaniach swoich świeży, w konkluzjach szybki. Dachem, który nakrywa psychiczną budowę Balcera, jest katolicyzm markowany przy każdej sposobności zamaszystym znakiem krzyża, głośnie wzywaniem imienia Maryi czy Chrystusa, tęsknotą wreszcie za księżą ofiarą, czy brackim pogrzebem. Na grubą nić wiary nawleka Balcer różaniec katechizmowych prawd i fantastycznych zabobonów, zdrowych praktyk i mętnych widzeń, poddańczych pacierzy i gromkich bluźnierstw. I wiara jego, jaskrawa, ale niemniej szczerze skoncipowana, mimo tonu odpustowej egzaltacji, bije potęgą wewnętrzną, która udziela się całej postaci człowieka.

A postać tak pojęta musiała zewrzeć pełnię swoich atrybutów w figurowy obwód typu. Tego ludowego typu, w którym zdrowie tryska namiętnościami, uczy rozsądku, zakwita uczuciami, przedzie kulturę, objawia wiarę.

Do odegrania pierwszorzędnej w poemacie roli dopomógł Balcerowi proporcjonalny zestrój władz duszy i ciała. Zaszkoździć mu zaś nie mogła redakcja tych apostrof, w które wikła go często, za często poetka. Bo żelaznej psychy kowala, nie trzymają się i tak deklamacyjne opiłki, jakie do niej doczepiono. Świetny, dzięki swojej absolutnej przeciętności, dźwiga przedstawicielstwo typu wysoko, z każdą strofą rosnąc do rozmiarów odpowiedzialnych, jakie w eposie przypadają zwykle w udziale bohaterowi.

Bohaterem co prawda jest Balcer o tyle chyba, że dzieje kampanii wychodźczej opowiada i sam wśród ciężkich terminów

brazylijskich najczęściej przewija się przed naszymi oczami. Sprawa emigracji za szerokim kołem obejmuje ludzi, którzy wśród niej występują, nie zgniata ich, nie uderza jednym o drugiego, elektryczności osobistej nie wywiązuje. Stąd luźna rola każdego z nich: idealny stosunek do sprawy wychodźczej, a brak bezpośredniej, konkretnie toczącej się akcji, choćby o drobiazgi zaplątanej, ale zeszczeplonej zawsze w postaci naczelnej bohatera. Sieć sytuacyjna splata Balcera wprawdzie z resztą kompanii chłopskiej, ale nie tak, żeby do jego osoby biegly nici wszystkich zdarzeń, lub żeby jakakolwiek jego czynność zadzierzgnęła węzły intrygi, dotyczącej wszystkich. I dlatego Balcer w poemacie, od niego nazwanym, nie zajmuje stanowiska klasycznego bohatera, stanowiska, wyśrodkowanego planem fabuły, kondygnacjami epizodów, dźwiganego ciągle.

Po za Balcerem stoją niemniej wypukłe postacie drugoplanowe, w których zwarte światło typu rozszczepiło się na ostre promienie indywidualności. Galerya zindywidualizowanych figur, krótszemi pociągnięciami pióra kreślonych, stanowi naturalne przejście od osoby bohatera do masy, której walne właściwości ma uosabiać.

Przedstawicielem mistyki chłopskiej, tej, która łądzi życie według wyższego trybu, jest Horodziej. Pół ślepy z wielkiej starości, o mlecznym, polatującym włosie, o brwiach sokolich a głosie słabym, pochylony, w siermiędze płóciennej, bosi, drepcze z rękami wyciągniętymi przed siebie drobnym, lecz szparkim krokiem, o berlicę oparty. Mistrz rzeczy niebieskich z miesianych pół życia, bardzo długiego życia, zebrał podniosłe plony wiedzy. Wieczność zrozumiał, zatapiając się niegdyś w Wągrowie w majestat boży, na tle żywiołów wymalowany pędzlem. Stąd też przydziela każdemu żywiołowi osobnego patrona, zgodnie z wyobrażeniami ludowemi, ziemi Chrystusa, wodzie Jana, ogniewi Michała, powietrzu Eliasza. Przez święte życie zaostrzając w sobie wzrok zaskórny—widzi przed burzą morską sieci Piotra-Rybaka, zapuszczane na dno po potopione trupki chłopskie, a o zachodzie słońca odgaduje unoszącą się krwawo nad wodami głowę Jana Chrzciciela. Przeświadczony, że Bóg posyła człowieka w wir życia i zwołuje go kiedy trzeba ze stanowiska, przywiązuje Horodziej osobliwą wagę do aktu urodzin i śmierci. Chrzcząc sam w braku księdza chłopskie niemowlę lub grzebiąc trupa Przytuły, wlewa w sztywną formułę kościelną potężne, z własnej wytłalej piersi zaczerpnięte tchnienie mistycyzmu. Więc w pierwszym razie wzbity ponad poziom duchowy gromady od nazwy okrętu „Krzyż”—

„Krzyż-tofem“ zowie dziecię. W drugim razie przecina bronią, ostrzejszą od wywodów katechizmu, wątpliwości zabobonnej zgrai, w której oczach samobójca traci prawo do pochowku. Wiara skuteczniej, niż berlica podpierany, utrzymuje Horodziej, że Bóg wywiódł czerń emigrancką z borów, więc i powiedzie ją przez stopy. W każdym fakcie dokonanym szukając bożej sprężyny, nie radzi odbierać Murzynom polskiego sieroty. Dokoła martwej przyrody doczuwając się kopców bożych, rzuca u progu puszczy chrześcijańskie pozdrowienie. W zabójstwie widząc naruszenie władzy bożej, wróży zabójcy, że go pies do chaty własnej matki nie puści. Emocya religijna, przed samą śmiercią do ostatecznej ekspansyi doprowadziwszy nerwy, rzuca mu w uszy dźwięk dzwonów częstochowskich, rezurekcyę odzwaniających — więc ekstrakt najświętszego miejsca i chwili najświętszej.

Ale mistyka Horodzieja nie spała sił ducha bezużytecznie. Byстрыm wzrokiem ogarniając położenie gromady, wziętej w krzyżowy ogień własnych grzechów i z zewnątrz padających ciosów — jak umie, radzi swoim. Deprawowaną karciarstwem na okręcie, hulanką w początkach drogi lądowej, strachem w czasie zarazy — gromadę, podnosi grzmiącym słowem, jako antidotum wskazując zawsze, głęboki znawca natury ludzkiej, pracę w jakiegokolwiek formie.

Skarbnik tradycyi wiejskiej, w polskości klucz mającej, walczy z przejętym od kolonisty niemieckiego prądem, przeciw odwiecznej organizacyi gminnej wymierzonym. Poczucie zdrowej solidarności dzielnicowej tętni w jego słowach, kiedy domaga się mogiły dla swojaka-wisielca. A koło solidarności rozszerza się po za obręb dzielnicy, gdy idzie o dobro całej polskiej gromady. Zegnając chłopów w swojej przedśmiertnej, jak ewangelia prostej oracyi, przekazuje im w błogosławieństwa pełnym testamencie, drogę do chat ojczystych.

Ta obosieczna działalność, duszę i ciało mająca na względzie, zdobywa Horodziejowi mir w gromadzie. Jego cichemu głosowi „światło zamiast szpiku w kościach“ rozlane daje „huczący dźwięk trąby.“ Wprawdzie gromada burzy się przeciw niemu często — Opacz drwi sobie w duszy z jego morałów, Czop z zazdrości nie chce go wybrać posłem do królowej, Kos opiera się jego dążeniu do stworzenia gminy, a w podrażnieniu cała młodź odsyła go pod kościół. Przecież Przytułę ratuje od zabójstwa i ocala mu mienie przegrane. Kosa karci raz za jego separatyzm, raz za nieprzychylnie stanowisko wobec samobójców, zawsze z ogólnym aplauzem. Pokornie broni się przed jego oskarżeniem Ostańczuk, na

pośla proponuje go Zagajny, ze czcią wspomina Balcer, mądrość jego uwielbia Zatrata. Kobiety do łez wzrusza swojemi przemówieniami. Całą gromadę nareszcie w złych terminach „umie skrzepić.“

Od szlachetnego, idealnie portretowanego Horodzieja, jaskrawo będzie odbijał Opacz, najgorsze instynkty chłopca w sobie skupiający a z wydatnym realizmem profilowany. W jego dużej głowie, o krętych włosach, snują się równie kręte myśli. Szynel wojskowy, na kamizelę przez ramiona przerzucony, wskazuje dawnego żołnierza. Ręce przyklepione stałe do boków, mówią o bywałstwie dużem, które powłokę skromności zdziera z człowieka. Cygaro wreszcie, z ust nie wychodzące, i ślina, co chwila na boki pogardliwie wyrzucana, to oznaki obcego, każącego swojską kulturę, wpływu.

Chłopami pogardza Opacz, nie kryjąc tego, w oczy rzucając im ich głupotę. Zyskiem powodowany, wiąże się przeciw ich kiepszeniom z obcym łykiem, ze względów solidarności swojackiej nie wiele sobie robiąc. Próźniak—jak ognia unika wszelkiej uczciwej roboty, ale kiedy nadarzy się sposobność, spłucze do nitki wciągniętych w potrzask towarzyszy, nad którymi ma przewagę umysłową. Krzykacz jarnarczy—imponuje łatwowiernym słuchaczom błyskotliwą anegdotą, łatwowierniejszym słuchaczkom kłamliwym nonsensem. Niedowiarek, niezdolny siwego włosa uszanować, drwi po cichu z nauk Horodzieja. Tchórz, większości powolny, nie wyraża kpini głośno, gdy po stronie Horodzieja widzi sympatyę masy. Wirtuoz w kolejnem ograbianiu towarzyszy z maestryą zażywa najgrubszych strun duszy chłopskiej, formą pożyczki osłaniając zawsze grabież. Żarłok i pijak—w czasie zarazy narzuca się sam kuchni emigranckiej na opiekuna i z tej opieki ciągnie nieuczciwe zyski. Samolubny filut, wysuszony własnem użyciem, z każdej przeprawy zdolny wyjść obronną ręką, raz drwi z Bugaja i Zatraty, wpakowanych za rebelię do kozy, to znów radzi w rozpacz popadłym chłopom wieszać się gromadnie.

Dokładnością rysunku zalecają się z kolei postacie Rocha Zatraty i Łucia Ostańczuka.

Pierwszy, rzutki impetyk, wnosi swój nieokiełznany temperament w każdą ruchliwą sytuację. On to na okrzęciu wszczynając rebelię i on w puszczy podburza gromadę przeciw komisji, przybyłej z wymiarem pańszczyzny. Kameleonowa jego natura łatwo daje dostęp optymizmowi (popuszcza popręgi wśród świetnych projektów na przyszłość), ale równie łatwo zachodzi śniedzią zwątpienia (wyzywa śmierć w labiryncie górskim). Pierw-

sze wrażenie gra w jego układzie wewnętrznym rolę guzika elektrycznego. W radości pada Ziębie na szyję i każe się bić za grzeszną myśl o samobójstwie — w rozpacz rzuca się jak oszalały w bory, skąd dochodzi wiadomość o krakowskiej osadzie. A z krewką inicjatywą łączy się w jego postępowaniu brak wytrwałości. Dziś przerywa rozmiękczone ciało i duszę wieczorynkę, pomny na ranną pracę, jutro rzuci tę samą pracę, klątwami nie mogąc przyspieszyć jej chyżości.

Naprzeciw Zatrąty ustawiła poetka nie gorzej wykonanego Łucia Ostańczuka, uosobienie flegmy chłopskiej. Mruk, z fajką nie rozstający się nigdy, lakonizm swój doprowadza najdalej w czasie zarazy w scenie z Balcerem, który go bierze za nieboszczyka. Pokorniś, który nie skrzyżował z nikim swoich interesów, przyciśnięty febrą zabawnie tłómaczy swoją niewinność Horodziejowi, chłopom wytykającemu upadek na duchu. Samotnik, ze zwierzęciem zdolny prędzej pokumać się, niż z człowiekiem, kleci swoją sadybę zdala od gromady, na komorne sobie biorąc oswojonego żółwia. Rozkochany w swojej poleskiej przeszłości, urządza tę kurną sadybę według odległego modelu, nowe zajęcia wysnuwając z dawnego trybu życia, smotę pędząc w bajdaku, łapcie płotąc, łowiąc ryby.

I dalej ciągną się w perspektywicznym pomniejszeniu egzemplarze ludzkie, w pary zbierane, odskakujące od siebie kontrastem jaskrawych dusz.

Więc Sekura, siłacz wioskowy, wytrwałem ciałem pora się zwycięsko z febrą, wytrwałą duszą odpiera równie zwycięzko rozpacz. A obok niego kruchy, do reszty rozbity tęsknotą Przytuła — na okręcie zgrywa się do szeląga w karty, w puszczy, porzuciwszy karczunek, na drzewie, któremu nie mógł podołać, wiesza nieszczęśliwe ciało.

Podobnie stary i powolny filozof — Maciek, na stałej linii czekania rozprawiający, odbija od młodego, rzeźkiego muzykanta — Bartka, który swoim cudownym snykiem w ruch puszcza omdlałe nogi i serca.

Podobnie wreszcie pogodny Koźbiał, obrońca mazurskich piaszczów, uzupełnia się ze smętnym Hnatem, piewca ukraińskiego stepu.

I znowu idą grupy parzyste, według coraz innych podobieństw łączone.

Lasem przeszły Żuk, dziedzic kurpiowskiego, sznurkami związanego samopału, łączy głos z Zagajnym, rutynowanym kłusownikiem, którego palec zrósł się z cynglem, a język ze łgarstwem.

Miękki z natury Dudek, rozpaczą czy energią zapalający się zależnie od tego, czy rozpacz lub energię widzi w oczach żony, na towarzysza także w moralnie słabszym od żony Szcześniaku, którego strąca wdowieństwo w otchłań wiecznej żałoby.

Typ nakoniec chłopsko-szlacheckich mięszańców, w pieniactwie topiących resztki sił, rozdwoił się pod piórem poetki na postacie Zdżary, napuszonego śmiesznie, dalekiego od stosunków z resztą gromady i Magiera, który tej reszcie błyska co chwila w oczy swoim zaściankowym klejnotem.

Zamykają galeryę luzem rzucane, jedną, dwu liniami określone indywidualia, charakterystyczne same dla siebie. Prym między nimi trzyma były braciszek klasztorny Czop, który dzięki swojemu liberalnemu nastrojowi wyrasta na wodza każdej opozycji, kwiecistą elokwencyą podbijając gromadę. Niemniej pociąga do połowy skamieniały Proskurał, wyprostowany po sapersku, ze śpiewką biwakową na ustach i widmem wielkiego cesarza w oczach. Prawdą uderza Kos, ciasny katolik, dewocyjnie zgorzszony samobójstwem kamrata, rzecznik luźnej kolonizacji, którego dusza nie sięga za sąsiedzką miedzę, w sądach zależny od drugich, te sądy zwijający w kółko komunału. Utkwią czytelnikowi w pamięci, mimo swoich epizodycznych ról, zarówno nieprzyjaciel dworu Lis, dziedzicznym pociąganiem do pańskiej własności obciążony, jak i naiwny światowiec Łuka, apelujący do katolickich uczuć królowej angielskiej. Od czasu do czasu zwraca ku sobie interes Bugaj, rebeliant okrętowy, pełen uznania dla szlacheckiej wyższości Magiera, ziemię amerykańską uroczyście przeklinający. Równie zajmuje Bandys, chłop dbały o decorum, skoro pierwszy rzuca plan przedstawicielstwa wobec królowej i wpływowy, skoro za jego namową obiera gromada drogę przez lasy. Pominąć w tej galeryi nie można dyplomaty Zięby, w najdramatyczniejszej chwili refleksyą przecinającego chłopskie lamentsy. Ani humorysty Świerszcza, który podrwiwa z Mazurów z szowinizmem powiatowym. Uwagę więzi nawet najbledszy ze wszystkich, bo czysto dekoracyjnie pojęty Stach, konwencyonalny parobek, o honor swojej dziewczki łamiący żebra majtkowi, witający ład czapką w górę podrzuconą i przewesołą pieśnią.

Z niedorostków wprowadza poetka w akcję podstępnie zabitego Kowalczyka Jaśka i znalezionej między Murzynami sierotę Jantosia, którego później śmierć zdjęła z pleców Zatrady.

Zaokrąglają personel męzki w poemacie Sołoda i Ług, Srokacz i Wójcik, Sowa i Tatar, Karbownik i Harmata, figuranci, hojnie znaczeni nazwiskami, po homerycku mający przenosić sło-

wo, gest, czyn głównego bohatera na fikcyjne, zρέcznie wydmuchiwane z wyobraźni masy.

Galerya kobieca mieści zaledwie trzy postacie, zakrojone szerzej, choć co prawda nie rozwinięte w akcji odpowiednio.

Zbyt rzadko wyprowadza poetka z epizodycznego kąta starszkę z nad Buga, żeńskie pendent do patriarchy Horodzieja, przedstawicielkę duchowych interesów gromady, patronkę ginących na febrę, śpiewaczkę ponurą losów ludu, na obce wody i ziemie rzuconego.

W jednej przydługiej sytuacji wymalowana Hanka Szczęśniakowa wnosi do poematu nerwy napinającą tragedię uczuć macierzyńskich. Wyjątkowe położenie z równie wyjątkowym wyjściem nie pozwoliły poetce utrzymać tej figury w tonie spokojnym. Słodka rodzicielka zbyt silnie wygięła ranę epopoi, żeby przez to ucierpieć nie miał psychologiczny krój jej samej.

Energiczny rysunek natomiast podniósł Marychnę Dudkową do ideału żony-matki, w chwili ostatecznego rozbitcia wodze duchowe gromady oddając jej w ręce. Więc z opuszczonym zagonem skuta tęsknotą, duszą pod wpływem wiary w pęk aktów strzelistych rozszczepioną świeci chłopskiej karawanie w ciemnościach dróg, ku chacie wiodących.

Obok mężatek występują dwie, zlekka zaznaczone, sylwety dziewczęce: prześladowana Stachem, a niebezpieczna dla ócz męskich Zośka — i swatana Balcerowi Jelenka, pod ostrzem zarazy padająca.

Zamykają listę parzona w język każdą nowiną Bartkowa i do łez wruszająca się wspomnieniem sprzedanej krowy Bugajowa.

Po za temi wszystkimi dopiero postaciami stoi w głębi obrazu tłum, gigant rolny, w ciągu dziedzicznej walki z łanem wykuwający swoje muskuły, zmysłami zaczepony o fenomeny przyrody, nie zapędzony biczem cywilizacyi do ciasnych uczelni. Punktem wyjścia dla poetki, malującej ten tłum, musiał być jego temperament, mało złożony w objawach, nieświadomie roniący energię, wylepiony krwią, pod której naciskiem prężą się żyły i kipią dusze.

Temperament ten najgwałtowniej ujawniają epizody, brać chłopską wiodące do konfliktu z obcymi: więc w pierwszej pieśni krwawe stanowisko wobec załogi okrętowej, w drugiej odprawa posłów komisarzkich, w trzeciej chwacka bitwa z Murzynami. Niemniej przecież znamienne są epizody, gromadę między sobą ukazujące: więc w pierwszej pieśni wybór posła, w drugiej narada nad urządzeniem kolonii, w trzeciej śmiertelny popas górski.

Jedne i drugie wykazują w składzie psychofizycznym tłumy przewagę cech niższorzędnych. Stąd życie tego tłumy, nieświadomie skotłowane wewnątrz, wystrzela co moment czynnością zewnętrzną, wydaje plastycznie tajemnice uczuć, krzyżuje bezzasadnie opinie, podrażnia pięści, w ruch wprawia języki, ogłusza logikę wrzaskiem radosnym, czy rozpaczliwym lamentem, w jaskrawy taniec splata pogubione indywidua.

Za cechę, skupiającą tych wielosiecznych, trudnych do pochwycenia objawów, z których każdy pod działaniem obserwacji rozsypuje się na tysiące drobin — uważać należy wrażliwość powierzchniową. W słomianej naturze chłopca nie trwa długo. Każdy jej ogień ma znaczenie okolicznościowe.

Podniecona kłótnią do furii, gromada wybucha śmiechem, kiedy jej kto rzuci w ucho zręczną dykteryjkę. Z tanecznych, muzyką wyginanych hulaszczko podrygów, przechodzi do pozycji bojowej wobec nagłego niebezpieczeństwa.

Określić taką naturę stałym, skupiającym w sobie duszę raz na zawsze epitetem—niepodobna.

Dźwięczący granitem wał górski każe zuchwałym przed chwilą wędrowcom wołać śmierci. Zielenią rozśmiana dolina wydobędzie z omdlałych dopiero co piersi okrzyki na cześć życia.

Tak bezwzględnie czarny pesymista przerabia się w momencie w niebezpiecznie różowego optymistę.

Nawet pracy fizycznej tych potężnych, newrozami nietkniętych organizmów, brak maszynowej, w regulamin przeszłej jednolitości. Zapamiętany targnięci, z pianą na ustach i krwią na rękach ryją siekierami krążanki w wiecznym mroku puszczy. Obezwładnieni apatją rzucają siekiery, nie oglądając się na dzieło zwisłych martwo rąk.

Działan własnej jaźni nie wywiódł ten tłum dotąd z domu niewoli i z pośród funkcji świata otaczającego. Całe swoje bogactwo unysłowe z mennicy tradycji czerpiąc, nie pozwala na podrabianie wytartej w wiekowym obiegu monety. Więc przesąd, o autorytet ambony oparty, po swojemu komentuje porządek świata, a ostro skarcony nowator chowa głowę ze wstydem pod kaptur. Muzealny poziom wyobrażeń tem znamieniej prezentuje tłum, wtłoczony w obce sobie sytuacje, łupiony przez przygodnych frantów, hałaśliwymi maksymami kryjący własną ignorancję. Dopiero przyciśnięty grozą położenia, chłop zaczyna koło siebie szukać instynktownie jednorazowego trybuna, którego racye wciela we własną głowę, perory chóralnie aprobuje. Wpływ tych racyj i pe-



ror wietrzeje, co prawda, rychło z głów, zawsze niespodzianymi bodźcami poruszanych.

Od ciemnoty głów odbija tem sympatyczniej jasność serc. Przedewszystkiem rozpałała je wiara, która w jakieś Chrystusowe bractwo zamienia tę gromadę, spokojną pod klingą śmierci, pod pletnią życia dumną. Wiara spadła na chłopa po ojcach razem z chałupą. Tylko chałupy pozbył się po krótkim targu, wiary nie mógł się pozbyć na moment w ciągu swojej długiej odysei. Jej kantyczkowy dźwięk bije z tłumy emigranckiego zawsze i wszędzie. Czy człowiek kornemi planami żłobi ziemię, czy targa na sobie buntowniczo węzły życia. Pod jej działaniem tracą z siebie śniedź barbarzyństwa popędy i niebiescują grubo skonstruowane dusze. Stąd bierze się u tłumy chłopskiego świeże na ogół poczucie moralne, na niejednym punkcie, co prawda, zwapniałe wobec równoczesnego niedoboru umysłowego. Stąd bierze się nadto pociąg do mistyki, dymem ze swego trybularza wabiącej głowy.

Drugim, równie silnie, jak wiara, unoszącem chłopa skrzydłem, jest narodowość. Poczucie jej załączkami swoimi tkwi w nostalgii, która z jednej strony drażni rozkosznie wspomnieniem pola i krowy, jarmarku i mszy, arędującego Żyda i piszczałki nocnej, z drugiej kłuje boleśnie produkcją rzeczywistości. więc klecią murzyńską, czy noclegiem okrętowym, gestykulacją Włocha, czy systematycznością Niemca, polowaniem stepowem czy florą puszczańską. I to poczucie narodowości pod naciskiem warunków zewnętrznych rośnie z pieśnią na pieśń od najgrubszej formy, materialnym obrazem działającej na zmysły, aż do mistycznego znaku, który z nieobliczalną siłą pędzi skierowane do wnętrza dusze.

Więc pierwsza pieśń formuje we wywłaszczonym własnowolnie chłopie zaledwie niski, przyziemny żal za chałupą i polem, żal naraz w sto instynktów godzący, a głuszony magią krotocwilnych agentów. Druga pieśń dźwiga już chłopa, wziętego na brazylijskie tortury, a uświadomionego w ogniu obcych wpływów — do męskiej, żaru pełnej apoteozy dawnych form bytu. Pieśń trzecia wreszcie w odartego z rachub ziemskich i roztopionego w solidarności masowej tułacza, wpędza miłosną halucynację kraju, pozbawioną równoważnika słów, halucynację, która kości zetlałe i serca domierające każe nieść na ojczysty cmentarz.

Żeby charakterystykę tłumy chłopskiego, wyprowadzonego w Balcarze, uwypuklić, obszywa Konopnicka scenę za sceną gęsto rysami egzotycznymi. Cel wprowadzenia tych rysów do poematu, łatwo odgadnąć. Kontrast w charakterystyce, zwłaszcza

użyty bezwzględnie, działa zawsze w odniesieniu do zalet czy przywar ludzkich, jak dźwignia. Jakoż Konopnicka nie bez świądomiego planu przeciwstawia postaciom swojskim cudzoziemskie sylwety, rozmyślnie unikając łagodnych przejść. Szczegółowy przegląd wykaże, że w tych przeciwstawieniach idzie jedynie o uzyskanie czułego repoussoiru. Więc zdrowa pierwotność natur chłopskich wystąpi tem silniej na tle zachodnią demoralizacją zaszłego poloru Francuzów. Tkliwe przywiązanie do ziemi na tle trzeźwości Niemców, ojczyznę wożących na wózku. Zamaszysta powaga na tle południowej ruchliwości Włochów. I wreszcie osiadły, wyższymi pierwiastkami kultury naszyły tryb życia na tle półzwierzęcej wegetacyi Murzynów. To samo psychologiczne wyrachowanie sprawiło, że zgiełkliwy nieład chłopski graniczy ze sprężystą dyscypliną majtków. A dalej buta i jednosieczna prawdomówność z tchórzostwem i nieszczerem postępowaniem komisyi. Dobroduszna ciemnota z wszędobylstwem chytrych oszustów. I jeszcze chwiejne, przyptywom wzruszenia uległe tempo serca z popędem do zysku faktorów żydowskich.

Po za człowiekiem stoi w poemacie zgodnie z prawami nowożytniej, na gruzach lessyngowskich wyrosłej epiki — przyroda. Stosunek człowieka do przyrody rozłamuje się w Balcerze charakterystycznie. Konfiguracye swojskich obrazów, omotane koło serca, wbite w pamięć, przeświecone tęsknotą nie opuszczają bohaterów nigdy. Przeciwnie obrazy obce odstające od nałogu, wrytego w człowieka, ostrzeliwane nieprzychylną salwą wspomnień, w pryzmacie ciągłych niepowodzeń załamane — nie mogły się zlać sympatycznie z wrażliwością bohaterów, nostalgią pochłoniętych.

Stąd pierwsze, w które człowiek tchnął żar swoich pragnień, drgnęły organiczną werwą, bieżący sens życia zamknęły w sobie, ze znaków rzeczy stały się samemi rzeczami.

Drugie, wydęte sztuczną spiracją, pozostały na ogół, mimo dobrych chęci poetki, parnasyjskim składem barw, dźwięków, kształtów, w egzotycznym nieładzie rozrzuconych, w przepyszne, wachlarzowato rozwarłe tropy ujętych.

Zapominać nie należy, że monumentalne obrazy swojszczyzny natężala Konopnicka wśród własnej włóczęgi własną tęsknotą. Z emigrantem-chłopem zesła się emigrantka-poetka. Stąd energia wybuchowa, z obrazu na obraz przenoszona, kondensuje w punkcie całą przestrzeń uczucia, z naturalistycznej brzydoty wyzwala piękno idealnie czyste, nad stronnice konwencyonalnej egzotyki wzlata gromkim, jak dźwięk cepa parowierzem.

A tak mi w oczach stały, jak wczora,  
 Kuźnia, kowadło, ognisko, obcegi...  
 Słucham — z łąk leci gęganie gąsiora,  
 Patrzę — chłop szkapie przyciąga popręgi,  
 Jasiek w miech dyma, lśnią w słońcu ufnale,  
 A ja w podkowę, co siły mam walę!<sup>1)</sup>

Co prawda bieg akcji i tak swymi pysznymi parowierzami za często rwanej, nie pozwolił Konopnickiej na sformowanie kompletnych, regularnie zbudowanych obrazów, któreby systematycznie wyczerpywały piękno polskiej ziemi. Przecież rozdrobnione ułamkowym rysunkiem a rozrzucane w takich odległościach, że zlepzić je trudno w jednolite, sumaryczne wrażenie, działają te pół-obrazy i ćwierćobrazy z niepospolitą siłą. Raz używa ich poetka, jako barwnego komentarza do tem silniejszego uwydatnienia obrazów egzotycznych. Wplątane podówczas w dłuższe ustępy w roli informacyjnych pouczeń, przekraczają najczęściej rozmiary środka pomocniczego i zamiast uwagę zwrócić na obraz, o który idzie, trzymają ją dzięki ekspresyi, z wewnątrz bijącej — na sobie.

Jak kiedy lutnik w rów szlakę wypuści,  
 A wody ze dna podniosą się z sykiem  
 Tak wnet przyrosło tych morskich czeluści.  
 Już pokład liżą spienionym językiem,  
 Już jedna fala przez łeb drugiej szuści,  
 Jak owce z wiosny, gdy lecą za trykiem  
 Przez wązki wierzej, a wszystkie chcą razem  
 A owczarz licząc nawraca je płazem<sup>2)</sup>.

lny przykład:

Lecz we mnie, gdym tak patrzył na te dziwy,  
 Serce się nagle rzuciło jak młotem...  
 O ubożuchne podlaskie wy niwy,  
 Toż wy zbożami też tkane, jak złotem!  
 Toż tam lny nasze, jak szafir ten żywy...  
 Toć gryki srebrnym świat grodzą nam płotem,  
 Toć Pan Bóg u nas ma swoje śpichlerze,  
 Gdzie chleb. A tutaj szaty tylko bierze<sup>3)</sup>.

Sztynnej kompozycji epickiej szkodzą wtedy obrazy swojskie niechybnie, wychodząc z ram dodatkowej wzmianki. Tem

<sup>1)</sup> B. W. 1892. III str. 475.

<sup>2)</sup> B. W. 1892. III str. 503.

<sup>3)</sup> B. W. 1897. IV str. 297.

więcej, że po każdym z nich trzeba rozluźniony wątek opowiadania naprężyć raz wraz nowym, wpadającym w oczy zwrotem.

Rzadziej wprowadza poetka obrazy polskiej ziemi wprost, jako cel ciężkich, niedonoszących słów, bądź też lotnych, subtelniejszych myśli. Nerwowy tok tych słów czy myśli ucina obrazy zwykle niespodzianie, podobnie jak je i niespodzianie wszczynął. Nasycone rzutkiem realizmem zwroty nie przestają co prawda pełnić swojej funkcji, rugując z wiersza malowniczy frazes, produkt taniej równowagi. Przecież rozsadzany z wewnątrz wzruszeniem obraz traci swoje soczyste, humorem często nabrzmiałe formy. Żyłaste węzły stylistyczne wolnieją, rozstępują się twarde okresy, pstre określenie traci walor, cichnie jarmarczny brzęk zdań. Obraz nabiera lirycznego połysku od epitetów lżejszych, na promień mistyki nanizanych.

Lecz chociaż człowiek tak stwardniał na duszy,  
 Jak zeschły rzemień, to precz mi się śniły  
 Po nocach, wskrós tej wielkiej borów głuszy  
 Te nasze ciche zielone mogiły...  
 Te brzozy białe, co gdy wiatr je ruszy,  
 Z szeptem liść trzęsą i wierzch gną pochyły,  
 Tak sypiąc rosą, jak łzami szczeremi,  
 Na kości, co tam w święconej śpią ziemi<sup>1)</sup>.

I jeszcze inny wyjątek:

Milczą. Zbyt pełno i w sercu i w duszy,  
 Żeby wymówić słowem... Ten zagrodę  
 Ojcowską widzi... Ten szum słyszy gruszy  
 Na starej miedzy... Inszemu, po wodę  
 Żóraw u studni skrzypi... Ów pastuszy  
 Flecik załawia uchem. Jakieś młode  
 Wonie i rosy powiały skrós spieki,  
 Jakie powionął wiatr świeży, daleki<sup>2)</sup>.

Inaczej przedstawiają się krajobrazy amerykańskie, ilościowo przeważające w poemacie. Zmuszona konsekwentnie tropić swojego bohatera, nie robiła przecież poetka zdjęć topograficznych, jakich wymagały warunki sceneryi. Więc też i kopiowana z fantazyi cudzoziemszczyzna krępuje ruchy pędzla w obrazie, rozcieńcza epitety, zamazuje typowe cechy, detonuje dykcję, broni jed-

<sup>1)</sup> B. W. 1897. IV str. 97.

<sup>2)</sup> B. W. 1897. IV str. 305.

nem słowem przed swobodnem użyciem plastyki, a puszcza w obieg pracowite koło szablonu, wpycha styl przemocą w sferę wyblakłych gobelinowo ogólników. Powstałe w takich warunkach kraj-obrazy—rzecz prosta—będą stać niżej od swojskich. Rozmiarami szersze, obejmują zazwyczaj pewne całości zjawisk, około naczelnej myśli owiniętych, co zresztą wykaże szczegółowy rozbiór.

Uhogie chromatycznie, bo tylko jedną plamą barwną zaopatrzone malowidło morza, zawarła poetka w trzech pełnych strofach.

Ale największy dziw w ciebie uderzy,  
Kiedy to wejrzysz na one głębiny,  
Bo choć się oko najdalej zamierzy,  
Nie ujrzy ziemi skrawka, ni drzewiny,  
Ocean tylko przed tobą się szerzy  
W dalekość, którą nakrywa pas siny.  
Próżno-byś ręki nastawiał do słońca —  
Nie, tylko woda i woda bez końca!

Mówią, że idzie z północy to morze  
Od granic ziemi, zapartych przez lody,  
Aż na południe, gdzie takż w przestworze  
Oceanowe krą wałą się wody;  
Lecz nie wiem, czyli to prawdą być może,  
By na południu lód czynił przeszkody,  
Gdyż słońce najwyż tam piecze a praży,  
O czem się pytać u żniw gospodarzy.

A teraz patrz-że, jak po tych bezdrożach  
Okręt steruje i plac sobie czyni,  
Gościniec mając znaczony na zorzach,  
W tej niezmierzonej, bezbrodnej pustyni.  
Jak zna przecieki i ciągi na morzach!  
To prędzej u nas chłop zmyli w Sterdyni  
Drogę, z odpustu idąc, do rogatek,  
Niż na tych wodnych obrusach ten statek <sup>1)</sup>.

Pierwsza strofa oddaje monotonię wodnego żywiołu, druga docieka jego perspektywicznych wymiarów, trzecia wytyka drogi żegludze. Otwiera pole widzenia w pierwszej strofie „oko“ patrzącego z pokładu, zamyka je horyzontalny „pas siny.“ Idealnie rozszerzony jest obraz w drugiej strofie przez „lody“ północne

<sup>1)</sup> B. W. 1892. III str. 490.

i „krę“ południową, o których wzmiankę czyni poetka. W trzeciej strofie wypełniają obraz „wodne obrusy,“ nakryte „zorzami“ z wyraźniejszym ściegiem „przecieków i ciągów,“ z których dopiero wynurza się punkt atrakcyi: „okręt.“ Sztywność malarską odbierają obrazowi w sensie epickim określenia ruchu, gęsto wtrącane, („choć się oko najdalej rozszerzy,“ „idzie z północy to morze,“ „krą wałą się wody,“ okręt steruje i plac sobie czyni,“ „gościniec... mając na zorzach“). Niemniej życia dodaje obrazowi refleksya po chłopsku naiwna, którą opisujący zaprawia strofą („próżnobyś rękę nadstawił do słońca“ — „słońce najwyż tam piecze a praży“ „przedzaj u nas chłop zmyli w Sterdyni drogę.“

Bogatsze, bo w ośmiu strofach rozmieszczone malowidło puszczy odznacza się też sumienniejszem wykończeniem. Wstępna strofa daje tylko szkicowy zarys całości.

Bór był osiadły w bagnach przez połowę,  
A przez pół darł się po skalistym żlebie,  
Drzewa tam zbitą czyniły posowę,  
Utapiające wierzchołki swe w niebie.  
Światła się nagle i mroki surowe  
Rzucają, gdy się ta puszcza kolebie,  
Par duszny, jak gdy w łaźni grają piece.  
A piżmo tęgie czuć, niby w aptece<sup>1)</sup>.

Wrażeniu dotykowemu gromady, której stopy uderzają o kamień, lub grzęzną w błocie, czyni zadość rozkopany przez poetkę grunt ziemi pół skalisty, pół zbagniały. Wrażeniu wzrokowemu chłopów, rzucających przed siebie oczy, odpowiadają stłoczone gęsto olbrzymy drzewne z niewidzialnymi szczytami i ciągłym przyływem lub odpływem światła, wiatrem respirowanego. Wrażenie wreszcie węchowe przybysza, który tu wkracza z wolnej przestrzeni, budzi zaduch piżmowy, wypacany stu wyziewami, w ciasnocie zgęszczony.

Sześć strof następujących daje szczegółowy przegląd puszczy. I tak druga strofa poświęcona jest przyziemnej florzce („trzcini i kwiatów“) oraz faunie („ptaków i węży“). Trzecia przelicza kolosy drzewne w ich różnogatunkowym bogactwie. Czwarta opiewa walkę o byt, zażarcie między drzewami toczoną. Piąta opisuje roślinność pnącą, koło pni osepioną w potwornych kombinacjach. Szósta reflektorem słonecznym oświetla tajemnice puszczyńskie. Siódma

<sup>1)</sup> B. W. 1897. IV str. 295.

barwi tęczę ptasich piór powałę leśną, między drzewami uformowaną.

Końcowa strofa rzuca rozsnuć dotąd bogactwo szczegółów w jedno syntetyczne porównanie, o polską migotliwą baśń zaczepione.

Więc kiedy cię tam to wszystko otoczy,  
Te światła, farby, jaskrawe te puchy . . .  
To ci tak we łbie zakrąży, zamroczy,  
Jakby skarb nagle otwarły ci duchy,  
Co go w Ojcowskich skałach skarbnik strzeże,  
Aż przeeknie Łoktek i wstaną rycerze <sup>1)</sup>.

Jakaś nerwowa polichromia bije z obrazu, „modre“ przewijając obok „zielonego“, „szkarłatne“ obok „sinego“, „złote“ obok „szafirowego.“ Ten kalejdoskop barw, namiętnie gromadzonych, sypanych bez liku, zestawianych zuchwale, musi razić w poemacie jędrnym dzięki epizodycznym opisom swojskiej przyrody, powtarzającym się stale. Niezdrowy, naprawdę egzotyczny pośpiech w malowaniu odbiera obrazowi soki pogody, zdradza szwy fantazyi, w pyszny, pawim blaskiem połyskujący chaos ogólników zbija strofy.

Malowidło stepu, dwunastu strofami objęte, w szczegółach świetne, jednolitej essencji wrażenia nie zostawia czytelnikowi.

. . . A w koło, jak wodna  
Roztocz, step siniał po nieba krawędzie.  
Trawy w pas, idziesz niemi jakby do dna  
Ów murek, co go trzymają na wędzie.  
Gdzie pojrzysz, głębia zieleni bezbrodna,  
Że jak na morzu ptak tam nie usiedzie  
Wędrowny, tylko na bujach rozpięty  
Pod błękitnemi zawisa odmęty <sup>2)</sup>.

Ta pierwsza strofa, najcharakterystyczniejsza, kreśli granice horyzontalne stepu („po nieba krawędzie“), przeważający w nim element traw („trawy w pas“) i rozpięty w górze pułap nieba („pod błękitnemi zawisa odmęty“). Zalecają obraz barwy szczególnie dobrane: *zielona*—na oznaczenie najbliższego, wypośrodkowanego z całości wycinka stepu, *sina* na zamarkowanie brzegów odległych, *błękitna* dla tem silniejszego odcięcia nieba w linii

<sup>1)</sup> Ibid. str. 297.

<sup>2)</sup> B. W. 1900. IV str. 161 et peg.

widnokręgowej. Trzy z jednej sfery wzięte porównania („jak wódna roztocz“ („jakby ów nurek“), („jak na morzu“) zwierają tem mocniej obraz, uwydatniając kolejno: bezmiar, głębię i tajemniczość stepowego żywiołu. Ale niebawem układ obrazu zaczyna się psuć. Dwie najbliższe strofy (II i III) opisują step we dnie. Pierwsza (II) potężny efekt wydobywa z nieruchomości traw („naprostowana w niebo patrzy trawa“) i związanej z nią bezwzględnej ciszy („człowiek dech tylko swój słyszy“), na wspaniałem tle kolorystycznym tem wydatniej działających („światlista kurzawa miga tęczowemi szkliwy“). Druga (III) przeciwnie, przerywając nagle działanie prądu kolorystycznego, napuszcza step dźwiękiem („wizgiem się wtedy zanosił step cały“), zrazu we mgle tajemniczych określeń tonącym („niewiedzieć odkąd“ „nie wiedzieć kędy“) potem z artystyczną wprawą przyciszającym i („i cichość, aż dzwoni“) i przeszły wreszcie w trzeźwy i kojący nerwy swoją brzydotą głos życia („nurzyn na skórze węzowej zabczy“).

Następna strofa (IV) przeskakuje do obrazu nocy i zdając czytelnika zupełnie na łaskę słuchu, przemienia pochłonięty ciemnościami step w żywy instrument, wiolinem ptasim zaciągający, basem zwierzęcym rozegrzmiaty. Piąta i szósta strofa, to luźny, nieusprawiedliwiony żadnym zwrotem pośrednim powrót do opisu zjawisk dziennych. Ptak i zwierzę—w strofie poprzedniej po głosach tylko odgadywane — teraz jawią się w plastycznej oprawie oku. Piąta strofa pokazuje ptaka i zwierzę w ruchu („stado porywa się—„skrzydła rozwiedziona rozpuści i pomyka“), („zwierz przepadł“—„nurt trawy się poda“ „jak czółnem rozcięta woda“), wyposażając je dla tem silniejszego skutku głosem („krzyczącą gromadą“—„prychnie, zaszuci“). Szósta strofa przynosi znowu przepych czarownicy kolorów, na przedstawicieli fauny stepowej nałożonych („jedne skróś *modre*, a drugie jak ony *krwawnik*, a zasio jak *szmaragd* te trzecie.“) Przepych tem skuteczniej podniesiony końcowem porównaniem do „klejnotów królewskiej korony.“ Trzy nadechodzące z kolei strofy, to wtrącony zręcznie opis zorzy, spadłej na step krwawo, potem cieni wieczornych, odbitych od posrebrzanej przestrzeni stepu, wreszcie nocy z księżycem, wypełniającej stepową pustkę. Opis ten wszelako, sam w sobie wspaniały, nabity połysk licznymi porównaniami, szkodzi całości obrazu, w którym już raz była noc odmalowana. Dziesiąta strofa daje fantazyjny przegląd flory stepowej, zawity może dzięki oświetleniu nocnemu. Jedenasta, to liryczny zwrot ku swojszeźnie, jeden z tych, które piętno kontrastu wciskają w stronnice głęboko („Bo noc tam nie jest, jako u nas rzewna“). Widmo tej



innej nocy, którą sto światel tęsknoty wywiodło z dusz, zbyt ciągnie ku sobie, żeby wryć się mogła w pamięć końcowa wzmianka (XII) o kretowiskach murzyna, jedyne ludzkiego mieszkańca stepu.

Mimo rysów potężnych, barw wytężonych, mimo konsekwentnej walki światła z cieniem, mimo przedewszystkiem akustycznej budowy strof, w których każdy dźwięk rozlega się rześcicie, na obrazie cięży grzech intuicji, w czasce wylęglej, nie potrąconej z zewnątrz. Stąd nacisk na szczegóły, nie skondensowane planem i dźwignięte do wagi obrazów w obrazie, wytaczane bez porządku, a powtarzające się czasem dwukrotnie wśród nieznaczących odmian. Z chaotycznego, intuicją rozwodnionego układu, nie dziw, że trudno wydobyć ostatnie, zbiorcze wrażenie.

Króciutki, bo jednozwortkowy obraz górski zdobywa sobie, może właśnie dzięki krótkości, zwięźlejszą i twardszą plastykę.

Nagle świat spiętrzył się. Zrazu szły falą  
Pagóry prawie żywej krzemieniny,  
To przez moc wielką dźwigną się, to walą.  
Zamodrzal wirchów różaniec nam siny,  
Zębate, dziko poszarpane skały  
W przecz zawaliły niebo i tak stały <sup>1)</sup>.

Środki malarskie, do jakich uciekła się poetka nie trudno wskazać. Więc najpierw stopniowe dźwiganie poziomu miało za cel głąb wykopać w płótnie obrazu. Trzy punkty, cyrklem perspektywy wytyczone, mierzą stopniowy wzrost wyniosłości („świat spiętrzył się“ (1) — „zrazu szły pagóry“ (2) — „zamodrzal wirchów różaniec“ (3).

Równocześnie ruch personifikacyjny, po wierszu, jak po drucie przebiegający stale, miał w drganie wprowadzać wszystkie człony obrazu („Pagóry szły“ — „dźwigną się“ — „walą w rozpełzłe, żółtciu podobne łupiny“ — „skały zębate, dziko poszarpane“ — „zawaliły niebo“ i „tak stały“).

Z pospólnego wreszcie, dla szarości swojej nieokreślonego kolorystycznie padołu ziemskiego — wyrwa się „wirch“, aż dwoma znakami barwnymi opatrzony, żeby tem gwałtowniej wystrzeżił ponad masową bezbarwność („zamodrzal siny“).

Szkoda, że ten obraz ogólnikowy, góry znaczący z odległości, urywa się pod naciskiem lirycznych wybuchów gromady, nierozwinięty bezpośrednio w subtelniejsze, wycieniowane więcej szczegóły.

<sup>1)</sup> B. W. 1900. IV str. 339.

Ostatni obraz, żuławy nawodnione przedstawiający, a w pięciu strofach rozsnuty, stoi może najwyżej pod względem wykonania malarskiego:

Tak my zapadli w te poprzeczne nize,  
 W stu ruczajami poprute żuławy.  
 Par mokry, świerszczów całe wojsko strzyże  
 W tępe nożyce bławatów postawy;  
 Tu, tam brunatne zabłysną się krzyże  
 Stadlisk bawolich, skróś trzciny i trawy,  
 A rzeka szumi, a gędzi, a radzi  
 I jak sierp cisnął do morza prowadzi <sup>1)</sup>.

Płaszczyznę, wewnątrz obrazu otwartą, mierzy, jak najdoskonalsza przekątnia, ta rzeka z kolorowymi brzegami, podstępnie upodobniona do Buga i przez to samo już ciągnąca sympatyę czytelnika. Po jej obu stronach rozrzucone — płaty ziemi, trzcina i trawą poszyte, miejscami brunatne od stad bawolich, od dymu murzyńskich kleci siniejące, zwilża sto nici wodnych. Tynną ścianę obrazu stanowią góry, poryte wodospadami, splecionymi w tęczowy sznur, raz gruby, raz cienki („od wschodu wlokły się za nami góry“ — „aż gdzie się nadmiar zbiją one szklane żyły“ — „szlaki mając tęczami przetkane“). Cały obraz nasyciła poetka ruchem, raz w dźwięki bezpośrednio przelewany („świerszczów całe wojsko strzyże w tępe nożyce“ — „rzeka szumi, a gędzi, a radzi,“ — „właśnie jak kawek rozkrzyczane wianki“) to znowu uwieźlonym w barwach („opryskiwani perłami i złotem“ — „w kolory tkając majowe pobrzeża“ — „brunatne zabłysną się krzyże“). Niesłychaną przejrzystość nadaje obrazowi gra światła, w lustrze rzeki odbitego i w lusterkach wodospadów. Spokojniejszy bieg rzeki utrzymuje światło w stałym niezmiennym napięciu („słonkiem precz mruga“). Ruchliwszy pęd wodospadów zwięża je w chwilowe, zwrotne tonacje „srebrną,“ „perłową,“ „złotą“ lub niespodzianie rozwija w pełny wachlarz „tęczy“ („srebrne szruciny“ — „opryskiwane perłami i złotem“ — „szlaki mając tęczami przetkane“).

Każdy z tych krajobrazów, rzucony przed odpowiedni szmat akcji, znajduje szeregi uzupełnień między wierszami, poświęconymi akcji. W ten sposób rozszerza się kolejno obraz pierwszorzędny zrazu morza (pożar, połów rekina, delfiny, port) a potem puszczy (mór, karczunek, polowanie na tygrysa, mogiłki), następnie stepu (walka z murzynami, bawoły, ucieczka, nocna wędrówka)

1) B. W. 1901. III str. 547 et seq.

i gór (śmierć Jontka, rekonesans Szczęśniaka, inwazyja sępów, wymarsz z Dudkami na czele) żuław wreszcie (śmierć Horodzieja, sadyby murzyńskie, mrówki, bagna). W rezultacie z akcją zespolone materyalnie, tracą krajobrazy Konopnickiej znaczenie samoistnych, zamkniętych w sobie całości. Epicki kanon pozbawia je wewnętrznej spójności, rozrzucając najczęściej wedle potrzeb doraźnych. Stąd syntetycznie wyczerpanych, po malarsku, w ramę chwili chwyconych, dzięki zmysłowemu układowi spotężniałych krajobrazów niema w Balcerze. Kolorystyka, raz rzadka, wodniste znaki stawiająca, puste pola zostawia na przedmiotach, nie zlewa brył przestrzeni w proporcjonalne stosunki. Kiedy indziej gęsto zarabiana—wyświetnia barwy, tłoczy samą ich essencję, poetyzuje jaskrawo wszystko, co pod działanie wzroku podpadnie. I tu i tam brak obrazowi zdrowego mięszu, jaki wynika z trzeźwych przesłanek realisty. I tu i tam barwa nie jest efektem fizyologicznym, z przedmiotu pod wpływem oświetlenia wywiedzionym, ale ozdobnym epitetem, po namyśle przyjętym, mniej lub więcej powściągliwie szafowanym. Wobec niedoboru albo fałszywego doboru chromiki tem wydatniej zaznacza się w każdym krajobrazie Konopnickiej element muzyczny, ze strof, jak z klawiszów wybuchający. W obrazach pozbawionych udziału pędzla, muzyka zastępuje barwy, zastępuje rysunek, zastępuje ruch, w namacalnie wyraźną symfonię przetapiając opis. Obrazom barwnym niemniej siły dodają dźwięki zużytkowane, zeskakujące się zawsze w samą porę z określeniami wzrokowemi, często natężające mdłą moc tych określeń. Towarzysząc akcji powierzchownie, zachodząc w nią z zewnątrz tylko, lub gmatwając ją nawet mechanicznie, są przeciw krajobrazy Konopnickiej w swoim idealnym układzie, dalekie od akcji i niezmięszane swojemi odwiecznymi funkcjami z jej postępem, stanowią w poeinacie żywioł odrębny najzupełniej.

Inaczej ma się rzecz z obrazami zjawisk powietrznych i atmosferycznych, których wielka ilość czyni z Balcera poetyckie obserwatorium, pełne wschodów i zachodów, burz i deszczów, gwiazd i księżyców, wichrów i obłoków.

Ze zjawisk tych, wplątanych raz w pejzaże, raz rozwijanych luźnie, wydzielić należy kolejno przedewszystkiem zjawiska świetlne. Dorywczo w miarę postępu zdarzeń rzucane, dłuższe lub krótsze, zamknięte w kompletnych obrazkach lub markowane nieznaną wzmianką, ciągną się one z pieśni na pieśń, poematowi nadając niezmierną przejrzystość, wyższe nad intuicyjnie zbudowany krajobraz.

Na pierwszym miejscu postawić między niemi należy „świt“, trzy większe obrazy zapełniający.

„Świt na morzu“<sup>1)</sup> ukazuje przestrzeń pod dachem mgły („od mgły, co na morzu się kładła“) w pewnem miejscu nagle przzerwanej i puszczającej wiązkę słońca („aż w nią uderzy słońce“). Bystrość malarska pozwoliła Konopnickiej oznaczyć morze dopiero, kiedy na nie słońce padło („i modre rozkryje zwierciadła“). Z równą bystrością określa sferę powietrzną dwoma epitetami, jak stał zimnymi, które wymownie dokumentują brak słonecznego prądu („ranek perłowy i siny“). Punktem, w dalszym ciągu cudnie skupiającym w sobie blask słońca, jest fontanna z nozdrza delfinięgo wyrzucona ponad przędły kożuch mgły („skrós mgły zaczęły bić one fontanny“). I znowu kolorystyczne szczegóły dowodzą obserwacyi bacznej.

Cudnież to było patrzeć na te świty,  
Sreżogą drżące srebrną w ten czas ranny,  
Gdy nad ocean, parami nakryty,  
Skrós mgły zaczęły bić one fontanny!  
Słup w górę idzie, rozszczepia się w kity,  
Świeci i sypie perłowych ros manny,  
Gaśnie i znowu w stu miejscach z mgły tryska,  
W stu miejscach srebrem lśni i złotem błyska.<sup>2)</sup>

W górnem przestworzu, od mgły odciętem, lokuje poetka barwy silniejsze („srebrem lśni i złotem błyska“), dół fontanny, o mgły trący się, określa barwę słabszą („perłowych ros manny“). W doborze barw, w skład obrazu wchodzących, uderza dążność animizacyjna, która nastrój pół radosny, pół lękliwy rzeszy emigranckiej, dowożonej do lądu, poddaje za tło całemu obrazowi.

„Świt w puszczy“ ukazuje nad ziemią wilgotną obłok dymu, a nad obłokiem słońce.

A dookoła bagniska gorzały  
Tchem zaraźliwym z pożaru gorąca;  
I rankiem obłok podnosił się biały  
Z ziemi, co stała mokra i dymiąca,  
Jak one stogi, gdzie siana zaprzały,  
A rozpalony i wielki stos słońca  
Gorzał nad nami...<sup>3)</sup>

<sup>1)</sup> i <sup>2)</sup> B. W. 1892. IV, str. 458—9.

<sup>3)</sup> B. W. 1897. IV, str. 90.

Jedyna plama barwna („obłok biały“) właśnie dzięki swojemu mało charakterystycznemu wykładnikowi odbija tem ostrzej od tragicznych określeń („bagniska dyszały tchem zaraźliwym“). Kwadratują grozę opisu nagle podniesione rozmiary tarczy słonecznej („wielki stos słońca“), wobec których maleje człowiek, zgniatany dalekonośnym pociskiem. Jedyne porównanie („jak one stogi, gdzie siana zaprzały“), naturalistycznym swoim materiałem obniża nastrój aż do poziomu, na jakim stoi apatyczna, morzem bita, kompania ludzka.

Następuje z kolei „świt w stepie.“

... A już się niebo jaśniło na wschodzie  
Wązkim rąbeczkiem lekuchnej czerwieni,  
Gdy nagle między trawy falujące  
Błysły nam wielkie, czarne półmiesiące  
Zagiętych rogów...<sup>1)</sup>

Obraz zaciemniony jest w dole, bo ruchliwa ściana traw staje tuż przed maszerującym chłopem i pozbawia go przez to szerszego widoku („Między trawy falujące“). Za to w górze zabarwia się czerwono płótno nieba, od ciemnego podszycia stepowego tem silniej oderżnięte („wązkim rąbeczkiem lekuchnej czerwieni“). Ciepłą masę niebia uwydatnia tem dosadniej poczerniona plama rogów bawolich, z płonącego tła wytrystłych („czarne półmiesiące“). Stopniowy rozwój świtu uwydatnia w wierszach późniejszych, do akcji już należących, kolor powietrza („a już powietrze czyniło się złote“) i niebawem natężenie tego koloru („dzień się coraz różaniejszy czyni“). Zręczny układ nadał obrazowi naturalne rozmiary, topiąc chłopą, którego oczami musimy patrzeć, w trawach wyższych od niego i wyolbrzymiając rysunek rogów fantastyczną przenośnią, przez odpowiedni epitet jeszcze szerzej rozpiętą. Głód, nękający chłopą przed obławą i uczta, która obławę wieńczy—zestawione razem, tłómaczą pogodę w obrazie, ramami akcji silnie objętym.

Obok tych większych opisów, spotkać można szkice „świtu“ ucinikowe, w dwu określeniach zawarte, a zawsze charakterystyczne i zahaczone o akcyę. Więc „szary brzask“ na okręcie w czasie rewizyi, barwą złowróżbną związany z tragicznym końcem sceny, podwójnie efektowny dzięki połyskującym „latarkom.“<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> B. W. 1900. IV, str. 165.

<sup>2)</sup> B. W. 1892. IV, str. 447.

Nadto „chmurny ranek“ w boru, jak tło dopasowany do zamiarów samobójczych Przytuły.<sup>1)</sup> I jeszcze „złote świtanie“ w górach, refleksin na włosy umierającego sieroty padłe, a drażące kulisto niebiosa nad światem, którego „wielkość“ śmiesznie odskakuje od dziecięcego trupka.<sup>2)</sup>

Malowidła „zachodu“ wykończone więcej — zapełniły najpiękniejsze, w znaczeniu malarskiem, karty poematu.

Zachód na morzu w ognistą ranę ujmuje podróż całą, raz we wstępnych strofach w chwili wyjazdu odmalowany, drugi raz przy wjeździe do Santos w strofach końcowych pieśni. Pierwszy z tych opisów otwiera porównanie, ze sfery ziemiańskiej zaczerpnięte, co da się wytłómaczyć niedawnym związkiem podróżnych z rydlem.

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie  
 Pług zajmie krojem skibę, a odwali,  
 Taka się polać skrós morza odwinie,  
 I szczerym ogniem po strzępach się pali;  
 Bo już się słońce nurzało w głębinie,  
 Kolory dając ze siebie tej fali,  
 Co się waliła w żar bruzda po bruzdzie,  
 Łódź czarną ciągnąc za sobą na uździe.<sup>3)</sup>

Morze, wypolerowane po wypukłościach światłem („szczerym ogniem po strzępach się pali“) pochłania w siebie szybko spadającą, jak balon, bryłę słoneczną („już się nurzało w głębinie“). Tragizm jedynej oznaczonej ściśle barwy („czarna łódź“), podniesiony jeszcze przez jaskrawe tło świetlne („szczerzy ogień“) i aluzję do kończącego się dnia („już się nurzało“), wypływa z nastroju dusz, stłoczonych na pokładzie, pletnią lęku ćwiczonych.

Drugi, zamykający żeglugę opis — usunięciem bodźców słuchowych realnych („cicho nas fala niosła“) przygotowuje czytelnika do przyjęcia wrażeń fikcyjnych, jakie za chwilę odebrać mają chłopci („chorągwi szelest i dzwonów z wież bicie“).

Cicho nas fala niosła; ziemia grała  
 Złoto-różanym pod zachód kolorem;  
 Lud uniesiony już słyszy w zachwycie  
 Chorągwi szelest i dzwonów z wież bicie.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> B. W. 1897. IV, str. 309.

<sup>2)</sup> B. W. 1900. IV, str. 342—3.

<sup>3)</sup> B. W. 1892. III, str. 469.

<sup>4)</sup> B. W. 1892. IV, str. 468.

Sferę optycznych podniet wyidealizowaną („złotoróżany kolor“) wyposaża poetka przymysłnie w atrybut, pożyczony ze sfery dźwięków („ziemia *grała* kolorem“), oderwany od świata otaczającego podobnym sposobem, jak i powyższe wrażenia akustyczne. Harmonijny skład barw („złoto-różany“) i uroczysty dobór wyrazów („lud uniesiony“) dają niec zewnętrzną do kłębka tej egzaltacji, która duszę, zmaltretowaną przygodami morskimi, a owianą świeżo lądowem powietrzem, omotała.

STANISŁAW MAYKOWSKI.

# Ruch piśmienniczy we Francyi.

„Romantyzm francuski“ Piotra Lasserre'a. — *Jan Jakób Rousseau* Juliusza Lemaitre'a. — *Alfred de Musset* Leona Séché. — *Alfred de Musset* F. Roz'a. — Charles Baudelaire i jego *Korespondencya*.

Dawno już książka żadna nie narobiła tyle hałasu, co *Le Romantisme Français* p. Piotra Lasserre'a, Romantyzm francuski — szkic o przemianach, jakim uległy uczucia i myśli w wieku XIX, jak głosi podtytuł. Zrozumiałe jest to powodzenie książki, choć jest ona pamfletem przeciw romantyzmowi, oraz przeciw temu wszystkiemu, co z romantyzmem jest związane. Już samo odczytanie nagłówków oddzielnych rozdziałów wystarczy dla przekonania się o tym charakterze pracy p. Lasserre'a: Ruina jednostki (J. J. Rousseau), Chimera serca (Sénancour), Chimera myśli (Faust), Służenie namiętności i t. d.

P. Lasserre uważa romantyzm za rozkładnik społeczny z powodu bezwzględnego swego indywidualizmu, który sprzeciwia się temu wszystkiemu, co w jakikolwiek sposób ogranicza swobodę jednostki, więc np. obowiązki tej jednostki względem państwa; dalej dla tego, że romantyzm stanowi właściwie upoetyzowaną rewolucję, wreszcie ponieważ usprawiedliwia, nawet ubóstwia, namiętności, byle tylko miały w sobie trochę poezyi...

„Nie miałem na celu—powiada p. Lasserre—napisania historii romantyzmu, lecz tylko starałem się o danie jego definicyi.“ Przy poszukiwaniu tej definicyi niektóre rozdziały historii romantyzmu francuskiego zostały omówione, „wszystkie naprzykład charakterystyczne jego momenty w latach: 1750 do 1850 czy 1860.“ A dalej zadaje sobie p. Lasserre pytanie: „Czyż data ostatnia oznacza koniec romantyzmu?“ Bynajmniej nie. „Gdyby tak było, studyum niniejsze miałyby jedynie charakter retrospektywny.



Nie ulega wątpliwości, że wszystko to, co *zwalcza* ta książka (wyrażenie „zwalcza,” jako charakterystyczne, podkreślam), istnieje w koło nas pod maską nieco zmienioną.“ Albo jeszcze w innym miejscu: „Nie wierzymy w to, że romantyzm istnieje. Nie przestał jednak nas *przygniatać*.“

Studjum p. Lasserre'a zatrzymuje się na roku 1860 dla tego, że w tym czasie „romantyzm, chociaż nie skończył jeszcze swej misji historycznej, wypowiedział się, jak we względzie myśli, tak też i we względzie uczuć, z tem wszystkiem, co zawiera.“ Po roku 1850 była wprawdzie reakcja przeciw romantyzmowi, ale jestto raczej „protest romantyków wzburzonych, niżeli romantyków wyzwolonych.“

„Romantyzm (uczucia) polaryzował aspiracye i nadzieje duszy indywidualnej do osiągnięcia chimerycznego źródła szczęścia. Romantyzm (myśli) zapewniał, że jest możliwy, że jest nawet bliiski porządek społeczny, który zniszczy przykrości naturalne warunków życia, który zniszczy egoizm ludzki, dzięki któremu panować będzie szczęście dla wszystkich. Te dwa marzenia bez treści, uogólnienie monstrualnej idei rozkoszy pasywnej, nie mają żadnego sensu; ale są dowodem bardzo ciekawym upadku energii życiowej oraz zepsucia ducha tych, którzy je stworzyli i którzy nimi żyją. Należało wymyśleć siły zdolne do zrealizowania rajy na ziemi, do zapełnienia zadowoleniem i upojeniem wrażliwości indywidualnej sprawiedliwością i dobrocią... Ci bogowie romantyzmu nazywali się: jeden przyrodą, drugi postępem. Panteizm był jego syntezą.“

Z tych paru cytat widać już jakie jest zapatrywanie autora na sprawę, o której traktuje; dają one również pojęcie o sposobie, w jaki napisana jest książka, pełna zresztą paradoksów, często nie uwzględniająca szczegółów, które mogą stać w sprzeczności z tezą p. Lasserre'a, tezą, jakby z góry wymyśloną i mającą być rozwiniętą i usprawiedliwioną.

Pan Lasserre jest przekonany, że romantyzm wielką krzywdę wyrządził Francyi, że nie tylko krzywdę niegdyś wyrządził, ale że i teraz jeszcze pod wpływem romantyzmu Francya upada. Gdyby nawet fakt ten był prawdziwy, to znaczy, gdyby Francya upadała, to dla czego specjalnie romantyzm we Francyi złe miał następstwa i skutki, dla czego jednak ani w Niemczech, ani w Anglii, ani gdzieindziej wpływ ten nie był szkodliwy, przeciwnie, raczej pożyteczny?

Romantyzm francuski był pochodzenia zagranicznego. Tego pochodzenia zagranicznego, tych wpływów z po za Francyi po-

chodzących, wpływów Byrona np., p. Lasserre nie uwzględnia. A przecież mówić o Lamartine'u, o Mussecie, o George Sand, a pominąć wpływy, jakie na tych pisarzów wywarł Byron, to jest pominąć najważniejsze czynniki romantyzmu pierwszej ćwierci zeszłego wieku. Zarówno Lamartine, jak Musset, jak i George Sand nawet, więcej przecie mają w sobie Byrona, niżeli Jana Jakóba Rousseau! Wpływ Rousseau odbił się raczej na życiu politycznem i społecznem, nadając mu charakter sentymentalizmu. To też można powiedzieć, że co do wpływu Rousseau'a na romantyzm francuski p. Lasserre nieco przesadza, przesadza, zapominając o wpływach innych, przeważnie zagranicznego pochodzenia.

Z książki p. Lasserre'a wynikałoby też, że romantyzm w literaturze jest przedstawicielem rewolucyi francuskiej, czyli że wszyscy romantycy są jej stronnikami, są rewolucjonistami; tymczasem widzimy co innego: ani Vigny, ani Musset, ani Michelet, ani Sainte-Beuve rewolucjonistami nie byli. A przecież są to, jeżeli nie najwybitniejsi, to jednak dosyć ważni przedstawiciele romantyzmu!

Takich i tym podobnych niedokładności (nawiasem mówiąc jeszcze jedna ciekawa: Pierre Leroux—socyalista, a więc nie indywidualista) w książce p. Lasserre'a dużoby się znalazło. Nie znaczy to jednak, aby książka z tego względu nie miała wartości; i owszem, te braki są wynagrodzone innemi i licznemi bardzo jej zaletami: głębokiem ujęciem przedmiotu, logicznem rozumowaniem, (czasami na podstawie danych niezbyt dokładnych) poszukującym ujęcia w pewne formuły tak skomplikowanej, tak różnolitej sprawy, jaką jest romantyzm wogóle, a i francuski romantyzm także. I może dla tego, że p. Lasserre chciał zbyt uprościć to zjawisko w piśmiennictwie, w życiu nawet, doszedł do rezultatów czasami błędnych. Romantyzm Rousseau'a i romantyzm Wiktora Hugo, czy Lamartine'a — to dwie różne odmiany romantyzmu, które do jednego sprowadzając mianownika, sztucznych użyć trzeba środków. Do tej sztuczności przyznaje się zresztą p. Lasserre i to także mogłoby posłużyć za dowód, że postawił sobie z góry tezę, do której wszystko w swojej pracy stosował.

Jednostronna, niekompletna, miejscami może w wywodach swoich fałszywa, praca p. Lasserre'a pozostaje nie mniej książką bardzo ciekawą, porusza przytem całą kwestyę romantyzmu z nowej zupełnie strony; jeżeli p. Lasserre nie osiągnął w zupełności celu, jaki był sobie postawił, określenia i zdefiniowania romantyzmu i roli, jaką w XIX wieku we Francyi romantyzm ode-

grał, to jednak posunął całą sprawę naprzód, ułatwił drogę innym, tę drogę może nawet wskazał...

\*

\*

\*

Wogóle o romantyzmie i poprzednikach romantyzmu wiele w ostatnich kilku miesiącach mówiono... Oto Juliusz Lemaître, zmęczony i zawiedziony życiem politycznym, któremu w ostatnich latach zupełnie się był oddał, „powraca do literatury;“ powraca swemi konferencyami o Janie Jakóbie Rousseau... Kto wie, czy bliższe zetknięcie się z polityką czynną francuską, nie skłoniło Lemaître'a do poznania bliżej tego, który nie małą odgrywał rolę w ukonstytuowaniu się Francyi społecznej...

W miesiącach styczniu, lutym i marcu mówił Lemaître o Rousseau, w *Salle de la Sociéte de Géographie*, z tej samej katedry, z której w roku zeszłym ś. p. Brunetiere o Encyklopedystach traktował, mówił wobec wyborowego audytoryum, złożonego z literatów i *monde'u* paryskiego; cały dawny *Faubourg St. Germain* przysłuchiwał się wywodom znakomitego krytyka...

Lemaître dawniej, kiedy miał jeszcze iluzye, lubił Rousseau, ale badając źródła głównych błędów XVIII i XIX wieku, doszedł do przekonania, że jednak wiele z nich Janowi Jakóbowi zawdzięczać należy, Janowi Jakóbowi, którego dzieła tłómaczą się wprawdzie jego wadami fizycznymi i okolicznościami, w jakich żył, ale który nie mniej jednak jest człowiekiem chorym, później waryatem wcale nie złym, ale przede wszystkim nieszczęśliwym.

Chociaż szczery katolik, Rousseau miał duszę protestancką. Wychowany, a raczej wcale nie wychowany, bo od najmłodszych lat pozostawiony sam sobie, żyjący najprzód z ojcem swoim w Genewie, później z panią de Warens, później jako urzędnik pani de Verallis — Rousseau na przyszłego reformatora społeczeństwa, na przyszłego profesora cnoty słabe miał przygotowanie.

W 29 roku życia przyjechał Jan Jakób do Paryża, przyjechał dla poszukiwania szczęścia, (mając ze sobą wynalazek swój co do pisania nut, rękopisów trochę), wstydlivy, z wielkimi ambicyami... Wobec Diderota, Grimma, Duclos i innych, Rousseau może zwrócić na siebie uwagę jedynie swoją niezgrabnością, nieumiejętnością zachowania się w towarzystwie... Idąc za radą je-

zuity O. Castel, Jan Jakób stara się o względy kobiet, jest sekretarzem pani Dupin i od tej chwili, zdawałoby się, że karyera jego już jest zapewniona. Wkrótce wyjeżdża do Wenecyi, jako urzędnik ambasadora p. de Montaigne.

Wenecya w pismach Rousseau nie pozostawiła śladu prawie żadnego; prowadzi w niej życie takie same, jak dawniej, nie zachwyca go zbyt miasto, ani życie intensywne Wenecyi. Spotyka się tutaj z Żanettą. „Wchodziłem — powiada Rousseau — do pokoju kurtyzany, jak do świątyni miłości i piękna... Siadałem i płakałem, jak dziecko...” Po pewnem nieporozumieniu, co do którego szczegóły niezbyt dobrze są znane, wraca Jan Jakób do Paryża.

W Paryżu ma stosunek z Teresą, bieliźniarką, z którą żyć będzie do śmierci. Tutaj traktuje p. Lemaître o pięciorgu dzieciach, jakie miał J. J. Rousseau z Teresą, dzieciach, oddanych do domu podrzutków — to hipoteza jedna; inna hipoteza, że dzieci wcale nie miał, tylko niechcąc uchodzić za człowieka chorego, historię tych dzieci wymyślił.

Rousseau w Paryżu prowadzi żywot skromny, odwiedza często uwięzionego w Vincennes Diderota. Kiedyś, idąc do niego poprzez lasy, wyczytuje w *Mercure de France*, że akademia w Dijon ogłasza konkurs na pracę p. t. *Si le progrès des Sciences et arts a contribué à corrompre ou à épurer les mœurs*. W tej chwili stał się jakby innym człowiekiem.

Zasięgnawszy rady Diderota, napisał Rousseau swój *Traktat*, wykazując w nim zepsucie obyczajów, wywołane postępem sztuki i literatury. Punkt widzenia nie nowy — powiada p. Lemaître — tak samo znany, jak i twierdzenie przeciwne. A jednak *Traktat* ten miał wielkie powodzenie, ponieważ wyróżniał się pewnym akcentem, pewnym stylem. *Traktat* wywołał polemikę, w której Rousseau głos zabierał, a broniąc się, lepszych jeszcze używał argumentów, aniżeli w samym *Traktacie*.

Pod wpływem tej rozprawki, jakgdyby to, co napisał, stosował w życiu, Rousseau zewnątrznie się zmienił, zaniedbał się w ubraniu, zaniechał form grzeczności, zbliżał się do człowieka natury...

Po tym pierwszym występie publicznym, inny znowu: *Le Devin de Village* odegrano z wielkim powodzeniem wobec dworu w Fontainebleau (1752). Król pragnie osobiście wyrazić Rousseau swoje zadowolenie... wyznacza mu pensję...

Ale oto akademia w Dijon ogłasza nowy konkurs na pracę *O nierówności*. Rousseau na zapytanie akademii co do źródła nie-

równości między ludźmi odpowiada: Źródłem nierówności jest przede wszystkim własność, ustanowiona i utrzymywana przez prawa społeczne; nierówności zaprzeczają prawo natury, ponieważ wszyscy ludzie w stanie natury są wolni, niezależni i dobrzy, a dopiero społeczeństwo ich psuje. Jan Jakób — powiada p. Lemaître — nadużywa wyrazu *natura*. Co przez nią rozumie? Czy ludzi dzikich, żyjących w lasach, czy też społeczności rolnicze, wysławiane przez poetów. Ani jedno, ani drugie; nie należy też brać tego *traktatu* w dosłownem jego brzmieniu, lecz uważać go tylko za poemat... Styl, akcent, przejęcie się sprawą, stanowią całą wartość tych deklamacyj!

Po napisaniu tego *Traktatu* powiada Rousseau w *Confessions*: „Dotychczas byłem dobry, a od tej chwili stałem się cnotliwy.“ Od tej chwili—dodaje Lemaître — rozpoczynają się stosunki Jana Jakóba z panią d'Épinay, pobyt w Ermitage'u, stosunki z panią d'Houdetot...

Po nieporozumieniach między Rousseau i panią d'Épinay, Jan Jakób osiada w Montmorency u marszałka Luxembourg. Tutaj otrzymuje tom Encyklopedyi, w którym jest mowa o projekcie założenia teatru w Genewie—mieście jego rodzinnem. Oburzony tą wiadomością, pisze Jan Jakób list do d'Alemberta, w którym wykazuje, że teatr zgubnie oddziaływa na obyczaje; to odezwanie się uważa za swój obowiązek, obowiązek obrony zachwianego stanowiska...

Po *Liście o teatrze*, ciągle i dziś nawet jeszcze aktualnym, następuje *Nowa Heloiza*. Dużo jest Rousseau'a w *Heloizie*, ale dużo też XVIII wieku. „Wydaje mi się—powiada p. Lemaître—że ten styl płaczliwy jest szczery, naturalny. Rousseau był chory, dotknięty ciężką newrozą, obdarzony wrażliwością chorobliwą, i w rzeczy samej zalewał się łzami przy każdej sposobności.“ Ale inni go później naśladowali. Ta czułościowość stanowi podkład całej literatury rewolucyjnej, czułościowość fałszywa, która tylko pozornie, z nazwy, jest cnotliwa.

Oto dla czego „czułościowość“ nie przeszkodziła bynajmniej tym, którzy w rewolucyi udział wzięli, być bez litości. A dalej ta czułościowość, będąc modną, a więc sztuczną, naśladowaną przez umysły mierne, okazywała się pod postacią bardzo głupią... I dla tego niektórzy pisarze drugiej połowy XVIII wieku wydają się nam więcej obcy, niżeli inni z wieku XVII i XVI... Rousseau nie tylko legował Rewolucyi swój słownik polityczny, swoją koncepcyę o państwie: ale także przekazał jej swój „styl głupi“ („style bête“).

Po napisaniu *Nowej Heloizy* było niemal nieuniknionem, żeby Rousseau zajął się badaniem wychowania. A że tak, a nie inaczej, sprawę traktował, rzeczą jest zrozumiałą ze względu na wychowanie, jakie sam otrzymał. Chociaż w *Emile'u* znajduje p. Lemaître ustępy prawdziwe, to jednak najczęściej Rousseau i tutaj marzy. Utożsamia los swój z losem Emila, chcąc aby i Emil, tak samo jak on, wychowywał się bez rodziny. Rousseau pragnie wychować Emila na człowieka, ale na człowieka szczęśliwego, a szczęście to u niego polega na zmniejszeniu cierpień, na uproszczeniu życia. Cierpliwość więc, rezygnacya, obojętność, pewnego rodzaju stoicyzm, ascetyzm nawet — oto co przepisuje swemu uczniowi. I to rozumowanie jest skutkiem jego stanu chorobliwego, zmuszającego poniekąd do propagowania takiej filozofii...

W *Contrat Social*, Rousseau stwierdza, że człowiek rodzi się wolnym, a przestaje nim być z chwilą, kiedy przyjmuje umowę społeczną i kiedy, jako obywatel, uczestniczy w układaniu praw, których musi słuchać; kiedy ich nie słucha, popełnia największą zbrodnię, skłamał bowiem wobec prawa. Ale szczęściem Rousseau życiem swoim i dziełami swemi wykazuje dosadnie, że i on nawet ani dnia jednego nie mógłby wyżyć w społeczności zorganizowanej wedle jego *Umowy społecznej*; nawet w tej pracy kłam zadaje całej swojej utopii, twierdząc, że stawiał ideał, do którego ludzie nie dorosli, a który może byłby odpowiedni dla bogów...

Przeszedłszy całe życie Rousseau'a zaznaczywszy wszystkie ważniejsze jego momenty, scharakteryzowawszy wszystkie utwory tego wielkiego marzyciela, ubolewając często i wielokrotnie nad jego nieszczęsnem życiem, nad ciągłą chorobą, zasługującą na współczucie, w ostatnim wykładzie dochodzi p. Lemaître do konkluzji.

Rousseau — powiada — nie stworzył jednolitego systemu; posiada on jakby kilka różnych dusz: duszę włóczęgi, duszę człowieka wykolejonego, marzyciela, duszę oburzonego plebejusza, chorego, protestanta, ale także duszę katolika... a to wszystko składa się na indywidualizm jakiś dziwny w połączeniu z pewną dozą tradycjonalizmu.

Zachwyca się p. Lemaître stylem Rousseau, zachwyca się tym razem bez żadnych ograniczeń. Dalej powiada — Rousseau nauczył nas inaczej niż dawniej przyglądać się naturze, marzyć przez naturę i w ten sposób zbliżył nas do wszechświata. Jeżeli chodzi o rewolucję francuską, to więcej w niej „zawinił“ Rousseau niżeli kto inny, niżeli Voltaire nawet. Rousseau był zawsze bogiem Jakobinów i tego mu p. Lemaître nie przebacza. Zapewne

Rousseau wywarł wpływ wielki na romantyzm francuski, ale „nawet romantyzm wyłączwszy, najlepsza część literatury francuskiej pozostałaby nietknięta.“

„Lubiano Rousseau'a—kończy p. Lemaître — i wielu lubi go jeszcze: jedni dla tego, że był mistrzem iluzji i apostołem absurdów; inni dla tego, że między znakomitymi pisarzami był istotą (créature) nerwową, słabą, namiętą, grzeszną, bolesną i marzycielską. I ja sam, mając obowiązek myśleć tylko o swoim zachowaniu się, a nie o losach Francji i świata... opuszczam go bez nienawiści, z większem jeszcze uznaniem dla tych jego myśli, które tryumfują, z zachwytem szczerym dla jego sztuki, która tak była nowa, ale ze współczuciem dla jego nieszczęśliwego życia i z „grozą świętą“ („horreur sacrée“) wobec fatalnego ogromu jego wpływów na ludzkość.“

Książka p. Lemaître'a jest arcydziełem prawdziwym krytyki literackiej, tej krytyki literackiej, która od Sainte-Beuve'a bierze początek: przenikająca do istoty rzeczy, głęboka, a zarazem pisana jakby od niechcienia, dla zachowania charakteru pogadanek, jakimi chciał zresztą mieć p. Lemaître konferencye swoje tego-roczne, pogadanek, zbijających Rousseau'a przez Rousseau'a samego, wykazujących jego niekonsekwencye.

Dla osiągnięcia tego celu, jak to już starałem się wykazać, p. Lemaître, omawiając dzieła Rousseau'a, przeplata je wyjątkami z *Confessions*: cnotliwym i prymitywnym zasadom wygłaszanym w dziełach Rousseau'a przeciwstawia rozwiązłe i wyrafinowane życie Jana Jakóba; ogłaszanej potrzebie życia niezależnego, wolnego—ciągłą zależność Rousseau'a od innych, więcej nawet, stosunek jego pasożytniczy względem wielkich i bogatych; wykazywaniu szkodliwego wpływu literatury i sztuki — poświęcenie im całego swego życia i t. d., zresztą nawet w poszczególnych dziełach Rousseau'a znaleźććby można twierdzenia wzajemnie sobie kłam zadające, choćby w *Emilu* np., gdzie Rousseau poleca swemu wychowawcowi swobodę, kształcenie się na tem, co sam zobaczy, a jednocześnie daje mu nauczyciela, który ma się nim gorliwie zajmować. Przyznać trzeba, że p. Lemaître robi te zestawienia z nadzwyczajną zręcznością, z nadzwyczajnym humorem, z ironią, którą zresztą cała jego książka jest przepełniona, tem gorsza jeszcze dla opinii o Rousseau, że autor na każdym kroku prawie przypomina stan, w jakim Rousseau się znajdował, na każdym kroku tłumaczy, że właśnie wobec choroby Rousseau'a, wobec jego niewrozy i wynikającego stąd marzycielstwa, dziwić się nie można, że

takie nierozsądne pisał rzeczy. Człowiek chory, waryat nawet, inaczej myśleć, inaczej pisać nie mógł, ale co najgorsza, że tak wielki miał wpływ na swoich następców!

Jeden kapitalny zarzut możnaby p. Lemaître'owi zrobić, ten mianowicie, że cała jego książka skierowana jest przeciw Rousseau, że omawiając złe strony w działalności pisarskiej genewskiego filozofa, zapomina o stronach jego dobrych, zapomina — wyrażenie może niewłaściwe, boć niewolno nawet przypuścić, aby taki krytyk, jak p. Lemaître zapomniiał choć na chwilę o tem znaczeniu, jakie posiadał Rousseau'a dla Francyi, ale w każdym razie te dalsze strony odsuwa na plan drugi, a przytem do tego, co Rousseau zrobił, wtrąca ciągle jego życie prywatne. Zapewne, że życie prywatne wyjaśnia w wielu wypadkach działalność pisarską, ale nie może być decydujące przy jej ocenie.

Konferencye p. Lemaître'a wywołały rozmaitego rodzaju protesty. Między innymi p. Ernest-Charles, jeden z młodych krytyków francuskich, a zarazem redaktor niedawno powstałego, ale bardzo ciekawego tygodnika literackiego *Le Censeur*, zorganizował meeting na cześć Rousseau'a; na meetingu tym, odbytym pod prezydencją ministra oświaty, przemawiało osób kilka. Cała manifestacya miała może charakter niezbyt poważny, ale ciekawą przemowę wygłosił na niej p. Ernest-Charles, przemowę, w której zaznaczył, jak należy oceniać takich wielkich mężów, jakim był Rousseau. „Oświadczamy — mówił p. Ernest-Charles — że w dziele Rousseau'a chcemy tylko uczcić prawdę, która w niem przeważa, dobro, które jest wielkie, piękno, które jest wspaniałe, a reszta powinna zniknąć z naszych oczu wobec majestatu całości.“ Albo dalej: „Nieulega wątpliwości, że Rousseau nie wyłożył w całości i konsekwentnie swego systemu. Nie ulega wątpliwości, że wskazuje on raczej tendencye, niżeli doktryny, uczucia raczej, niżeli myśli... Ale te uczucia, które go ożywiały, są naszymi uczuciami. I jest on nam bliższy, niżeli inni, ponieważ dalej niżeli inni poszedł.“

Rousseau jest, jak zauważył p. de Vogüé, źródłem wszystkich prądów politycznych i społecznych (a zarazem i literackich, w których się tamte odzywają) Francyi XIX wieku, a nie tylko Francyi, ale i Europy całej; zarówno demokracya, jak i socyalizm, anarchizm nawet, coś w sobie z Rousseau'a mają, więcej nawet, każdy z nas europejczyków, a Francuz przedewszystkiem, posiada w sobie, choćby się tego wypierał, drobną bodaj cząstkę tego wpływu, jaki Rousseau wywarł. I dla tego Rousseau jest wielki,



co bynajmniej nie znaczy, iż wad nie posiadał, tych wad, o których w książce swej mówi p. Lemaître, przed którymi tak zrażnie czytelnika ostrzega.

\*

\*

\*

Przed paru tygodniami upłynęło pięćdziesiąt lat od śmierci Alfreda de Musset. Terminu takiego z niecierpliwością wyczekują wydawcy, wedle bowiem obowiązującego prawodawstwa francuskiego dzieła autora przechodzą wtedy na własność publiczną: każdemu wolno je przedrukowywać i sprzedawać po cenie takiej, jaką uzna za właściwą. To też wystawy księgarskie przepelnione są obecnie dziełami Musseta; każdy wydawca swoje zachwala i przekłada publiczności, dając warunki korzystniejsze, bądź też ozdobniejsze wydanie niżeli inny. Mam przed sobą pierwszy tom pism zbiorowych wydania Garnier; te pisma zbiorowe mają się składać z 10 tomów ilustrowanych, opatrzonych przedmową i komentarzami p. Edmunda Biré... Ale to tylko minochodem dla informacyi czytelników...

W rocznicę pięćdziesięcioletnią śmierci Musseta ogłasza też p. Leon Séché, kierownik przeglądu *Les annales romantiques*, monografię o wielkim poecie; *Mercure de France* wreszcie wydaje korespondencyę Musseta...

Książka p. Leona Séché nietylko jest szczegółową biografią Musseta, ale zaznajamia nas również z tem środowiskiem, w jakim autor *Confession d'un enfant de Siècle* żył i pisał; cały więc szereg osób, które mniejszą lub większą rolę odgrywały w życiu poety, osób niedostatecznie albo jednostronnie tylko znanych, znajduje w p. Séché sumiennego biografę, rozporządzającego materyałami dotychczas pozostającymi w ukryciu w zbiorach prywatnych, przedewszystkiem w zbiorach hr. d'Alton Shée.

P. Séché, idąc za wskazaniem Goethego: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*, zwiedził prowincyę francuską *Vendôme*, z której rodzina Mussetów pochodziła, szczegółową też podał genealogię tej starej rodziny szlacheckiej francuskiej poety „o masce i duszy Włocha renesansowego.“

Spokrewniony z du Bellay'em, a więc z plejadą, mającą w rodzinie rymotwórców, nawet i ojciec Alfreda w tym kierunku miał

słonności, młody jeszcze Musset, jakby przewidywał swoją przyszłość; oto co pisze do swego przyjaciela Faucher w 17 roku życia: „Nudzę się i jestem smutny, nie mam nawet odwagi aby pracować... Odkąd czytam dzienniki, wydaje mi się to, co piszą, wstrętne; nie wiem dla jakiego powodu, czy może dla szyderstw komentatorów, czy dla ich manii „urządzenia“ tego, co podają... Ale ja nie chciałbym pisać, albo też chciałbym być Shakespeare'em lub Schillerem, więc nie pracuję wcale... Nic mnie tutaj nie trzyma; oddałbym życie swoje za dwa sous, ileby dla pożegnania się z nim nie było konieczne przejście przez śmierć. Oto smutne rozmyślenia moje obecne. Ale wszak posiadam umysł francuski i czuję to! gdyby zjawiała się piękna kobieta, zapomniałbym o całym systemie ułożonym podczas tego miesiąca mizantropii... ubóstwiałbym ją conajmniej przez sześć miesięcy... Z wiekiem chyba dojrzeję, boć teraz zasługiwałbym na utopienie.“

Dojrzał też Musset rychło na sposób romantyczny, przeszedłszy przez klasyków mu współczesnych, zachwycając się klasykami dawnymi, Racine'em przedewszystkiem. Otworzyć swoje serce, wzruszyć sercem swoim serce czytelnika, w jakiej formie, rzecz mniejszej wagi—oto jego teoria, oto uczuciowość, która raz jeszcze jaskrawiej, dobitniej w pracy p. Séché zostaje zmanifestowana. Wobec takiej ważnej, pierwszorzędnej roli, jaką odgrywa uczucie w działalności pisarskiej romantyków wogóle, a i Musseta także, poznanie szczegółów, nawet najdrobniejszych, z życia poety pozwoli dopiero zrozumieć jego utwory i każdy sonet, każda poezja napisana pod wpływem jakiegoś wrażenia, jakiegoś uczucia silniejszego, temi zdarzeniami da się dopiero wytłómaczyć. A w tym względzie książka p. Séché, znawcy może najlepszego poezyi francuskiej, duże oddać może usługi.

Dalej, jak już wspominałem, mówi obszernie o przyjaciółtach Musseta, a więc o Alfredzie Tattet, o Ulriku Guttinger, o ks. Belgiojoso, o Royer de Beauvoir, o Feliksie Arver, o bracie wreszcie Pawle de Musset, autorze biografii pierwszej poety, biografii cennej bardzo, ale zbyt może dyskretnej i stronnej, biografii, której szczegóły niedokładne p. Séché, opierając się na dokumentach niezbitych, prostuje lub potwierdza.

Tom oddzielny tej pracy poświęcony jest kobietom, które odegrały rolę w życiu Musseta, a więc George Sand, Caroline d'Alton-Shée, ks. Belgiojoso, Rachel, Pauline Garcia, Allan-Despréaux i Louise Colet. Znajduje tutaj wytłómaczenie pobytu Musseta i Sand w Wenecyi, pobyt, który w tak rozmaity, a nieraz krzywdzący sposób dla jednej czy drugiej strony został przedsta-

wiany. P. Séché usposobieniem, charakterem, zarówno Musseta, jak i George Sand, tłumaczy w sposób usprawiedliwiający dla obojga nieporozumienie weneckie. Musset i George Sand w zgodzie żyć nie mogli, ponieważ zbyt się różnili, przytem Musset nie lubił ustępować, chciał, aby się do niego stosowano, chciał, aby kobieta, która z nim życie dzieliła, była przy nim na każde zawołanie, by nie przeszkadzała mu w niczem, kiedy humor, czy chwilowa zachcianka wzywały go gdzieindziej; ale takiego zachowania się u swej towarzyszki nie tolerował, bo był zazdrosny do przesady; obchodził się też Musset z George Sand niejednokrotnie w sposób niemiły, na co pisarka uskarżała się w swej korespondencji: „dusza jego — powiada w jednym z listów do Pagello — niema siły, ani prawdziwej szlachetności... nie utrzymuje się w godności takiej, w jakiej zachować się winien.“ Kiedy George Sand jest chora i „leży w ciężkiej gorączce,“ zamiast jej pilnować, Musset „odwiedza teatru, muzea i restauracje...“

Z innych kobiet, o których mówi p. Séché, wspomnę jeszcze Louise Colet i Rachel. Louise Colet żyła z Flaubertem, ale poznawszy Musseta, zakochała się w nim i prześladowała go nawet swoją miłością tak, że Musset musiał zapowiadać odzwiernej, iżby nigdy nie wpuszczała jej do domu. Nawiasem mówiąc i Louise Colet (tak samo, jak Sand) napisała powieść na tle swoich stosunków z Mussetem i Flaubertem.

Stosunek Rachel z Mussetem z tego względu zasługuje na wzmiankę, że dzięki tej artystce Musset nabrał zamiłowania do układania sztuk teatralnych, których zresztą nigdy nie wykończył, ponieważ stosunek jego z Rachel trwał niedługo, a po jego zerwaniu Musset przestał myśleć o teatrze...

Pan Leon Séché pisał swoją książkę, opierając się na dokumentach dotychczas nieznanych; większość tych dokumentów podaje w całości, inne w wyjątkach przytacza; zestawiając je z dawniej znanymi, odtwarza to środowisko, w jakim wychował się i żył Musset—ten był cel i to jest główne zadanie książki, posiadającej wartość nie tylko dla biografii samego Musseta, ale i dla historii romantyzmu francuskiego, którym, w ostatnich kilku miesiącach, jak już widzieliśmy wyżej, a co także skonstatujemy jeszcze później, paru zajęło się krytyków literackich francuskich i to nie najgorszych.

\*

\*

\*

Obok Alfreda de Musseta, inny znowu romantyk, Alfred de Vigny, przez czas dłuższy zapomniany, znalazł umiejętnego krytyka. Pan Firmin Roz wydał mianowicie o nim studyum psychologiczne—broszurkę niewielką o czterdziestu kilku stronach... Przed paru laty akademia francuska ogłosiła konkurs na napisanie studyum o de Vigny; między nadesłanemi pracami wyróżniła pracę p. Roza, która dosadnym jest tego przykładem, że niekoniecznie książka musi być obszerna, aby była dobra i ciekawa...

Alfred de Vigny, którego „działalność literacka imponuje zarówno przez swoje znaczenie, jak i przez piękno,“ wyraża najlepiej, najjaskrawiej ten kryzys, jaki wywołał cały ruch romantyczny: „odosobnienie jednostki, pozbawionej oparcia, a chcącej być wolną; zawód duszy, którą nadzieja wielka poruszyła, a którą życie brutalnie odrzuca od ideału.“ Vigny wszedł w życie samotny i rozczarowany; było to uczucie ogólne, choroba wieku... Ludzkość obudzona z marzenia oderwanego od życia, podnosi swe spojrzenia w stronę nieba... Optymizm lat ubiegłych zostaje zastąpiony przez smutek.“ Te cechy rzucają się w oczy w pismach Lamartine'a, należy ich szukać, o ich istnieniu się domyśleć w poezjach i w prozie de Vigny'ego. Oto powód, dla którego współcześni nie poznali go i nie zrozumieli...

We wszystkim tem, co de Vigny napisał, istnieje pewna głębia, wielka oryginalność. „Najprzód melancholia natchnienia i nietylko ta, która wyraża uczucie wobec przyrody, wielkich ruin, majestatu horyzontów i szumu nieokreślonego pięknych samotności, ale również i ta, która się pogłębia i dopełnia w miarę rozszerzania się horyzontów życia duchowego i samotności bez końca.“ A dalej smutek przeznaczenia, zawody i rozczarowania, pesymizm. Wrażliwy, dumny, musiał de Vigny w zetknięciu z życiem być pesymistą...

„Ten romantyk, jeden z pierwszych,—pisze p. Firmin Roz—ten brat Sénancourt'a, Chateaubrianda, Lamartina, dał początek „poematowi“ bezosobowemu. Kiedy romantyzm zapragnął się rozszerzyć, zmienić, nie mógł nic lepszego zrobić, jak powrócić do koncepcji *Poèmes antiques et modernes*... Victor Hugo w *Legende des Siècles*, autor *Poèmes barbares*, w tym względzie wiele de Vigny'emu zawdzięczają. Z drugiej strony w *Les amants de Montmorency*, miejscami w *La Sauvage*, ustęp niejeden zapowiada następców. Każdy poeta-filozof ma coś w sobie z *Destinées*.“

Powiada p. Roz na wstępie swego studyum, że dzieła Vigny'ego, nawet dla czytelników uważnych, pozostają zawsze jakby w oddaleniu, w tajemnicy, nie udzielają się, ale pociągają i za-

trzymują. To rzecz pewna, że swoją pracą p. Roz uchylił trochę tej zasłony, pozwolił poznać bliżej jednego z podoficerów szeregu romantycznego, który czasami bywał oficerem i generałem nawet, ale w wypadku ostatnim naczelnikiem dyskretnym, którego geniusz po przez innych dawał się poznawać.

\*

\*

\*

W *Listach Paryskich* chciałbym zawsze, obok rozmaitych kwestyj, odnoszących się do autorów dawnych, ustęp jeden poświęcić pisarzom nowym, przedewszystkiem tym, którzy żyją dzisiaj, albo tym, którzy wczoraj umarli, ale których wpływ w piśmiennictwie współczesnem pierwszorzędnej jest wagi. Do takich pisarzy należy autor *Fleurs du mal*, „jeden z pięciu czy sześciu wielkich poetów XIX wieku,“ jak go nazywa Remy de Gourmont w swych *Przechadzkach Literackich*.

Romantyk czy parnasista, a niezawodnie i romantyk i parnasista, Baudelaire, jest jednym z poprzedników dzisiejszego symbolizmu; naśladowców ma wielu i długo mieć ich jeszcze będzie, naśladowców niejednokrotnie „głupich,“ jak mówi Lanson, „ale wszak za to winić go nie można.“ Nie ulega wątpliwości, że w zachwytach nad Baudelairem niejednokrotnie snobizm odgrywa rolę pierwszorzędną; ludzie zdegenerowani, neuropaci, hysterycy szukają w pismach jego natchnienia, szukają usprawiedliwień dla swych postępów chorobliwych... Jeszcze przed kilku laty podczas procesu barona d'Alderswald'a, wyszło na jaw, że odczytywanie poezyj Baudelaire'a towarzyszyło mszom czarnym, jakie ten paniczek organizował dla siebie i swych znajomych... Są to jednak szczegóły, które w niczem nie zmieniają znaczenia, jakie Baudelaire posiadał i posiada w piśmiennictwie francuskim, a nawet europejskiem...

W ostatnich miesiącach trzy nowe książki poświęcone Baudelaire'owi pojawiły się w handlu księgarskim: Życiorys poety, napisany przed kilkunastu laty przez Eugeniusza Crepet, a uzupełniony dzisiaj przez Jakóba Crepet, z dołączeniem zbioru anegdot Asselineau o Baudelaire, oraz listów do poety pisanych, korespondencya Baudelaire'a, wreszcie książka p. Cassagne teza doktorska—o wersyfikacyi i metryce Baudelaire'a. Trzy te książ-

ki rzucają z niektórych względów nowe światło na autora *Fleurs du Mal*, a co najważniejsza, są jakby potwierdzeniem, zadającym kłam fałszywym legendom rozmaitym, poniekąd utartym lub ucie-  
rającym się o Baudelaire, potwierdzeniem wielkości poety, jego szczerości, szczerości jego pism...

Studjum p. Crepet jest wyłącznie studjum biograficznem, podającym najdrobniejsze szczegóły z życia poety. „Ogłoszenie takiej biografii jestto największa usługa, jaką stronnicy poety oddać mogą jego pamięci,” powiada p. Crepet i powiada słusznie: jedynie przez to poznanie życia jaknajdokładniejsze można się przekonać, czy należy się „obawiać, aby nie zostać oszukanym,” czy też można przystąpić do Baudelaire’a z całym zaufaniem, bez narażenia się na zawód jaki... Przyjrzyjmy się jednak temu życiu, w paru słowach, streśmy jego przebieg...

Urodzony w Paryżu, kilka zaledwie lat mając, stracił Baudelaire ojca; wychowywał się później w domu matki i ojczyma p. Aupick. Najprzód w kolegium w Lyonie, a później w Paryżu, kształcił się on do roku 1839, kiedy niewiadomo z jakiego powodu został ze szkoły wydany. Od młodości mając pociąg do pióra, Baudelaire chciał być pisarzem; rodzicom, a szczególnie ojczymowi, p. Aupick, ten rodzaj zajęcia nie podobał się, to też aby rozerwać przyszłego poetę, a zarazem ułatwić mu zapomnienie aspiracyj pisarskich, wysłano go w podróż do Kalkuty; podróż ta trwała blisko rok, Baudelaire, niedojechawszy do celu, niemal przemocą wrócił do Francyi, bynajmniej nie zmieniawszy swoich dawnych zamiarów. Kiedy doszedł do pełnoletności, kiedy mógł rozporządzać spadkiem po ojcu, całkowicie oddał się piśmiennictwu, co było powodem nieporozumienia między nim a rodzicami.

Ważny wpływ na Baudelaire’a, począwszy od tego czasu, wywierała Janina Duval, mulatka, dziewczyna złego bardzo prowadzenia, pijaczka, wkrótce sparaliżowana, ale do śmierci samej przez poetę nieopuszczona, zjadająca fortunę, jaką Baudelaire po ojcu otrzymał. Inną znowu kobietą, która w życiu poety odegrała pewną rolę, była pani Sabatier... Wspominam o tych dwóch kobietach tylko, chociaż były i inne, bo one właściwie życie poety wypełniły. Mulatka—upodobanie, kaprys—przywiezione z podróży i pani Sabatier kontrast rażący z Janiną Duval, miłość więcej idealna, niespodziewająca się niczego, która w końcu z miłości zamieniła się na przyjaźń.

Pracując, odwiedzając znajomych i przyjaciół, zawsze potrzebując i poszukując pieniędzy — żył Baudelaire w Paryżu bądź w Honfleur, żył do czasu, dopóki ze wszech stron gęębiony przez

wierzycieli, nie był zmuszony do wyjazdu... Wychwalano mu Bruksellę, obiecywano zarobki wielkie z odczytów, to też na wiosnę 1864 r. pojechał do stolicy Belgii, niby na czas pewien, do chwili, kiedy interesy swe finansowe ureguluje... Dopiero jednak złożony chorobą, po pierwszych atakach paralitycznych, wywołanych ciężkimi warunkami życiowymi, a niezawodnie także i nadużywaniem rozmaitych podniecających środków, na kilkanaście miesięcy przed śmiercią przywieziony został do Paryża i umieszczony w domu zdrowia, w którym (dn. 31/VIII 1867) żywota swego dokonał, przeżywszy lat 46.

Dopełnienie do ciekawej książki p. Crepet stanowi korespondencya Baudelaire'a, wydana przez księgarnię *Mercure de France*. Większość listów, jakie zawiera, były adresowane do Poulet-Malassis, wydawcy i przyjaciela poety, a nawet współtowarzysza wygnania w Brukselli.

Kiedy się te listy czyta, jedna rzecz przedewszystkiem uderza: ciągły brak pieniędzy u Baudelaire'a, brak chroniczny; pisze o nie do matki, do swego rejenta Ancelle, najczęściej do wydawcy Poulet-Malassis, a czasami do Towarzystwa Literackiego, którego jest członkiem; żąda przysłania natychmiastowego; są to sumy najczęściej drobne, ale czasami też i większe. Powiedzieć można, że Baudelaire całe swoje życie, a przynajmniej część tego życia, przemyślał skądby pożyczyć, aby dług jaki nagły zapłacić, aby weksel wykupić. Te kłopoty finansowe nie małą odegrały rolę w chorobie Baudelaire'a, a i w potrzebie, jaką odczuwał, podniecania się sztucznego, aby pod wpływem tego podniecenia mózgu pracować.

W listach do Poulet-Malassis, niezrozumiała ciągle jest mowa o rozmaitych kwestyach wydawniczych: bądź o nowych jakichś wydaniach, bądź wymówki za niedbale zrobioną korektę, bądź groźby nawet zmiany wydawcy. Mimo stosunków przyjaznych, jakie między Baudelairem i Poulet-Malassis istniały, kilkakrotnie doszło niemal do zerwania tych stosunków...

Ale listy Baudelaire'a dają nam przedewszystkiem możność wniknięcia w duszę autora, przekonania się o jego szczerości, stawianej niejednokrotnie w wątpliwość. W r. 1866 o *Fleurs du mal* do Ancelle'a tak pisze: „Czyż trzeba Panu powiedzieć, Panu, który nie domyślił się tak samo, jak inni, że do tej książki włożyłem całe swoje serce, całą moją uczuciowość, całą moją religię, całą moją nienawiść! Gdybym powiedział co innego, gdybym przysięgał na bogów, że jestto książka sztuki czystej... kłamałbym, jak wyrrywacz zębów (arracheur de dents).“

Albo w innym znowu miejscu pisze do Sainte Beuve'a: „Kiedyś powiedziała mi pewna kobieta: To nadzwyczajne. Pan ma wygląd bardzo przyzwoity, myślałam, że Pan jest zawsze pijany i że Pan źle pachnie. *Mówiła do mnie na podstawie legendy.*“ I właśnie tej legendzie korespondencya kłam zadaje. Widzimy w niej poetę zajętego sprawami wzniosłymi, poważnemi, świadomego swej wartości, dumnego nawet, przepowiadającego sobie przyszłość jaknajlepszą, stosującego do siebie wyjątek z ody pewnej Shelleya: „Należę do tych ludzi, którzy nie są lubiani, ale których się nie zapomina. Moje *Fleurs du mal* pozostaną (resteront)...“

Powodowany tą dumą, tą pewnością siebie, Baudelaire stawiał nawet swoją kandydaturę na członka akademii francuskiej; przypuszczam, że to była mistyfikacya, albo figiel. Ale i w tym wypadku, jak to widać z jego listów, autor *Fleurs du mal* postępował szczerze: chciał być członkiem akademii, ile że uważał, iż zaliczenie w jej poczet jestto do pewnego rodzaju uświęcenie tradycyjne talentu literackiego. Naturalnie członkiem akademii nie został, ale ze starań podjętych w tym kierunku wyszedł z honorem i gdyby nie choroba i wyjazd do Brukselli, zapewne i później jeszcze kandydaturę by swoją postawił i może został mianowany członkiem...

Ciekawe i pouczające co do stosunków prasowo-literackich są listy Baudelaire'a, odnoszące się do epoki jego procesu w sprawie *Les Fleurs du mal*. *Figaro* umieściło o książce tej notatkę, która wzbudziła podejrzenie co do jej prawomyślności. Skonfiskowano nakład, wytoczono proces autorowi i wydawcy. Baudelaire pisze do ministrów list, w którym wykazuje moralne strony książki, prosi o protekcyę Edwarda Thierry. „Nie jestem zupełnie winny; przeciwnie, jestem dumny, że napisałem książkę, która przepehiona jest wstrętem dla złego.“ Adresatowi wskazuje wyjątki z pism innych autorów (Lamartine'a, Berangera), gorsze daleko od *Fleurs du mal*, a jednak nie przesładowane. (Zbiór dokumentów do procesu Baudelaire'a podaje p. Crepet w swej biografii, str. 227—234: artykuł *Figaro*, notatkę Sainte-Beuve'a bardzo dowcipnie zredagowaną, w której znalazłszy krytyk daje do zrozumienia, że oskarżenia Baudelaire'a nie podziela, wreszcie instrukcyę Baudelaire'a dla adwokata. „Książka ma być sądzona w całości, a wtedy wypłynie z niej straszny sens moralny (terrible moralité).“ Baudelaire'owi wytoczono proces o trzynaście tylko poezyj, sądzono każdą oddzielnie. „Błąd mój jedyny—ciągnie dalej—był ten, że zbytlicho liczyłem na inteligencyę czytelnika; trzeba



było poprzedzić książkę wstępem i wyłożyć w nim swoje teorie literackie, wyświetlając tak ważną kwestyę, jaką jest inoralność...“

Że Baudelaire, pisząc *Fleurs du mal*, był szczerym, dzisiaj, po wydaniu jego korespondencji, po ogłoszeniu biografii uzupełnionej najnowszemi badaniami, wątpić nie można. Te dwa wydawnictwa nietylko bliżej pozwalają poznać działalność pisarską wielkiego poety, ale także ułatwiają poznanie Baudelaire'a, jako człowieka. Baudelaire, jako człowiek, na nich zyskał, co tembardziej jest pocieszające, że wpływ jego bynajmniej nie ustał, jakto już wspominałem, a trwa ciągle—i trwać długo jeszcze będzie.

Na zakończenie słów parę powiem o książce p. Cassagne p. t. *Wierszowanie i metryka Baudelaire'a*. Traktuje ona, jak zresztą sam tytuł wskazuje, o jednej tylko stronie, że tak powiem formalnej, formie poety, i oto do jakich dochodzi wniosków:

„Baudelaire jest bardzo miernym rymotwórcą (rimeur) z powodu braku giętkości syntaktycznej, a więcej jeszcze z powodu słabej wynalazczości, odnoszącej się do wyrazów.“ Uległ jednak, tak samo, jak inni, prawu romantyzemu, rymu najbogatszego (rime richissime), a skoro uległ, to dla tego, że narzucił mu się ten rym tak silnie, iż nie mógł go nie przyjąć. Baudelaire był niezależny, niesforny, niezinęczony, chorobliwy nawet w poszukiwaniu nowości. Pragniemy, pisał:

Plonger au fond du gouffre, Enfer ou Ciel qu'importe?

Au fond de l'Inconnu, pour trouver du nouveau.

Nie był człowiekiem, któryby się mógł zaspokoić istniejącymi formułami, czy przepisami, szczególnie o ile go krępowały. Chociaż ustąpił we względzie rymu, starał się powetować we względzie rytmu. Ambicyą jego było wyemancypowanie się z pod wpływu istniejących form poetyckich. Tendencya romantyków, mająca na widoku zbliżenie poezyi do prozy, silniej u Baudelaire'a występuje niżeli u innych. Baudelaire nie stworzył jednak metryki nowej, dał raczej wskazania, jaką drogą iść należy do jej stworzenia, dał wskazania dla tych, co po nim nastąpili i nastąpią.

Praca p. Cassagne zbyt jest specyjalna, abym się nad nią dłużej rozwodził; to też poprzestanę na tych kilku uwagach, które uważałem za potrzebne choćby ze względów czysto informacyjnych.

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

# MARLOWE i MICKIEWICZ.

(Przyczynek do genezy III-ej części „Lziadów“).

Marlowe jest jednym z t. zw. „poprzedników Szekspira,“ do których należeli: Nash, Kyd, Lyly, Greene i Peele, i wśród nich bezsprzecznie najgenialniejszy. Z całą świadomością występował on przeciw starym formom, a tworzył nowe, z całą wiarą i zapałem rzucał fundamenta pod wielki gmach szekspirowskiego dzieła. Do Marlowe'a, albo raczej do całej epoki „predecessors of Shakespeare“ nie było w Anglii właściwego dramatu — były jak wszędzie moralitety i misterya, były uscenizowane panflety polityczne, były widowiska nakształt żywych obrazów z krótkimi dyalogami lub monologami, były wreszcie graniczące najbliżej z dramatem interludya. Na scenie jedynie, bez żadnych zastrzeżeń i ograniczeń panowała allegorya. Marlowe był jednym z pierwszych, którzy zerwali z tą tradycją. Wprowadził na scenę ludzi, uposażył ich w prawdziwe namiętności, kazał im cierpieć prawdziwe bóle i przechodzić prawdziwe zawody, sprowadził scenę z obłoków na ziemię, za zadanie uznał nie roztrząsanie ascetycznych, o zaświaty potracających pytań, ale malowanie życia takiego, jakie widział wkoło siebie.

Ale Marlowe nie miał w tym kierunku poprzedników, nie miał wzorów do oblekania w formę dramatyczną ludzkich dążeń i rozczarowań, lotów i upadków, buntów i klęsk. We wszystkich jego postaciach znajdujemy jakieś resztki alegorycznego charakteru z wcześniejszych sztuk — każdy z jego bohaterów posiada jeden charakterystyczny rys, podniesiony do najwyższej potęgi — to nadaje im pewną nadnaturalność, to są nadludzie lub ludzie na miarę takich zapędów, jakie szarpały piersią Marlowe'a. W „Ta-

merlanie“ mamy nieograniczoną żądę panowania; w „Żydzie z Malty“ odgrywa się tragedia nieograniczonego pożądania zemsty; „Faust“ dla nieograniczonego pragnienia wiedzy i używania życia, oddaje duszę. W słabszych dramatach, w „Edwardzie II“ widzimy postać młodego Mortimera, który o koronie królewskiej marzy, a w „Rzezi Paryskiej“ wygłasza ks. Guise zdanie, które charakteryzuje już nie tylko wszystkich bohaterów marlowe'owskich dramatów, ale i samego autora:

Tego pragnę najwięcej, co wysoko nademną się unosi.

Oprócz jednego zasadniczego rysu w każdej postaci, nie spotykamy w jej rysunku psychologicznym żadnych ubocznych szczegółów. Marlowe'a nie stać jeszcze zupełnie na walki wewnętrzne w rodzaju Othella, Leare'a czy Hamleta, jak niestać go jeszcze na prawdziwą dramatyczną budowę. Przecież i pod tym względem ma on duże znaczenie. Nie pozwolił dramatowi angielskiemu, który wtedy pierwsze zaczął stawiać kroki, pójść za wzorami współczesnego francuskiego klasycznego teatru, ale wskazał mu własną jego drogę t. zw. romantycznego dramatu. Jego dzieła są wcieleniem zaprzeczeniem trzech jedności, nawet co do akcji. Zamiast niej znajdujemy prawie wszędzie u niego szereg epizodów, połączonych postacią bohatera. Marlowe dramaty swoje pisał jedynie dla wielkich postaci, którym podkładał swoje burzące marzenia i nieograniczone zapędy—może zresztą zupełnie nieświadomie—i starał się pokazać nam siłę tych postaci w różnych chwilach, a te chwile odsłania na scenie jedne po drugich, nie troszcząc się o ich związek dramatyczny między sobą.

Ale ta niedoskonała budowa powstała ze świetnego materiału, który niedługo potem ręce genialniejsze użyją na wybudowanie wspaniałego gmachu. W tych samych rękach biały wiersz, wprowadzony przez Marlowe'a, a uniejący w jego dramatach wyrażać tylko patos i silne namiętności, stanie się instrumentem, zdolnym oddać najgłębszą filozofię ludzkich myśli.

\*

\*

\*

Marlowe i Mickiewicz — zestawienie conajmniej dziwne ze względu na epoki, narody i prądy. A jednak między głównymi utworami tych poetów, między „Doktorem Faustem“ a III-ią częścią „Dziadów“ znajdziemy dużo pokrewieństwa, co więcej, może znajdziemy ślady wpływu bezpośredniego starej angielskiej tragedji na romantyczny dramat polski. Mówić jednak o wpływie Marlowe'a na Mickiewicza jestto narażać się na niebezpieczeństwo budowania na niesłychanie kruchych fundamentach.

Zadnej wskazówki wprost nie można, jak dotychczas, znaleźć, że Mickiewicz wogóle Marlowe'a znał; można jednak, opierając się z jednej strony na samej III-iej części „Dziadów“, z drugiej, biorąc pod uwagę mniej lub więcej pewne zewnętrzne ewentualności, dojść do przekonania, że pierwsze dramatyczne opracowanie sagi faustowskiej nie pozostało bez wpływu na utwór Mickiewiczowski.

O stosunku „Dziadów“ do najlepszego opracowania Faustowskiej sagi, pisał prof. Kawczyński w rozprawie: „Dziadów część trzecia w stosunku do romantyzmu francuskiego,“ gdzie mówi o możliwości wpływu ostatniej sceny II-iej cz. „Fausta“ na pomysł snu Ewy i gdzie zestawia bardzo szczegółowo pokrewne motywy im prowizacyi z motywami monologu i sceny z Duchem Ziemi (Erdgeist) z „Fausta,“ zaznaczając jednak silne różnice między bohaterami tych dwóch arcydzieł. Na stosunek „Dziadów“ do „Fausta“ Marlowe'a, zdaje mi się, nikt dotychczas nie zwracał uwagi, jak wogóle o Marlowie nic u nas dotychczas nie pisano.

„The Tragicall History of Doctor Faustus,“ która cieszyła się wielkiem powodzeniem za swoich czasów, nie straciła go i w późniejszych latach; w XVIII w. przedrukowano ją w sławnym zbiorze Dodsley'a (1744), w XIX w. liczy ona już wydań 13, z których dwa (1818 — 26 Oxberry, 1826 Robinson) przypadają przed wydaniem III-iej cz. „Dziadów.“ W r. 1818 ukazał się jej niemiecki przekład przez Wilhelma Millera <sup>1)</sup>. Wogóle zajmowano się nią dosyć w Niemczech dzięki „Faustowi“ Goethego, który chciał nawet tragedję Marlowe'a tłómaczyć, zanim zaczął swoje arcydzieło <sup>2)</sup>. Właśnie ten utwór Goethego na którego przedstawieniu był Mickiewicz w 1829 r. w Wejmarze i który tak krytykował przed Odyńcem, mógł skierować go do poznania Marlowe'a. Jeśli jeszcze nie w Rzymie, to potem w Dreźnie nastąpiła się

<sup>1)</sup> Dictionary of National Biography. T. XXXVI, str. 184.

<sup>2)</sup> Ibidem.

do tego dobra sposobność. Był to właśnie okres następujący bezpośrednio po śmierci Goethego, gdy świeżo ukazała się pierwsza część „Fausta,” w wydaniu „der letzten Hand,” a miała zaraz wyjść druga (w grudniu 1832), kiedy więc myśli literackiego świata musiały być tem do pewnego stopnia zajęte.

Takie to są tylko bardzo wątłe dowody, które można przytoczyć z zewnątrz, z po za dzieła, na poparcie twierdzenia, że i Marlowe ma swoją część wpływów w „Dziadach.” Częstkę — bo z góry zaznaczyć trzeba, że wpływ ten, jeśli był, ogranicza się do niewielkiego zakresu, do jednego ważniejszego motywu i paru podrzędnych — ciekawy jest jednak przez sam fakt swego istnienia, przez to, że ów motyw ważniejszy wprowadzony do poematu, rozbił — jak będę się starał dowieść — jego kompozycję pierwotną, a raczej przyczynił się do dzisiejszego układu „Dziadów.”

Motyw to stary, jak zasięgnie ludzka pamięć, a odnaleźć go można we wszystkich okresach dziejów ducha ludzkiego. O najcenniejszą na ziemi rzecz, o duszę ludzką, walczą potęgi dobre i złe od stworzenia świata, by ją przeciągnąć na swoją stronę, by ją zrobić uczestniczką swojej niedoli lub szczęścia. W rozmaitych epokach pojmovano tę walkę rozmaicie, głębiej lub mniej filozoficznie; jeżeli w księgach Joba znajdziemy człowieka jako ofiarę sporów między dwiema mocami (abstrahując naturalnie od potęgi charakteru Joba i patrząc na niego jedynie pod kątem widzenia właśnie tej walki) to np. u Marlowe'a widzimy, że cały ciężar winy spoczywa na samym człowieku. W „Tragicznej Historii Doktora Fausta” są dwie główne nici osnowy. Jedna z nich to dążenie Fausta do nadczołowieczeństwa, do wyrównania Bogu we władzy i używaniu życia. Rozważając we wstępnym monologu wartość każdej nauki i wspominając, że swymi przepisami lekarskimi uratował całe miasta od zarazy, skarży się, że „przecież wciąż jest Faustem tylko i człowiekiem,” przeto oddać się chce Magii, gdyż wtajemniczony we wszystko magik jest potężnym bogiem.“

Drugi wątek w treści „Fausta” stanowi walka o jego duszę. Są tu dwie sfery duchów. Jedne, którym on zapisał duszę za 24 lata używania życia bez ograniczeń, są to z ludowej sfery i z apokryfów dyabli: więc Mefisto, więc Lucyfer i książę piekieł Belzebub. Nie one wiedą na pokuszenia (przynajmniej drobne), nie one podsuwają obrazy rozkoszne dla ułomnych śmiertelników, ale przychodzą, kiedy dusza już znękana, doprowadzona do rozpaczy,

przejęta duchem buntu, bluźniąca nawet Bogu <sup>1)</sup>. Takie zmiany w duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże, dzieją się wskutek podszeptów duchów z innej sfery, które noszą u Marlowe'a miano złych aniołów „bad angels,“ a których wiernymi towarzyszami są zawsze duchy dobre, „good angels.“ W ten sposób, najodpowiedniejszy swojej średniowiecznej duszy, lubującej się w symbolach, przedstawia Marlowe dobrą i złą stronę duszy ludzkiej, żądzę i świadomość grzechu, pęd ku rozkoszy i sumienie. Zjawiają się aniołowie: dobry i zły, wiele razy w momentach dla Fausta najważniejszych — a więc gdy rozważa naukę czarnej magii i poświęcić się jej zamierza, przed wezwaniem ostatecznym Mephostophilisa lub kiedy rozpacza, że jest zgubionym na wieki wieków, wreszcie gdy opiera mu się Mefisto, nie chcąc odpowiedzieć, kto stworzył świat. I zawsze, stosownie do swojej natury, tylko radzą, tylko zachęcają albo do wytrwania w nauce czarnoksięskiej, lub do pokuty — są to tylko podszepty natury, a Faust ma wolne ręce i może wybierać między zbawieniem i zgubą. Nie mają nad nim żadnej władzy, bo są w nim i są nim — zła wola i dobra wola. A wreszcie, gdy pomimo próśb i nawoływań dobrego anioła, mimo zapewnień, że na pokutę jego nigdy nie jest zapóźno, Faust uląkł się gróźb, usłuchał rad swego złego anioła i skazał się na męki piekielne, zjawiają się obaj po raz ostatni, w godzinę jego śmierci i przed oczy stawiają mu dwa obrazy przyszłości: jednej, uwielbionej, gdyby szedł za swoją dobrą wolą — drugiej, strasznej, która go za 24 lata rozkosznego życia czeka przez wieki.

Do tej sfery duchów należy też i „stary człowiek“ („old man“), wielony głos Boży lub może naprawdę jakiś święty pustelnik o mistycznym charakterze średnich wieków, który Fausta upomina jak ojciec, wystawia mu przed oczy przyszłość, która go czeka, a kiedy Faust w rozpaczę chwyta za sztylet, podawany mu przez wiernie przy nim stojącego Mefista, wstrzymuje go w samobójczym zapędzie i obiecuje szczęście, jeżeli Faust zacznie pokutę. Lecz Fausta, którego słabość, jako człowieka, maluje in-

---

<sup>1)</sup> „... Kiedy usłyszymy kogoś,  
Jak Imię Boga znieważa i pisma  
Wyrzeka się i swego Zbawiciela,  
Lecimy zdobyć duszę żądną chwały,  
Ale nie wcześniej, aż się chwyci środków,  
Które jej grożą wiecznym potępieniem.

tuicyjnie Marlowe nadzwyczaj szczęśliwie, przeraziły znów groźby Lucyfera, że mu w sztuki poszarpie jego duszę—więc rzuca myśl pokuty, poddaje się szatanowi, każe dręczyć nawet „starego człowieka“ wszystkimi mękami, jakich tylko piekło dostarczyć może, za jego namawianie do pokuty. Ale Mefisto nie ma dostępu do duszy starego męża, gdyż za silnie ona wierzy i udręczenia ciała nie zdołają wyrzucić na niej żadnego wpływu.

Wyraźnie więc u Marlowe'a odrzynają się od siebie te dwie sfery duchów, zewnętrzna i wewnętrzna, w zakresie swego działania. Mefisto i Lucyfer pilnują duszy Fausta, pomagają mu do zguby czynnie, wszak ten pierwszy podaje mu sztylet w chwili rozpacz, przynosi ogień do rozgrzania krwi skrzepłej na ramieniu przed podpisywaniem cyrografu, Lucyfer straszy Fausta swym dzikim wzrokiem. Duchy z drugiej sfery, „aniołowie“ (dobrzy i źli) są tylko doradcami, a jeżeli np. zły duch grozi, to groźba jego wspomina o dyabłach, iż go rozedrą, on sam nie będzie w tem mieć udziału. „Stary człowiek“ jest do pewnego stopnia przeciwnikiem wpływu Mefista, lecz również żadnej władzy niema. Na tem zyskuje niezawodnie tragedia, staje się głębszą i więcej interesującą ze względu na możność wyboru Fausta i ta rola tych duchów dominuje do tego stopnia w dramacie, że zapominamy prawie o złych wpływach Lucyfera i Mefistofelesa i karę Fausta uważamy za sprawiedliwą.

Takie sama dwie sfery duchów: zewnętrzna i wewnętrzna, które Marlowe przejął z wcześniejszych średniowiecznych moralitetów angielskich, spotykamy w III-iej cz. „Dziadów. Samo pojawienie się podobnych motywów w obu utworach bynajmniej jeszcze nie dowodzi wpływu Marlowe'a, ale sposób, w jakim motyw został przez Mickiewicza opracowany i stosunek jego do całości utworu daje pewną podstawę do postawienia tak hazardowej hipotezy.

Z duchami spotykamy się u Mickiewicza przedtem za często. Wiara w nie, jedno z przykazań romantyki, przechodzi u niego różne fazy, od bardzo naiwnej do bardzo głęboko mistycznej. Nigdy jednak wiara ta nie popada w takie ekstrawagancje, jakie zdarzały się u romantyków np. niemieckich, nigdy u niego nie mają duchy takiego bezpośredniego wpływu na ludzi, jak chociażby u Waltera Scotta. W balladach pierwiastek ten jest jeszcze najsilniejszy i najłatwiejsze są do pojęcia przyczyny istnienia jego w takim stopniu. W „Ucieczce“, „Rybce“ czy „Liliach“ idzie młody poeta za poezją niemiecką, za wiarą ludową. Stąd też w nich duchy są pojęte w tem najpierwotniejszym przedstawie-

niu, jako zwiastuny lub wykonawcy kary nadnaturalnej. Ciekawa swoim odwrotnem pojęciem jest „Dziadów“ część II-ga. Tam duchy nie tylko nie mają na ludzi żadnego wpływu, ale ludzie niosą im pomoc i pociechę. Do nich, do ludzi, zbiegają się potępienci i duchy szukające napróżno drogi do raju. Tak więc wytwarza się w duszy poety pojęcie związku najściślejszego między tymi, co są, i tymi, co byli pomiędzy światem zjawisk a światem, który my nazywamy światem cudów. Wiara ta jednak nie wydaje się naprawdę szczerą, jest raczej poetycznym środkiem. Wprawdzie Gustaw w IV części mówi do księdza:

Gdyby z twych oczu ziemskie opadło nakrycie,  
Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,  
Umarłą bryłę świata pędzące do ruhu.

Pamiętajmy jednak, że zaraz po tych słowach następuje wezwanie Gustawa do dzieci: „Chodźcie pod kantorek“ i niefortunny „głos z kantorka.“ Wygląda więc to wszystko raczej na powtarzanie zasad, przejętych z romantyki niemieckiej, powtarzanie tylko ustami, gdyż te artykuły romantycznej wiary nie stały się jeszcze istotą duszy Mickiewicza. Mało tu jeszcze ciepła, które ma każda głęboka, naiwna wiara, a mistycyzm dość powierzchowny.

Inaczej jest w III-ej części „Dziadów“ — tam po raz pierwszy przebiega się ów nastrój mistyczny, który miał się stać główną treścią duszy Mickiewicza w jego późniejszych latach. Wystarczy porównać w tym celu ostatnią scenę „Dziadów“ III-ej części z obchodem „Dziadów“ w II-ej części. Tu i tam ta sama chwila i miejsce — cmentarz i kaplica — północ, granica dnia i Wszystkich Świętych i Zaduszek, pełna tajemnic godzina — tak samo guślarz i pasterka, tylko tłum pozostał w głębi, aby nie mącił nastroju. Zjawiają się duchy Doktora i Bajkowa, które sprawiają na widzu większe wrażenie, niż widziadła z drugiej części. Być może, że do tego przyczynia się i to, że śniny Doktora i Bajkowa znali za życia — czuć jednak, że poeta wierzył w to, co pisał teraz, silniej, niż przy podobnym opisie, wcześniejszym o lat dziesięć — i choć upiory te wprowadzone są jedynie dla pokazania Konrada na końcu sceny, lub po części dla połączenia „Dziadów“ III-ej części z poprzedniemi; już sam sposób opracowania, że nie zjawiają się wywołane, lecz same, że ludzie nie niosą im pomocy, nadaje im mistyczny czar; przynoszą one z sobą powiew innego, naprawdę nadnaturalnego świata, który możemy przeczuć w snach i w mistycznych tylko chwilach widzieć niemal na jawie, a w który poeta wierzył i w którego wiarę w nas przelewa.



Nie o tych jednak duchów mi chodzi — są to tylko upiory. Należąc widocznie jedynie z konieczności do „Dziadów“, nie odgrywają w nich żadnej roli. Przytoczyłem je tylko dla wykazania tego pogłębienia i przekształcenia Mickiewiczowskiej wiary, które także widać w owych dwóch sferach nadnaturalnych postaci w całym poemacie, analogicznych do dwóch sfer duchów angielskiego poety, o których wyżej była mowa. Są to „głosy z prawej i lewej strony“, odzywające się w Improwizacyi i „duchy z prawej i lewej strony“, występujące w prologu i w scenach po Improwizacyi. Role ich odróżnić łatwo — „głosy“ symbolizują walkę wewnętrzną Konrada — „duchy“ toczą walkę o duszę więźnia. Przy bliższem rozpatrzeniu wychodzą na jaw silne niekonsekwencye w traktowaniu motywu duchów ze sfery zewnętrznej. Jeszcze silniej będą one występowały, gdy przypomnimy sobie, że dzisiejszy Prolog był pierwotnie sceną IX-tą. Najlepszy rękopis „Dziadów“ cz. III-ej doszedł do nas, jako przygotowana do druku przez Domejkę kopia. Sceny idą w niej w dzisiejszym porządku, niema jednak prologu, który odnajdujemy jako scenę IX-tą.

Rozważając więc możliwe wpływy na genezę i rolę motywu duchów w „Dziadach“ cz. III-ej, trzeba koniecznie zupełnie osobno zająć się grupą scen, odnoszącą się do Konrada, t. j. sceną I, Improwizacją, sceną dyabłów, po niej, sceną wypędzania czarta i sądem Bożym, a osobno rozważyć scenę IX-tą, która zjawia się zupełnie sama dla siebie, oddzieloną grupą scen wileńsko-warszawskich, dla obecnego tematu nie mających prawie żadnego znaczenia. Potem dopiero można wskazać, jakie znaczenie ma napisanie sceny IX-ej dla całego poematu i jak przyczyniło się do zbudowania ostatecznej artystycznej całości.

\*

\*

\*

Z rękopisu Domejki widać zupełnie wyraźnie, że „Dziadów“ cz. III-ia narastała powoli i stawała się konglomeratem różnych pomysłów, z których jednym było wprowadzenie duchów i walki o duszę Konrada — pomysł nasunięty mu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, z zewnątrz, a tak niespojony, że sprzeczny nawet z całością, pomysł, który Mickiewicz mógł zaczerpnąć z Marlowe'a. Aby wykazać to obce pochodzenie motywu, trzeba przejść całą rolę

duchów nie w obecnym układzie „Dziadów“ (choć i tak znajdziemy niekonsekwencye), ale w takim, jaki był w pierwotnym rękopisie, a nawet już i w wyżej wspomnianej kopii rękopiśmiennej Domejki.

W scenie więziennej o duchach nie słyszymy nic — są pieśni i opowiadania, bolesne, okropne, wspólne nad losem ojczyzny narzekania. O duchach nie mówi nikt. Dopiero pod koniec nastrój zaczyna się zmieniać, staje się posępny odbłaskiem innego, przerażającego świata. Poeta jak gdyby chciał nam dać wskazówkę, że Konrad zaczyna się dostawać w moc szatana, umieszcza te słowa: „Konrad zamyśla się,“ w środku opowiadania kaprała, a kiedy wybuchają pieśnią, wtedy stary kaprał, intuicyjną wiarą odczuwający, że z Konradem dzieje się coś złego, wydaje o niej wyrok: „to jest pieśń szatańska.“ Jestto pieśń zemsty, dochodzącej do szału, pieśń dysząca takim uczuciem, jakim może być przejęty tylko szatan. Więc przez usta jego przemawia już zły duch, więc Konrad został już opętany. I ten sam szatan unosi go nad obłoki, nad ziemię wysoko, skąd on ogląda całą przeszłość i przyszłość. Tutaj jednak zakrywa mu oczy mara kruka, zesłana przez tego samego ducha, który z jego uczuć robi sobie igraszkę.

Ale przypuśćmy, a przypuścić trzeba ze względu na wielką Improwizacyę, że pieśń i loty małej Improwizacyi nie są jeszcze wynikiem opętania (nie znając prologu nie możemy nawet podejrzewać jakiegokolwiek udziału świata nadnaturalnego), to i tak zostaje niekonsekwencya między sceną pierwszą a następnymi; tu chodzi tylko o zemstę, o dalszy ciąg wallenrodyzmu (bo jakkolwiek w małej Improwizacyi przebija się już uczucie pychy Konrada, wiemy jednak, że ten ustęp był już napisany po wielkiej Improwizacyi <sup>1)</sup>), — tam będzie mowa tylko i jedynie o pysze. Z wybuchem Improwizacyi pomysł pierwotny wyklęcia wallenrodyzmu załamuje się, ale resztki jego pozostały i nie zdołały się zupełnie stopić z nowym kruszcem Improwizacyi.

Improwizacya była czemś zupełnie odmiennem od całych „Dziadów“ — to nie były impresye i uczucia poety w takiej a takiej chwili, ale wypowiedzenie całej swej istoty najgłębszej, wszystkich swych pożądań i marzeń życiowych, najskrytsza myśl i najtajniejsze uczucie, które razem tworzyły jego geniusz. Improwizacyę snuł poeta ciągle, świadomie i nieświadomie, przez *Żeglarza*, *Farysa* i prometejskie marzenia w Rzymie, ale do ostatecznego

<sup>1)</sup> Kallenbach: O Improwizacyi Konrada, Lwów, 1890, str. 23.

jej wypowiedzenia się naturalnie przyczyniły się popowstańcze troski i wspomnienia, cały ból pouczysty, skryształizowany w pierwszej scenie III-ej części *Dziadów*. Dla tego nie razi nas Improvizacya swoją odrębnością od sceny pierwszej, bo dramat narodowy stał się naprawdę powodem dramatu osobistego, dramatu najwspanialszego.

Tutaj spotykamy się po raz pierwszy z duchami — nie, to nie są jeszcze duchy, tylko dwa głosy: z prawej i z lewej strony. Jako środek artystyczny wywierają niezrównany efekt, przerywają płomienny monolog, pozwalają nam, porwanym strumieniem uczuć Konrada, odpocząć, zarazem zapewniają chwile ciszy i oczekiwania. Przedstawmy sobie, że te głosy odzywają się razem — oto w duszy poety odbywa się zupełnie nieświadomie walka dobrych i złych stron natury ludzkiej gdzieś, gdzieś w najtajniejszych jej głębiach — te głosy rozchodzą się w odstępach improwizacyi, jak gdyby jej echa w duszy, wywołane potężnymi słowami Konrada, rzuconymi w niebo i nadają mu piętno prawdziwego człowieczeństwa. To nie jest tytan ani półbóg, który bez skrupułów idzie walczyć z bogami, bo jest im równy, ale człowiek, który chce im dorównać, a sam równocześnie przechodzi w duszy walkę, bo czuje, że porwanie się jego na rzecz tak wielką, jest szaleństwem wobec małości i słabości człowieka, a ten charakter człowieczeństwa dodaje mu właśnie jeszcze większego blasku bohaterstwa i jeszcze silniej maluje potęgę jego ducha, jeszcze jaskrawiej zaznacza ironię ludzkich losów.

Zakończenie Improwizacyi jest niespodziewane — ostatnie słowo pada z ust szatana. Złe duchy ze sfery zewnętrznej unosiły się więc blisko gdzieś w powietrzu, tuż przy nim, czekały, aż powie bluźnierstwo, aby go porwać. A może on mówił za ich podszeptem? może już był przez czarta opętany? P. Artur Górski w artykule „Improwizacya“<sup>1)</sup> mówi, iż Konrad mdleje, usłyszawszy wykrzyk szatana, gdyż poznał, że jest jego igraszka. Sądziłbym, że Konrad pada z nadmiaru bólu, ponieważ musi takie bluźnierstwo rzucić, ponieważ musi tak wołać, on, który jeszcze szczytki wiary, jako ostatnią deskę ratunku, zachował, ponieważ widzi, że i to nawet traci — mdleje z przerażenia, że doszedł do tego kroku, z wyczerpania rzeczywiście nadludzkiego. Gdyby Konrad był już opętany przez szatana, nie miałyby racyi ta *walka głosów z prawej i lewej strony*, czy ją ktoś uzna za wewnętrzną w duszy, czy też

1) „Biblioteka Warszawska,” 1906, wrzesień.

nawet za zewnętrzną świata nadprzyrodzonego. (Sądzę jednak, że należy uważać ją za wewnętrzną, gdyż Mickiewicz wyraźnie oddziela „*duchy* z prawej strony,“ które odzywają się w prologu i w czasie kłótni dyabłów nad zemdlonym więźniem, od „*głosów* z prawej strony“ podczas Improwizacji). Bądź co bądź, walka ta nie miałaby racji, gdyby Konrad był już w mocy szatana zupełnej. Ale w następnej scenie przyjdzie ks. Piotr i będzie z niego wyrzucał czarta, który „właził — jak sam przyznaje — niezgrabnie w tę duszę.“ Więc między Improwizacją a zjawieniem się pokornego i cichego braciszka musiał nastąpić moment, w którym znękana dusza poety popadła zupełnie w ręce księcia piekieł. Jakąż nam poeta daje w tym względzie wskazówkę?

W dramacie znajdujemy tutaj scenę duchów z prawej i lewej strony, a raczej tylko rozmowę dwóch dyabłów, gdyż duchy z prawej strony występują tylko raz jeden. Można by uznać za ten decydujący moment jedno z dwóch miejsc w tej scenie, pierwsze lub ostatnie jej słowa. Zaczyna się ta scena słowem: „*Carem*,“ rzuconym przez szatana. Błuznierstwo to błąkało się po myślach Konrada nieświadomie, ale równie nieświadoma trwoga przed grzechem i resztki wiary zatrzymały go na samym brzegu przepaści — niecierpliwy szatan wymówił słowo za niego i tym swoim krokiem ściąga na siebie ostre wyrzuty drugiego dyabła, że „wypuścił w pół drogi“ taką zdobycz:

Ty bestyo głupia!

Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzgnąć,  
Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć.

Wyraźnie więc Konrad był kuszony, ale nie opętany (był kuszony z zewnątrz, jeżeli tego terminu można użyć na oznaczenie różnicy między słowem, zwanem pokusą, a opętaniem, różnicy, polegającej na udziale wolnej woli człowieka) — dalej widać z tych słów, że jeszcze podczas kłótni dyabłów nie popadł w ich moc. To dzieje się dopiero w samym końcu sceny.

Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi!

woła ten sam szatan, który rzucił był słowo: „*Carem*,“ widząc nadchodzącego ks. Piotra. Wejście więc czarta w duszę więźnia jest conajmniej przypadkowe — gdyby ks. Piotra nie był przyprowadził kapral (i to kapral, przerażony pieśnią zemsty i małą Improwizacją), nie byłby teraz szatan opętał Konrada, szukając schronienia przed księdzem. Czy ma prawo wejść do duszy zbun-

towanego wieszca? Jeżeli rozsądzać według ludowej wiary, której zasady były obowiązujące dla poetów romantycznych, ma zupełnie prawo — według niej bowiem szatan znajduje przystęp tylko do ludzi grzesznych, którzy albo Bogu bluźnią, albo się go zapierają — Konrad zaś zgrzeszył w Improwizacji ciężko, chociaż bluźnienia nie doprowadził do ostatecznych granic. Ze względu jednak na artystyczną budowę całości, szatan do duszy Konrada prawa niema. Scena bowiem wypędzania czarta jest dzisiaj tylko epizodem. Jako całość dla siebie jest bardzo piękna, jako część całości rozrywa ogólną budowę i mąci jasny pogląd na Improwizację.

W chwili, gdy ks. Piotr odprawia egzorcyzmy, padają z ust Konrada słowa, przypominające Improwizację — to wszystko, co woła ku Rollisonowi, to wszystko, co mówi o swoim oku, przebijającym mury i wywołującym pośrednio śmierć młodego chłopca, odnosi się najwidoczniej do opiewanej w Improwizacji siły wzroku nad przyrodzeniem, nad gwiazdami i ptakami, chociaż początek tego wstępu: „Nie! oka mi nie wydarł, mam to silne oko!“ jakkolwiek wyraźnie odwołuje się na jakieś przeszłe zdarzenie, może równie dobrze być zastosowane i do małej improwizacji. W każdym razie są to już słowa szatana, który, według słów ks. Piotra, krzyczy „przez usta Konrada, jak stulecyczna zmija.“ Refleks, który one rzucają na Improwizację, stanowczo nie rozjaśnia stopnia winy Konrada w jego wypowiedzeniu, owszem, zaciemnia sprawę, nasuwając wątpliwości co do udziału wolnej woli poety w buncie przeciw Bogu. Szatan wstąpił w duszę Konrada po jego grzechu, przez usta jego nie bluźni zupełnie, uchodzi przed jakimkolwiek rozwiązaniem sprawy. Ani ofiara ks. Piotra, który przyjmuje na siebie grzechy Konrada, ani sąd Boży, nie pozostają w najdalszym stosunku do opętania Konrada. Tak więc jest ta scena wypędzenia czarta tylko epizodem, ale nic nie rozjaśniając, owszem, zaciemniając pogląd na Improwizację, traci swoje prawo do zostawania w ogólnej budowie poematu, nawet jako epizod, gdyż ten tylko do objaśnienia powinien służyć.

Ale w tej ofierze ks. Piotra i w tym sądzie Bożym kryje się inna niekonsekwencja w stosunku do sceny tej. Choć i ksiądz Piotr i sam Konrad mówią o grzechach, które „są już tam wykute,“ w czem przebija się jego mniemanie, że na pokutę już zapóźno, wszystko to odnosi się jedynie do pychy. „Szatańska pieśń“ o zemście pozostała bez odpowiedzi, a jest ona przecież, równie jak i wielka Improwizacja, bluźnierstwem w swoim napięciu:

Zemsta, zemsta, zemsta na wroga,  
Z Bogiem i choćby mimo Boga!

jest bluźnierstwem w tem zestawieniu zemsty z Bogiem chrześcijańskim, którego św. Jan określa słowami: „Deus caritas est,“ a potem i w tem lekceważeniu jego: „mimo Boga i bez Boga.“ Otóż trzeba przypuścić, że ta niejasność, której nie dostrzegamy, porwani Improwizacją, powstała wskutek pomieszania dwóch planów.

Pierwszym był pomysł wyklęcia wallenrodyzmu. Poeta podjął pieśń swoją ostatnią, która „była już w grobie—już chłodna,“ lecz uznał jej nieetyczność, jej pogański i szatański charakter, i dlatego chciał symbolicznie rzucić klątwę na dawny swój kierunek, za który do pewnego stopnia poczuwał się do winy. I w tym pierwotnym planie ks. Piotr z pewnością miał także wypędzać złego ducha z Konrada, ale ducha, którego treścią była zemsta. Z Improwizacją zmieniła się postać rzeczy — poeta zaczął drugą akcję, której punktem centralnym jest postać Konrada, jako Prometeusza już, nie jako Wallenroda. Ks. Piotr, który symbolizuje mesyanizm, pozostać musiał, bo tę jedyną drogę widział poeta wtedy dla narodu, ale teraz występuje ów pokorny brat Bernardyn nie jako przeciwważnik kierunku całego, wallenrodyzmu, lecz przyjmuje tylko na siebie grzechy jednego człowieka, Konrada. Improwizacja wprowadza dramat, w którym chodziło głównie o losy narodu, na nowe tory, dramatu przeważnie osobistego, dramatu ducha, który jest wcieleniem pychy. „Sługo pokorny, cichy — wniosłeś pokój w dom pychy“ — żadnej aluzji, żadnej wzmianki o narodzie. Przytem zwracam uwagę, że scena wypędzania czarta, której epizodyczność i małe znaczenie dla całości w dzisiejszym układzie starałem się wykazać, w pierwotnym planie byłaby kulminacyjnym punktem. W niej byłaby zawarta główna idea poematu, wyklęcie wallenrodyzmu, który poeta mógł uważać raczej za jakieś opętanie w chwili rozpacz, niż za grzech dobrowolny, jakim jest bezsprzecznie Improwizacja.

Geniusz poety był za wielki, za jasno błyska wśród kart poematu, abyśny jego nauk nie zrozumieli, mimo tej gmatwaniny; artystycznie jednak panuje wielka niespójność i sprzeczność w układzie pomysłów, które się z sobą żadną miarą zgodzić nie mogą, jako dramat narodu i dramat osobisty, rozwiązane jedną i tą samą sceną, mającą w poemacie zastosowanie tylko do tego ostatniego. Że poeta tę niespójność pomysłów spostrzegął, świadczyłoby to, że chciał stworzyć pośrednie ogniwo między pieśnią

zemsty i Improwizacyą, pieśnią pychy — i wsunął pomiędzy nie, napisaną prawdopodobnie później, małą Improwizacyę, gdzie po raz pierwszy spotykamy się z pychą i szatanem, co, jak z jednej strony jest dobrym wstępem do nastroju następnej sceny, z drugiej jednak zawcześni wysunąwszy wpływ szatana na Konrada, maści jasny pogląd na Improwizacyę.

\*

Tak skończyliśmy przegląd pierwszej grupy scen, odnoszącej się do Konrada, zamkniętej sądem Bożym. Proces więc w jego duszy zupełnie skończony, teraz może się zacząć pokuta i praca w imię nowej idei pokory i z ostatnich słów sceny VIII-ej widać, że ona się zacznie. III-ia część „Dziadów“ więc skończona. Tymczasem w kopii Domejki spotykamy scenę IX-tą, dzisiejszy prolog, która na swoim dawnym miejscu jest wprost niezrozumiałą. Po sądzie nad Konradem, po odpuszczeniu mu win wszystkich, jeszcze toczy się o jego duszę walka? i to walka najsilniej zaznaczona? Z jednej strony stoją duchy dobre, aniołowie, którzy kierują nawet do pewnego stopnia losem Konrada, którzy podważają strażę w czasie podszeptów złych duchów, występujących z drugiej strony, jako duchy nocne lub duchy z lewej strony, i kuszących go tem, co dostarcza świat, co dostarcza „noc-pijawka, noc-waż.“ Chodzi im bardzo o tę duszę, która jest tak potężną, że czekają na jej myśl „szatan i anioły — czy ona w piekło uderzy, czy w niebo zaświeci“ — i ta próba odbędzie się jutro, jak zapowiadają Aniołowie:

Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,  
Jutro się w mowach i dziełach pokaże.

Czy to jest zapowiedź Improwizacyi, czy tej nowej walki duchowej, a raczej „mów i dzieł“ Konrada, które Mickiewicz chciał pokazać nam w następnych aktach III-ej części „Dziadów?“ Zdałoby się, że to drugie przypuszczenie jest prawdziwsze, gdyż prawie bezpośrednio przed temi słowami znajdujemy wiersz: „mię-

dzy myślami bitwa już stoczona," który prof. Kallenbach odnosi do dokonanego aktu Improwizacyi <sup>1)</sup>.

Wiersz ten jednak w niczem rozstrzygać nie może, gdyż nawet w scenie IX-iej t. j. prologu na swoim dawnym miejscu nie da się prawie zupełnie wytłómaczyć. Jeżeli „między *myślami* bitwa już *stoczona*," to po co anieli mają tej „*myśli* pilnować" a szatani „podwajać napaść?" Po co anieli czekają dopiero na wynik tej walki: „czy zła *myśl* *wygra*, czy dobra *pokona*?" Po co wreszcie duch na końcu mówi, że więźnia „*myśli* czekają szatan i anioły czy ty w piekło *uderzysz*, czy w niebo *zaświecisz*." Wszędzie więc ta walka *myśli* przeniesiona jest w *przyszłość*, podczas gdy miała już się *dokonać* według owego niejasnego wiersza.

Jeżeli zaś przyjmiemy, że słowa: „jutro się w mowach i dziełach pokaże" są zapowiedzią Improwizacyi, to wiersz: „między myślami bitwa już stoczona" można do pewnego stopnia wyjaśnić. Jest on mianowicie objaśnieniem stanu duszy Konrada. Aniołowie, widząc po lewej stronie swoich przeciwników, wiedzą, że w duszy Konrada toczy się walka *myśli*, domyślają się, że ona już stoczona, ale jej wyniku jeszcze nie znają — wynikiem jej będzie dopiero Improwizacya.

Można więc sądzić, że scenę IX-tą tworzył poeta z myślą o Improwizacyi, że więc pisał ją po Improwizacyi, kiedy miał już gotową scenę walki Konrada z Bogiem lub że przynajmniej pomyślnie sceny IX, pomyślnie wprowadzenia nadprzyrodzonej interwencji począł się równocześnie z Improwizacyą, od niej w każdym razie nie wcześniej. Za późniejszym jednak pochodzeniem pomysłu walki duchów przemawiałyby wzgląd czysto artystycznego poczucia. Gdyby Mickiewicz powziął był ten pomysł przed napisaniem Improwizacyi i sceny wypędzania czarta, to nie byłby z pewnością po ich napisaniu opracowywał tego pomysłu jako sceny IX-tej, gdyż musiałby wtedy choćby na podstawie prostej asocjacji przypomnieć sobie poprzednie sceny i spostrzedz ich anachroniczną niekonsekwencję. Tembardziej nie byłby umieszczał napisanego już przed Improwizacyą i wypędzaniem czarta na ten temat wstępu, jako sceny IX-tej w skończonym poemacie. Łatwiej więc sobie wyobrazić, że temat ten walki duchów przyszedł już po napisaniu Improwizacyi i sceny wypędzania czarta i narzucił się tak umysłowi poety swoją nowością, że zasłonił mu

<sup>1)</sup> Dzieła Adama Mickiewicza. Wydanie Tow. lit. im. A. M., Tom IV., Lwów 1905, str. 29.



gotowe już sceny, że poeta zajął się pomysłem, który w logicznym porządku powinien był je poprzedzać, a nie następować po nich. Poeta nie myślał wcale o tworzeniu prologu, pisząc scenę IX-tą, myślał jednak o Improwizacyi, która w owym czasie musiała ciągle zajmować jego myśl i mimowoli tworzył ze sceny IX-tej, na tle walki duchów o duszę Konrada rodzaj wstępu objaśniającego do Improwizacyi. Zanim jednak spotrzegł czem właściwie jest scena IX i wyznaczył jej odpowiednie dzisiejsze miejsce, umieścił ją na końcu poematu, nie mając dla niej gdzieindziej miejsca w gotowym już utworze.

Co było jednak powodem powstania tej sceny IX-tej, tak zupełnie niespojonej z poprzednimi? Nie można inaczej odpowiedzieć, jak tylko, że pomysł ten został mu nasunięty z zewnątrz; scena ta przecież nie była mu nawet potrzebną do wprowadzenia przemiany Gustawa w Konrada w pierwotnym planie, bo dopiero w rękopisie Domejki poeta cały ten nagrobkowy łaciński napis wprowadził i scenę IX-tą zamienił na prolog<sup>1)</sup>. I tutaj można snuć masę przypuszczeń, z których nie będzie najmniej prawdopodobnem to, że właśnie Marlowe był tego przyczyną.

Nastroj całego poematu angielskiego jest podobny do nastroju Improwizacyi; bunt, jakkolwiek podniesiony z niskich pobudek przeciw Bogu, jest przecież zawsze buntem człowieka, który w pragnieniach swoich, żeby stać się bogiem, ma siłę nadludzką, potęgą żądz swoich wzbija się nad cały tłum. Obaj, Konrad i Faust są bliźcy sobie treścią swoich dążeń. Faust oddaje się czarnej magii, bo chce dorównać Bogu w mocy nad światem zewnętrznym, Konrad w imię swych sił nad przyrodą domaga się rządu nad duszami:

Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,  
Ja chcę duszami władać, jak Ty nimi władasz.

Obaj, Konrad i Faust, dochodzą tam, gdzie dla zwykłych ludzi zanknięta jest droga. Konrad na swoich dwu skrzydłach wznosi się, gdzie „graniczy Stwórca i natura,“ ciało swoje zostawia na ziemi i walczy duchem, który wyzwala się z pęt natury. Faust, jako pierwszy punkt ugody zawieranej za pośrednictwem Mephostophilisa z Lucyferem, stawia warunek, że „może stać się

<sup>1)</sup> Stanisław Estreicher: Nieznany manuskrypt III-ej cz. „Dziadów.“ Pamiętnik Tow. liter. im. Ad. Mickiewicza. Rocznik VI, 1898.

*duchem* w formie i materji,“ i to jego żądanie wypomina mu jego Zły Anioł:

Tyś duchem — w Bogu nie znajdziesz litości.

Już z tych zestawień obok podobieństw widać ogromną różnicę w traktowaniu obu postaci. U Marlowe'a przeważa pierwiastek zewnętrzny, gdyż Faust jest tylko człowiekiem w tem znaczeniu, że przeważa u niego ciało—Konrad jest duchem w przeciwstawieniu do Fausta, stąd w jego przedstawieniu przedewszystkiem i jedynie gra rolę pierwiastek wewnętrzny. Konrad jest w istocie swojej tym samym, co Faust, jest przejawem odwiecznego ducha buntu w ludzkości, ale stoi o stopień wyżej. Jeżeli Faust chce być „duchem,“ to chce być nim w tem najprostszym znaczeniu, być jak Mephostophilis. aniołowie i t. d., by zbadać niewidzialne dla drugich sfery świata, — Konrad, który jest pod względem mocy swego ducha równy nadludzkim tworom, chce już jak oni, walczyć z Bogiem o władzę. Faust za 24 lata czysto ziemskiego używania życia, za władzę nad ciałami, nad światem zewnętrznym, oddaje swoje Zbawienie i ściąga wieczne potępienie na siebie — Konrad domaga się rządu nad duszami, nad światem wewnętrznym. A wreszcie najważniejsza różnica. Faust działa z pobudek czystego egoizmu, u Konrada gra poniekąd rolę pycha, która wmawia w niego, że może, że ma prawo z Bogiem walczyć, ale zasadniczą, właściwą pobudką jest miłość dla cierpiącego narodu i chęć „zanucenia pieśni szczęśliwej.“

Otoczenie jednak obu tych postaci, owe dwie sfery duchów, są zupełnie takie same, nie tylko w istocie swojej, ale i w traktowaniu. Owe symbole dwóch stron duszy ludzkiej, zły i dobry anioł Marlowe'a, zjawiają się zawsze bez umotywowania zewnętrznego, jako głosy nadnaturalne, z światem ziemskim zupełnie się nie liczące, i tem pojawieniem się bardzo przypominają dwie strony *duchów* w III-iej cz. „Dziadów,“ a słowami swemi *głosy* w „Improwizacyi,“ które w swojej istocie zupełnie odpowiadają tym obu aniołom stróżom Fausta<sup>1)</sup>. Głos z lewej strony zachęca Konrada do buntu:

<sup>1)</sup> Muszę zaznaczyć, że skala obu tych walk, wewnętrznej i zewnętrznej, w duszach i o dusze bohaterów, jest w obu poematach odwrotna. U Marlowe'a na pierwszy plan występuje walka wewnętrzna, a tylko jeden raz ściera się Mephostophilis z „starym mężem“ — w „Dziadach“ *głosy* odzywają się tylko podczas Improwizacyi, *duchy* pojawiają się częściej.

Orla w hydrę!  
 Oczy mu wydrę!  
 Do szturmu dalej!  
 Dymi! pali!  
 Ryk, grzmot!

a „Głos z prawej strony“ użala się nad nim:

Z jasnego słońca  
 Kometo błędu!  
 Gdzie koniec twego pędu?  
 Bez końca, bez końca!

Podobnie szepece Zły Anioł w duszy Fausta:

Uprawiaj dalej tę sławną naukę,  
 Gdzie wszystkie skarby natury zawarte;  
 Będziesz na ziemi, czem Jowisz na niebie,  
 Panem i Władzcą wszystkich elementów;

podczas gdy Dobry Anioł Fausta radzi mu:

O Fauście! księgę tę przekłętą odrzuć  
 I nie patrz na nią, byś nie kusił duszy,  
 Boga ciężkiego gniewu byś nie ściągał —  
 A czytaj Pismo Święte — nie bluźnierstwa.

Dyabli *właściwi* w „Dziadach“ swoim naiwnem przedstawieniem, swoim antropomorfizmem przypominają zupełnie Mephostophilisa, Belzebuba i Lucyfera. Różnica, jaka się daje nieco uczuwać w tych dwóch obrazach, jest zupełnie naturalna: u Marlowe'a dyabli zachowują się, jak ludzie, którym chodzi o przeciągnięcie na swoją stronę potężnego wyznawcy, czynią więc wszystko, by go przy sobie zatrzymać, grożą mu i pokazują piękne sceny, straszą i obiecują, wszystko to opisywane z całą wiarą naiwnego wyznawcy średnich wieków. U Mickiewicza, choć poeta stara się, aby jego opisy były naiwne podług ludowej wiary, czuć w nich jednak robotę artysty, który, jakkolwiek wierzy w istnienie duchów po za światem, wcale nie sądzi, aby one objawiały się ludziom w takiej legendowej i groteskowej postaci; z chwilą jednak, gdy trzeba je wprowadzić na scenę, musi im nadać formę ludzką z baśni i klechd ludowych i w ten sposób zbliża ich do przedstawienia Marlowe'a <sup>1)</sup>).

<sup>1)</sup> Zwracam przytem uwagę, że u Mickiewicza w III-iej cz. „Dziadów“ duchy występują widzialnie tylko podczas snu i zemdlenia Konrada, podczas

Ale pod analogicznym wpływem dwu sfer duchów Konrad i Faust dochodzą do czego innego. Faust ostatecznie popada w moc szatana na wieki, mimo przestróg starego męża, gdyż uląkł się gróźb Mephostophila — Konrad, który grzeszył w imię ojczyzny, zostaje odkupiony przez ks. Piotra, by szedł teraz nową drogą, wręcz przeciwną dotychczasowemu kierunkowi na czele narodu.

Ale pomimo odmiennego rozwiązania tej samej kwestyi w obu dramatach, wynikającego koniecznie z innego punktu wyjścia dążeń obu tych postaci, zachodzą wielkie podobieństwa w ogólnej koncepcyi tych dwóch utworów w ogólnym nastroju, z zasadniczej idei poematów: walki człowieka z Bogiem. Ponieważ jednak motyw walki o duszę Konrada pojawił się tak późno i tak niespodzianie w IX-tej scenie, w takiej niespójności z poprzedniemi scenami, można zatem przypuścić, że był mu nasunięty w ciągu tworzenia poematu i to przez Marlowe'a. Wyobraźnia Mickiewicza, nastrojona już nadzwyczaj mistycznie, która wprowadzała w zaczęty poemat udział ogromny nadzmysłowego świata (cz. II-a, opętanie w cz. III-ej), znalazłszy motyw odpowiadający i tej wierze w świat inny ponad ziemią i temu uczuciu, jakim był opętany Konrad, przyswoiła go sobie odrazu, przejęła się nim tak, że motyw ten musiał się wypowiedzieć, bez względu na to, czy przypada do całości, czy nie.

\*

\*

\*

Tutaj opuszczamy już rękopis „Dziadów“ i idziemy bliżej ku genezie różnych pomysłów poematu, wiążących się ze sceną IX-tą, ale odtąd na jeszcze mniej pewnym gruncie możemy stawić hipotezy. I tak, o ile można sądzić, głosy w Improwizacji zostały dodane już później. Poeta napisawszy scenę IX-tą, musiał połączyć ją w jakikolwiek sposób z poprzednimi, a nastrożać się ta sposobność tylko w Improwizacji, co prawda sposobność świetna. Wydaje mi się rzeczą niemożliwą, aby w cza-

---

snu Ewy i Senatora, a gdy się jawią przed ks. Piotrem, to mówią przez usta Konrada.

się pisania Improwizacji poeta przerywał swój potok uczuć tak artystycznie wypracowanymi co do formy drobiazgami w przeciwieństwie do formy samej Improwizacji, która jest lawiną słów, rozsadzającą rytm, a która ledwie, że w rym da się ująć. Jeżeli wyjdziemy z założenia, że Marlowe wywarł wpływ na III-ią część „Dziadów“, takie wprowadzenie głosów do Improwizacji przedstawi się jako proces zupełnie zrozumiały. Na wzór walki Mefista ze „starym mężem“ o duszę Fausta, zarówno jak i o wiele silniej zaznaczonej walki wewnętrznej w jego duszy, stwarza Mickiewicz walkę „duchów z prawej i lewej strony.“ Z chwilą jednak stworzenia tej sfery zewnętrznej duchów musiał on spostrzedz, że w dramacie Marlowe'a wyraźnie odrzyna się od niej sfera duchów wewnętrzna i idąc w zakresie motywu duchów za swoim pierwotnym wzorem dodaje „głosy“ w Improwizacji, które, jak wspomniałem, istotą swoją odpowiadają zupełnie „dobremu i złemu aniołowi“ Fausta. Zjawienie się tych „głosów“ dowodziłoby właśnie wpływu Marlowe'a.

Ale jest jeszcze i druga hipoteza, która, zarówno, jak i pierwsza, pozostanie prawdopodobnie na zawsze w dziedzinie hipotez, gdyż udowodnić ją mogłyby tylko zaginione bruliony Mickiewicza. Mówi ona, że Improwizacja kończyła się słowem: „Carem,“ ale wypowiedzianem przez Konrada, i że zaraz bezpośrednio po niej nastąpiła scena wypędzania czarta. Poeta tak był zasugerowany swoim pomysłem opętania przez szatana, który prawdopodobnie, według pierwotnego planu, miał być szatanem zemsty, że gdy w ciągu wykonywania tego planu nastąpił wybuch Improwizacji, wybuch ten uznał za skutek owego stanu opętania. W czasie pisania jednak sceny walki duchów o Konrada (sc. IX-iej) przyszła refleksja nad stanem duszy Konrada w Improwizacji i Mickiewicz spostrzegł, że nie można jej traktować jako skutku opętania. Chciał więc koniecznie zaznaczyć, że Improwizacja jest aktem wolnej woli Konrada i wprowadził w nią „głosy z prawej i lewej strony,“ a po niej umieścił scenę „duchów“ takichże samych, które przeniósł z gotowej już sceny IX-tej, aby stworzyć ogień między Improwizacją a wypędzaniem czarta, ponieważ te dwa wstępy przestały być z sobą ściśle połączone z chwilą transformacji Improwizacji na akt wolnej woli.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę roztrząsaną wyżej epizodyczność sceny wypędzania czarta i nieusprawiedliwiony do pewnego stopnia ostatni wiersz poprzedniej sceny („Pop! klecha! przyczajmy się i schowajmy rogi“), który odbiera Konradowi władzę nad jego własną duszą, to będziemy widzieć jaśniej, że kłótnia dyabłów

jest wtrącona później. Przemawia za tem i sposób, w jaki poeta dwie strony duchów traktuje. Zapomnijmy, że istnieje dzisiaj prolog — czytając słowa duchów z prawej i lewej strony, musimy odnieść wrażenie, że poeta zachowuje się względem tego pomysłu, jakgdyby względem znanego nam dobrze. „Duchy z prawej strony“ wprowadza raz tylko i to dla połączenia Improwizacyi ze sceną w domu wiejskim pode Lwowem. „Precz! modlą się za nim,“ wołają one do swoich przeciwników. Poeta każe więc im polegać tylko na modlitwach ludzi i wyznacza im stanowisko zupełnie bierne, dziwne wobec zabiegliwości szatanów, które dostają ostatecznie w swoją moc Konrada „bez żadnego oporu ze strony duchów prawych.“ Zdaje mi się, że w ten sposób mógł je jedynie wtedy traktować, kiedy już wiedział, że one w scenie IX umieją „podwajać straż“ i walczyć gorliwie o duszę Konrada. Poeta tej interwencji duchów niebieskich nadawał ogromne znaczenie, jak to widać ze sceny IX-tej (prologu). Nie widać tego jednak zupełnie w scenie duchów, idącej bezpośrednio po Improwizacyi. Widocznie więc nie w tej ostatniej scenie, ale w scenie IX-tej ukazał się po raz pierwszy ten motyw walki duchów, bo w przeciwnym razie musiałby Mickiewicz, wprowadzając ten motyw po raz pierwszy w scenie duchów po Improwizacyi, w chwili dla Konrada tak ważnej, zaznaczyć nierównie silniej ową interwencję duchów niebieskich w myśl swego o niej przekonania, niż jak to był uczynił. Przytem trudno sobie wyobrazić procesu tworzenia odwrotnego, to jest żeby poeta, napisawszy scenę duchów po Improwizacyi, zajęty tym pomysłem, napisał dzisiejszy prolog i umieścił go jako scenę IX-tą; niekonsekwencya tego układu uderzyłaby go odrazu w oczy, w ciągu pracy jeszcze.

Łatwo mu było przenieść ten pomysł walki duchów z prologu w Improwizację, gdyż dwie te sceny zostają z sobą w całym poemacie w najbliższem pokrewieństwie, już to ze względu na nastrój, już to na zajmowanie się specjalnie postacią Konrada, który jest przedstawiony w obydwóch, jako filozofujący marzyciel (apostrofy do nocy cichej i do samotności). Spostrzegłszy, że scena walki duchów, jako IX-ta, jest wprost niemożliwa, kiedy mu przyszła myśl, nasunięta przez wspomnienia osobiste, że w więzieniu Bazyliańskim stał się Konrad Wallenrodem, a tej przemiany nie było jeszcze w jego przepysznej poetyckiej autobiografii, zaznaczył ją Mickiewicz w tej scenie i zrobił z niej prolog. Prolog to jednak tylko do Improwizacyi: ponad całą pierwszą sceną ciągną łańcuchy aniołów i szatanów ku Improwizacyi, stąd dzisiaj niema już niekonsekwencyi między temi wszystkimi czę-

ściami, przynajmniej pozornie. Prolog zapowiada nam, że więzień jest duchem, który może „dźwigać i obalać trony,“ samotny i w więzieniu — zapowiada nam, że o jego duszę toczy się straszna walka w górze; jesteśmy przejęci myślą tylko o Konradzie i przygotowani czekamy tylko na chwilę jego zapowiedzianej próby, a studentów wileńskich traktujemy jedynie jako tło, bardzo dalekie, jako draperyę na obrazie dla wydania silniejszego rysów portretu, draperyę, o której się odrazu zapomina, że jest wogóle, patrząc na twarz. Patrząc na nadnaturalną twarz Konrada w Improwizacyi, zapominamy o pieśni szatańskiej, którą śpiewa Konrad; w myśl pierwszego planu poety nie pamiętamy, że nie dostaliśmy na nią żadnej odpowiedzi w scenie wypędzania czarta, która wydaje nam się organicznie związana z całością; zapominamy o wszystkich mniejszych lub większych niekonsekwencyach w tej pierwszej ściśle związanej grupie scen III-ej cz. „Dziadów.“ Jedną z nich jest np. oznaczenie czasu Improwizacyi w prologu, odgrywanym się w dzień W. W. Świętych na dzień następny: „jutro się w mowach i dziełach pokaże.“ gdy tymczasem właściwy czas Improwizacyi przypada na noc Bożego Narodzenia.

Prolog na dzisiejszem swoim miejscu ma ogromne dla „Dziadów“ znaczenie. Jest on niejako tem, czem „argument“ dla starszych sztuk i jak on zawiera poniekąd treść poematu. Zapowiada on, że bohaterem poematu będzie Konrad. Już w prologu podnosi Anioł potęgę duszy więźnia, która go doprowadzi do Improwizacyi, już w prologu toczy się zacięta walka duchów o Konrada, która znajdzie swój epilog w sądzie Bożym — prolog wreszcie zastępuje w autobiografii okres tworzenia się „Konrada Wallenroda“ i tłumaczy nietylko genezę tego poematu, ale i pieśń zemsty w I-ej scenie III-ej części „Dziadów.“ Dla tej I-ej sceny prolog ma ogromne znaczenie. Gdyby przed nią nie było prologu, który całą naszą uwagę skupia na postaci Konrada, scena ta sprawiałaby inne wrażenie niż dziś, mianowicie to, że główną treścią „Dziadów“ będą losy Filaretów, którymi się ona tak szczegółowo zajmuje. Nie znajdując potem żadnego dalszego ciągu tej sceny prócz ogólnych wzmianek w scenie u Senatora odnieśliśmy przykre wrażenie, że poeta swego zamiaru wykonać nie zdołał, lub co gorzej, że nie zdawał sobie dokładnie sprawy z ogólnej koncepcyi swego poematu, że zbijał w jedno nieprzystające do siebie pomysły i rozwijał je jedno kosztem drugich. Dziś jest zupełnie inaczej, bo prolog znakomicie ten błąd usuwa, odrazu wprowadzając nas do celi Konrada i na nim skupiając głó-

wne światła; wszystko, co przyjdzie, tylko dla lepszego uwydatnienia postaci Konrada służyć będzie. Jeżeli uwzględnimy jeszcze, że prolog wpłynął pośrednio (przez wprowadzenie duchów i głosów w Improwizacji i po niej) na pogłębienie i wykład ostateczny Improwizacji, jako *aktu wolnej woli*, to musimy przyznać, że przyczynił się wiele do ujęcia w jedną artystyczną całość różnych pomysłów.

Tutaj chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jedno miejsce w „Dziadów“ III-ej cz., które, chociaż słabo, może przemawiać za istnieniem wpływu angielskiego poety na Mickiewicza. Miejsce to odnosi się do roli złego ducha w jednym i drugim utworze. Jestto pomysł, że szatan, siedzący w duszy Konrada, nie chce odpowiedzieć ks. Piotrowi, że Rollison potrzebuje komunii św., aż wreszcie wykrztusza: „He! Chleba! Wina!“ — w angielskim zaś dramacie Mephostophilis nie chce odpowiedzieć na pytanie Fausta:

Kto stworzył świat?

MEPHOSTOPHILIS: Nie powiem.

FAUST: Drogi Mephostophilu, powiedz mi.

MEPH: Nie gniewaj mnie, Fauscie.

FAUST: Gburze! czyż nie zobowiązałeś się mówić mi wszystkiego?

MEPH: Co tylko z naszym zgodne jest Królestwem, to jest: o piekle myśl, potępion jesteś.

FAUST: O Bogu, który stworzył świat, chcę myśleć.

Oprócz wspomnianego wyżej głównego nastroju u obu poematów, nastroju buntu przeciw Bogu, oprócz tych analogij lub wpływów, u obu znajdujemy jeden uboczny nastrój: obawa i rezygnacya, że już na pokutę zapóźno. U Mickiewicza zaznaczone krótko, ale przepysznie: „Już są tam wykute,“ mówi o swoich bluźnierczych słowach Konrad, — Faust doznaje często skrupułów, często chce zacząć pokutę, ale woła: „Zapóźno!“ „Nigdy zapóźno!“ odpowiada mu dobry Anioł, — „Nigdy zapóźno!“ pociesza go stary człowiek, jak Konrada pociesza ks. Piotr <sup>1)</sup>. A kiedy Faustowi przed śmiercią dobry anioł pokazuje szczęście niebieskie,

<sup>1)</sup> Słów tych Konrada i pocieszenia ks. Piotra w pierwszym brulionie Mickiewicza jeszcze nie było. „21 wierszy od słów: „Dźwigasz mnie — ktoś ty?“ do wiersza: „Usnął... Twe miłosierdzie, Panie, nie zna granic“ jest późniejszą wstawką do gotowej już sceny egzorcyzmu.“ Kallenbach: Szczątki autografu III-ej cz. „Dziadów.“ Pamiętnik Tow. histor. im. Ad. Mickiewicza. Rocznik V. Lwów, 1891, str. 136.



któreby osiągnął, idąc za jego radą, a zły okropną przyszłość, jaka go za złe życie czeka, to scena ta żywo przypomina sny senatora o łasce i niełasce, sny, podsuwane przez złe duchy dla udreżczenia duszy Nowosilcowa.

\*

\*

\*

Zbierając to wszystko razem, co się powiedziało o „Fauście“ Marlowe'a i III-ej cz. „Dziadów“ Mickiewicza, przy ich zestawieniu z sobą, mamy prawo sądzić, dojść do wniosku, że między jednym a drugim utworem zachodzi blizkie pokrewieństwo tak w motywach głównych, jak i niektórych pobocznych. I właśnie to pokrewieństwo może służyć za punkt oparcia dla hipotezy, że na III-ej cz. „Dziadów“ odbił się wpływ angielskiej tragedyi i to tak silnie, że oddziałał na przebudowę całego poematu, jakkolwiek skądinąd, z po za utworów samych nie mamy żadnych wyraźnych wskazówek, popierających tę hipotezę.

Jeżeli jednak Mickiewicz nie jest w niczem dłużnym Marlowe'owi, to ciekawym objawem jest ta kongenialność pomysłów. Marlowe duchów, walczących o duszę Fausta, nie znalazł w ludowych podaniach o nim, zebranych w XVI wieku w niemieckim „Volksbuchu.“<sup>1)</sup> Opierając się na moralitetach angielskich, które jeszcze dzieckiem widział, wprowadził je, zatrzymując w ten sposób na dziele swoim odblaski średniowiecza, w których lubowała się jego posepna, zamiłowana w krwawych oświeceniach fantazyja: jeżeli Mickiewicz samemu sobie zawdzięcza ten pomysł, to świadczy to, że podobne nastroje wywołują w duszach autorów podobne efekty, świadczy to, że fala romantyzmu, która płynęła przez dusze ówczesnego świata, była najdoskonalszą reinkarnacją wieków ubiegłych, że powracano do tego, co było treścią średniowiecza, nie z poczucia artystycznego lub wyrozumowanego, innego niż do tego czasu poglądu na świat, ale mimowoli; świadczy wreszcie, że poezye wszystkich wieków i krajów są znacznie sobie bliższe, niż często nam się wydaje.

ANDRZEJ TRETIAK.

<sup>1)</sup> Ward Adolph W.: History of English Dramatic Poetry. London 1899. T. 1, str. 332.

# LOSY SCENY DRAMATYCZNEJ

w teatrze warszawskim.

## I.

Zaszedł w ostatnich czasach fakt, który może się odbić na nierozstrzygniętych dotąd losach naszego dramatu i komedy: opera wydzierżawioną została na lat pięć zarządowi Filharmonii. Stało się tedy coś najmniej oczekiwanego: dyrekcya rządowa wypuściła ze swej opieki tę właśnie gałęź produkcyj teatralnych, która, według tradycyjnych, od lat kilkudziesięciu zakorzenionych poglądów biurokratycznej administracyi, niezbędną była dla skosinopolityzowania całej instytucyi przez język międzynarodowy, jakim jest muzyka, i która wraz z baletem, równie kosmopolitycznym dzięki mimice i choreografii, stanowić miała przynętę, a poniekąd charakterystykę Warszawy, jako węzła, łączącego geograficznie Wschód z Zachodem. Natomiast pozostała jeszcze w rękach tej dyrekcyi gałęź, której istnienie miało być tolerowane jedynie pod warunkiem bujnego rozwoju, hegemonii opery i baletu — dramat i komedia, z konieczności polskie, ale właśnie dla tego skazane na zależną egzystencyę.

Ze stanowiska finansowego, zwrot taki daje się łatwo objaśnić: pozbyto się najkosztowniejszego ciężaru, w kombinacyi, nie tylko uwalniającej od wszelkich wydatków, ale ewentualnie zapewniającej dochód z renty dzierżawnej. Otóż właśnie ta kombinacya, szczęśliwa dla opery, może się stać w pewnych okolicznościach groźbą dla dramatu i komedy. Wielkie nakłady, niezbędne dla postawienia i utrzymania opery na artystycznym poziomie; potrzeba specjalnych uzdolnień w doborze i kierownictwie sił wokalnych i orkiestrowych; koszta odnawiania repertuaru, zależne

od nierównie wyższych honoraryów kompozytorskich, aniżeli śmieśznie małe tantyemy naszych dramaturgów, lub wynagrodzenia za tandetne najczęściej przekłady utworów, eskomotowanych zagranicznym pisarzom;—wszystko to utrudnia, można nawet śmiało twierdzić, że wyłącza zupełnie wciśnięcie się do dzierżawy czynnika spekulacyjnego.

Inaczej z dramatem i komedią, zwłaszcza, gdy ten dział, pozostawiony sam sobie, z własnym, niezależnym i nie obciążonym żadnymi serwitutami budżetem, stanie się pokusą, obiecującą plenność złotego jabłka. Dopóki idea dzierżawy teatrów warszawskich *en bloc* przerażała amatorów-kandydatów wielkiem ryzykiem, związanem z prowadzeniem opery, spekulanci trzymali się zdala; dziś, uwolnieni od tej zmory, za lada skinięciem staną do licytacji, która, oczywiście, w stosunku do sztuki, odbywałaby się *in minus*. I to jest niebezpieczeństwo.

Winszując zatem operze polskiej tej, jak ją nazwano, „nowej karty“ w jej dziejach; wstrzymując się przytem od wszelkich zbyt stanowczych horoskopów; i notując dla tymczasowej wiadomości czytelników „Biblioteki“ ogólne tylko dane artystyczne tej antreprzy, według których nowozorganizowana opera polska funkcjonować ma cztery razy w tygodniu w gmachu teatru wielkiego, siłami odpowiednio skompletowanemi, pod kierunkiem kapelmistrzów: Rezniczka do dzieł Wagnerowskich, a Noskowskiego i dwóch młodych muzyków polskich do repertuaru polskiego, przyczem korzystać będzie z całkowitego inwentarza teatru Wielkiego w dziale dekoracyjnym, rekwizytorskim, kostiumowym i bibliotecznym,—nie możemy powstrzymać się od niepokojącego pytania: jak się wobec tego ukształtują stosunki w dramacie i komedyi i jakby wyglądała nasza scena dramatyczna wciągnięta do analogicznej kombinacji?

Zaznaczyliśmy w swoim czasie, że podobna ewentualność błąkała się w teatralnych sferach decydujących. Czy obecnie pokutuje tam jeszcze? Z plątaniny ostatnich wypadków trudno coś o tem pewnego wywnioskować; dla ciągłości jednak historycznej, o którą staraliśmy się zawsze, śledząc w „Bibliotece“ przebieg spraw teatralnych, spróbujmy zorientować się w tych najnowszych fazach kwestyi teatralnej.

W dniu 5 czerwca „Goniec“ otrzymał z Petersburga depeszę, brzmiącą dosłownie, jak następuje: „Na skutek prośby Związku artystów dramatycznych teatrów warszawskich, prezes Koła Polskiego, p. Roman Dmowski, był dzisiaj u prezesa ministrów Stolykina i przedstawił mu stan, w jakim obecnie znajdują się tea-

try. Prezes ministrów, Stołypin, obiecał przyśpieszyć decyzję w sprawie oddania teatrów pod zarząd miejski, a nadto przyrzekł wstrzymać reformy, zapoczątkowane przez obecną dyrekcję teatrów.

W przytoczonym telegramie, czytelnik „Biblioteki,” interesujący się losami polskiej sceny, znajdzie trzy ciekawe niewątpliwie i nowe dla siebie wiadomości: o dokonaniem i uprawnionem już zrzeczeniu się artystów teatrów warszawskich; o decyzji ministerium spraw wewnętrznych co do umiastowienia tych teatrów — decyzji, która widocznie istnieje, skoro ma być „przyśpieszoną;” wreszcie o zainicyowaniu przez dyrekcję tutejszych teatrów „reform,” snąc do tego stopnia rozumnych i celowych, że aż przez władze wyższe „wstrzymane” być muszą. Wszystkie te wiadomości wymagają wyjaśnienia: o ile fakty, na których je oparto, przyczynić się mogą do podźwignięcia teatru z obecnego upadku.

Najmniej pod tym względem komentarzy potrzebuje „Stowarzyszenie artystów.” Ustawa związku wspomina wprawdzie w pierwszym zaraz paragrafie o zamierzonym „podniesieniu poziomu artystycznego i duchowego teatru;” ale dość rozejrzeć się baczniej w jej treści, dość wczytać się w inne paragrafy; dość zresztą zorientować się w wynikach pierwszego organizacyjnego zgromadzenia, na którym utworzono zarząd z przewagą żywiołów, nic wspólnego ze sztuką nie mających, ażeby dojść do wniosku, że celem Stowarzyszenia głównym, wszędzie na czoło wysuwającym, będzie przede wszystkim pilnowanie „interesów zawodowych.” Zrzeczanie się w obronie tych interesów jest oczywiście bardzo naturalnem i wielce dla stowarzyszonych pożytecznem; trudno jednak uważać je za sposób „podniesienia poziomu artystycznego i duchowego” instytucji, dla której, w dobie tak krytycznej i przełomowej jak dzisiejsza, wypadłoby właśnie poświęcić niejednen „interes zawodowy.” Wytoczenie przez stowarzyszonych sprawy teatrów warszawskich przed forum ministeryalne, za pośrednictwem Koła Polskiego, wygląda wprawdzie na jakąś akcyę w szerszym stylu; sądzę jednak, że zasługa tej akcji — jakkolwiek będzie jej wynik — przypadnie raczej prezesowi Koła, aniżeli artystom; wszystko bowiem zależy od tego, jaki sens w przedstawieniu p. Stołypinowi, nadano definicyi: „stan teatru.” Nie wątpię ani na chwilę, że taki rzecznik kultury polskiej, jak pan Dmowski, rozwinął tę definicyę jaknajszerzej; że ogarnął nią wszystkie krzywdy wyrządzone w naszym teatrze przez biurokrację literaturze i sztuce; z drugiej jednak strony, na podstawie psychologii aktorskiej, wolno wnosić, że inicjatorom depeszy cho-

dziło głównie o „stan finansowy“ teatru, bo ze stanem jego artystycznym, trwającym nie od dziś i nie od wczoraj, z gnuśną ospałością, sięgającą czasów „spokojnych,“ potrafili godzić się bez protestu, nawet skwapliwie, dopóki regularnie dochodziła ich... pensya. Zapewne, że upomnieć się o tę pensyę można i trzeba; ale niema znów powodu nadawać tym zabiegom inne niż ją znaczenie.

Nierównie większą wagę przyznać wypadnie odpowiedzi prezesa ministrów, choćby tylko dla tego, że stwierdza fakt dotychczas kwestyonowany: tendencję, chwilową czy też ustaloną władz ministeryalnych do umiastowienia teatrów. O tej tendencji slyszeliśmy wprawdzie oddawna; źródła jednak pogłosek bywały tak niepewne; tak je macono przygodnie i z rozmysłem; że w końcu przestaliśmy zupełnie wierzyć w przypisywane rządowi zamiary. Dopiero depesza „Gońca“ wyjaśniła sytuację. Ostatecznie wiemy, że ktoś, ze wszech miar godzien wiary, rozmawiał z ministrem i ogłosił to, co od niego usłyszał; ustaje wobec tego wszelka wątpliwość co do kierunku, jaki w danej chwili zamierzono nadać całej sprawie, a niektóre organa prasy rosyjskiej, jak np. „Ruś,“ uważają nawet umiastowienie teatrów warszawskich za fakt prawie dokonany. Nie zapędzając się tak daleko, trzeba przyznać, że glossy dziennika rosyjskiego ciekawe są i pod wielu względami charakterystyczne. „Rząd, pisze „Ruś,“ decyduje się oddać teatry warszawskie Polakom, a właściwie magistratowi miasta Warszawy, choć bronił do ostatnich czasów swojej teatralnej pozycji w Królestwie Polskiem. Jeszcze w jesieni roku zeszłego wahano się, czy opuścić zrujnowane zupełnie fortyfikacje. Obecnie nadeszła, zdaje się, chwila, kiedy ustać muszą wszelkie wątpliwości, a magistrat warszawski obejmie w posiadanie majątek teatralny w postaci kwitów lombardowych na dekoracje i kostiumy; wzamian zaś za tę przyjemność, weźmie na siebie spłatę długu teatru rządowego w wysokości 600,000 rubli i wynagrodzi artystów rządowych, którym, na czysto tureckich zasadach, zalega pensya od lutego r. b.“

Trudno o dosadniejszą, a zarazem prawdziwszą ocenę przygotowującego się zwrotu w losach sceny polskiej. Dziwić wprawdzie może w tej naogół życzliwej dla naszego teatru ocenie niewinny przysłówek *właściwie*, utożsamiający społeczeństwo polskie z niesamorzadną dotąd i jeszcze biurokratyczną municypalnością; niezależnie jednak od takiego lub innego oświetlenia publicystyki rosyjskiej, sam fakt przeprowadzonego w ten sposób umiastowienia teatrów decyduje o wartości tej, tak zwanej przez Nestora „au-

tonomii teatralnej.“ Jestto poprostu przeniesienie długów i wszelkich zobowiązań przez rząd zaciągniętych z jednej biurokracyi na drugą. Przesilenie finansowe zostanie zażegnane: o inne nikt przecie nie dba. Wierzyciele rozmaitego kalibru dostaną nareszcie co im się należy; artyści zgarną odrazu trzymiesięczną gażę — *quod eratdemonstrandum*.

Gdy tak ministeryum myśli o rozcięciu węzła gordyjskiego, miejscowa dyrekcya, obyczajem administracyi biurokratycznej, probuje go po swojemu zaplątać. Występuje więc najprzód z reformą finansową, rozumując mniej więcej w tym sensie: „ponieważ artystom dużo się należy, a niema ich czem płacić, trzeba tedy jednych unicestwić zupełnie, drugich wziąć na dyetę za to, że ośmielają się być głodni.“ I na podstawie tej łatwej a dogodnej logiki, znosi się opera polska, personelowi zaś dramatu i komedyi redukuje się te pensye, których nikt z artystów nie pobiera, ustanawia się fikcyjne maksyma i minima, śmieszne wobec zupełnej niewypłacalności kasy, a dekretuje się to z taką swobodą, jakgdyby wszystkie rachunki były w porządku, jakgdyby dotknięci dekretem nie byli kredytorami, którym się kwartalna zaległość należy! Wyglądałoby to istotnie na operetkę, gdyby nie tkwiący na dnie tragizm, który śpiewaków naszych rozproszył już po świecie, część artystów dramatycznych popchnął na inne sceny polskie—o ile posiadali po temu kwalifikacye — pozostałą zaś rzeszę groźbą lokautu teatralnego ugiął pod jarzmo kaudyńskie.

To są owe „reformy,“ które premier obiecał „wstrzymać.“

Czy wstrzyma? Któż może odpowiedzieć na to pytanie w dobie, kiedy moment, oddzielający początek tych uwag od kreślonych później wyrazów, przyniósł wypadki, dzięki którym pan Dmowski jest już tylko byłym posłem byłej Izby państwowej, a dla prezesa ministrów słowa „przyśpieszyć“ i „wstrzymać“ mogły w danym wypadku nabrać wprost odwrotnego znaczenia? Cokolwiekbądź da jutro, jakkolwiek wypadnie ocena dnia dzisiejszego, należy zaznaczyć, że wczoraj jeszcze polityka urzędowych „reformatorów“ przebywała nową, kompromisową fazę.

Próbowano „odwołać się do współdziałania sił społecznych;“ zaś jako „siła społeczna,“ wystąpić mieli w nowej kierowniczej kombinacyi — przedstawiciele literatury. Nikt oczywiście nie łudził się co do szczerości tego eksperymentu, a literaci, wezwani do układów, wynieśli wprost wrażenie, że w przededniu katastrofy finansowej usiłowano wynaleźć barki dość mocne, aby zwaliwszy na nie *odium* niepowodzenia artystycznego, obciążyć je za jednym zamachem odpowiedzialnością za ruinę materialną.

Wobec zupełnej świadomości tego niebezpieczeństwa, stawały przed kandydatami na kierowników dramatu i komedii poważne pytania: czy odmówić dyrekcji poparcia, w przekonaniu, że owa reforma „konstytucyjna“ jest tylko próbą ratowania rozpadającej się w pieniężnym krachu administracji; czy też, czując nawet nad głową groźbę zawalenia się sufitu — jak w Dumie — zaryzykować tę głowę, dla kołaczącej się w niej myśli: że jednak z ostatecznej zagłady teatru polskiego uda się może ocalić coś, coby posłużyło bodaj na zręby przyszłej, narodowej sceny.

Były odpowiedzi na oba pytania: padły odmowy i sformułowane zostały warunki. Odmowy brzmiały kategorycznie, warunki stawiano ostre: jednym i drugim dziwić się nie można. W sytuacji prawie bez wyjścia musieli się znaleźć i tacy, którzy poprostu nie umieli sobie wyobrazić, żeby można było pracować twórczo, ręka w rękę z żywiołami niszczycielskimi; i tacy, którzy wytrwale wyznawali zasadę: że w najgorszych warunkach silna wola twórczą być potrafi, zwłaszcza, gdy ma za sobą kulturę artystyczną, a przeciwko sobie analfabetyzm biurokratyczny. Ścierały się tedy prądy w ciągu pertraktacji z dyrekcją w ożywionych, gorących dyskusjach; w pewnej nawet chwili, może przypadkowo, a może jako echa prowadzonych tu i owdzie rozpraw, odbiły się w felietonach jednego z poważnych dzienników, gdzie kwestya, postawiona na ostrzu noża, wykwitła w końcu postulatem „teatru narodowego.“

„Teatr narodowy!“ Nie pierwszy raz odzywa się to hasło wśród innych, nawołujących nasze społeczeństwo do pracy przetwórczej. Rzucano je niejednokrotnie i na stronicach „Biblioteki“ od chwili, kiedy tylko swobodnie rozlegać się mogło. W owym momencie zabrzmiało takim tylko tonem, jaki wśród nieustalonych jeszcze warunków cenzuralnych wydobyć się dało; mowa była o „unarodowieniu repertuaru“ w istniejących u nas teatrach dramatu i komedii. Dziś o co innego chodziło, dziś uderzono w pełny akord; dziś wyzwolenicze pragnienia budowały teatr, jak czesi „sami sobie,“ i w tym, wzniesionym z publicznych składek gmachu, mieściły sztukę polską, odrodzoną, uszlachetnioną, unarodowioną w najlepszym tej definicyi znaczeniu, to jest dźwigniętą na szczyty kultury polskiej. A dziwnym zbiegiem okoliczności w tym akordzie słychać było nuty nie tylko owego felietonisty wojującego samymi absolutami, nie tylko nowoorganizowanego „Stowarzyszenia artystów“ tutejszych teatrów rządowych, ale nawet... Nestora z „Rusi.“ „Prawdopodobnie — pisze rosyjski publicysta — społeczeństwo polskie znajdzie się wobec dylematu: albo wziąć

w ręce zaprzepaszczoną ostatecznie i zabrudzoną sprawę teatru z całym inwentarzem długów, lub też rzec się tak wątpliwego spadku i przystąpić do stworzenia czegoś zupełnie nowego i samoistnego. Nie wiem—ciągnie dalej Nestor—na co zdecyduje się polskie społeczeństwo; zdaje mi się jednak, że mu w takim razie przyjemniejszą się wyda druga alternatywa. I znowu przypomina mi się mimowoli wielka epopea budowy teatru narodowego „Narodne divadlo“ w „Pradze czeskiej.“ Jakież to był wysoki wzlot ducha narodowego, jakie kulturalne pod tchnieniem jego zespolenie; jaki cudny, ponętny przykład dla podnoszącego schyłoną od tak dawna głowę narodu polskiego!“

Aż na tę głowę padło Stołypinowskie *quos ego*, rzucone „inorodcom.“ I ucichło odrazu wszystko. Umilkły najprzód głosy, snujące wśród rzeszy aktorskiej motyw „teatru narodowego.“ Umilkły potem wszędzie, przyciszone wagą sytuacji, nakładającej na społeczeństwo nowe obowiązki, stokroć ważniejsze, stokroć pilniej naglące, niż najpiękniejsze nawet rojenia o „teatrze narodowym;“ umilkły pod hasłem Rozy Wenedy: „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...“ hasło zaś, o ile mówi o różach, prawdziwe jest, realne, choćby nawet lasy *jeszcze* nie płonęły, dla tego właśnie *żeby* nie płonęły. Zrozumiano, że jeżeli argument: „jak tu myśleć o fundowaniu teatru, skoro szkół nie mamy,“ ważki był przed 16 czerwca, to spoteźniał po tej historycznej dacie do takiej doniosłości, iż skupić musi wszystkie siły i środki społeczeństwa w jednym zadaniu: naśladować Czechów nie w budowie „divadla,“ lecz w dźwiganiu z wdowiego grosza gmachu oświaty narodowej, na którym dewiza „sami sobie“ więcej znaczyć będzie, aniżeli na frontonie „świątyni sztuki.“ Najprzód trzeba umieć istnieć—potem można się nauczyć istnieć pięknie... Jedno i drugie nie łatwo przychodzi w strasznej atmosferze ruiny materialnej i moralnej; ale wszystko przyjąć musi w swoją porę; a wtedy społeczeństwo, wewnątrz skupione, okrzepłe w pracy nad sobą, znalazłszy w owocach tej pracy kompensatę za straconych posłów, cierpliwie też poczeka na wybudowanie teatru narodowego.

Tymczasem nie słychać nic o odpowiedzi dyrekcyi na warunki, postawione przez literatów, choć odgadnąć ją łatwo, znając główne tych warunków punkty. Pomijam już jeden, może nie tak ważny jak chcą niektórzy, ale niewątpliwie bardzo naglący: umieszczenie dramatu i komedyi w budynku, któryby nie odstręczał publiczności ciasnotą, niewygodą, brudem i niechlujstwem dzisiejszych Rozmaitości; pomijam zaś dla tego, żeby w sporze



o rzeczy kapitalne, nie dostarczać przeciwnikom argumentu, że się stawia żądania w danej chwili niewykonalne. A rzecz główna, to nie budynek, lecz to, co się w nim mieścić będzie: to literatura i sztuka, która wtedy tylko odzyska moc oddziaływania na tych nawet, co w teatrze na pierwszy plan wysuwają bankierski komfort, kiedy z kancelaryi urzędnika przejdzie do rąk artysty. I to przejście jest właśnie największym szkopułem, chodzi bowiem o podział władzy tam, gdzie pojęcie tej władzy skomplikowało się bardzo w porównaniu z dawniejszemi na nią poglądami. Komplikacja zaś polega na tem, że od czasu kiedy funkcyje prezesa dyrekcji teatrów rządowych pełnił ober-policmajster miasta Warszawy i na tem stanowisku, przestrzegając żandarnską metodą „subordynacji podwładnych,” oddał ster sceny doskonałemu jej znawcy, rosły u następców Mikołajewskiego „zwierzchnika“ pretensye do kompetencji, których zgoła nie rościł ówczesny prezes. Wiemy wszyscy, jak na tych pretensyach wychodziła w naszych teatrach literatura i sztuka; wiemy też, że w obronie jednej i drugiej, kandydaci na dyrektorów literacko-artystycznych żądali dla siebie: władzy, niekrępowanej jakimibądź wpływami zewnętrznymi przy kompletowaniu personelu, przy wyborze utworów i obsadzie wystawianych sztuk, przy wydatkowaniu na inscenizację dzieł, wymagających artystycznej wystawy; słowem wiemy, że domagali się tego, co zastrzegł sobie i otrzymał dla opery zarząd Filharmonii: „wyłącznej inicjatywy w repertuarze i zupełnej samodzielności w organizacyi i spożytkowaniu personelu.“

Byłby to, jak widzimy, zwrot ku jedynie racjonalnej organizacyi kierownictwa: dyrektor, niezależny wśród aktorów, w repertuarze, na scenie, za kulisami, w kostiumerniach, dekoratorniach i rekwizytorniach; i prezes, urzędowy pośrednik w stosunkach teatru z władzami wyższemi; słowem, w dziedzinie artystycznej—ustrój samorządny. I dla tego głuche milczenie jest dotąd i będzie zapewne nadal jedyną odpowiedzią na takie autonomiczne postulaty. Zwłaszcza, że gdyby nawet na chwilę przypuścić abdykacyę kancelaryi, wszystko rozbić się musi o trzeci decydujący warunek — o uregulowanie rachunków personelu w dramacie i komedyi. Najrozleglejsze bowiem pełnomocnictwa dane dyrektorowi teatru, staną się martwą literą od chwili, kiedy kierownik, zwracający się do artystów o współdziałanie w wysiłkach nad odrodzeniem sceny, usłyszy apostrofę: „najprzód nam zapłaćcie to, cośmy już zapracowali, a potem będziemy pracowali razem.“ Nie zapłacić—to znaczy stracić w sojuszu z biurokracją wszelką moralną powagę; żądać zapłaty — to znaczy oponować przeciwko

budżetowi, lekceważącemu wierzycieli. Rezultat oczywisty: opo-  
nenci nie zatwierdzą budżetu, a gabinet urzędniczy odprawi ich  
z kwitkiem.

Tak się w tej chwili przedstawia sytuacja dramatu i kome-  
dyi w teatrze warszawskim. Plastycznie można ją sobie uprzy-  
tomnić w trzech alternatywach: albo w zachowaniu *status quo*,  
upragnionem dla zainteresowanej w niem administracji, a równo-  
znacznie z rozkładem; albo w umiastowieniu, ciągle niby blizkiem,  
ustawicznie rospływającym się we mgłach obietnic, a zbawiennem  
o tyle tylko, o ile dokonałoby się na gruncie samorządnym; wre-  
szcie w dzierżawie, kombinacji niezmiernie ryzykownej, jeżeli ją  
podejmą ręce, zaprawione na grze spekulacyjnej, czego zawsze oba-  
wiać się można, zwłaszcza przy zwolnieniu dramatu i komedyi od  
operowych służebności i przy szeroko rozpowszechnionem u nas  
pojęciu, że teatr dramatyczny prowadzić może każdy, komu to  
przyjemność sprawia. W jakim kierunku prądy obecne popchną  
teatr warszawski — przesądzać trudno: to pewna, że każda z tych  
trzech alternatyw rozstrzyga w ten lub w ów sposób o przyszłych  
losach sceny polskiej w Warszawie; a przecież chodzi tu o rato-  
wanie przede wszystkim sceny polskiej, nie jakiegoś kompleksu  
stosunków administracyjno-aktorskich, przywiązanych koniecznie  
do pewnego punktu miasta i do pewnego na nim budynku. Pod  
tym względem panuje u nas dziwne pomieszanie pojęć abstrakcyj-  
nych i realnych, wyrobionych po części działaniem świetnej nie-  
gdyś tradycyi, po części parciem życiowych konieczności, które  
porwane nici tej tradycyi sztucznie mocowały węzłami. Mało  
kto potrafi sobie dziś wyobrazić scenę polską gdzieindziej, jak na  
placu teatralnym i w innych stosunkach, jak te, których wyrazem  
literackim i artystycznym są afisze na ścianach teatru Wielkiego;  
mało kto pamięta o tem, że w dobie obecnej sceny zagraniczne  
żyją naprawdę życiem młodem, natężonem: w Paryżu poza Kome-  
dyą Francuską, w Berlinie poza Schauspielhausen, w Wiedniu  
poza Burgiem. Takim życiem zatętnić może i scena dramaty-  
czna polska, jeżeli przed nią otworzy się jeszcze jedna, oprócz  
tamtych trzech, alternatywa: teatr niezależny.

Nie nazwę go odrazu „narodowym,” bo za wiele wymagam od  
tej nazwy, którą zdobyć dopiero wypadnie — a zdobywa się ją czemś  
więcej, niż architekturą. Nie ze składek też publicznych pragnął-  
bym zbudować taki teatr, bo nie mam prawa domagać się ofiar  
na ten cel od wyczerpanego, zubożałego, zachwianego w swym  
bycie ekonomicznym społeczeństwa, którego kultura, pewnym tyl-  
ko warstwom dostępna, nie dawałaby temu projektowi, w normal-

niejszych nawet warunkach, rękojmi wykonalności. Ale wierzę, że do upadku sceny dramatycznej polskiej niedopusci zamożność prywatna, bądź jednostkowa, bądź zespolona, jak niedopusciła do ruiny opery polskiej, zwłaszcza, że poparcie materialne potrzebne tu będzie o wiele skromniejsze, niż dla opery; o wielkości zaś sztuki nie gmach wielki rozstrzyga.

Kto grać będzie w tym teatrze?

Odpowiedziało na to, jak się zdaje, „Stowarzyszenie artystów,“ wiążąc ideowo z losami swej korporacji pomysł „teatru narodowego,“ który musiałby, z natury rzeczy, wyzwolić się z dotychczasowych urzędowych stosunków. Tylko wyzwolenie trzebaby przeprowadzić w całej rozciągłości, tak, żeby nic z dawnej atmosfery nie przecisnęło się do nowego ustroju. I może wypadłoby także uciec się do heroicznych środków i ofiarności, rozkładaną w szerokich projektach „Stowarzyszenia“ na cały naród, rozpocząć przedewszystkiem od siebie. Było się przez szereg lat z różnych powodów Beniaminkiem społeczeństwa i korzystało się długo z materialnych i moralnych przywilejów tej wyjątkowej sytuacji: trzeba teraz umieć za to odpłacić społeczeństwu. Trzeba zapoczątkować tworzenie teatru narodowego nie od zabiegów o własne, zawodowe korzyści, o utrzymanie wysokości sutych uposażeń w nowoufundowanej „świątyni,“ ale od przejścia się obowiązkami względem sztuki polskiej, dążącej do wywalczenia sobie samoistnego bytu. Wejść w siebie, rozejrzeć się naokoło, zdobyć świadomość, że się jest maruderem w pochodzie ewolucyjnym kultury artystycznej i potęgą dokonanego zreszenia zbudzić w sobie energię do przebieżenia zaniedbanych etapów, do zrównania się z przodownikami — do tego niekoniecznie potrzeba imponujących murów; tego można dokonać i w skromnych na początek siedzibach, których ściany pod parciem ducha stopniowo rozszerzać się będą. A kiedy stanie się ciasno nie rozbujajmy interesom, lecz rozwiniętym do lotu skrzydłom; kiedy na idealnych podstawach odrodzonej literatury i sztuki polskiej dźwignie się teatr, narodowy nie z napisu, lecz z duszy, wtedy znajdą się niewątpliwie tacy, którzy mu rozszerzą materialne fundamenty i nie będziemy potrzebowali z upokorzeniem wspominać nazwisk Stanisławskiego ani Morozowa.

## II.

Tak mając je mniej więcej oddalone jutro: jakże się przedstawia dzisiaj?

Na dniu dzisiejszym moment kompromisowy wycisnął również swoje piętno: repertuar wpatrzony w kasę, zerkał jednak od czasu do czasu w stronę literatury i zerkając... chybiał zawsze.

Inaczej być nie mogło — poprostu nie było nikogo, ktoby umiał patrzeć. Kierunek dramatu i komedyi, ześrodkowany w reżyseryi aktorskiej stał się poniekąd także sprawą zawodową, w której kierownik, nie zapominając ani na chwilę o interesie korporacyi — o rolach dla aktorów — pamiętać musiał więcej niż kiedykolwiek, o dochodzie, uznanym w tej dobie bankructwa finansowego za interes podwójnie zawodowy. Gdy jednak oba te hasła: rola i dochód zaczęły w pustej kasie wywoływać jakieś szydercze echa, lęk ogarnął dotychczasowych sterników nawy teatralnej; pokazało się bowiem, że aktorstwo, jako idea kierownicza, zachwasciwszy literaturę, niema już nic więcej do powiedzenia. Jeden więc po drugim usuwali się reżyserowie od rządów, potęgując i tak już niesłychany zamęt ustawicznymi bezkrólewiami i *interregnami*, a za kulisami oczekiwano z niepokojem na jakąś tajemniczo zapowiadaną dyktaturę literacką. Tymczasem aktorzy odeszli, literaci nie przyszedli i w takiej to sytuacji, której dwuznaczność zawisła nad teatrem nieustanną groźbą przewrotu, wystawiono „Knezia Popiela“ M. Tatarkiewicza, „Piękną panią Heber“ Abła Hermanta, „Łódź kwiatową“ Sudermanna, „Rewolwer“ Fredry (ojca) i „Złodzieja“ H. Bernsteina. Przyznać trzeba, że trudno o chwiejniejszy grunt, o cięższe warunki dla jakiegobądź repertuaru; gdy dodamy do nich jeszcze zupełną dezorganizację personelu, wytworzoną odejściem pań Trapszo-Chodowieckiej i Przybyłko-Potockiej, wycofaniem się panny Sulimy, ubytkiem panów Frenkla, Wostrowskiego i Siemaszki; gdy zamkniemy tę długą, niestety, listę strat zapowiedzianem usunięciem się pani Mrozowskiej i zamierzonym wyjazdem pani Federowiczowej, odejmiemy zapewne każdemu ochotę do bezpłodnego zastanawiania się nad tem: jakie mogą mieć znaczenie przytoczone wyżej tytuły utworów i wyliczone przy nich nazwiska autorów; czy jedne i drugie są wyrazem jakichkolwiek kombinacyj, planów repertuarowych, czy też tylko grą ślepych trafów? Nikt zresztą nie będzie się kwapił z refleksjami. Przeżywamy dobę, w której poglądy na teatr zabarwiają się mocno

społecznie, nawet politycznie, a najsłabiej artystycznie. Dawniejszy oblubieniec sztuki dramatycznej, kokietujący niekiedy literaturę, siłą rzeczy stał się jedną ze stron w wielkim procesie o prawo do samoistnego bytu i więcej może w losach jego waży słowa wypowiedane za sceną, niż na scenie. W takiej chwili przejściowej sprawy repertuarowe, ocena gry artystów słabsze budzić muszą zajęcie, zwłaszcza przy bardzo nierównej wartości materiału, jaki z trudem największym zdołano zaprodukować na scenie w ciągu ubiegłych trzech miesięcy. Krótko się też wypowiem o tych „nabytkach“ z okresu przed- między- i pokonstytucyjnego naszych scen dramatycznych.

„Kneź Popiel“ M. Tatarkiewicza miał być, jak się zdaje, jednym z kompromisów kasy z literaturą. Nie udał się ani kasie, ani literaturze. Pierwsze niepowodzenie mało nas obchodzi; zdaje się, że i autor przebolewał je łatwo, pocieszając się zapewne myślą, że na gruncie finansowym znalazł się w towarzystwie... ni mniej ni więcej tylko Juliusza Słowackiego; kto wie jednak, czy druga, literacka klęska nie wynika właśnie ze zbyt poufałego w tem towarzystwie przestawania.

Młody poeta był i pozostaje prawdopodobnie dotąd pod wpływem tego czarodzieja, wywołującego ze słowa cuda dźwięku i barwy. Zwyczajna to droga w rozwoju uzdolnień, nieposiadających w sobie samych twórczej mężkości. Szedł więc po niej i p. Tatarkiewicz — szkoda tylko, że nie zatrzymał się „W Szwajcaryi.“ Zebrane tam kolory i światła starczyłyby do produkowania w liryce ładnych *pasticcio*ów, których kilka drukowaliśmy w „Bibliotece,“ do komponowania zgrabnych drobiazgów scenicznych w rodzaju „Królowej Bajki“ lub „Mszy majowej,“ które cieszyły się względem powodzeniem w naszym teatrze. Ale pędzłem, przydatnym do malowania na porcelanie, nie tworzy się wielkich obrazów; innego tam niż w ceramice literackiej potrzeba ognia do wydobycia z barw i konturów posagowej plastyki. Pan Tatarkiewicz uległ zwykłym w takich razach złudzeniom: zdawało mu się, że temat technie w niego siłę, którą on powinien był technąć w temat, więc zahypnotyzowany przez „Króla-Ducha,“ napisał „Knezia Popiela“ i dwie od razu popełnił omyłki: przecenił własną siłę i nie zrozumiał siły tematu. Obie omyłki są bardzo nowoczesne i często w ścisłym ze sobą pozostają związku; w danym wypadku najważniejszą rolę odgrywa nieporozumienie co do tematu. Kiedy pod tą samą zapewne hypnozą Mieczysław Romanowski tworzył przed czterdziestu kilku laty „Popiela i Piasta,“ a w roku bieżącym p. Feliks Płażek zainteresował swoim „Pogromem,“ ja-

ko utworem wybitnej wartości, obu poetom imponowała wielo-  
 na w zbrodniczej naturze Popiela idea racyi stanu, urabiająca  
 w krwawym zaczynie naród, zakładająca na pobojuwiskach zręby  
 przyszłego państwa. Panu Tatarkiewiczowi imponowała zbrodni-  
 cza natura sama przez się i z niej to, nie z idei, która się nią  
 posługuje, usiłował wydobyć siłę dramatyczną. Illuzya tej siły  
 nosi też na sobie wszystkie cechy bieżącej chwili, nie tylko literac-  
 kiej, lecz i społecznej. To nie tragiczna groza walki, prowadzo-  
 nej przez Popiela na dwa fronty: z germanizmem nazewnątrz,  
 a z buntem stryjów i opornością wieców na wewnątrz i zniepra-  
 wiającej duszę bohatera w dramacie Romanowskiego; to nie *an-  
 an-ke* zemsty, ciężąca w poemacie scenicznym Płażka na ostatnim  
 potonku Wenedów, zrodzonym z zapłodnienia Rozy Wenedy po-  
 piołami wytraconego ludu. To jakaś mięszanina nieświadomie  
 stąd i zowąd wchłoniętych motywów filozofii „nadezłowieczeństwa“  
 z okruciami paradoksalnej psychologii „zbrodni, jako energii spo-  
 łecznej,“ dyletanckie reminiscencye Nitzscheanizmu i Beylizmu.  
 A w rezultacie, jako wytwór tego wszystkiego — ordynarny na  
 scenie zbój o tępym unyśle i zwierzęcych instynktach, tem przy-  
 krzejsze wywierający wrażenie, że sam przedrzeźnia Króla-Ducha  
 i w świetle również zapożyczonem wywołuje, obok swej żony  
 Brunhildy, Makbetowską marę Gwinony. Jestto słowem skombi-  
 nowany po aktorsku „Popiel“ *moderne*, którego nie mogła wy-  
 dźwignąć na wyżyny bohaterstwa jedna, jedyna w pierwszym obra-  
 zie sytuacja, kiedy kneź samem zjawieniem się pośród wiecują-  
 cych Smerdów poskrania zbuntowanych i wyrósłszy odrazu ponad  
 wzburzony tłum knieciów, zdaje się przemawiać, jak nosiciel  
 idei. Idea nie iści się zgoła w ciągu dramatu, staczającego się  
 po pochyłości krwawo wyjaskrawionych teatralnych efektów, któ-  
 re, działając wprost fizycznemi dreszczami na wrażliwy naskórek  
 widza, rozwijają przed nim nadgoplańską legendę w kolorach po-  
 nurego oleodruku.

Niedługie też było życie „Knezia Popiela,“ mimo że artyści-  
 koledzy wszystkich sił dokładali, żeby p. Tatarkiewicz mógł, ja-  
 ko aktor-poeta, zawołać do publiczności ze sceny: *anch'io son  
 pittore!* Wątpię, żeby „Kneź“ powrócił kiedy na repertuar; trze-  
 ba więc zanotować, że z pośród 36 osób, biorących udział w ak-  
 cyi, wyróżnili się: p. Żelazowski, który starał się postać tytułową  
 dźwigać na piedestał, pani Marcello, majestatyczna w roli Brun-  
 hildy, p. Rapacki, wspaniały kneź Mściwój, p. Śliwicki pefen uczu-  
 cia, jako Leszek, syn jęgo i pani Tekla Trapszo, przedstawiająca  
 z tkliwym wdziękiem żonę Leszkową — Białkę.

Do niefortunnych flirtów z literaturą, zaliczyć trzeba, niestety, i ukazanie się na scenie „Rewolweru“ Aleksandra Fredry. Wydobywając z pośniertnego repertuaru twórcy „Zemsty“ tę właśnie najślabszą sztukę, wykazano zwykły u kierowników naszej komedii gust i specjalny ów zmysł krytyczny, który stał się już przysłowiowym w teatrach warszawskich. Przed paru miesiącami Kraków śpieszył tłumnie na jubileuszowe przedstawienie „Ślubów panińskich.“ Byłto prawdziwy, uroczysty obchód, gromadzący w widowni wszystkie warstwy publiczności, ogniskujący na scenie wszystkie artystyczne usiłowania w wystawie, w grze aktorów, w stylowym nastroju. W Warszawie, zaniedbanego ojca komedii polskiej przypominano ździwionej publiczności... „Rewolwerem.“ Może to miał być styl nowoczesny. Znamy ten styl, na imię mu „aktualność;“ sztuka nazywa to grzechem, wtedy nawet, gdy go osłania wielkie nazwisko. Jestto jeden z tych grzechów niepotrzebnych, który nawet celu swego nie osiąga. Być może, iż w chwili, kiedy Fredro powziął pomysł przedstawienia w komicznem świetle, jak utrzymuje Stanisław Tarnowski, „czasów reakcyi, stanów oblężenia, policyjnych donosów, między rokiem 1848 1849,“ i wobec czujności władz austryackich, przeniósł akcyę swej komedii do Parmy, przedstawienie „Rewolweru“ byłoby do pewnego stopnia wywarło zamierzony efekt. Ale liczyć na podobny efekt po sześćdziesięciu blisko latach, spodziewać się, że na tej maskaradzie stosunków galicyjskich przebranych po włosku, Warszawa bawić się zechce z maskami i do każdej wołać będzie z satysfakcyą „znam cię!“ — to znaczy nie mieć pojęcia o nastroju chwili, ani o psychologii publiczności. Niechce mi się więc wierzyć, żeby to miał być jedyny motyw wydobycia „Rewolweru,“ który w innych polskich teatrach spoczywa sobie spokojnie w swoim bibliotecznym futerale. Musiała tu działać inna przyczyna — i tę nietrudno odgadnąć.

Ilekoć w warszawskim teatrze, obok sztuki wystawionej niewiadomo dla czego, sterczy taki właśnie znak zapytania, mamy zawsze gotową na ten pytańnik odpowiedź: *cherchez le comédien*. I tu łatwo znaleźć aktora: był nim prawdopodobnie p. Wojdałowicz, któremu uśmiechała się zapewne rola barona Mortary. Rola dobra—bo ma wydatne rysy plastyczne, o które bez wielkiego trudu zaczepić się można środkami aktorskiemi. Lojalny i legalny z tchórzostwa, nekany strachem policyi, rewolucyi, konspiracyi i odpowiedzialności, bankier, jako postać komiczna, nie stoi wprawdzie na wysokości wielkich kreacyj Fredry, ale dla aktora jest wdzięcznym materiałem do ulepienia figurki farsowej; że zaś

Mortara nie schodzi ze sceny, którą całkowicie prawie sobą wypełnia; że strach jego jest duszą zasadniczej wodewilowej sytuacji, w której tchórz nie może się pozbyć rewolweru przysłanego mu w podarunku przez przyjaciela konspiratora; — więc pokusa była widocznie zbyt silną i panu Wojdałowiczowi zawdzięcza niewątpliwie Fredro, iż wzywano jego imienia nadaremnie. Gdybyż przynajmniej to wezwanie wyszło na rzetelną korzyść talentu artysty. Ale i tego sumiennie powiedzieć nie można. Pan Wojdałowicz nie wznosił się ponad dobrą robotę aktorską. Śladu oryginalnej twórczości, któraby typowe rysy Fredrowskiej kompozycji ożywiła indywidualnym wyrazem, nie dostrzegliśmy zgoła w tej robocie.

Otoczenie Mortary, mimo że mu Fredro powierzył prowadzenie dwoistej intrygi, która oplątuje bankiera w ucieczce przed ścigającym go rewolwerem, mało jest zajmującym. Pamela, siostra żony bankiera, występująca namiętnie z prawami narzeczonej na podstawie obietnicy szwagra; Negri, gwałtowny Włoch, zakochany w Otylii, córce owego konspiratora, z którą chce się żenić Mortara dla zachowania w swoim banku kapitałów, zapisanych przez właściciela, jej ojcu; niemy komisjoner, odszukujący ustawicznie rewolwer, w różny sposób przez nieszczęsnego posiadacza porzucany — wszystko to kręci się przez pięć aktów w wirze krotoczwili, w którym miga tylko sylwetkowemi konturami, nie pozostawiając po sobie wyrazistszych plastycznych wrażeń. To też trudno winić panią Barszczewską, że nie zdołała uwydatnić fizyognomii ognistej wdowy; ani p. Wolskiego, że jego furya południowa zbyt niewidzów nie zaniepokoiła; ani panów Bednarczyka i Rolanda, że jeden w swojej obłudzie, drugi w swej jęczącej gestykulacji niemowy nie zdołali unikać jednostajności. Każdy robił, co mógł; nikt nie mógł zrobić więcej niż sam autor, któremu zrobiła krzywdę reżyserya.

Mamże na seryo traktować, jako „nabytki“ repertuarowe, dwie jednoaktówki p. Zygmunta Przybylskiego: „Antkowe Wesele“ i „Wiosnę?“ Sądzę, że do tego nie miałby pretensyi i sam autor i chyba o taką kwalifikację mógłby się upomnieć tylko konkurs lwowski, który raz jeszcze dowiódł, że przeżyły się tego rodzaju turnieje i że wiedznią coraz widoczniej rozdawane na nich wawrzyny. Zaznaczmy więc że i w „Antkowym Weselu“ aktualność stanowi o dramatycznym momencie jednoaktówki (wsteczna zazdrość żeniącego się rzemieślnika o studenta, którego panna młoda ukryta była niegdyś przed pościgiem); a w „Wiosnie“ dwoje młodych, upojonych majowemi czarami, przysięga sobie wieczną



miłość. To wystarczy i nie potrzebuje, a właściwie nie znosi, oceny. Dość zatem będzie nadmienić, że oba drobiazgi grane były składnie, za co autor dziękować winien: w pierwszej—paniom Tekli Trapszo, Micińskiej oraz pp. Marcelemu Trapszy i Hryniewiczowi, w drugiej—panom Różańskiemu i Brydzyńskiemu.

### III.

Z powodu wystawienia trzech sztuk tłómaczonych, których nazwy wymieniliśmy już poprzednio, dyskutowano znowu ustnie i w druku nad starą, jak teatr, kwestyą „roboty“ scenicznej. Zmartwychwstała więc w rozprawach broniąca się zawzięcie od śmierci „sztuka dobrze zrobiona,“ *la pièce bien faite* żartobliwie dziś traktowanego Sarceya, którego popularne niegdyś definicje: *c'est du théâtre*, albo *ce n'est pas du théâtre* walczyły ze sobą argumentami, znacznie obostrzonymi w targu o nową poetykę teatralną. Jaka jest właściwie ta nowa poetyka; kiedy tak zwana „budowa“ ma być naturalnym produktem twórczej kompozycji, niezbędnym warunkiem doskonałości kształtów scenicznych, a kiedy przybiera cechy rzemieślniczej sprawności; w jakich wypadkach występuje w dziele, jako wyraz harmonii między treścią i formą, a kiedy obniża w niem artystyczną wartość wrażeniem „roboty?“; o czem wreszcie świadczy przechylenie się w tej sprawie na jedną lub na drugą stronę: o talencie, czy tylko o zręczności? Wszystko to na nowo się odezwało i, jak zwykle, zostało bez jasnej, rozstrzygającej odpowiedzi.

Bo jak tu dać taką odpowiedź? Łatwo jest wzruszać ramionami na „robotę“ Sudermanna lub Abła Hermanta; ale trzeba też spojrzeć na te szczyty, z których wysokości spada na nich kondemnata. Wszak najpiękniejszych rzeczy Ibsena, „Brandą,“ „Pee-  
ra Gynta,“ Cezara i Galilejczyka“ grać nie można; a znów cały sceniczny odłam jego ideowego repertuaru dla tego z taką siłą oddziałują na widza, że przeważają w nim „sztuki dobrze zrobione.“ Wszakże zginął dla sceny potężny, historyczny obraz Gerharda Hauptmana „Floryan Geyer,“ a żyją na niej, dzięki swej budowie, „Samotni ludzie,“ „Kolega Krampton,“ „Wniebo-  
wzięcie Hanusi,“ „Woźnica Henschel,“ „Tkacze.“ Wszakże d'Annunzio wstrząsa na scenie w swoim „Mieście umarłem,“ w swojej „Giocondzie,“ a zatapia bez ratunku w falach liryzmu „Franceskę z Rimini,“ lub najnowszy twór „Więcej niż miłość.“ Cóż

tu więc rozstrzyga między różnymi odrębnymi indywidualnościami twórczymi, a nawet między dziełami jednego i tego samego twórcy? Talent? Ależ jest go mnóstwo i w nieteatralnym a nudnym „Rosmersholmie“ Ibsena, i w rozwichrzonej, rozpadającej się na scenie „Pipie“ Hauptmana, i w dekoracyjnym a martwym „Poranku wiosennym“ d'Annunzia. Jakże zatem wyjść z tego dylematu, na którego jednym krańcu stoi, celebrując uroczyste, tak zwany „dramat książkowy“ (*Buchdramma*) z całym zastępem mozolnie dźwigających idee, a wrosłych w drukowane karty, bohaterów; z całym przyborem wszelkich nieziszczalnych na scenie symbolów historycznych, filozoficznych, społecznych, literackich i artystycznych — na drugim zaś kusi publiczność wykończeniem zgrabnie sfabrykowany wyrób sztuki, stosowanej do rzemiosła, czy też rzemiosła, stosowanego do sztuki?

Nie jest bowiem wyjściem dotychczasowe bujanie twórczości dramatycznej i natchnionej przez nią krytyki w marzeniach o jakimś nowym teatrze, w którym słowo, obdarzone nieznaną dotąd suggestywną mocą, wydostanie z siebie cudowną plastykę dla wszystkich niepochwytnych poruszeń myśli i uczucia, dla oddźwięków nieskończoności w duszy ludzkiej; nie są rozwiązaniem dylematu rojenia o scenie, na której odcielesniona, wyzwolona z więzów materii technika teatralna, wyczaruje krainę Psychy, bujającej swobodnie w idealnych przestworzach, gdzie żadne twarde dotknięcie nie zetrze złocistego pyłu z jej motyli skrzydeł. Takiego teatru niema jeszcze i niewiadomo kiedy będzie, jeżeli wogóle będzie. Tymczasem Życie wyciąga ręce do Sztuki z namiętnym wołaniem: „Weź mię w ramiona, obejmij wielkiem ukochaniem, a we wspólnym dreszczu miłosnym stworzymy nowe światy. Znajdziesz we mnie wszystko, czego szukasz poza mną. Kryję w sobie niewyczerpane skarby mądrości, z którą dotrzesz do Niepoznawalnego; w tajemnych moich głębiach kwitnie kwiat paproci, który zerwawszy, zdobędziesz królestwo poezji. Dam ci w drgających na jasnej jawie kształtach to, za czem się ugasz po zgaszonych, zamglonych, chmurnych szlakach Bezkształtu; tylko twórczem okiem spojrzuj mi w duszę i z niej wydobądź wieczną tragedję człowieka!“

Tak woła życie—i na to wołanie różni różnie w imię Sztuki odpowiadali i odpowiadają. Stopień szczerości w odpowiedziach stanowi tu wszystko, bo rozstrzyga o napięciu talentu twórcy, jedynym więc może być sprawdzianem przy ocenianiu stosunku utworu do sztuki. Potrzebny jest tylko nieodzowny warunek: żeby szczerą była także i ocena odpowiedzi, żeby tej szczerości nie

stawiała na przeszkodzie ciasnota doktryn literackich, snobizm albo najpospolitsza moda.

Weźmy dwa konkretne przykłady: „Piękną panią Heber“ Hermanta i „Łódź kwiatową“ Sudermana. Jedna jest stanowczo sztuką „źle zrobioną“, druga należy do komedyj „dobrze zbudowanych.“ Stąd cały szereg wniosków i następstw, które kłócą się z sobą ustawicznie. Wypadłoby z nich, że Francuz, obowiązany do „łacińskiej jasności“, sprzeniewierzywszy się jej, dąży po nowych drogach twórczości, a Niemiec, przedstawiciel „germańskiej mglistości“, zerwawszy z nią, wstecz idzie, zamiast naprzód. Więc sztuka Hermanta jest dobrą dla tego, że jest źle zrobioną, a dobra robota stawia w rzędzie złych utworów Sudermana. Tymczasem nie jest rzeczą dobrą „Pani Heber“, ani złą „Łódź kwiatowa“, ale obie są ciekawe, bo ściśle z życiem związane, artyzmu zaś tkwi w mniej więcej kunsztownem zadzierzgnięciu tego węzła między życiem a sztuką.

Każdy z autorów wziął się do tego inaczej, choć jednoczy ich wspólny grunt, na którym stanęli: obserwacja pewnych środowisk, zresztą pokrewnych sobie i mających wspólne rysy. Studyjąc swoje *milieu*: znieprawione w próżniaczej egzystencji mieszczaństwo paryskie na wakacjach, w letnich siedzibach, i podpatrując tam różnorodne rysy zepsucia, Hermant piórem demokracji francuskiego rozrzuca te rysy pomiędzy gromadę, mniej dbając o wydobycie z niej indywidualnych postaci, co też i akcji odbiera skupienie i sceny zbiorowe na pierwszy plan wysuwa. Sudermann syntetyzuje w indywidualuach środowisko berlińskich filistrów, którym Nietzsche pozawracał głowy moralnością „nadludzi“, a d'Annunzio rozpętał zniszczenia namiętnościami Renesansu i przeprowadza dramat między starymi a nowymi w życiu hasłami. Hermant poprzestaje na namalowaniu obrazu; Sudermann chce czegoś dowieść. I tu rozpoczynają się różnice, wciągnięte także do pojęcia dobrej lub złej roboty, twórczej albo zręcznej tylko budowy. Definicje „roboty“ rozszerzają się aż do rysunku charakterów; do oceny zaś tego rysunku przybywa nowy motyw—kontrola: czy charaktery zachowują do końca swoją „konsekwencję“, czy też „łamią się pod kątem filisterskiej moralności.“ Widzimy, jak już daleko sięgają kryteria, których punktem wyjścia miała być skromna technika sceniczna: zagarnęły powoli psychologię i wkroczyły w dziedzinę zagadnień etycznych, a w tej sferze dyktują swoje kanony. Te zaś brzmią dość prosto. Charakterem „z jednej sztuki“ nazywa się trwanie w buncie przeciw wszelkim nakazom moralnym, a reakcja etyki jest „kompromisem z galeryą.“ *Nie wol-*

no zatem załamać się w stronę przykazań „dla trzody“ wyzwolęncowi z więzów kategorycznego imperatywu; natomiast *powinien* załamać się ku „wyswobodzeniu“ niewolnik moralności stada, któremu też *nie wolno* być charakterem „z jednej sztuki.“ Co mówi na te krytyczne dogmaty życie, przędące duszę ludzką z samych „niekonsekwencyj“ i przerzucające ustawicznie członka swego warsztatu to w lewo, to w prawo, na Pascalowskiej osnowie: „człowiek nie jest ani aniołem, ani zwierzęciem?“ A co mówi literatura, zwłaszcza ta ze stemplem modernistycznym, gdy się w niej spotyka majster „roboty“ psychologicznej, Ibsen, preparujący w ideach-retortach ekstrakt „konsekwencyi charakterowej,“ z takimi żonglerami psychologii, jak Bernard Shaw, dla którego wymyślono aforyzm: „co to jest charakter?... najczęściej odwrotna strona charakteru;“ albo Franciszek Wedekind, igrający duszą człowieka z małpią zręcznością clowna? Mniejsza o to; wszystkie te sprzeczności nie istnieją dla pewnego odłamu krytyki, analizującej z lubością tylko swoich specjalistów od „łamania charakterów.“ A znajduje ich nie byle gdzie i nie byle kogo. Przecież Hauptmann musi dotychczas pokutować za swoją śliczną, ale „niekonsekwentną“ wizję dwojga dzieci, niosących w dzbanie gorzkie łzy matki, porzuconej przez bohatera „Dzwonu zatopionego.“ Cóż dopiero taki Sudermann, który w „Końcu Sodomy“ ze złamanej duszy Willy Janikowa pozwolił ulotnić się niewypowiedzianej myśli: że największemu nawet artyście nie przysługuje żaden przywilej „nade człowieka“ deptania po sercach ludzkich w drodze ku wyżynom sztuki. To mając w pamięci, nie trudno orientować się w motywach krytycznych, które kierowały losami utworów Hermanta i Sudermana.

„Piękna pani Heber“ nie grzeszy dobrą robotą i nikt się tam nie „łamie.“ To już poważne tytuły do zwrócenia na nią uwagi. Heroína jest „konsekwentną“ ladacznicą. Porzuciwszy ostatniego kochanka, który dla niej dopuścił się przy grze w klubie karcianej szacharki, usidla, nie tracąc czasu, chętnie wnikającego się w sieci młodzieńca, napotkanego w środowisku, gdzie pani „zamku“ uprzejmie takie spotkania popiera i po macierzyńsku czuwa nad powodzeniem u siebie podobnych *chassez-croisez*. Gdy jednak nowy niewolnik wyśledził dalszy ciąg stosunków ze swoim poprzednikiem i wziął to tragicznie, po gwałtownej scenie, w której „piękna pani Heber ze szczerością samiczki włóczy się napróżno u nóg rozgniewanego samczyka, następuje zerwanie, a potem przysłowiowe *on revient toujours*, tem łatwiejsze, że je za naturalne uznaje p. Heber, mąż-gentleman, pełen dyskrecyi równie delikat-

nej, jak dobrze procentującej. Konsekwentnym jest wprawdzie i tragiczny anant, rzucający się pod koła omnibusu; ale w takim stosunku niema miejsca aż na dwie konsekwencye; po chwili więc wzruszenia na wiadomość o katastrofie, piękna pani Heber, ulegając argumentom praktycznego gentlemana-męża, podąża wystrojona do sali jadalnej, odegrać rolę gospodyni domu na proszonym obiedzie, wydanym dla zrehabilitowanego antreprzyzą samochodową oszusta klubowego.

„Łódź kwiatowa“ za dobrze jest zrobiona, żeby ją można było na seryo traktować. Wprawdzie ma swoją „niezłomną“ heroinę w osobie jednej z córek baronowej Eifflingen, Rafaeli Brösemann, która, pod wpływem „renesansowej“ matki, upajana systematycznie atmosferą zmysłowego arcyzmu, oszukuje męża, mało wrażliwego na „piękno życia,“ ale zapracowanego dla ocalenia zachwianej firmy handlowej i przysiągłszy na popioły dziecka siostrze, przeczuwającej katastrofę, że nie pójdzie na schadzkę, rzuca się w objęcia kochanka, który pada ofiarą zaczajonej zemsty. Cóż, kiedy autor popsuł wszystko „dla uciechy burżuazyjnej gawiedzi,“ złamawszy aż dwoje: drugą córkę baronowej, Theę i wnuka firmy Freda Hoyera. Ta ładna para była mocno nadpsuta i to właśnie jej wdzięk stanowić miała; pobrali się nawet z sobą, czując pokrewieństwo natur. Ale zamiast przepłynąć przez życie na „łodzi kwiatowej“ i jak przystało charakterom „z jednej sztuki,“ dotrzeć hen, daleko, aż *jenseits von Gut und Böse* utknęli zaraz w noc poślubną w kabotyńskiej knajpie, gdzie ich zwykły clown gorzką częstuje prawdą (także naganna „niekonsekwencya!“), a potem dali się „wziąć“ na tragedję rodzinną i wylądowali w niepozornej etycznej przystani. Tego już było za wiele; gdy zaś dodamy jeszcze, że ta „Łódź kwiatowa“ podobą się publiczności, nie zdziwią nikogo spory na tematy „zręcznej budowy,“ „rzemieślniczej roboty,“ „fortelów psychologicznych,“ których ofiarą padł raz jeszcze więcej Sudermann. Nie padła sztuka, a choć to nie zawsze bywa argumentem, kwestya sama pozostaje otwartą. Zanim ją ktoś znów zasądniczo podnieść zechce, zanotujmy, że oba utwory wystawione starannie, grane były na ogół dobrze. W „Pięknej Pani Heber“ rola tytułowa przypadła pani Federowiczowej, która, usprawiedliwszy przedewszystkiem tytuł, oddała ją ze zwykłym napięciem nerwów i silnym rozpędem namiętności. Doskonałym kochankiem był pan Śliwicki. W „Łodzi kwiatowej“ skupiły się naczelne siły naszego personelu dramatycznego. Więc pan Rapacki stworzył świetny typ patriarchy firmy Hoyer et Comp., pani Lüdowa, jako reprezentantka wytwornie cyniczna naj-

nowszej, modernistycznej metamorfozy mieszczaństwa berlińskiego, z przedziwnym taktem uwypatniła rysy eleganckiej deprawacji; pani Mrozowska uplastyczniła ciekawy materiał na pół-dziwicę, z którego sytuacja życiowa przygotowuje całą kobietę; pp. Śliwicki i Wolski wybornie dopełnili całości. Wzmianka wreszcie należy się p. Bednarczykowi i panie Pichorównie, którzy najtrafniej wniknęli w charakterystykę kabotyńskiej paczki, grasującej w komedyanckiej knajpie.

Pozostaje mi tylko wspomnieć o „Złodzieju“ Henryka Bernsteina. Od szerokiego rozwodzenia się nad tym uscenizowanym *fait divers*, uwalnia mię najprzód skreślona już dawniej na tem miejscu charakterystyka autora z powodu dramatu jego „W szponach“, a powtóre posunięte przez Bernsteina do absurdu spekulowanie na sytuacyjne efekty, stanowiące dotąd jedyny motyw jego twórczości. Spokojną siedzibę letnią zbogaconych przemysłowców zamienić na salę sądową, w której amator-dedektyw prowadzi formalne śledztwo w sprawie najordynarniejszej kradzieży; zawiesić grozę hańby nad uczciwą rodziną, skierowawszy podejrzenia na dziewiętnastoletniego jej jedynaka, który nie potrafi czy nie chce się bronić; przyczepić do tego romans młodzieniaszka z goszczącą u rodziców jego kokietką, a potem cały akt wypełnić jedną długą sceną między tą wietrznicą a jej mężem, który trafem wpada na trop istotnego winowajcy i wśród wybuchów wściekłości małżonka-inkwidenta, przeplatanych omdlewaniem męża-kochanka, wykrywa złodziejkę we własnej żonie,—to się wydawało Henrykowi Bernsteinowi szczytem inwencji i prawdziwie teatralnym materiałem. Jeżeli gdzie może być mowa o „robocie“, to w tym fabrykacie, w którym nawet psychologia zazdrości i fizjologia miłości stają się jedynie pomocniczymi narzędziami w rękach sprawnego fabrykanta. A jednak ów *article de Paris* wydzierają sobie u nas aż dwa teatry: widzieliśmy go przez jakiś czas codziennie na afiszach teatru Małego w Filharmonii i teatru Letniego w Saskim ogrodzie i ten drobny falcik jest przedewszystkiem przyczynkiem do charakterystyki rządów w naszym teatrze dramatycznym. P. Maryan Gawalewicz, wystawiając „Złodzieja“, powodował się względami, jeżeli nie literackimi,—na które w tym wypadku niema miejsca,—to dyrektorskimi, zmuszającemi go do operowania nowościami. Nasz teatr, pozwoliwszy się ubiedz, nie miał i tej wymówki: rolę przedrzeźniacza narzuciło mu, jak wogóle różne nieszczególne role—aktorstwo.

*Cherchez la femme...* a znajdziecie panią Siennicką, której spać nie dawało powodzenie panny Duninówny w Filharmonii.

Zagrała więc rolę Maryi Voysin dobrze, chwilami (jak w całym drugim akcie) świetnie; miała wybornego towarzysza w panu Nowickim, przedstawiającym męża z temperamentem dramatycznym: ale wystąpienie tego osobliwszego unisona z teatrem, który, chwyciwszy pierwsze skrzypce, zagrał najprzód solo, jest jednym więcej świadectwem anarchii panującej w naszym dramacie.

#### IV.

Gdyby zwrócenie uwagi na teatr Mały w urzędowym teatrze dramatycznym miało być bodźcem do zdrowego między dwiema scenami współzawodnictwa, możnaby się tylko cieszyć z takiego objawu. Jeżeli bowiem nasze stosunki teatralne mają pozostać *in statu quo*, jeżeli nie ziszczą się zapowiadane ustawicznie reformy radykalne, któreby je z gruntu uzdrowić mogły, w takim razie współzawodnictwo jedynie może jako tako podnieść poziom artystyczny dramatu i komedyi. Ale do tego trzeba żeby po jednej stronie była chęć, po drugiej możność; żeby współzawodnictwo nie kończyło się w teatrach rządowych pojedynkiem na role i żeby konkurent w Filharmonii potrafił istotnie obudzić respekt w swoim współzawodniku.

Były takie chwile w stosunku obu teatrów. Przeciwnstawiając się sobie wzajemnie, każdy wywyższał się niby tem, w czym mu drugi nie mógł sprostać: więc rządowe teatry, wierne tradycji aktorstwa, wysuwały na pierwszy plan *grę*, młody zaś teatr prywatny, ufny w siłę inicjatywy literackiej, akcentował z dumą swój *repertuar*; oba jednak po cichu próbowały zaradzić swoim brakom. Więc dramat i komedia, zwłaszcza pod reżyserję p. Śliwickiego, ożywiły na chwilę i artystycznie podniosły repertuar; w Filharmonii znów widoczne były ślady czujności kierowniczej nad grą pojedynczych artystów i nad wytworzeniem nastrojowego zespołu. Potem nastąpiła przerwa. Rozprężenie w teatrach rządowych udaremniło dobre chęci sumienniejszych kierowników; teatr Mały zbaczał przez jakiś czas na te drogi, na których i Filharmonia, jako przybytek muzyki, naraziła swoją wartość artystyczną.

Jakże teraz rzeczy stoją i jakie widoki miałyby współzawodnictwo, gdyby je ów „Złodziej“ zapoczątkował? W obecnym momencie teatr Mały mógłby korzystać z rozstroju na scenach rządowych — ale teatr Mały szuka dotąd drogi.

Orientacją w tem szukaniu kierować musiały dwa czynniki: rodzaj sceny oraz skład ilościowy i jakościowy personelu. Każdy z osobna i oba skombinowane, powodowały oczywiście częste wahania. Scena w Filharmonii bądź co bądź nie przestała być estradą, co technice reżyserskiej i zależnemu od niej do pewnego stopnia repertuarowi zakreśla konieczne granice, a nadto wytwarza, zarówno za kulisami jak w widowni, atmosferę nieteatralną, napół koncertową, która zbija z tropu i aktorów i publiczność. Wpływa to prawdopodobnie na sposób gry i na kształtowanie się zdolności czy talentów aktorskich, utrzymując je w nastroju poniekąd popisowym i przyzwyczajając do operowania efektami; stąd może w ogólnej fizyognomii personelu w teatrze Małym wydatność rysów grubszych; stąd rzetelne jego powodzenie w utworach realistycznie wyjaskrawionych.

Dyrektor Gawalewicz usiłował omijać oba te szkopyły, próbując na większej scenie sztuk z liczniejszym personelem, lub zamykając się na mniejszej scenie w ramach, potrzebujących bardziej skupionego nastroju. Pierwszy eksperyment nie mógł się udać, — przeszkadzały temu warunki, krępujące polot reżyserski, trudności dekoracyjne, kostiumowe i niemożność stworzenia niezbędnego mechanizmu inscenizacyjnego. Druga próba, zaryzykowanie tak zwanego *teatru intime*, bardzo nęcąca w salce sympatycznej, przytulnej, że się tak wyrażę, wymagała w personelu wyrobienia subtelności i dyskrecyi, zwłaszcza wobec fizyognomii teatru, która usposabiała odrazu do wytworzenia stosunku zażyłości między sceną a widownią. Takiej subtelności zamało jeszcze posiada trupa teatru Małego, ażeby na jej grze oprzeć można było specjalny repertuar, wysnuty z głębin duszy i mieniący się delikatnemi, psychologicznemi odcieniami. W rezultacie teatr w Filharmonii nie wypowiedział się dotąd jasno, wyraźnie: czem może, czem chce być; wiedząc zaś w jak trudnych warunkach pracuje, nikt nie przyzna sobie prawa wskazywania mu czem być powinien. Można tylko stwierdzić intencye, objawiające się w różny sposób, przebiegające całą skalą repertuarową od „Moralności pani Dulskiej“ i „Aszantki“ z dołu, aż ku „Faustowi“ u góry, od historyi literatury, aż do popisów aktorów-wirtuozów.

I te intencye zasługują na poparcie.

Bo bądź co bądź więje jakieś młodsze, świeższe tchnienie z tej skromnej scenki; bądź co bądź jest tam często miejsce dla literatury, bądź co bądź nawet w chybionych próbach czuć jakieś dążenia, aspiracye. Godzi się więc zwrócić uwagę na teatr, kierowany przez utalentowanego literata, orientującego się w reper-



tuarze europejskim i rozporządzającego podatnym materiałem aktorskim, wśród którego można wyliczyć takie zdolności, jak pannie: Duninówna, Pawińska, Pytlińska, Bartoszevska, Dulębianka, Czarnecka, pp. Staszkowski, Bartoszewski, Mielnicki, Weychert. Godzi się śledzić jego działalność, pomagać mu do rozwoju; bo kto wie co dla niego przyszłość gotuje?

Spoglądając ku tej przyszłości, niekoniecznie trzeba opierać horoskopy na współzawodnictwie teatru Małego z Wielkim. Nie wiemy czy teatr w Filharmonii jest, czy też będzie bodźcem dla teatrów rządowych, które zresztą w stanie obecnego rozkładu doszły, jak się zdaje, do zupełnego znieczulenia na wszelkie bodźce. Nie o konkurencyę zatem chodzi mi w tej chwili, lecz o to, jakie teatr Mały może mieć sam przez się znaczenie. Otóż oceniając go po prostu jako samoistną, niezależną scenę prywatną, widzę w nim zarodek teatru, z którym może kiedyś trzeba będzie się liczyć, zwłaszcza, jeżeli dla zupełnej samodzielności wyswobodzić się zdoła z zależności od Filharmonii, jeżeli zaprzestawszy lawirowania między sceną większą w lecie, a mniejszą w zimie, które ujemnie musi wpływać i na plany repertuarowe i na metodę gry aktorów, znajdzie się na prawidłowych, własnych deskach teatralnych i tam potrafi dać zupełny wyraz swoim ideałom.

Jaki wtedy wytworzy się stosunek między teatrem, który może przestanie być Małym, a teatrem, który niewątpliwie już nie jest Wielkim, — nie podejmuję się przesądzać. Jestem tylko głęboko przekonany, że dobra scena prywatna pokonać kiedyś musi złą scenę rządową. Idzie więc teraz o to, żeby teatr Maryana Gawalewicza stał się dobrą sceną prywatną.

W. BOGUSŁAWSKI.

# Gustaw Moreau.

*Magnum opus facio et non possum descendere*  
(dewiza G. Moreau'a).

Odżyły dawno zamarłe bogi. Prastare legendy wedyckie na nowo zakwitły kwiatem tajemniczym. Myty greckie, podania dalekiego Wschodu, wszelakie fikcyje religijne Azji, niezliczone wierzenia, któremi się upajała przez wieki ludzkość i broniła od nicości pozagrobowej — wskrzesły.

I struchleliśmy znowu przed straszynym kosiarzem Thanatos, i Sfinks nas zagabnął raz jeszcze Pytaniem swem odwiecznym, i Erynye cisnęły zieżstą nam w oczy.

Załopotwały skrzydłami złotopióre szegrągi<sup>1)</sup>, czerwonaki róże, laskonogie ibisy i wyłoniły się z głębi widoków, jak *fata morgana* uroczych i złudnych.

Tkliwi poeci perscy, w palankinach przez słonie ustrojone niesieni, o Peri nam znów śpiewali.

Lapidarny liryzm Starego Testamentu, rzewne wersety Nowego na nowo nas owionęły tchem swym mistycznym.

Otworły się podwoje do empirejskiej krainy, na którą Olimp, Eden, Gethsemani i Helikon — wszystkie błogości i wszystkie tragizny się złożyły.

Hierofantem, który wwiódł nas do siedziby owej bóstw zapomnianych, do tego imperyum wspaniałych snów, do skarbcza tego, gdzie ludy świata całego złożyły w darze, co wyobraźnia ich najokazalszego stworzyła — jest *Gustaw Moreau*.

<sup>1)</sup> Gatunek ptaków egipskich.

Nie z wiary prostej, nie z religijnego poczucia wszakże utworzył się ten Panteon; nie poszukiwanie przeczytych zagadnień pozagwiezdnych, pozaziemskiego życia były powodem ich zmarłych powstania.

Moreau wywołuje one bogi i boginie w orszakach mar i potworów, lub do stóp Krzyża się stania i ilustruje wielką Tradycję Chrześcijańską nie dla tego, żeby je kochał, czcił zbożnie, albo wierzył: nie dla tego bynajmniej, iż go widzenie święte nawiedziło. Przyzywa on w synkretyzmie wszystkie wyznania, bo tam znajduje kształty i barwy, w które pomysły jego przybrać się mogą, ma jeden tylko kult—kult piękna, a jako wyznanie jedyne—rodzaj nieoznaczonej teozofii, idealizm nieokreślony i mętny. Nie celem mu są wyobrażenia teogonij wymarłych i żywych, lecz środkiem do oddania form i stanów Piękna, do wyrażenia jemu właściwych myśli. Operuje też na zimno, bez przejęcia się i bez uniółowania, postaciami, ubłogosławionemi pietyzmem tysiąca pokoleń.

A jakże często, dla uzmysłowienia własnych abstrakcyj, mieszsa Moreau samowładnie baśnie i klechdy, zespała różne wierzenia i myty, dorzuca do skryształizowanych już, dogmatycznych przedstawień, przez tradycję nam przekazanych, własne pojęcia i kreacje. Prometeuszowi daje Chrystusowe oblicze, Helenę Ewie upodobnia, Salome zbliża do Jawnogrzeszniczcy przed jej pokutą i skruczą. Kiedy zaś Matkę Boską obrazuje (raz tylko), czyni to bez prostoty i słodczy, bez bogobojności, jakiej Bolesć i Niepokalanie żądają. Suchą scholastyką czuć kompozycję ową, i mimo charakteru mszału, który artysta jej nadać usiłował, — daleką i o ileż późniejszą ona od wizyj szczyrych wyznawców!

Bo obcemi są Gustawowi Moreau wcielenia cnoty niewieściej. Myśl jego tam dąży, gdzie kobieta się zjawia nie jako Ofiara nieskażona i niewinna, ale jako istota, wiodąca w trop za sobą cierpienie i szaf. Tak się też o niej wyraża w swym *Dekameronie szatańskim*:<sup>1)</sup>

...*La Femme, dans son essence première, l'être inconscient, folle de l'inconnu, du mystère, éprise du mal, sous la forme de séduction perverse et diabolique...*

Pojęcie jaźni kobiecej u Moreau objawia się wyraziście w wyborze jej typów. Safona, Helena, Salome, Medea, Salambo, Betzabe—tragiczna matka Salomona, Galatea, Semele—porażona pio-

<sup>1)</sup> *Décameron Satanique*, opublikowany w Katalogu z Wystawy dzieł G. M. (r. 1906 u Georges Petit). Przedmowa hr. Roberta de Montesquiou.

runem córa królewska z Teb, Dalila—słowem te mu wzory kobie-ty za ścisły jej wyraz służą, których zła siła, tragiczny koniec, los zawistny, złowrogi urok w pamięci ludzkiej pozostały. Przyszły one, ze snu wiecznego pendzlem Moreau'a zbudzone, spokojne i piękne, oczyszczone jakoby z grzechów i zbrodni, niepamiętne okropnej przeszłości. Eteryczne ich ciała o kibiciach gibkich, o gestach rytmicznych, o senliwej mimice, natarte piękniadami i olejami wonnymi, spoczywają na tronach, co ołtarzami są niemal, na łożnicach, co tronami są razem, w pozach dumnych a cichych. Oczami zastygłymi patrzą bez troski, niewzruszone, bardziej niż szczęśliwe, bo obojętne bosko.

Za siedzibę wielmożnym tym paniom służą porfirowe pałace w krążganki z jaspisu, z malachitu i lapis-lazuli zdobne; podparte filarami świątynie o tajemniczych kryptach i niżach, gdzie onyksy, opale, agaty, planiste marmury się mieniają; pagody z Rig-Wedy o frontach, jak kamee rżniętych, o murach kunsztownie wyczelowanych, okutych złotem, centkowanymi macicą perłową, nasianych gemunami, migocącymi niby gwiazdy różnobarwne w piękną noc zimową.

Jarzą się obrazy Gustawa Moreau od brylantów, bielą od szronu pereł, proszą iskrami szmaragdów, beryłów, chryzolitów, szafirów, promienieją złością dymnych topazów, fioletem głuchym ametysów, turkusów zimnym błękitem, szkarłatnymi płomykami rubinów. Wszędzie się panoszą: purpura, brokatele, złotogłów, połysk blachmalowego oręża i kruszców drogocennych, polichromia kaszmirów, szalów, makat, kobierców barwnych, niby kłoby kwietne.

Cuda architektury kolosalnych gmachów Hindustanu, przepych przybytków Fenicyi, Egiptu, okazałość Assyryi i Kartaginy—wszelkie majestaty z pradawnych czasów, dziś w proch i popiół rozpadłe, dają możność Gustawowi Moreau rozwinięcia swej zasady *Niezbędnego Bogactwa* (*Principe de la Richesse nécessaire*).

Tylko tam i tylko wtedy, w tych odległych stronach i w tych okresach zamierzchłych ranne zorze tak krwawią niebokręgi, miasąc o nowiu ziemię srebrem tak sownie zrasza: tylko tam takie tęczowe ptaki bujają, takie wschodzą kwiaty, — tylko ongi takie piękne istoty, smagłe i wiotkie, ponętne a straszne, w kwietyzmie i w rozkoszy omdlałe, oczy zachwycone pieściły.

Wielkie epos ubiegłych stuleci, obroczone Reslema i Isfandiara walkami; czułe miłości przez Saadiego i Firduziego opiekane przy wtórze inkrustowanych mandor; mytologiczne alegorye Hellady i Romy; okropna tragedia Golgoty — nadały się do gu-

stów i dążeń Gustawa Moreau — ostatniego romantyka z pomiędzy społecznych malarzy. W zgodzie są z ideałem jego plastycznym te bogi i pół-bogi, owi hoplici i owe kapłanki z płaskorzeźb Kolumny Trajana, z fryzów doryckich, z kamieni opiekuńczych, ze słupów ateńskiej Ceramiki, one postacie ze starych anfor i pułarów, w których hetery Aleksandryi, dziewice z rodu Faraonów, księżniczki z Mahabaraty, uroczne królowe przez boskich pastery kochane, wieszczki i bajadery — zapomnienie, namiętność i oszobotwienie święte piły.

Wziął je mistrz, obdarzył własną ideą i umieścił na płótnach swych, za tło im dając bądź nieba w rozmaitych nastrojach, bądź opoki zębate, bądź wnętrza budynków wspaniałych. Towarzyszą tym cudnym niewiastom, olśniewającym czarem lic, gładkością jaśminową ciała, barwnością szat, równie piękne efeby. Albo też przy boku ich widzisz cyklopa Polyfema twarz jednooką, smoka węzowe sploty, kolczaste formy gryfów skrzydlatych, chimery, co i kobietą i marzeniem i potworem są społecm.

Właściwie w obrazach Gustawa Moreau *nic się nie dzieje*, w znaczeniu akcji, czynności, działania. Panuje tam bezruch zupełny, jak w Pałacu Śpiącej Królowy; bohaterzy i bohaterki w nirwanicznej gnuśności spozierają wzgardliwie na szamotanie się życia, na jego przyptywy i wiry, a przemawiają do nas głównie postawami swemi. Bo poruszenie w figurach mistrza nie następstwem jest pochodnem, nie częścią uzupełniającą poprzedniego i następnego ułożenia; istnieje ono samo w sobie, jako mina, jako niezmienna i niewzruszona *poza*. Dramat ześrodkowuje się raczej w okoleniu, w tle, w akcesoryach.

Nieba np. u Moreau'a mają olbrzymią gamę uczuciową: tutaj perłowe, blade i tęskne; tu szafranowe u spodu a u zenitu sine — fałszywe i niespokojne; tam schmurzone, rozdarte; lub też pogodne modre, runem obłoczków umajone, o sielankowej ciszy; gdzie indziej znów namiętne-szafirowe, westchnień miłośnych pełne; albo rozżarzone gasnącem słońcem, wieszczbą nieszczęść, klęsk i mordów groźne. Czasami odbijają się od nieboskłonów tych śmiertelnie smutne krzyże — w *Pietach* rozszlochanych; czasami złomy i zręby skał — w *Sfinksie i Edypie*, w *Safonach* <sup>1)</sup>, w *Hydrze Lerneńskiej*; gdzie indziej zaś smętne cyprysy, topole wysmukłe, sykomyry, ostrolistne laury, o łbach iglastych kopale się rysują. Owdzie atoli firmament przegląda się w zdradliwych, opalowych

<sup>1)</sup> Wiele kompozycji jest poetce z Lesbos poświęconych.

wodach, w stawach szmaragdową rzerzuchą i chorą bielą grzybieni, niby potwornymi liszajami, porosłych.

Na innem płótnie niebokrąg za dekoracyę służy sklepienemu szpalerowi grabiny, pod którego arkadami obleczona lazuruwá draperyą stoi *Salome* i w zadumie spogląda na krwi szkarłatem ociekłą głowę Jana Chrzciciela.

Tutaj zbrodnia się już stała. U stóp przeklętej spoczywa łup i zapłata jej tańca. A oto akt poprzedniczy.

Salome tańczy. Nagą jej piękność obejmuje w biodrach opaska, nabita ćwieczkami dyamentów i pereł; ramiona dźwigają ciężki ornat, kapiący od drogocennych kamieni, bisiosem i złotem tkany; pektorał, świecący ogniami karbunkułów, okala jej szyję i spada na piersi dziewicze; złotolite naramienniki wiążą jej delikatne ręce; u nóg, jak kajdany, ciężą bransolety; skronie ujarzmia tyara, pobrzękująca po obu stronach lica medalionami zauszników. Pęta Salome i do grzechu przykuwa cały ten przepych królewski.

Klejnoty, które osłaniają jej wdzięki, i skarby, rozsiane naokół, iskrzące się ze ścian sali, nasadzone w kadzielnice, w trójnogi, wrazone w monumentalny tron Heroda—mniejszym splendorem jaśnieją, niżli biedna ścięta głowa, frendzlą krwawego skrzepu oblamowana, unosząca się w powietrzu niby planeta błędna i promieniejąca aureolą—tą koroną męczenników i świętych. Światłość z nimbu ostreми klingami się wdziera w pół-dzień, padający ze stropu, a jedno z tych ostrzy razi rozkoszne łono Salome. Jej tylko oczom widomem jest zjawisko<sup>1)</sup> męczeńskiej głowy Zwiastuna; nie spostrzegli go snąć ani Herodyada, siedząca na stopniach stolicy tetrarchy, symbolicznie pasem odziana; ani sam Herod Antypas w paliuszu i mitrze białej; ani niewolnica, przykuęnięta na ziemi i na długoszyjej gęśli grająca; ani rosły kat, o twarzy na poły zawojem zakrytej, obnażonej, potężnej piersi, oburącz wsparty na rękojeści miecza — brutalny, złowrogi a bierny.

W idei Gustawa Moreau okrutna tanecznicza — to prototyp nieświadomości niewieściej, wyobrażenie materyalne *niewinnej* zbrodni, to niepomny siebie i nieodpowiedzialny za niecnosć swoją pierwiastek zniszczenia.

Nimfa Galatea, Medea wyrodna, Helena, stąpająca po plagach i trupach, Safona z Lesbos — są powtórzeniem tegoż samego zworza. Każda z pośród owych złopomnych heroin stanowi w kronikach świata jednostkę przynależną do wielkiego cyklu Potępionych a Niepocztyalnych.

<sup>1)</sup> Kompozycya ta nosi tytuł *Apparition*.

Wyszukuje zaś je Moreau nie dla względów estetycznych wyłącznie, nie dla tego tylko, że są nadobne, — lecz głównie, że straszne one, że dzieje ich mówią o roli i posłannictwie fatalnej piękności kobiecej, której najprzedniejszym urokiem, najrzadszym klejnotem są krzywda, żal i lament.

Ileż do nich wszystkich, do tych urodziwych i do tych wykłętych zastosować się dają słowa poety:

Tu marches sur des morts, Beauté, dont tu te moques.  
De tes bijoux l'Horreur n'est pas le moins charmant,  
Et le Meurtre, parmi tes plus chères breloques  
Sur ton ventre orgueilleux danse amoureusement.<sup>1)</sup>

\*

\*

\*

Jako jedynie godny motyw malarski Gustaw Moreau piękno uznaje. Przedstawienie szpetoty, według niego, w sprzeczności pozostaje z zadaniem sztuki i nie może skończonego jej dzieła utworzyć. To też nawet wtenczas, gdy komponuje potwory — poświęca wrażenie grozy wyżej zaznaczonemu twierdzeniu, dobrowolnie się pozbawiając jednego z głównych emocyjnych środków i jednego z najwymowniejszych efektów — zderzenia pierwiastków Brzydoty i Piękna.

W takim np. utworze, jak *Hercule et l'Hydre*, wdzięk Herkulesa o profilu czystym greckiej dziewicy, linia ogólna ustroju równoważą szkaradzie Hydry Lerneńskiej. I aczkolwiek straszne — jej cielsko, strzelające w górę trzema łuskowatymi pniami: choć okropne — łby gadu: choć stoki skał, pełne cieni i zakamarków tajemnych, szeszerzą swe zręby ponure na tle niebios, łuną pożogi oblanych — nastrój obrazu ma piętno spokoju i harmonii łagodnej.

Wszędzie zresztą, gdzie Moreau dla dopełnienia pomysłu swego ucieka się do elementów brzydoty, czyni to tak, aby uczucie lęku i cechę potworności możliwie przygasić i zatrzeć. Nawet śmierć obleka się u mistrza w kształty zwodzące i miłe. Na płótnie np. *Jeune Homme et la Mort* panuje taka dobroć i taka błogość, iż wydaje się, że po tamtej stronie mogiły lepiej jest duszy, niżli po tej, a do Hadesu nie ciężka droga.

<sup>1)</sup> Bandelaire. *Fleurs du Mal*.

Dzieło to Moreau pamięci malarza Teodora Chassériau poświęcił, czuł się bowiem dłużnikiem młodo zmarłego artysty. Rzeczywiście w pochodzeniu psychicznem Gustawa Moreau można odnaleźć ślad autora fresków z Saint-Merry; ale rodowód ten dalejby posunąć należało — do mistrza kilku ostatnich pokoleń — Ingres'a.<sup>1)</sup> Tam właśnie u Ingres'a istnieje owo zespolenie dwu tyle różnych ideałów: dostojności helleńskiej z wielobarwnością Wschodu, tam też zaczątek swój wzięła maksyma *Pięknego Bez-władu* (Principe de la belle Inértie), którą Moreau wyznaje.

Wymieniłby należało może za innymi<sup>2)</sup>—mówiąc o twórczości jego, wielkie nazwiska Montegni, lub cudownych opowieści bajora — Vittor'a Carpaccio, obu szczerych i naiwnej wiary pełnych hagiografów, gdyby, zdaniem mojem, na przeszkodzie zestawieniom tym nie stawał brak wiary i szczerości u Moreau'a. Paralele owe służyć mogą prędzej dla przypomnienia odczutyh gdzieindziej wrażeń, aniżeli dla objaśnienia jego fizyognomii twórczej. Albowiem obrazy Gustawa Moreau jako pojęcie, jako ustrój, jako technika zwłaszcza, mają stempel zupełnie swoisty. Gdyby wszakże kazano mi szukać pokrewności, zamiast do dzieł owych mistrzów, przyrównałbym je do *chorusów* dyonizyjskich, lub, lepiej jeszcze, do tragicznych baletów. Bo cała wymowa, cała patetyczność anegdoty — jakem już przedtem wzmiankował — skupia się w rytmice linii, w układzie barw, w giestykulacyi, w nastroju dekoracyi i oświetlenia, a punktem ciężkości nie jest twarz i gra jej wyrazów, lecz giest, ruch, poza, — a toć te właśnie elementy składają się na istotę baletu.

Zresztą na płótnach mistrza sam taniec przedstawiony jest wielokrotnie, taniec zespolony, według odwiecznych praw, z misteryami i obrządkami, z towarzyszeniem melopei czarodziejskich i zaklęć, taki, jakim istniał ongi, kiedy tanecznicą kapłanką była jednocześnie, a kołując i stąpając do taktu celebrowała w uniesieniu religijno-miłosnem liturgię tajemną bóstw. Tak się czciło w one czasy na brzegach Nilu bożka Besa, co wojnie i tańcom patronował, tak się święciło przepotęzną boginię, która to Afrodytą, to Astarte, to Istar, to Ascher, to Militą się zwała — ale która zawsze tę samą siłę przyrodzoną, ten sam popęd niezwyciężony i tę samą tragedję przedstawiała.

<sup>1)</sup> Chassériau był uczniem Jana Dominika Ingres.

<sup>2)</sup> P. Robert de Montesquiou we wstępnem słowie do Katalogu. P. Ary Renau w monografii, poświęconej Gustawowi Moreau.



Tylko, że Gustaw Moreau, uzmysławiając w utworach swych te dwie główne sprężyny życia antycznego: Miłość i Instynkt bojowniczy, pozostaje nieskazitelnie czystym i beznamiętnym. Nie masz u niego żadnego składnika chuci i pasyi, nie masz tem samem napięcia dramatycznego ni wzruszenia i — choć się to paradoksalnem wydać może — nie masz przeto rzetelnego mistycyzmu. Albowiem chuć sama przez się jest mistyczną, biorąc siedlisko swe w wielkiej Zagadce bytowej, — a krew jest zawsze szaloną.

Nie! nie obaczył Moreau w objawieniu niespodzianem, jak wizjoner i bogowidz, postaci, które swojemi uczynił. Zadużo w geniuszu jego wirtuozostwa, rozumu, finezyi, za mało atoli szczerego uczucia. Braknie mu tego, co „artystę naiwnego“ (w znaczeniu Szyllerowskieni) cechuje. Nie odczuwasz emocyi bez zastrzeżeń, zachwytu niepodzielnego przed jego dziełami, bo nie zachwyt i nie emocya je zrodziły. Natomiast podziwiasz w nich umiejętność majsterską iście, głęboką myśl nieraz, nakoniec to, coby nazwał miazgą, materią malarską; farby bowiem u mistrza zatracają substancję swą zwykłą i stają się jakby drógocenną polewą o klarowności a blasku emalii. Sposób zaś posługiwania się penzlem i szpachtlą, impasty nasadzone kopystką niby i niby dłótkiem cyzelowane, czasem pianą osiadłe, tam znów gładkie, jak szkliwo, albo wypukle wymodelowane, wychodzące z płótna, rzekłbyś młoteczkami z odwrotnej strony wytłoczone — składają się na technikę wyjątkową w sztuce. Wydaje się niekiedy, że to nie malarstwo samo i nie jego sposoby tworzą powierzchnię obrazu. Taki np. utwór, jak *Semele* od trzech rzekomo kunsztów środków swoich zapożycza: malarstwa, złotnictwa i rzeźby.

Gustaw Moreau, osobiście, uważał kompozycję tę za najlepszą i najciekawszą między dziełami swemi. Owóż widzi mi się, że to może obraz w twórczości artysty najszabszy; ponieważ część jego myślowa jest zbyt zawiła, wymagająca klucza, na podobieństwo owych ksiąg hermetycznych gwieździarzy i czarnoksiężników dawnych; strona zaś malowana szwankuje brakiem harmonijności i ładu, wynikającym z natłoczenia chaotycznego figur, z przeładowania ornamentyką architektoniczną, z zakłócenia eurytmii ogólnej błyskiem twardym kamieni i kruszców, niemłą kako-fonią kolorów.

Zazwyczaj mistrz unie utrzymać w korbach zamiłowanie, prawdziwie orientalne do barw i blasków. A wtenczas, kiedy otacza w miarę przepychem boginie swe i pół-bogi, archontów i radzów, herosy Odyssei i Iliady, bazyleusów i bazylissy, wróżki i sybille, kurtyzantki i bajadery — pozostaje nietylko w zgodzie

z założeniem swem intensesnej malowniczości, ale także z logiką, powiem, historyczną. Gdyż klejnot zanim stał się upiększeniem, posiadał wartość i znaczenie amuletu, godłem był władzy, oznaką godności, świętością i talizmanem. Do dziś, jako zabytki symbolicznych ozdób przeszłości, pozostały berła i korony, buławy, pastorały i mitry, pierścienie biskupie, sygnety herbowe, krzyże pasterskie, gwiazdy i ordery, ryngrafy, skaplerze i różańce.

Wspominam o tem w odpowiedzi na zarzut, czyniony<sup>1)</sup> wielokrotnie mistrzowi, że nadużywa jubilerstwa i przyozdobień, że objucza bez kresu wystawnością i przepychem postaci w obrazach swoich. Istotnie w *Semele* wrażenie się rozprasza z winy owej hojności przesadnej, za dużo tam serafów i cherubów, obwieszonych błyskotkami i cackami, za dużo sezamowych skarbów, ale *Semele* jest wyjątkiem w dorobku Gustawa Moreau, omyłką niejako w jego twórczości.

Gdzieindziej wszelako bogactwo nie tłumi piękności pomysłu, szczegół nie zawadza ogółowi i jednolitości nie szkodzi. Takim oto „poskromionem“ bogactwem połyskują ilustracye do „Fables de Lafontaine.“ Prawdę powiedziawszy, to nie apologi francuskiego Ezopa—to bajki sułtanki Scheherezady. Jowialność i dobroduszość, dowcipny uśmiech bajkopisarza przeinaczyły się w interpretacji Gustawa Moreau na parafrazy misterne, wyzłoczone, osrebrzone, świetne. I tu chcąc nie chcąc wspominasz Ali-Babę i jaskinię jego.

Niemniej jednak w owych pięćdziesięciu siedmiu akwarelach, tworzących ciąg przypowieści Lafontenowskich—Moreau, choć nie w zgodzie z charakterem tekstu, jest prawdziwym o wysokim polocie artystą. Bo w nich (jak zarówno w przeważnej części dzieła swego) nie tylko umiał zachować poezję nadzmysłową, tudzież elementy znakomitej barwności, to jest zalety myślowe i plastyczne, właściwe mu prawie ciągle, — ale zdołał się także streścić i uprościć.

Zawsze też kiedy, mimo dewizę „non possum descendere,“ zbliża się do nas a uprzystępnia pojęcia swoje; kiedy nie zapomina, że dzieło sztuki musi być nadawcą uczuciowych lub cerebralnych wzruszeń, i że to jest jego przeznaczeniem jedynem; kiedy daje nie karty Kabały, gdzie każdy kształt wyobrażeniem jest i formułą metafizyczną, lecz poprostu piękne rojenia poety —

<sup>1)</sup> Znanem jest „bon mot“ malarza Degas'a: „Gustave Moreau! quel dommage qu'il supposât que les déesses portaient des chaînes de montre.“

wtedy płótna jego mają szlachetność linii, pyszność i świetność koloru, a powagę i pomnikowość rzeczy, które zostają, trwają i znaczą się w dziejach sztuki.

Że, nadto, Gustaw Moreau jest sumiennym, pracowitym, cierpliwym po benedyktyńsku „ouvrier d'art“—jak owi przedrenesansowi mistrze, że życie swe, na wzór ich i modłę, niepodzielnie a bez ustępstw poświęcił wielkiemu i trudnemu kunsztowi, dla tego obok nich—magistrów jego miejsce, na tem *pinaculum*, gdzie przebywają tylko wybrani.

JAN TOPASS.

## KIEDY BORUTA BYŁ PACHOLECIEM...<sup>1)</sup>

Powiedział ktoś, że Łódź przypomina mu szalejące orgią życia przemysłowego miasta amerykańskie: że posiada ich ruch, ich fizyognomię kosmopolityczną, skąpaną w dymie kominów fabrycznych, a napiętnowaną skurczem nienasyconych pożądań *business'u*, zastępującego im duszę...

Stutysięczna, wielojęzyczna fala huczy tu w murach i na ulicach miasta, zamieniając bez wytchnienia, z myślą — jak gdyby w jednym, wyłącznym kierunku—boleśnie napiętą, trud swój i mozoł, krew swą i energię swoją na góry złota dla czarodziejów fortuny, a na czarny kęs chleba i... nadzieje złote dla siebie samej.

Amerykanizm pod polskiem niebem, na chudych, bezwodnych piaskach łączyckich, którym Boruta, sprzykrzywszy sobie figle, „Piskorzom“ płatane, kazał rodzić złoto!... Zupełnie, jak w bajce...

Jak w bajce, powstały na piaskach pałace z marmuru i ogrody zaczarowane, jak w bajce wytrysły z pod ziemi zdroje i wodospady, jak w bajce zamienił się szeroki szmat ziemi polskiej, okalającej to dziwne miasto, na jedyną w swoim rodzaju oazę kosmopolityczno-łódzkiego nalotu w mowie i obyczaju.

Dążąc—latem zwłaszcza — od Koluszek w stronę Łodzi, nie kolejną żelazną, lecz boczną drogą kołową, napotkać można dzi-

---

<sup>1)</sup> W wydaniu obecnem tego studjum pomijamy wszystkie, liczne i skomplikowane, przypiski źródłowe.

wowiska mało komu znane: posterunki wakacyjne *yankesów* osobliwego autoramentu, wielkie wsie ludne, nie rozumiejące polskiej mowy, „przeżytki osadników“ polskich, co ich „Miémce“ i „Śwoby“ zwartą otoczyli ławą — rysujące się jaskrawo w przeciwieństwach kształtu i barwy, typy licznych osad kolonistów niemieckich, a coraz radszych, lubo wytrwałych w swym słowiańskim nieładzie, chat swojskich...

O, wsi polska! Wsi wesoła!...

Ale cóż było przed bajką? Co było tam w czasach, gdy zalew niencyzny najmniej właśnie tej tu ziemi groził, gdy za jaśnowidzenie przyszłości Łodzi można było niechybnie żywcem dostać się do piekła, gdy sam Stary Boruta, stary pono już za Sasów, młodym jeszcze był pacholęciem, młodszy niż dzisiaj o lat pół tysiąca, a bodaj i więcej?...

\*

\*

\*

Było to w czasach, których rzeczywistość sama za bajkę tu starczy...

Szczupłe granice ziemi łęczyckiej, co zawrzeć potem miały województwo tegoż miana, obejmowały terytorium wydłużone, rozszerzające się w kierunku północno-zachodnim, gdzie, w sąsiedztwie ziemi kaliskiej, Kujaw i Mazowsza, panował na nizinie, zroszonej wodami Warty, Neru i Bzury, w samym niemal środku części północnej późniejszego województwa, gród starożytny, odwieczna Łęczyca (Tum).

Nie sądzono pierwszym, przedhistorycznym władcom tego gniazda, ani późniejszym ich następcom, co bezpośrednio wyprzedzili tu Piastów, jako „historycznych autochtonów“ grodu i ziemi, rozszerzyć daleko swego panowania na najżyźniejszą glebę okoliczną. Jakkolwiek bowiem błotnista nizina łęczycka, łącząca wąskim smugiem wzdłuż rzek pomienionych, a przez okolice Turka, Łęczycy i Soboty, niziny poznańskie z nadwiślańskimi, ku Łowiczowi, Błoniu i Warszawie, była niewątpliwie jądrem pierwotnego osadnictwa tej ziemi: kąskiem najpożądanym dla przedhistorycznych twórców państwowości w tych stronach — twórcy ci opóźnili dziejową pracę swoją i dali się ubiedz innym, szczęśliwszym sąsiadom. Granice ich zaborów dotarły na zachodzie,

postępując wzdłuż pomienionej niziny nadrzecznej, zaledwie poza lewy brzeg Neru, w okolice Dąbia, nie sięgając Warty; na wschodzie zaś, posuwając się z biegiem Bzury, stanęły już za Orłowem, w pobliżu Soboty. Nizinę życiodajną, sześćdziesięciu kilometrów długości, posiadli wprawdzie władcy pierwotni łęczyckiego grodu i stała się ona niewątpliwie podstawą ich dalszych zabiegów „politycznych,” ale zabór, prowadzony w kierunku pomienionym z widoczną energią, spotkał się z jednej strony dość wcześnie z odporem Kaliszan, broniących wybrzeża Warty, z drugiej zaś — Mazurów, posuwających się z okolic Łowicza w dół Bzury.

Trzeba było sięgnąć z konieczności po zdobycze inne, a te znalazły się jeszcze na północy i na południo-wschodzie. W pierwszym z tych kierunków posunęli się władcy Łęczycy aż po okolice rzeki Kłodawicy (os. Kłodawa) i jeziora Lubień, zatrzymani w pochodzie dalszym przez Kujawian „leśnych;“ w drugim — napierani silnie przez Sieradzan, wbili się jednak szczęśliwie, czy utrzymali, klinem pomiędzy ich ziemią, a mazowiecko-rawską, aż po Pilicę, na przestrzeni od późniejszego Tomaszowa Rawskiego do Łęgonic. Dalej — poza tę wice-królową rzek naszych — nie puścili ich Sandomierzanie, zazdrośni o granicę naturalną wielkiego terytorium, jakie już osiąść zdołali.

Nie są nam znane dzieje pierwotne władców łęczyckich; nie wiemy nawet kiedy toczyli wszystkie te boje: wiadomo tylko, że owoc ich pracy spaść miał, nim jeszcze pierwszy Piast historyczny zastąpić zdołał na zachodzie w walce z margrafami Cesarstwa, na łono jego rodu. I spadł tak na to łono, jak spadły owoce zamierzających czynów politycznych wielu innych pra-bohaterów plemiennych Polski, których pokonali Piastowie, aby na gruzach ich dynastyj, z materiału przez nich przygotowanego, rozpocząć i stworzyć budowę wielkiego państwa.

Piastów wywiodła z mroku przed-dziejowego na arenę czynów europejskich pobudka zewnętrzna: napór niemiecki. Mieszko I w roku „historycznych narodzin Polski,” 963-im, stawił mu czoło w okolicy Kistrzynia i Frankfurtu (nad Odrą), którą już władał, będąc właściwie z pochodzenia tylko plemiennym władcą gnieźnieńskim. Władza jego rozpościerała się już jednak w końcu X wieku znacznie dalej, bo nietylko na północną część Śląska, ale na całe Kujawy, na ziemię czerską aż po Wisłę, oraz na ziemię łęczycką i sieradzka; pod koniec zaś panowania, lecz tylko chwilowo, jakoby i na część Wiślan, a nawet — Chorwatów (Chrobatów) Czerwonych, czyli na Przemyśl i t. zw. Grody Czerwieńskie. Ostatnich tych zdobycy Mieszkowych, sięgających rzeko-

mo od Krakowa i Wiślicy aż po okolice Lwowa, nie należy jednak brać całkiem na seryo. Polegały one, być może, na jakimś powodzeniu efemerycznem, które w rzeczywistość realną zamienili dopiero późniejsi Piastowie. Natomiast, zdaje się nie ulegać wątpliwości, pierwsza część tych nabytków, do których należała już i Łęczyca.

Gdybyśmy wedle tego tempa, w jakim, w zaraniu doby historycznej, wchodziły w skład przyszłego państwa obszary Małopolski (Chrobacy) i Mazowsza po obu stronach Wisły, odtworzyć sobie chcieli — bodaj w przybliżeniu — ów okres czasu, który poświęcić musieli przodkowie Mieszka, władcy gnieźnieńscy, by mu do jego posiadłości od Odry aż po Wisłę i od Kujaw aż po Pilicę utorować drogę, to zaiste wypadłoby nam uchylić czoła przed prawdą chronologiczną legendy dziejowej o tak zwanym „Piaście“ i o jego potomkach „bajecznych:“ Ziemowicie, Leszku i Ziemomyśle. Małopolska (Chrobacya) wraz z Krakowem przyłączona została trwale do państwa Piastów dopiero po śmierci czeskiego władcy tej ziemi, Bolesława Pobożnego († 999), przypuszczalnie w roku jego zgonu; co zaś do Mazowsza zawiślańskiego, to trudno mówić o trwałej jego zdobyczy przed rokiem 1047. A przecież oba te terytorya, razem wzięte, wynosiły niewiele więcej nad to, co, w porównaniu z najszerzej nawet pojętą, pierwotną okolicą Gniezna, gniazda Piastów, stanowiło ich *zdobycz* przedhistoryczną, zawartą w granicach Polski Mieszkowej!

Od urodzenia Mieszka I (około 922 r.) aż do tej chwili (1047) upłynęło przeto lat — około stu trzydziestu, t. j. okres normalny czterech pokoleń. Nie bez słuszności przypuścić trzeba, że takież okres — jeśli nie dłuższy, bo obejmujący *pierwiastkową* pracę polityczną Piastów — upłynąć musiał aż do chwili narodzin Mieszka I, władcy znacznych już terytoryów, od doby rozpoczęcia tej pracy na nieco szerszą skalę. Jakoż potwierdza słuszność tego przypuszczenia tradycya przed-dziejowa o czterech „bajecznych“ pokoleniach Piastów, jakie upłynąć miały od doby gnieźnieńskiego protoplasty dynastyi, do czasów Mieszka I. Datę przybliżoną tej doby wskazać łatwo: wypadnie ona na sam koniec wieku VIII-go, a wniosek stąd, że ćwierć tysiąca lat (VIII do poł. XI w.) zużyć musieli Piastowie „legendowi“ i „historyczni“ na skupienie Polski etnograficznej w jedną całość polityczną. Świadczy to najdosadniej o niedocenianych przez dziejopisarstwo trudach dzieła i o różnicach, tkwiących z prawieku we wspólnej, polskiej duszy plemiennej!

Z tradycyi, spisanej przez Galla około r. 1112, a najdawniejszej, jaką o przodkach Mieszka I posiadamy, nie zdaje się wynikać, aby syn „Piasta,“ zwany Ziemowitem, władać miał jakimś terytoryum o wiele rozleglejszem od gnieźnieńskiego. Ustalić granic tego terytoryum oczywiście niepodobna; można jednak przypuścić na dość poważnej podstawie, że tendencya jego wzrostu, załatwiwszy się z Kujawami (Gopło, Kruświca), ciążyła przede wszystkim w stronę Kalisza i Poznania, wyniesionego na stanowisko *stolicy* „Polski“ pierwotnej u samego przełomu dziejów „hajecznych“ z historycznemi, a więc i zdobytego zapewne nie o wiele wcześniej. W tym to kierunku, i dalej na zachód, dążyć musiały przede wszystkim *militiae probitatis fama* i *audaciae gesta* przodków Mieszka I, skoro on sam posunął się aż do Odry, a terytorya średniego i dolnego biegu Warty stały się w dalszej pracy dziejowej rdzenną ostoją dla niego i jego następców.

Kiedyby do kresów południowo-wschodnich tej ostoi przyłączono ziemię łączyczką—orzec tego ściśle niepodobna: stało się to prawdopodobnie nie tylko po zdobyciu Kujaw, ale i po posunięciu się Piastów w głąb ziem: Poznańskiej, Kaliskiej i Sieradzkiej. To bowiem pewna, że *krańcem* posiadłości—już nie Mieszka I, ale syna jego, *świeżego* zdobywcy *olbrzymich* terytoryów, niemal naokół Gniezna, (Bolesława Chrobrego) — była w tych właśnie stronach... ziemia czerska, zaledwie o 25 kilometrów na południu, a o 50 klm. na północy od wschodnich granic łączyczkich oddalona! Jest to fakt aż nazbyt znamienity i nieświadczący bynajmniej ani o zapędzie pierwszych Piastów w te tu strony, ani o „prawdzie uznanej odwieczności“ ich panowania nad tymi, których t. zw. „Nestor“ *Łuticzami*, a inni *Łęczanami* lub *Łęczycanami* mianują i którzy się jeszcze na schyłku wieków średnich odrębnością nie mniej znaczną, jak same Mazury, od reszty plemion „wielkopolskich“ wyróżniali.

Bądź co bądź jednak, należeli już Łęczycanie do państwa Piastów u progu historycznej doby: zaliczono ich nawet, ze względu na położenie geograficzne, do Wielkopolski, piastowskiej ostoi. Czy jednak była to ostoja, równa Gnieznu i Poznaniowi, przyszość dopiero wykazać to miała.

\*

\*

\*



W szczupłych granicach gnieźnieńskich, z piastowskiej zarodzi przyszłego państwa, wylął się Orzeł białopióry, co sięgnąć miał niebawem, jak pisklę tytana, przestrzeni niezmiernych: Karpat i Bałtyku, ziem czeskich i „Złotej Brany“ Kijowa... Pieśń młodzieńczej jego epepei płynęła hymnem potężnym po świecie, rwała zapory i waliła wrogów pokotem, to znowu cichła pod brzemieniem trudu, co pierś olbrzyma przytłaczał i — po wzlotach na szczyty niebosiężne—zdawała się szeptać słowami lęku i trwogi, że lot był zbyt bujny, że przechodził siły... Rwała się wtedy pieśń bohaterska, a Orzeł padał omdlały... Jakiegokolwiek jednak zataczał kręgi: czy wzbijał się w niebiosa, czy ochrony szukał na ziemi, towarzyszyły mu stale—na razie idealne raczej, niż rzeczywiste, później potężniejsze z każdą dołą dziejów—dwie wrogie mu istoty, coraz bardziej ku sobie ciężące, które sam do życia powołał niebacznie: prawda, że z wyroku losów. Im niżej spadał Orzeł, tem skwapliwiej ssały one jego siły, tem natrętniej dzieliły między siebie zdobycj jego bujną—niepomne na przyszłość: częściej nieogłędne, niż przewidujące. Istoty te — to możnowładztwo duchowne i świeckie. Wydobywa się ono na arenę dziejów u schyłku wieku XI, rozwija się w XII, a potężnieje w XIII i następnych. Nie dowód to jednak, by go już dawniej, bodaj w zarodku, nie było. Przeciwnie, wszystko zdaje się wskazywać na to niezbitie, że możnowładztwo, a raczej jego zawiazek i podłoże, przekazała już doba przedhistoryczna przyszłemu państwu Piastów. Mówiąc o dobie przedhistorycznej, nie możemy oczywiście mieć tu na myśli możnowładztwa duchownego. Pierwszym niewątpliwie pionierem tej kategorii był dopiero biskup krakowski Stanisław († 1079), który z tego właśnie powodu — przyczem inne maleją i nikną—paść musiał z ręki Korony. Przedtem, w dobie zupełnej przewagi tronu, a nawet i później jeszcze, po nieudanej na razie próbie św. Stanisława z królem Bolesławem, duchowieństwo polskie—misyjne raczej, niż osiadłe—cudzoziemskie, niż narodowe, i dorabiające się wpływów, niż panujące—zdawało się być dalekiem od tej roli możnowładczej, jaką osiąść miało w blizkiej już przyszłości.

Zwycięstwo jego stało się niemal decydującem na przełomie XII stulecia z XIII-em, a zawdzięczał je Kościół temu związkowi, jakim dość wcześnie dla siebie, a zbyt — niestety — wcześnie dla Korony, z możnowładztwem świeckiem się zbratał.

Trudno oznaczyć datę ścisłą tego faktu: Stanisław biskup i Sieciech palatyn (schyłek XI w.) — to dwie osoby i dwa panowania różne, ale jeden tylko słup symboliczny ślubów, jakie w Pol-

sce pod koniec wieku XI na zgubę Orła zawarto. Nie zabiły go one wprawdzie, ale pogrążyły w dłuższej niemocy, nieomieszkawszy ze słabości wroga-żywiciela skorzystać. Potomkowie pra-dynastów plemiennych, dziejowi mściciele tych, co ujść zdołali z życiem i z częścią mienia krwawym szponom Orła, gdy ów garnął ich ziemie, ludy i dobytek pod olbrzymiejące skrzydła swoje: ojczyce tych, co zdołali zręcznym ustępstwem, przysługą, czy zdradą, wywieść go w pole, a siebie ocalić, czerpać zaczęli odtąd oręż przeciw jedynowładcom z arsenału „królewskich“ tradycyj własnych, popartych fortuną.

Na razie niezależnie od nich, lecz w tę samą stronę godził i Kościół. Arsenalem moralnym był mu własny jego charakter, uznany już na szerokim świecie — fortuną to uposażenie, jakim go jedynowładca-„kolator“ szczerze darzył. Kości były rzuczone: cel wspólny złączył tych, co doń zmierzali. Moźnowładcy świeccy jęli wstępować w służbę Kościoła — ów zaś, jego dostojnicy i przedstawiciele, stali się nawzajem trwałą ich ostoją. I skrzepła z dwóch — jakby jedna siła, co w początkach nieśmiele, a potem ręką coraz potężniejszą, godziła w Orła. Ogrom jego zdobyczy sprawiał bowiem, że walka, o jakiej mowa, nie zwaśniła nigdy przyjaciół na dobre. Było się czem dzielić — nie zbrakło nikomu. Tam, gdzie ciągnęły się olbrzymie obszary rodowe, puścizna po dawnych dynastach plemiennych, a fortuna dziedziczna przyszłych „królewiat“, Kościół nie potrzebował gwałtem wchodzić im w drogę. Gdy zbrakło przyległych, wolnych ziem monarchicznych, lub darów częstych a szczodrych ze strony samych magnatów, znajdowały się inne, jakby zapasowe, co niiby czekały na to, by je monarcha komu ofiarował... Ongi, dawno już temu, dynastowie oporni padli tam — wszyscy bodaj — z ręki Piastów, którym ich ziemie przypadły w udziale. A komuż, jeśli nie Kościołowi, przekazywać ją należało? „Panom“ biskupom i opatom, co, krom zbawienia duszy dla ofiarodawcy, zapewniali mu nadto jakitaki z ziem tych pożytek, a ludności — pewien dobrobyt, dzięki sposobom „uczonym“, jakie ze świata do Polski ściągali.

Los ziem takich, którym Kościół moźnowładców zastąpił, podzielić miała — jedna z pierwszych — ziemia łeczycka, bezpańska, niemal kresowa dzierzawa Piastów, przed pokonaniem „dzikiego“ Mazowsza.

Dziką bo była niewątpliwie i ona sama — bardziej dziką, niż inne ziemie polskie, skoro płomienni apostołowie, poszukujący śmierci męczeńskiej — św. Wojciech i Bruno z Querfurtu: jeden, czy drugi, a może i obaj, rozbili w niej w ciągu lat kilkunastu

swoje namioty. Było to w samym zaraniu polskich dziejów „historycznych.“ Pierwszy zginął bowiem w roku 997-ym, drugi w dwanaście lat później (1009). Jeżeli żaden z nich nie postradał w łęczyckiem żywota, to tkwił w tem niechybnie czar pancerza ich mocodawcy, Chrobrego, jaki im towarzyszył w te strony. Pancierzem być musiała niedawna jeszcze tradycja tej bezwzględności i okrucieństwa, z jakim Piastowie gnieźnińscy ugruntowali nad łęczyckiem swoją przewagę: z jakim wytepiłi tych wszystkich, coby im kiedykolwiek mogli stawić tam czoło w obronie ojcowizny czy obyczaju. Ponieważ jednak ludności w walce zamierzchłej nie wytepiiono, ponieważ osadników, stanowiących o wartości ziemi, pozostało tam nie mniej, niż w wielu innych okolicach kraju, przeto nie pogardzili krainą „Piskorzy“ późniejsi, mniej już uduchowieni, przybysze kościelni.

Być może, że z rąk jednego z pomienionych apostołów, bo, jak się zdaje, w czasach Chrobrego (992—1025), pozyskała ziemia łęczycka pierwszą placówkę duchowną. Było nią pono opactwo Benedyktynów pod wezwaniem N. M. P. na łęczyckim grodzie. Był tej fundacji sędziwej, jako instytucji pierwotnej a samodzielnej, zawrzcęć się miał w okresie stuletnim od schyłku X-go, czy początków XI wieku — po koniec tego stulecia. Wątpić nie można, że jej działalność, jakkolwiek pod względem przestrzeni — tu i owdzie nogą mnicha-misyjonarza dotkniętej—mogła być dość rozległą, nie sięgała przecież w głąb ziemi łęczyckiej poza północno-zachodnie okolice Łodzi. Jeśli zaś wogóle sięgnęła w te strony, to ani intensywniej, ani na stałe. Trzeba bowiem zważyć, że cały Kościół ówczesny posiadał jeszcze w Polsce charakter misyjny, brak mu było wszelkiej tradycji i powagi nadprzyrodzonej, a wreszcie — dostatecznej opieki ze strony władzy, tam nawet, gdzie wszystko korzyć się przed nią zdawało. A cóż dopiero w ziemi oddalonej, gdzie zamierzchające wspomnienia lęku i trwogi, bardziej może niż siła władzy, rozproszonej za łupem po świecie, gwarantować musiały bezpieczeństwo mnichom — dziwnym wysłańcom krwawego państwa, otoczonego hen! gdzieś! daleko! zgrają wojowników, co nie zawsze skutecznie wspierać mogli załogi grodów, rozsianych po kraju, a fundowanych nie nazbyt obficie i w łęczyckiej ziemi. A dziwni zaprawdę bywali pierwsi słudzy Kościoła w Polsce, wysłańcy tego, co sam na barach bałwochwalcy płaszcz chrześcijański nosił. Z Włoch, gdzie tyle razy duch ludzki, jak Feniks, powstawał z popiołów, z pod błękitnego nieba Italii, szli oni w świat mroźny i daleki, w świat bestyj, puchu białego i wód, co się taflami szkła pokrywały w ziemie — by głosić

słowo zbawienia, by zwalczać krzyżem twory szatana, a sobie palmy męczeńskie wywalczać: klucz, co wrota raju otwierał. Pierwsi Piastowie panujący nic z tymi ludźmi nie mieli wspólnego po duchu; przeciwnie—byli żywą ich antytezą. Mimo to sprzęgła ich z nimi polityka trzeźwości—ta sama, która Mieszkowi I kazała trybut płacić cesarstwu z nad Odry, a synowi jego—późniejszemu protektorowi świata, wysługiwać się imperatorom w pierwszych latach rządów.

Kościół był już na zachodzie instytucją *sine qua non*: stać się nią musiał przede i w Polsce, która z zachodem ślub geograficzny, a potem—w akcie chrztu Mieszkowego (966 r.) i historyczny zawarła. Mimo to, władca chciał być przecież władcą i od Kościoła, podobnie zresztą, jak sami imperatorowie przedgregoryańscy, zupełnej uległości wymagał. Uległości i posuszenstwa, choć istotny pożytek *państwowy*, z misyj kościelnych płynący, nie mógł mu być obcym.

Oto doba działalności domniemanej Benedyktynów łączyckich w zarysie ogólnym; szczegółów brak oczywiście zupełny. Można je sobie chyba odtworzyć na tle wieku i kraju, na tle barbarzyństwa, borów odwiecznych i świętych gajów, jako pierwsze zawiązki pracy apostołskiej wśród dzikich—podobne do tych, które za naszych jeszcze czasów Kościół na gruntach całkiem egzotycznych tworzył i tworzy.

Nie były to nawet zawiązki dość trwałe, skoro kataklizm z lat 1034—1040, kiedy to *byst' miatież welik w zemli liadstie* (łęczickiej), a *wosztawsze liudie izbisza episkopy i popy i bojary swoja* i kiedy *nic*, na razie przynajmniej, z pracy Piastów nie pozostało—pozwolił przetrwać bezpiecznie ziemi łączyckiej w przywróconym na nowo stanie pogańskim aż do czasów Bolesława Śmiałego (1058—1079), a może i dłużej.

Wobec nikłych śladów przeszłości „chrześcijańskiej,” a świętego zwycięstwa reakcyi, doba, w której król Szczodry wznawiał tam fundacyę swego Chrobrego pradziada, może być uważana za początek twórczej pracy dziejowej Kościoła nad Nerem i Bzurą. Właściwie należałoby nawet posunąć jej datę na sam koniec XI st., kiedy z okazji konsekracji Katedry Gnieźnieńskiej, która nominalnie od wieku już blisko przewodziła w państwie, Władysław Herman nadał w r. 1097 arcybiskupom tamtejszym dawne opactwo łączyckie. Fundacya ta, na uprzednich, benedyktyńskich obszarach oparta, czyli też—bodaj w części—na nadaniach nowych, sięgała północnych jezior łączyckich na granicy Kujaw: Przedcza, Brdowa, Chotla i Długiego, liczyła pięćdziesiąt osad w głębi bo-

rów i licznych na te czasy—bo setkę—poddanych, nadto zaś uprawiaczy winnic mszalnych, oraz placówki niewolnych piekarzy, koniuchów, szewców i kucharzy.

Tak zaczęły się rządy Kościoła — pierwszego faktycznego w dobie historycznej pana i władcy połaci północnej tej ziemi. A było to właśnie u progu obojga narodzin polskiego możnowładztwa — ery, która wśród warunków już nam znanych, dalsze losy stron łączyckich rozstrzygnęła z góry.

Dwie nowe fale osadniczej organizacyi kościelnej: chropska i wolborska runęły niebawem w te strony. Pierwsza, płynąc z sieradzkiego, stanęła na razie nad Nerem u łączyckich granic; druga z południa, również z ziemi sieradzkiej rodem, wcięła się klinem wązkim ku północy, sięgając dóbr stołowych arcybiskupich—spuścizny po opactwie N. M. P.

Oto, jednocześnie z fundacją gnieźnieńską (1097), kiedy wśród ciężkich walk wewnętrznych, gromów ze strony Czech i Pomorza, Władysław Herman uczuł się zniewolonym do kapitulacyi względem partyj synów, możnych i Kościoła, powstała organizacya kapituły krakowskiej, przyczem dokonano jej uposażenia. Materyał był jakby pod ręką. Kiedy bowiem kilkanaście lat przedtem, około roku 1080, wnet po upadku króla Bolesława, ważyły się losy Hermanowego tronu, następca Śmiałego uczynił zręczny krok polityczny, zawierając małżeństwo z księżniczką czeską, Judytą, córką potężnego rywala Polski, Wratysława II. Była to dla takiego Piasta, jak Herman, wielka wygrana. Nic też dziwnego, że księżniczka stała się w nowej ojczyźnie swojej istotną „królową,” a książę-małżonek skłonny był do czynienia jej wszelakich ustępstw i honorów... Temu to przypisać należy chropską „oprawę” księżny z ręki Władysława, oraz fakt, że ostatnią jej wolę, ku pożytkowi potężniejszego Kościoła powziętą, uszanowano. Umierając bowiem w r. 1086, przekazała Judyta oprawę swoją duchowieństwu „czeskiego“ do niedawna Krakowa — katedrze tamtejszej. A dar to był nie byle jaki: obejmował około pięciu mil kwadratowych ziemi sieradzkiej na pograniczu łączyckiem, z ludnością i z daninami w zbożu, miodzie, skórkach wiewiórczych i kunich, a nadto z pełną — jak zobaczymy — możliwością zagospodarowania się i w łączyckiem. Ner pograniczny nie stał się bowiem nieprzebytą dla panów duchownych zaporą. „Chropy,” sięgające pierwotnie Neru w okolicach Rzgowa, zamienić się miały w okresie XI—XV st. na olbrzymie, dziesięciomilowe dobra pabianickie kapituły krakowskiej, które od pierwotnych swych granic zachodnich, od rzeki Grabi, Ldzania. Dobronia i Żytowic w sieradzkiem,

wzrosły na wschodzie po rzekę Miazgę, Dalków, Kurowice i Kraszew w łęczyckiem, a z kresów południowych — Orszka i Dłutowa, pociągnęły hen! na północ aż po Karolew podłódzki!

Dwie fale kościelne: gnieźnieńska i krakowska, bijące taranem swego osadnictwa w głąb odwiecznych borów łęczyckich, nie wyczerpały atoli przeznaczeń tej ziemi.

Za czasów Krzywoustego, około roku 1125, w dobie gorliwej pracy misyjnej Ottona z Bambergu na Pomorzu, powstała na Kujawach, dla wyzyskania pól politycznych Bolesława, a — religijnych św. męża, odnowiona z gruzów Kruświckich, stolica biskupia z siedzibą we Włocławku. Zaraz też, lub prawie jednocześnie, bo niewątpliwie przed rokiem 1148, weszli biskupi włocławscy w posiadanie kasztelanii woborskiej — starego *Wojbora* w sieradzkim.

Niepodobna przypuścić, aby kasztelania ta, nim się jądrem przyszłego kompleksu dóbr biskupich stała, mogła wykraczać po za granice naturalne tych opól, jakie się na nią pierwotnie składać musiały, t. j. poza granicę łęczycką na północy, a Pilicę na wschodzie. Kresy jej południowe graniczyły z grodzstwem rozpierskim — zachodnie zaś, najpewniej z „Chropami,“ na linii Dalkowa, Żuromina, Bądzynia, Dłutowa i Orszka.

A jednak „okręg“ (districtus) woborski dóbr biskupów kujawskich, nie obejmujący pierwotnie — ba! jeszcze nawet w połowie XIII wieku — *ani jednej* wsi w łęczyckiem, sięgnąć miał wkrótce potem: wcześniej niż krakowskie „Chropy,“ a niewątpliwie dalej niż one, choć mniej systematycznie, w głąb tej ziemi. Już na schyłku XIII stulecia, zarzucając arkany swoje naokół — w kaliskie i rawskie, w łęczyckiem trafił aż pod Głowno i nie utracił w przyszłości zdobytych tam raz terytoryów.

W tej to epoce osiąść musieli biskupi kujawscy, obok Nieśukowa pomiędzy Łągiewnikami i Głownem, obok Witowa i Oszkowiec pod Piątkiem, obok Łaznowa, Godaszewic, Chorzęcina i kilku innych miejscowości w łęczyckiem, także i wieś *Łodzie*, która znalazła się niewątpliwie w ich posiadaniu pomiędzy rokiem 1250 a 1332. Wieś ta leżała w onej dobie na samem rozstaju trzech fal kolonizacyjnych Kościoła, bijących w łęczyckie. Pierwsza z nich, gnieźnieńska, od północy sięgała w te strony; druga — krakowska („Chropy“) dążyła z południowego zachodu aż po późniejszy Karolew podłódzki; trzecia wreszcie — włocławska (dobra woborskie), mknąc w susach od południa, samą „Łódź“ zalała.

\*

\*

\*

Nietylko na rozstaju prądów osadniczych Kościoła umieściły średniowieczną Łodzię losy dziejowe. Postawiły ją one nadto na straży kresów północnych tego klina, którym Łęczycanie, dążąc ku Pilicy, wbili się ongi między Sieradzan a „Mazurów“ rawskich. Klin ten, wypełniający część południowo-wschodnią późniejszego województwa, obejmował 1300 kilometrów kwadratowych powierzchni, przy najmniejszym zaludnieniu nietylko w łeczyckiem, ale w całej niemal Wielkopolsce i nosił w czasach późniejszych miano „powiatu“ (districtus) brzezińskiego, graniczącego od północy na linii Retkini pod Konstantynowem, Łodzi, Strykowa i Gozdowa, z „powiatem“ łeczyckim, a Gozdowa i Waliszewa, z „powiatem“ orłowskim.

Trzy te „powiaty“—to całość ziemi łeczyckiej, a powiat brzeziński, to niewątpliwie dawna kasztelania tegoż miana i dawniejszy jeszcze, zamierzchły związek opól okolicznych, na którym kniaziowie łeczyccy oparli ongi władzę swą w tych stronach.

Nie był to zapewne nabytek zbyt ciężki, ni krwawy, choć granica północna powiatu, dążąca linią krzywą przez okolice wspomniane, a zgięta silnie pomiędzy Radogoszczem i Łodzią, zdaje się wskazywać na to, że stary gród zgierski, placówka południowa pierwotnych władców łeczyckich, musiał się tu niegdyś z pewnemi trudnościami porać.

I nic dziwnego. Jakkolwiek bowiem odwieczna puszcza leśna pokrywała okolicę Brzezin—nazwanych tak, bodaj dla wyjątkowej obfitości brzoź (brzezin) w tych stronach—to jednak nie była to puszcza całkiem głucha, nawet w czasach prastarych, które sto pełna osad ludzkich, wśród lasów i borów, potomności przekazać tam zdołały.

Z terytorjum, o którym mowa, zasiadali później w senacie polskim dwaj tylko kasztelanowie (mniejsi): brzeziński i inowłodzki. Byli to jedyni—poza wojewodą i kasztelanem łeczyckim—senatorowie z tych stron zaściankowych. Kasztelan brzeziński reprezentował na szarym końcu ław senatorskich dostojność zamierzchłą prastarego grodzstwa, którego okolica dała początek nazwie i rozmiarom „powiatu;“ inowłodzki zaś, wyposażony w miejsce jeszcze pośledniejsze, zasiadał na niem, jako przeżytek tych prób niefortunnych, które niegdyś—może przed Piastami—usiłowały zapewnić panom Inowłodza, a raczej jakiejś zanikłej tam miejscowości „starowłodzkiej,“ panowanie nad częścią południową ziemi łeczyckiej. Zdaje się, że panowanie to nie wykroczyło nigdy poza najbliższą okolicę grodu: wieś Małomierz i sąsiadujące z nią przyległości. Podboje Brzezin sparaliżowały niechybnie rozwój dalszy tej pla-

cówki odwiecznej, która spełniła jednak zadanie swoje, jako strażnica pograniczna ziemi łęczyckiej od strony Pilicy i Sandomierzan—zarzecznycy sąsiadów.

Zresztą, na terytorium późniejszego powiatu brzezińskiego, szukalibyśmy daremnie śladu innych, poważniejszych punktów obronnych. Od strony Sieradzan broniło tu dostępu jedno chyba tylko Grodzisko pod Rzgowem; pozatem, jak się zdaje, przedstawano na zwykłych przesiekach pogranicznych (*vyasad*), których ślad zachował się w nazwie Ujazda, położonego między Rokiczanami a Tomaszowem.

Granica sieradzko-łęczycka była w tych stronach zarazem i granicą „powiatu,“ który na południowym wschodzie ogarnął całość ziemi łęczyckiej i sięgnął po Pilicę, przyczem terytorium inowłodzkie stało się w wiekach średnich jego częścią składową. Jeżeli jednak granicę północną, zachodnią i południową obszaru brzezińskiego odtworzyć możemy sobie dość ściśle, to gorzej przedstawia się granica wschodnia od strony ziemi rawskiej, jakkolwiek sama stolica „powiatu“—stare Brzeziny, tuż prawie nad granicą łęczycko-rawską, bo o dwie mile od niej położone były. Zdaje się, że rzeczkę Przysowę, stanowiącą w przybliżeniu tę właśnie granicę, uważać można w zasadzie za kres „powiatu“ brzezińskiego w owej okolicy. Kres ten nie był atoli dość wyraźnym—tak dalece, że nawet Brzeziny uchodziły niekiedy, i to w kancelaryi królewskiej, za część składową województwa rawskiego, a więc—Mazowsza! Był to oczywiście błąd, ale błąd znamieny, płynący z przyczyn, których rozstrząsanie zbyt dalekoby nas zaprowadzić mogło. Dość będzie stwierdzić, że właśnie „powiat“ brzeziński—klin południowo-wschodni ziemi łęczyckiej, co ziemię rawską od Sieradzan dzielił, co pomnożył posiadłości łęczyckie o 1300 kil. kw. powierzchni i obdarzył je czteromilowym brzegiem Pilicy od Tomaszowa do Łęgonic, składał się naogół z terytorium, najmniej pożądanego wprawdzie, kiedy ziemi bylejakiej było i być mogło poddostatkiem dla wszystkich. Licha gleba—w łęczyckiem najgorsza—sprzęgała się tu z okolicznością, że „powiat“ brzeziński obejmował owo właśnie płaskowzgórze, 200—300 metrów ponad poziom morza wzniesione, które stanowiło cypel północny wyniosłości podkarpackich, rozlanych tuż na zachód od Pabianic, na wschód od Brzezin i na północ od Zgierz, w płaszczyznę (100—200 metrów) sieradzką, rawską i łęczycką, która dalej nieco, poza Ozorkowem, przechodziła już w urodzajną nizinę Warty, Neru i Bzury. Płaskowzgórze brzezińskie, ożywiane z wiosną potokami wartkich strumieni, nie posiadało



nigdy—poza Pilicą na południowym wschodzie, i poza środkowym porzeczem Neru na zachodzie północnym, a więc—poza dobrodziejstwami natury, z których „obcy:“ „Sandomierzanie“ i Sieradzanie przede wszystkim korzystać mogli—żadnych zgoła poważniejszych arteryj wodnych, sprzyjających osadnictwu pierwotnemu.

Okoliczności te: brak rzek spławnych, ubóstwo gleby i uderzająca podziśdzień hipertrofia natury w wydajności drzew leśnych, a zwłaszcza brzozy, spowodowały z jednej strony szczupłość osadnictwa w tej okolicy, z drugiej zaś tłómaczą oną możność dziejową, której Łęczycanie, w pochodzie ku Pilicy, „klin“ swój — skarb przez sąsiadów mało pożądanym — do zawdzięczenia mieli...

Nie posiadał on nawet granic naturalnych, z wyjątkiem dolnej części Dobrzyńki i średniego biegu Neru w węgle północno-zachodnim, od strony Sieradzan, a Pilicy od „Sandomierzan.“ Granice sieradzka i sandomierska nie ulegają zresztą wątpliwości, podobnie jak i odrębność etnograficzna trzech „plemion:“ Sieradzan, Łęczycan i Chrobotów. Inaczej zgoła miały się rzeczy ze wschodnim sąsiadem ziemi łęczyckiej—z „Mazowszem“ rawskim, nie oddzielonem od niej żadną zaporą. Względ ten, jak również chwiejność granic łęczycko-rawskich w toku dziejów, zdają się przemawiać za hipotezą jedności etnograficznej obu „plemion,“ z których słabsze — Łęczycanie, utracić mieli w prawięku „rawskie“ obszary swoje na rzecz Mazurów, którzy ich z nad Wisły wyparli aż po Przysowę.

Nie sięgając w czasy tak zamierzchłe, stwierdzmy, że istotnie granica wschodnia ziemi łęczyckiej, a więc i brzezińskiego „powiatu,“ zdawała się nikuąć w praktyce i łączyć raczej, niż rozdzielać jego mieszkańców z sąsiadami o miedzę — z obywatelami „młodszego cywilizacyjnie“ Mazowsza. Młodszego—niewątpliwie—od reszty ziem polskich, a w szczególności od Wielkopolski, do której ziemię łęczycką zaliczono niebacznie... Jeżeli zaś cała ta ziemia zdawała się być za pierwszych Piastów kopciuszkim Korony; jeżeli ujemne wpływy mazowieckie opanowywały ją na całym pograniczu wschodnim, to najsilniej działały one niechybnie w brzezińskim, którego mieszkańcy, oddaleni od metropolii—Łęczycy, odcięci granicą plemienną od Sieradzan, a korytem Pilicy od południowych sąsiadów, pozostawieni byli w głuszy leśnej, jakby samym sobie i—„Mazurom.“

Kto wie zresztą, które to wpływy były lepsze: łęczycko-brzezińskie, czy „mazowiecko“—rawskie?... Nie darmo pieśń ludowa opiewała jeszcze w wieku XVI, ku trwodze słuchaczy, czy-

ny zbójnicze dzikich Pomrożan, zamieszkałych jakoby w rawskiem, choć rzeczka Mroga, dopływ Bzury pod Sobotą, brała, jak wiadomo, początek tuż pod Koluszkami, z głębi borów, i dążyła na północ przez najbliższe, „łęczyckie“ okolice Brzezin: Rogów, Kołacinek, Dmosin i Głowno... Ale nie uprzedzajmy wypadków!

\*

\*

\*

Pod względem kościelnym należała w wiekach średnich ziemia łęczycka do powstałej w roku 1000 archidiecezyi gnieźnieńskiej, a mianowicie do jej archidyakonu łęczyckiego, który dopiero w wieku XVI na dwa nowe archidyakonaty: łęczycki i łowicki podzielono. Owa przynależność kościelna, polegająca na duchowej obedyencji parafii i wiernych względem arcypasterza i jego zastępcy, archidyakona, rezydującego od okresu 1161—1200 przy Kolegiacie łęczyckiej, nie dotyczyła w zasadzie—mimo przywilejów Gniezna, oraz dziesięcin, składanych przez ludność jego kapłańskim przedstawicielom—rozwoju znanych nam już prądów osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Osadnictwo to—ruch agrarno-ekonomiczny, a pośrednio i kulturalny zarazem—nie uszczuplało na rzecz dyecezyi krakowskiej, czy kujawskiej, zwierzchnictwa kościelnego archidiecezyi, ani odwrotnie: nie narzucało go „Chropom“ ni „Wojborowi“ w gospodarczej sferze świeckiej. Przeciwnie, biskupi trzymali się naogół krzepko i łącznie ze sobą; tam zaś, gdzie szło o ich stosunek do ludności i władzy, łączność zamieniała się w opokę nieprzewyciężoną. Opoka nie odrazu jednak z granitu się składała. Tworzył ją początkowo materyał o wiele słabszy—w dobie, kiedy Kościół polski pierwsze kroki swoje na arenie dziejowej stawiał. Było tak poniekąd jeszcze w epoce, która przyszłe losy ziemi łęczyckiej rozstrzygnęła—na schyłku wieku XI, a nawet i później, kiedy po darowiznach na rzecz Gniezna i Krakowa: po dobrach benedyktyńskich i po „Chropach,“ przyszła w pierwszej połowie XII<sup>o</sup> stulecia kolej na „Wojbor,“ ofiarowany biskupom kujawskim. Wiemy, że następstwa tych darowizn odbiły się w całej pełni na łęczyckiem dopiero w okresie pomiędzy połową XIII i XV wieku, t. j. kiedy Kościół podstawę swoją w państwie i społeczeństwie należycie już ugruntował. Ze owa

robotą gospodarza Kościoła w łęczyckiem dokonała się tak późno, a nadewszystko, że się tak późno w zakresie niebywałym dokonać *mogła*, są to względy dość ciekawe i ważne, by je tu poruszyć.

Owóz—przed tym okresem—miał u nas Kościół zgoła inne, niż gospodarcze cele na oku: musiał przedewszystkiem porać się z władzą książęcą o prawne stanowisko swoje w państwie. Dopiero, gdy tę walkę zakończył zwycięsko, mógł jać się poważniej ekonomicznych zabiegów. Możliwość ta—dziwnym zrządzeniem losu—zbiegła się z początkami ruchu kolonizacyjnego w kraju całym, ruchu, który jego dzieje wewnętrzne właśnie w okresie wspomnianym wypełnił. Tłómaczy nam to, aż nazbyt dokładnie, rzecz na pozór dziwną, że Kościół pracę gospodarczą w łęczyckiem rozpoczął tak późno.

Ciekawy jest natomiast взгляд drugi, że się owa praca, wszczęta tak późno, zwłaszcza przez „Wolborz“ i „Chropy,“ wykonać dała nietylko istotnie, ale nadto na tak olbrzymią skalę, jakiej gdzieindziej warunki osadnictwa: możni, szlachta i ich gospodarstwa folwarczne, nie mogły już były dopuścić... To też zjawisko to byłoby wręcz niepojęte, gdyby nie fakt prosty, wyjaśniający zagadkę rzekomą: Oto, terenem owych późnych powoźdeń Kościoła stał się zaściankowy *powiat brzeziński*, obszar, którego przynależność do państwa i Kościoła, jeśli o kulturę chodzi, uważać można naogół—śmiemy to twierdzić bez wahania—za formalną raczej, niż rzeczywistą, bodaj do progów Jagiellońskiej doby.

Jakież to bowiem nauki i dzieje przeszedł ów obszar za Piastowskich czasów?

Materyałów posiadamy, niestety, zbyt mało, by móżd odpowiedzieć na to pytanie w oderwaniu od dziejów ziemi łęczyckiej, jako całości. Stawiając atoli z konieczności kwestyę w sposób taki, musimy zastrzedz się z góry, że ogólne dzieje łęczyckie dotyczą z natury rzeczy przedewszystkiem jądra tej dzielnicy, t. j., w znaczeniu możliwie najszerszem, łęczyckiego „powiatu.“ Powiat orłowski, a zwłaszcza brzeziński, o dwadzieścia kilka kilometrów w najbliższym punkcie swoim (okolica Gozdowa), a o dziewięćdziesiąt z górą w najdalszym (Pilica), i to w linii powietrznej, od Łęczycy oddalony, nie mógł posiadać nigdy, zwłaszcza, gdy grunt kamienisty, piaski, puszcę leśną i potoki wiosenne tych stron uwzględnimy, łączności należytej z daleką metropolią swoją. Jakoż nie posiadał jej naprawdę jeszcze i w wieku XIX, kiedy to z brzezińskiego *szosą*, „jak za morze,“ do Łęczycy w sprawach urzędowych jeździć musiano. A cóż dopiero mówić o Piastowskich

czasach, gdy prawiek w głuszy brzezińskiej dawnym jeszcze rządził się majestatem zbója, natury i zwierza...

„Łęczyca,“ t. j. ziemia łęczycka, jak opiewają dzieje, dostała się, jeszcze za życia Władysława Hermana († 1102 r.), w r. 1097, synowi jego, Zbigniewowi, w udziale i przetrwała pod „berłem“ tego księcia, a — mówiąc ściślej — pod obuchem zbójceckich walk bratobójczych, toczonych pomiędzy nim, a Krzywoustym, do roku 1107-go.

Rzeń ta, przeniesiona później za Wisłę, ucieła na dobre dopiero po oślepieniu i śmierci Zbigniewa (1111—1113 r.), co jednak nie wpłynęło bynajmniej na przyspieszenie początków rzeczywistej pracy kulturalnej w łęczyckiem. Wojenne rządy Krzywoustego, oraz pierwszych, dzielnicowych jego następców w tych stronach, zajętych walką z braćmi i zabiegami o władzę, nie były pono dla Łęczycy bardziej od dawnych panowań szczęśliwe. Dopiero słynny zjazd łęczycki z roku 1180, na którym Kościół pierwsze zwycięstwa swoje nad Piastami obwieścił uroczyscie i wobec państwa sobie zawarował, może być uważany nietylko za początek właściwej, choć nie istotnej jeszcze, doby historycznej tej ziemi, ale i za *omen* znamienny dalszych jej losów.

Prognostyk nie był może całkiem przypadkowy. Odległość znaczna od Prusów, a zwłaszcza od Pomorzan, Czechów i Rusi, nadto zaś spuścizna po-benedyktyńska i oparte na niej uposażenie arcybiskupów gnieźnieńskich w „powiecie“ łęczyckim, sprawiały, że sam gród nad Bzurą stał się już w wieku XII rodzajem ostoi dla pożądających ciszy i bezpieczeństwa, przedstawicielei dynastyi i *Kościola*.

W Łęczycy trzymał w roku 1107 Bolesław Krzywousty Marcina arcybiskupa, jako zakładnika w wojnie ze Zbigniewem; w Łęczycy osiadła wdowa po Krzywoustym († 1138), hrabianka Bergu, Salomea; w Łęczycy wreszcie odbył się za Kazimierza Sprawiedliwego słynny akt wspomniany, a w sto lat później, w r. 1285-ym, synod prowincjonalny Jakóba Świnki, upamiętniony postanowieniem konserwacyi i popierania języka polskiego w działalności kościelnej.

Wcielone do Wielkopolski, przechodziło z kolei łęczyckie w dobie dzielnicowej do rąk (Mieszka Starego, Kazimierza Sprawiedliwego) Konrada Mazowieckiego i jego zstępnych: obu Kazimierzów Kujawsko-łęczyckich, Leszka Czarnego, Władysława Łokietka i Ziemowita, a wreszcie Władysława, księcia dobrzyńsko-łęczyckiego, po którego śmierci król Kazimierz Wielki dzielnicę tę, dopiero w roku 1357, ostatecznie połączył z Koroną.

Śledzenie szczegółowe dziejów politycznych ziemi łęczyckiej nie jest tu naszym zadaniem. Pragniemy jedynie zwrócić uwagę na tło historyczno-kulturalne tego zakątka, wchodzącego *i później i inaczej*, niż się sądzić zwykło, na tory dziejowej cywilizacji Polski. Poprzestaniemy też na stwierdzeniu faktu, że zarówno za pierwszych Piastów, jak i w czasach dzielnicowych, przedstawiających się smutnie naogół w całej Wielkopolsce, władza państwowa, ani wpływy kulturalne możnych, nie odegrały w łęczyckiem tej roli, jaka im w innych okolicach kraju przypadła w udziale. Przyszłość niedaleka miała to w całej pełni wykazać.

Co do wpływów możnych, to „królewiał,” jak wiadomo, nie było tam wcale; co zaś do władzy książęcej, to i ją także, acz tylko poniekąd, wyprzedziło w łęczyckiem wyjątkowe stanowisko Kościoła. Wprawdzie, za pierwszych Piastów przeddzielnicowych—jeśli o istotę rzeczy, nie zaś o stronę formalną chodzi—niepodobna traktować tam poważniej obu zjawisk wspomnianych: władzy monarszej czy kościelnych wpływów, albowiem pod względem kultury zakątek łęczycki tkwił wtedy jeszcze w atmosferze bytu przedziejowego — w majestacie leśnym prawieku. Gdy atoli w połowie XII wieku nastąpiła w Polsce doba dzielnicowa, niedoceniana naogół co do związanej z nią rozlewności książęcych wpływów cywilizacyjnych, okazać się miało niebawem, że podstawa materialna, jaką Kościół zdołał być przedtem posiadać w łęczyckiem i u jego progów, stanowiła siłę o wiele większą, niż ta, jaką rozporządzać mogli dzielnicowi książęta łęczyccy.

Potęźni arcybiskupi gnieźnińscy, władający duszami wiernych całej tej ziemi, oraz dobrami w stołecznym „powiecie,” biskupi krakowscy, jako panowie „Chropów“ i kujawscy — panowie „Wojbora,” — była to zaiste potęga, wobec której nikt nie mógł skarlali potomkowie Piasta, „panujący“ nad okolicą.

Wprawdzie, panem z imienia książę być nie przestawał, wprawdzie „pełnia“ praw jego monarszych — *jus ducale*, świecące tu i owdzie strzępami z poza przywilejów, stanowiło dość jeszcze podniety i „siły moralnej,” by się o swe prawa upominać, ale prawa te, tam zwłaszcza, gdzie Kościół, jako magnat ziemski występował, a książę nie księciem był, lecz książętkiem, schodziły zazwyczaj na nice. Dzieje „Chropów,” odebranych kapitule krakowskiej w XII stuleciu przez Piastów, a zwróconych jej przez Kazimierza Sprawiedliwego z dodatkiem pokory książęcej; spory i układy Kazimierza I, księcia kujawsko-łęczyckiego († 1267) z biskupem wrocławskim Wolimirem o dobra kościelne kujawskie, stanowią tu, by przykładów nie mnożyć, ilustrację wystarczającą. Zresztą,

już pod koniec XII wieku, za przykładem arcybiskupa Jakóba ze Znina, poczęła się w dobrach kościelnych wielkopolskich gospodarka, ulepszona niebawem o tyle, że książęta ubożsi, którzy łowami na grubszego zwierza: zaspakajaniem żyłki myśliwskiej, wetować sobie musieli nieraz brak realniejszych korzyści „panowania,” nie mogli przeoczyć już tych beneficjów ekonomicznych, jakie na nich samych z łaski Kościoła-gospodarza pośrednio spływały.

Jakkolwiek w Polsce całej urastał Kościół w bogactwo, potęgę i znaczenie „państwa w państwie,” to jednak ziemia łączycka stanowiła i pod tym względem istne *curiosum*. Najdawniejszy obraz statystyczny tej ziemi, pochodzący z XVI stulecia, wykazuje tam ni mniej, ni więcej, jeno 22% ogółu gruntów uprawnych, nie mówiąc o lasach i nieużytkach, w ręku Kościoła. Ogrom tej odsetki, puścizny średniowiecza, wystąpi atoli w całej okazałości, gdy ją zestawimy ze współczesną normą przeciętną innych województw wielkopolskich (10%), a nadewszystko województw sąsiednich: kaliskiego (6%) i poznańskiego (6%), oraz z obszarem królewszczyzn w łączyckiem (9%).

Znając okoliczności odwieczne, które zjawisko to wywołały, dziwić mu się niepodobna—jemu, ani logicznym jego następstwom.

Ziemia łączycka stała się tłem dziejowem, na którym dwa przeciwne sobie krańce duszy wieków średnich: pierwotność barbarzyńcy i świętość ascety ścierały się z sobą bardziej bezpośrednio, niż gdziekolwiekbądź indziej. Brakło im tu owej przegrody normalnej, jaką stanowiły w innych, wyżej rozwiniętych okolicach kraju, zwykłe retorty cywilizacji, ogniska żywotne rozwoju kulturalnego: dwory książąt, magnatów i możnych świeckich. Anormalność takiego stanu rzeczy miała się odbić nietylko w obyczaju i zaściankowości, ale także i w ich wyrazie publicznym: w słynnym separatyzmie szlachty łączyckiej za Jagiellonów.

W zespole tym, brzezińskie uznać należy za najbardziej klasyczny przeżytek prawieku, za okaz wybrany majestatycznej jego pierwotności, spowity w zasłonę zelotyzmu religijnego i dziecięcej czci dla Kościoła.

Był on tam wszystkim o czem dusza człowiecza zamarzyć mogła: bogactwem i władzą, dobrem doczesnem i wiekuistem, panem nad pany, dobrodziejem i sędzią, nagrodą i karą.

Życie... biegło mimo to swoim korytem, stawał się rozwój państw i narodów, jaśniały po świecie nowe ogniska kultury, rok mijał za rokiem, lata za latami—tam wszystko po dawnemu trwało: Kościół pogłębiał wiarę obywatela, gospodarzył, modlił się

i bił we dzwony, ów zaś—*cokoli bywało, żył jako drzewiej, gaił na chyżę, łaźbił szmery, dzierżał mrzeżę, w łomcy łowce dzielił; jegdy zaste pożeźcą, albo z chlebojedźce i ucześnieki swymi bieżał kędykole, chąsbą ni łupem nie gardził...*<sup>1)</sup>

\*

Daremnie szukalibyśmy śladu szczegółów dziejowych o Łodzi i o najbliższych jej okolicach na tle wczesnej epoki piastowskiej. Manchester polski był embryonem dzisiejszej wielkości swojej nie tylko za Piastów, ale i później jeszcze przez długie wieki. Spowity w niezwykle warunki historyczne, które w sposób skomplikowany, ale nad wyraz logicznie, rozwojem jego pokierować miały, nie marzył on do ostatnich niemal czasów o tej przyszłości, jaka go czekała...

Za Piastów wszystko składało się na to, by rozwój ten opóźnić i dalszym wiekiem przekazać *quasi in ovo*. Długoletnie ścierranie się władzy książęcej z kościelną o panowanie nad terytorjum łęczyckiem, a mówiąc ściślej—nad „woborszczyzną,“ usadowioną i w brzezińskim, zakończyło się zwycięstwem biskupów kujawskich dopiero za ostatniego Piasta dzielnicowego, który tym zakątkiem władał.

Drobne i mało znane książątko, Władysław dobrzyńsko-łęczycki, syn Ziemowita, a prawnuk mimowolnego dobroczyńcy Krzyżaków, Konrada, uległ w walce dziejowej z biskupem kujawskim, Maciejem z Golańczewa herbu Topór... W słowach, pełnych pokory, spisanych w Łęczycy przez notariusza swego, Jana, proboszcza z Kłodawy, wyrzekł się on skwapliwie dnia 6 września 1332 roku—jak opiewa data—*wszelkich praw* panującego do

<sup>1)</sup> Ustęp ten, częściowo w gwarze łęczyckiej z czasów Jagielly spisany, znaczy: ów zaś, cokolwiek bywało, żył jak dawniej, drzewo na chatę gromadził, podbierał pszczoły, sieć (w ręku) trzymał, w lesie zdobył (myśliwską z towarzyszymi) dzielił; gdy zaś, jako podpalacz, albo z czeladzią i z towarzyszami swymi kędykolwiek przechodził, kradzieżą ani łupem nie gardził. Por. zbiór wyrazów odpowiednich w „Księgach sądowych łęczyckich“ (Teki A. Pawińskiego V, cz. III, str. CXXIX i nast.); wyrazy: *chlebojedźce* i *ucześnieki* zaczerpnięte z Kujaw średniowiecznych.

wiosek, przez biskupa pod jego berłem posiadanych, a między innymi do — Łodzi.

Czenże to jednak owa „Łodzianka“ (*Lodzianka*) była tymi czasami? Była wioską, gorszą może, niż inne okoliczne i—bodaj—od nich młodszą — wioską, która u pogranicza dwu kasztelanij starodawnych: brzezińskiej i zgierskiej, na gruncie piaszczystym stanęła. Nie będziemy pono dalecy od prawdy, przypuszczając, że cały ów proces, w ciągu którego poważniejsza osada ludzka tam powstała, miano swe od godła Łodziców wielkopolskich wzięła, zamieniła się na wieś ludną, na razie „polską“, a potem „niemiecką“, na „stolicę“ parafii, a wreszcie na „miasteczko“, — zawarł się w okresie między połową XIII-go i XV stulecia. Okres ten, dziejowo tak późny, był, jak wiadomo, okresem najbujniejszego rozwoju osadnictwa kościelnego w łęczyckiem. Wszystko przemawia za tem, że jemu to zawdzięcza Łódź późniejsza skromne początki swoje. Jeżeli jednak, wśród znanych nam komplikacyj historycznych i osadniczych, prądy agrarno-ekonomiczne Kościoła zrosiły piaszczysty grunt łódzki w sposób bardziej życiodajny, niż Łódka z Jesienią, to zgoła inaczej dziać się miało w środowisku wiejskiem „miasteczka“ — w najbliższej jego okolicy. Rola Kościoła, oparta tam jedynie na religijnych wpływach, przeciwstawiła zbyt mało, zaiste, kulturalnych zasobów swoich przyrodzonej, oraz dziejowej pierwotności natury i człowieka.

„Łódź“, parta z jednej strony forsownie przez okoliczności i fundowane na nich względy ekonomiczne opiekunów swoich, ku wyżynom materialnego rozwoju, znajdowała się z drugiej strony pod wpływem nieustannym, a bardzo bliskim swego otoczenia. Zespół bezpośredni dwu przeciwieństw, z których każde z osobna posiadać mogło i posiadało właściwości dodatnie i ujemne, złe i dobre, piękne i ohydne, stworzył to, co stworzyć musiał — barbarzyństwo, jakich mało. Nie zadziwi nas też zapewne obraz moralny Łodzi: późny, ale najdawniejszy, jaki posiadamy, skreślony w roku 1633-cim w księgach kościelnych łowickich przez księdza-wizytatora: ... „Dobroczyńca kościoła (łódzkiego) — pisze on — przez złodzieja w nocy nikczemnie zamordowany został. W miasteczku sześciu mieszczan nie spowiadało się, a niejaki Jakób Rogowski (szlachcic z przyległych Rogów) od lat wielu... Są tam ludzie skandaliczni—wszyscy upijają się, a stąd liczne między nimi swary. Napomniałem seryo burmistrza i mieszczan, aby tego więcej nie czynili...“

Obraz ten śmiało cofnąć można o dwa wieki z górą — w dobę Jagiełły, która właściwy próg historyczny dla Łodzi i jej okolicy stanowi.



A ciekawa była to okolica za protoplasty dynastyi Jagiellonów—ciekawsza bodaj od samego „miasteczka,“ które wypiąstowały dla niej zasługą własną dziwne losy dziejowe...

Szlachta różnego rodu i fortuny, kniecie, co z roli, lasu, piasiek i wód rzecznych czerpali dobro dla panów i siebie — świat cały, mieniący się krasą natury dziewiczej i poezją szczupłego jej zaludnienia, siedział tam jeszcze w głębi odwiecznych borów, niesposzony, swojski i stary, jak ongi za „najlepszych czasów!“

Kultura możnego Kościoła płynęła wprawdzie zwolna od Łęczycy, sunęła szlakiem tyjących wciąż „Chropów,“ wdzierając się od Wolborza w głąb gąszczów leśnych, ale wszystkie jej zamachy parował długo niezamącony od wieków spokój w cichym, podlódzkim zakątku brzezińskim...

Przyjrzyjmy mu się bliżej.

Od północy, tuż za Łodzią, przesłoniły go od Zgierza i za-borczych jego popędów grodowych, lasy odwieczne Łagiewnik i Radogoszcza—dwóch osad prastarych, z których pierwsza—przemysłowa—łagwiami z drzewa potrzebom panów zgierskich służyła, a druga nie mniejszym szumiła borem.

Puszcza podlódzka!

Użyliśmy tu umyślnie tego określenia, bo choć wiele okolic kraju zdawało się w owych czasach na podobne miano zasługiwać, to jednak „puszczy podlódzkiej“ należy się ono z pewnem wyróżnieniem. Nie wolno bowiem zapominać, że w puszczy tej, w lasach będońskich, na samym schyłku XVIII-go, jeśli już nie w XIX-ym wieku, zabito ostatniego pono w Królestwie niedźwiedzia! Pamięć tego nieboszczyka, groźnego trapiącila pszczoł leśnych, miodu i pasieczników, zasługuje conajmniej na to, by puszcę podlódzką uczcić czotobitnem: *à tout seigneur!...*

Na kogóż to jednak, na jakich ludzi bepośrednio chwała spłynąć powinna za to, że zakątek swój w stanie tak pierwotnym utrzymać potrafili aż do schyłku istnienia Rzeczypospolitej?

W brzezińskim zaścianku podlódzkim długo szumieć musiała puszcza dzika, niemal bezludna, jakkolwiek ślady osadnictwa pierwotnego, a może tylko człowieka-łowcy, lub wędrownego kupca, sięgają tam, w niektórych zwłaszcza miejscowościach, bardzo odległej starożytności. Doba historyczna atoli, którą tu poruszamy, rzuca światło skąpe wprawdzie na przeszłość tej ziemi, ale stwierdzające bądźco bądź jej dziewiczość, nader długotrwałą. Nomenklatur odwiecznych brak tam niemal zupełny, uderzający zwłaszcza, gdy go się z obfitością śladów osadnictwa pierwotnego w zgierskiem, t. j. z północną okolicą Łodzi zestawi. Zaścianko-

wość podlódzkiego zakątka „powiatu“ brzezińskiego występuje w całej okazałości na tle próby takiej, uchylającej bardziej, niż inne, rąbka prawdy dziejowej, spowitej w tajemnicę wieków. Na sto kilometrów kwadratowych głuszy leśnej przypadało tam bowiem w zaraniu dziejów, nie więcej nad dwie — trzy i to skąpe osady ludzkie, gdy natomiast w zgierskiem ślady osadnictwa pierwotnego przedstawiają się w ilości conajmniej podwójnej. Nadto, stosunek ten wzrósłby znacznie, bo o 20—25% na korzyść okolicy zgierskiej, gdybyśmy z rzędu wspomnianych, „odwiecznych“ osad brzezińskich, usunęli nomenklatury leśne, niezwykle tam liczne, a słabo za starożytnością noszących je osad przemawiające.

Organizacją starodawną, która puszcę podlódzką ujęła w karby ściślejsze niż kasztelania brzezińska, a trwałe, była parafia w Milezskach.

Tradycja przenosi jej początki w wiek XI, kładąc je nawet wyraźnie pod dniem 14 grudnia 1048 roku! Opiera się to oczywiście na całkiem fałszywych danych, jakkolwiek fundacja parafii w Milezskach należy istotnie do najdawniejszych w tych stronach. Z okalających ją dziś parafij, jedna tylko—brzezińska, założona na początku XII wieku, może z nią pod względem starożytności rywalizować. Na początku wieku XVI-go graniczyła parafia w Milezskach z parafiami w Skoszewach, w Brzezinach, Czarnocinie, Rzgowie, Kazimierzu i Łodzi; pierwotnie zaś, w wiekach średnich, obejmowała niewątpliwie całe terytorium, zawarte w granicach parafij: Skoszewy, Brzeziny, Czarnocin, Kazimierz i Zgierz, a przeto panowała także i nad Łodzią, dzieląc się tu może na razie władzą swoją ze Zgierzem, gdy po powstaniu łódzkiej osady pogranicznej, dzielić się czem było.

Parafia Milezki obejmowała tedy pierwotnie przestrzeń znaczną, wynoszącą około 125 kilometrów kwadratowych, a powstała nie wcześniej chyba wśród puszczy, niż sąsiednie parafie średniowieczne, t. j. zapewne w wieku XIII, kiedy ruch osadniczy raźniej przedzierać się zaczął w głąb okolicy. W wieku XIV posiadały Milezki już niewątpliwie kościół parafialny, fundowany dla kilku wiosek, leżących w pobliżu. Wiączyń, Bedoń, Wiskitno, Stoki i Chojny, oto całość pierwotnego podłoża tej parafii starej, ogarniającej dziś, na terytorium znacznie znniejszonym, kilkadziesiąt osad. Dwie, nieistniejące już „Wole“—Mieczykowa i Stokowska (dziś Budy Stokowskie) — może rówieśnice Łodzi — powstały później, jak świadczą ich nazwy, by owczarnię Milezek pomnożyć... Z pięciu pomienionych wiosek Wiączyń (dawniej Vya-

czencz = Wincenty), to nazwa już chrześcijańska, Chojny — nazwa leśna, Stoki — topograficzna: niekoniecznie prastare, *jako osady*. Pozostają dwie wsie tylko: Bedoń i Wiskitno, w których podobnie, jak w Mileszkach, widzieć można przedewszystkiem praojczyków tego osadnictwa, które się niegdyś w głąb dziewiczej puszczy podłódzkiej przedarło. Wiskitno — nazwa dziś niezrozumiała. Inaczej z Bedoniem, właściwie Będoniem (tak jeszcze u ludu), a nawet Bądoniem, którego nazwa pierwotna tak się dziś (Bedoń) w „dobrym tonie“ spaczyła.

Jak Biedroń, Cichoń, Strzygoń, Luboń i t. p., to odmiany Biodra, Cichego, Strzygi i Luby, tak samo był niegdyś i Bądoń nazwą, lub mianem synowskim człowieka, co imię Bąd nosił.. Używane było to imię w zdrobnieniu, jako Bądko, jeszcze na schyłku XIV wieku w Wielkopolsce, a przechowało się podziśdzień w licznych nomenklaturach wiejskich, jak: Bątków i Bątkowo, Będków, Będzelin, Będziechów, Będziaki, Będzin i t. p. W Wielkopolsce osad „Bądowych“ było najwięcej, bo  $\frac{2}{3}$  tych, jakie do dziś dnia, lub doniedawna, na przestrzeni Królestwa istniały. Ponieważ jednak rodziny, które z osad tych wyszły, należały do różnych rodów i herbów, nie możemy przeto doszukiwać się wspólnego ich protoplasty w jakimś bajecznym Bądzie wielkopolskim. Wystarczy stwierdzenie faktu, że, jak niejaki Bralin, osadnik, stał się niegdyś, w roku 1136, częstką uposażenia opactwa na łęczyckim grodzie, tak też i Bądoń w czasie, zapewne do tej epoki zbliżonym, uszał sobie gniazdo w puszczy „podłódzkiej“, a raczej naonczas — brzezińskiej. Nie będziemy pewno dalecy od prawdy, przypuszczając, że późniejsi, średniowieczni jeszcze i nowożytni właściciele tego gniazda, panowie Bądońscy vel Będońscy, mieli nie tylko nazwisko, ale i krew swoją staremu Będoniowi do zawdzięczenia. A byli to mężowie nielada rodu i godła, Nałęczę wielkopolscy, którzy wśród „braci“ i „stryjców“ herbowych liczyli nie tylko poczet znakomity biskupów, wojewodów i kasztelanów, ale nadto — kwiat zbójckiego rycerstwa tej ziemi, który, pospołu z Zarembami, uwiecznił się ponuro w krwawej tragedji rogozieńskiej króla Przemysława... Czyliby panowie Będońscy, siedząc w puszczy leśnej, zachowywali ściślej odwieczne swoje związki rodowe z Wielkopolską rdzenną, milczą o tem wszelkie kroniki i źródła... Wszak maluczkiemi nie zajmowały się one nigdy, a panom Będońskim poskapiły całkiem szczęścia losy dziejowe. Nie zesały żadnych zgoła laurów na ich uznojone czoła, przeznaczając wszystkie fiolety i karmazyny wybrańcom rodu z nad Warty i Wełny. Bo i pocóż było ruszać w ziemię tak ustronną, w pusz-

czę leśną, zabiją zwałem drzew od świata, skoro ród cały gdzieindziej siedział od prawieku, dorabiał się dostojęństw, dostatków i chwały? Po co?... dziś dociec tego niepodobna. Nie zdawali sobie z tego niechybnie już sprawy bodaj i jagiellońscy panowie z Będonia, bo od Bada, czy jego syna-pustelnika, założycieli odludnej siedziby w łączyckiem, dzieliły ich nie lata, lecz wieki.

Osadnictwo „chropskie“ dotrzeć miało dopiero w roku 1419 do bliższych okolic Będonia, a „zagroziło“ jemu samemu w XVI stuleciu. Zagroziło — lecz bezskutecznie. Knieja będońska pozostała „knieją“ niemal do połowy ubiegłego wieku. Podczas procesu z rządem około 1850 roku o granice leśne od Gałkowa, rzeczoznawcy szukać musieli tych granic na przestrzeni 80 kilometrów kwadratowych między Kurowicami, Będoniem i Gałkowem! Nie zmogły Będonia krakowskie „Chropy,“ ominęły go latifundia wolborskie biskupów kujawskich, co sieć swoją na Łódź zarzuciły, przepomniały go i zakupy północno-łączyckie arcybiskupów gnieźnieńskich, którzy chwilowo tylko i to dopiero w osobie prymasa Ostrowskiego (1778 — 1784), pozyskali tam prawa, czy przywileje myśliwskie, od właścicieli wioski.

Będoń pozostał jądrem puszczy podłódzkiej niemal do ostatnich czasów.

J. K. KOCHANOWSKI.

# PIŚMIENNICTWO.

ZYGMUNT WASILEWSKI. *Od romantyków do Kasprowicza*. Studya i szkice literackie. Lwów 1907. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

Dziwnie zajmująca książka. Czyta się ją jednym tchem. Składają się na to dwie rzeczy — przedmiot, który jest blizki naszemu sercu, i—sposób wykładu.

Wyborny stylistą, doskonały *causeur*, pisarz o wykwiutnym smaku literackim, czasem myśliciel i psycholog, umiejący wdążyć się bardzo głęboko w duszę poety, o którym mówi, należy Wasilewski do najrzadszego u nas typu krytyków-essayistów na miarę europejską. Niema w nim nic „profesorskiego,“ nic, coby się narzucało czytelnikowi z góry, co mówiłoby mu *ex cathedra* o pewnych kanonach estetycznych, co dzwoniłoby najlżejszemi nawet kajdanami jakiegokolwiek doktryny. Wszystko jest tu swobodną biesiadą z czytelnikiem, umiejętnem wprowadzaniem go w rozległą sferę tych wrażeń, jakie autor książki przeżył i jakie pobudziły jego myśl do zastanowienia się nad tem lub innym zjawiskiem twórczem.

Rozmiałowany w literaturze romantycznej, doskonały znawca i badacz epoki, która wydała największych naszych poetów—czego dowód złożył w poprzedniej swojej książce—i tym razem rozpoczyna Wasilewski od studyów, poświęconych jednemu z romantyków—Sewerynowi Goszczyńskiemu.

Przygotowany doskonale do tej pracy przez pobyt w Rapperswyłu, gdzie pierwszy rozejrzał się w puściźnie rękopiśmiennej po tym poecie, zebrał tam skrętnie materiały, dotyczące życia autora „Zamku Kaniowskiego,“ a uzupełniwszy je następnie dalszemi poszukiwaniami—przedstawił nam w sposób barwny, zaj-

mujący i bardzo dokładny lata dzieciinne najcehniejszego przedstawiciela szkoły ukraińskiej, późniejszego bohatera walk narodowych, emigranta i Towiańczyka. Jest to pierwsza praca, która przedstawia wyczerpująco i ze wszystkimi szczegółami pobyt Goszczyńskiego w szkołach, a więc naprzód w szkole pijarskiej w Międzyrzeczu Koreckim na Wołyniu, potem w gimnazyum podolskiem w Winnicy, wreszcie w szkole Bazylikańskiej w Humanii, gdzie związał się znany w naszej literaturze triumwirat *Za—Go—Gra* (Zaleski, Goszczyński, Grabowski). Rzecz swoją doprowadza Wasilewski do chwili, w której Goszczyński, przy przejściu z klasy 5 do 6-ej szkołę humańską opuścił.

Dwa studia następne *Kolenda polska* i *Do Waterloo* dotyczą także Goszczyńskiego. Widzimy go tu już jednak, jako męża na schyłku żywota, zasłużonego ojczyźnie, bolejącego nad jej losem i narówni z innymi wielkimi duchami epoki, uwikłanego w sieć Towianizmu, aczkolwiek z tej sieci usiłuje się wydobyć, gdyż powstaje przeciw *bezczyńności*, która go od lat tyłu trzyma i „nie puszcza na drogę Polską,“ pragnie wyjść ze sfery sporów teoretycznych i oddać się „praktycznie“ służeniu Ojczyźnie. Rezultatem tego przełomu wewnętrznego było ogłoszenie *Postania do Polski*, tego ostatniego akordu lutni romantyka ukraińskiego.

Ścisły związek z epoką romantyzmu posiadają jeszcze dwie prace w książce Wasilewskiego: *Spór o Słowackiego* i *Kult poety*. Pierwsza napisana została z powodu głośnego sporu, jaki wynikł po nagrodzeniu przez Akademię Umiejętności w Krakowie dzieła prof. Tretiaka o Słowackim. Wasilewski zajął tu stanowisko bardzo obiektywne i bezstronne, wychodząc z założenia, że twórczość naukowa „nie jest aferą, podlegającą prawom giełdy i powinna mieć w społeczeństwie cywilizowanym zagwarantowane bezpieczeństwo publiczne, swego rodzaju *habeas corpus*; stoi ona pod sądem historii i krytyki i tym instancjom opinia publiczna musi zostawić troskę o jej prawidłowy rozwój.“ Głos ten wyróżnia się bardzo korzystnie z gwaru tej namiętej dyskusji, jaka w swoim czasie wynikła w naszych literacko-naukowych sferach i porwała nawet bardzo poważne umysły w wir zacieklej, a przez tę zaciekłość często zaślepionej i jednostronnej, polemiki.

*Kult poety* — jest pięknie i głęboko pomyślanem przemówieniem, wygłoszonym na obchodzie inickiewiczowskim w Kałuszu, w Galicyi, w listopadzie 1905 r.

Z kolei mamy przed sobą wyborne studjum, poświęcone Adolfowi Dygasińskiemu i jego *Godom życia*. Powiedziałbym, że jest to najlepsza rzecz, jaka w książce niniejszej z pod pióra Wasilew-

skiego wyszła. Najlepsza—nie dla tego, że jest może najartystyczniej ujęta, ale dla tego, że występuje w niej najpełniej sam Wasilewski, jako umysł, ogarniający szerokie horyzonty i jako serce, czujące głęboko. Dygasiński był pisarzem nawskróś polskim, był głosem tej ziemi, która go wydała, poetą tych pól i lasów, które go wykołysały. Mógł go więc odczuć, ująć, określić tylko krytyk, obdarzony tem samem polskiem widzeniem rzeczy. I potrafił to uczynić Wasilewski, jak nikt dotąd przed nim. Tak się wmyślił i tak wczuł w Dygasińskiego, że doszedł do zrozumienia najtajniejszych fibrów, drgających w organizacyi twórczej poety i pochwycił utajoną ich muzykę. W głębokich pokładach swojej duszy, w zasadniczej treści swego istnienia, w samym mięszu swojej Psyche, uczulonej na każdy głos, idący z zagonów ziemi oczyszczonej—Dygasiński nie mógł być innym, tylko takim, jakim go przedstawił Wasilewski. Nie jest to hymn uwielbienia, nie jest to panegiryk, wypowiedziany nad grobem zmarłego pisarza, ale skupione, zbożne, głębokie, przesubtelne rozmyślanie, które otwiera przed nami wszystkie tajemne krążanki duszy pisarza i poucza o tym związku, jaki istnieje pomiędzy artystą a ziemią, pomiędzy przyrodą a duszą ludzką, wrażliwą na piękno, pomiędzy sercem a poezją.

„Na Dygasińskim — mówi Wasilewski — widzimy najlepiej czem jest miłość w sztuce. U niego, u tego pozytywisty, naturalisty, wiwisektora niemal, okrzyczanego pesymisty, który na świat patrzył przez pryzmat walki o byt—*miłość wygórowała nad wszystkim i odtąd dopiero stał się poetą...* Zdziwiająca zjawisko.“ Kto chce zjawisku temu przyjrzeć się bliżej, zbadać je, poznać jego przyczyny, przypatrzeć się drogom, po których idzie rozwój duchowy artysty wbrew wszelkim teoryom, formułom i kanonom pozornie niewzruszalnym—ten powinien przeczytać studyum Wasilewskiego, nie tylko dla tego, że mówi ono o Dygasińskim, ale dla tego, że odkrywa przed nami wogóle tajniki twórczości w zakresie nieśmiertelnego piękna.

Pod względem przenikliwości psychologicznej, głębokiej analizy i szerokiego ujęcia przedmiotu—obok studyum o Dygasińskim postawić należy obszerny szkic psychologiczny o poezyi lirycznej Kasprowicza. Twórczość tego poety nie jest jeszcze skończona. Znajduje się ona dopiero w stanie rozkwitu, a stąd trudno jest wykreślić dokładnie linię, po której talent poety szedł i po której pójdzie dalej. Wasilewski jednak spróbował to uczynić—i praca, którą podjął, daje wrażenie, że uczynił to dobrze.

Obcował on z duszą Kasprowicza długo i blisko, nie był tylko czytelnikiem i suchym komentatorem jego utworów, na czym tak często poprzestają krytycy-profesorowie, ale przeżywał z nim razem te głębokie procesy duchowe, z których, jak wyspy koralowe z morza, wyłaniały się coraz to nowe, coraz wspanialsze koncepcje artystyczne.

Twórca tej miary, co Kasprowicz, nie spotkał jeszcze na drodze swojej krytyka na miarę, godną siebie. Nie chcę twierdzić, że Wasilewski jest pierwszym i jedynym, któremu organizacja duchowa i umysłowa pozwoliły zbliżyć się do poety bardziej, niż innym i wydrzeć mu całą tajemnicę, ale—mam to przekonanie, że on pierwszy uchwycił nić, która doprowadzi następnych do rozwikłania tej zagadki, jaką przedstawia linia rozwoju duchowego Kasprowicza — linia, zaczynająca się od sonetów więziennych i chłopskich, idąca przez szczyty „Wzgórza śmierci“ i zatrzymana obecnie na enigmatycznych symbolach „bohaterskiego konia“ i „walącego się domu.“

Według Wasilewskiego, Kasprowicz zaczął od przedmiotowego ujmowania świata. Jego pierwszy okres—to badanie przyrody, ludu, sił własnych, to „wyznaczanie sobie miejsca wśród otoczenia. Okres drugi—to zapadanie w głąb własną w dążeniu do absolutu osobowości, gdzie traci się widok ludzi, a dusza toczy bój wewnętrzny z sobą o prawa życia nieśmiertelnego. Już mu tu nie wystarcza pamięć organiczna związku z przyrodą, jak w pierwszych latach młodości, dusza przeżywa wszystkie tradycje ludzkości, poczynając od ogródka rajskiego i w nich oczyszcza instynkty społeczne, jak dawniej w zlaniu się z przyrodą przerabiała w sobie popędy zwierzęce na ludzkie. W utworze „Na wzgórzu śmierci“ Kasprowicz dotarł do swego ładu. *Tędy idzie jego linia.* Owa Golgotha jest odnalezioną przezeń ostoją między dwoma prądami, wśród których się znalazł — nieśmiertelności i doczesności, między prądami, z których dusza musi znaleźć wyjście, bo gdyby takie rozdwojenie dla duszy mogło być stałe i ostateczne, świat ducha twórczego zapadłby się. Dalej w rozdwojeniu takim iść nie można, jak poszedł Kasprowicz. Golgotha jest symbolem męki, ale *męki twórczej*, która rodzi życie, rodzi ofiarę i poświęcenie.

Niepodobna tu powtórzyć całej konstrukcji myślowej, którą wznosił Wasilewski, abby ten swój pogląd uzasadnić i pogłębić. Musimy poprzestać na zapewnieniu czytelnika, że rozumowania te są bardzo zajmujące i odsłaniają w autorze obok wszystkich dotychczasowych jego zalet, rzeczywistą zdolność do wzbijania się



na te wyżyny duchowe, na których przebywa poezya. Wasilewski nie sprowadza jej ku sobie, ale wspina się ku niej, nie żałując wysiłku.

Na tem wyczerpuje się zasadnicza treść książki. Uzupełnia ją szereg drobnych szkiców, pisanych lekko, felietonowo, jakby *pour passer le temps*, a pełnych tu i owdzie błysków oryginalnej myśli i szczerej poezyi. Należy tu przedewszystkiem drobna rozprawa p. t. *Artyści w negliżu powieściowym*, gdzie autor pod wrażeniem *Chimery* Jaroszyńskiego i *Zatracenia* Tetmajera zestawił tych dwóch artystów i pokazał nam ich oblicza twórcze w świetle zupełnie nowem.

Osobny rozdział stanowią wrażenia i uwagi „Z niwy dramatycznej.“ Są to oceny najnowszych sztuk Rydla, Rittnera, Przybyszewskiego, Żuławskiego i Gorczyńskiego.

Ta obfita zawartość książki w połączeniu z jej poziomem estetyczno-psychologicznym i literackim, każą ją uznać za jeden z najlepszych nabytków naszej literatury krytycznej w dobie obecnej.

Z. D.

*Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Königreich Polen.* Inaugural-Dissertation der Hohen Staatswirtschaftlichen Fakultät der Kgl. Bayer. Ludwig-Maximilians-Universität zu München zur Erlangung der Doctorwürde, vorgelegt am 15 Mai 1907 von Eduard Strasburger, aus Warschau. Warschau, 1907. Druck von K. Kowalewski, Mazowiecka 8.

Młodzież polska, która kończy studia za granicą, dobrze czyni, obierając sobie za tematy do rozpraw doktoryzacyjnych, sprawy krajowe. Wprawdzie tego rodzaju dysertacje nie wnoszą zwykle do nauki rzeczy nowych, gdyż przeważnie mają jeszcze charakter prac seminaryjnych, ale samo już poruszanie zagadnień krajowych w obcym środowisku naukowym jest pożyteczne. Nadto dobrą jest rzeczą, że młody badacz zaprawia się do pracy samodzielnej na materyale swojskim i uczy się metodycznie materyał ten traktować.

Z tego też względu rozprawy takie zasługują na uwagę.

Jako przyczynek do kwestyi robotniczej w Królestwie Polskiem, praca doktoryzacyjna p. Strasburgera oparta została na sumiennem przestudyowaniu literatury polskiej i obcej w całym zakresie przedmiotu i na gruntownem zaznajomieniu się z współczesnymi poglądami ekonomiczno-społecznymi na ruch emancypacyjny proletaryatu.

Malując stosunki, panujące u nas, autor starał się zdać sobie dokładnie sprawę z przyczyn, które w ostatnich latach wywołały tak silny zatarg pomiędzy pracą a kapitałem i doprowadziły do masowych, długotrwałych strejków w r. 1905, a potem do rozruchów, jakich widownią były i są większe ogniska naszego przemysłu. Przyczyn tych szukać należy w zupełnem zaniedbaniu przez rząd rosyjski sprawy robotniczej wogóle, a prawodawstwa w zakresie ochrony pracy w szczególności, następnie zaś w skrzepowaniu społeczeństwa polskiego, któremu niewolno było leczyć zaogniającej się rany w początkach.

Żadne organizacje robotnicze w Król. Polskiem nie istniały, gdyż w Petersburgu uważano je za niebezpieczne dla państwa, a stąd niemożliwe było przeciwdziałanie skrajnej agitacji, która dla celów politycznych wyzyskiwała niski stopień ekonomicznego uświadomienia robotnika i parła go w otchłań nędzy. Brak oświaty, brak szkół elementarnych dla dzieci robotniczych, niski poziom moralny, ucisk rządu, zwalczającego wytrwale wszelką inicjatywę prywatną — wszystko to składało się na wytworzenie atmosfery, która musiała doprowadzić do wybuchu z chwilą, gdy nadszedł odpowiedni do tego moment. W ten sposób dzieje ostatnich lat bynajmniej nie były niespodzianką.

Poświęcając osobny rozdział strejkom (Massenausstand) w roku 1905, p. Strasburger przytoczył w swej pracy cały szereg danych, malujących stan naszego przemysłu i stosunków zarobkowych, panujących w naszych głównych okręgach fabrycznych.

W konkluzjach kładzie autor nacisk na potrzebę jawnych organizacyj robotniczych, zwłaszcza t. zw. związków zawodowych, które jedynie mogą się przyczynić do wprowadzenia kwestyi robotniczej w Król. Polskiem na drogę istotnego jej rozwiązania za pomocą środków właściwych. Do tego poglądu doszły już obie strony walczące — robotnicy i pracodawcy.

Rozprawa p. Strasburgera pisana jest zwięźle, treściwie, jasno i dowodzi, że autor nietylko opanował cały zgromadzony przez siebie materiał, ale też przyswoił sobie całkowicie metody naukowego badania zjawisk życia ekonomiczno-społecznego.

Trudno tylko zrozumieć, dla czego tytuły dzieł polskich w wykazie bibliograficznym i w licznych odsyłaczach w tekście przełożone zostały na język niemiecki, kiedy powszechnie przyjętą jest rzeczą podawanie takich tytułów w oryginalnem ich brzmieniu, gdyż tak figurują one we wszystkich katalogach bibliotecznych. Tytuł tłómaczony, jeżeli już koniecznie o to chodziło, mógłby być umieszczony w nawiasie.

# Kronika miesięczna.

Rozwiązanie drugiej Izby i nowe wybory. — Z powodu zjazdu pisarzy katolickich. — Seminaryum nauczycielskie w Ursynowie pod Warszawą.

Druga Izba rosyjska należy do przeszłości. I nietylko Izba. Do przeszłości należy także ordynacya wyborcza, na której podstawie dwukrotnie odbyły się w kraju naszym wybory.

Manifest Najwyższy z dn. 16 czerwca r. b. uznał za przyczynę nieudania się działalności Izby to, że „z powodu nowości sprawy i niedoskonałości prawa wyborczego, ciało prawodawcze zajęte było przez członków, którzy nie byli prawdziwymi wyrazicielami potrzeb i żądań narodu.“

W myśl tego, „pozostawiając wszystkie prawa, nadane w Manifestie z dn. 30 października 1905 r. i przez prawa zasadnicze,“ nowy Manifest obwieszcza zmianę sposobu wyborów, przyczem zaznacza, że *„utworzona dla wzmocnienia państwa rosyjskiego Duma państwowa winna być rosyjską co do ducha,“* wobec czego inne narodowości, wchodzące w skład państwa, powinny mieć w Dumie państwowej przedstawicieli swoich potrzeb, ale *„nie powinny i nie będą przybywały w liczbie, dającej im możność rozstrzygania spraw czysto rosyjskich.“*

W związku z tym ustępem Manifestu pozostają znane już ograniczenia, jakim uległo przedstawicielstwo Królestwa Polskiego, zredukowane z 37 mandatów do 14, przyczem w tej liczbie znajdują się dwa mandaty rosyjskie — 1 z Warszawy i 1 z t. zw. *Rusi Chełmskiej* — tudzież 1 litewski z gub. Suwalskiej.

Nie wchodzimy w pobudki, które wywołały ten nowy i nieoczekiwany zwrot w polityce polskiej rządu, nie wchodzimy zaś dlatego, że wszelkie stawianie domysłów i szukanie wpływów,

aczkolwiek może bliżkie prawdy, nie będzie prawdą samą, a tylko odszukanie samej prawdy mogłoby należycie sprawę oświetlić. To pewna tylko, że jeżeli wysuwane przez prasę polską i rosyjską, jako przyczyna główna usposobienia sfer rządzących i ich nastroju względem Polaków — decydujące znaczenie w drugiej Izbie Koła Polskiego — istotnie odegrało jakąkolwiek rolę, to tylko rolę drugorzędną i że przypisywanie stanowisku Koła i polityce jego dalej idących wpływów, nie wytrzymuje żadnej krytyki. Działy tu niewątpliwie przyczyny inne i o daleko większem znaczeniu politycznem i historycznem. Odsłoni je też dopiero historia, która jedynie ma możność bezstronnego i spokojnego obserwowania kół i kółek, składających wielką machinę życia państwowego na tle konjunktur międzynarodowych.

Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak liczyć się z faktem dokonanym i wedle niego oceniać sytuację chwili bieżącej.

Naród polski przyjął to nowe ograniczenie swoich praw obywatelskich w państwie rosyjskiem ze spokojem i powagą, aczkolwiek — i tego utaić nie można — uczuł się głęboko dotkniętym w swoich ambicyach i w swojej godności.

Zrozumiała też jest rzeczą, że w pierwszej chwili, kiedy na porządek dzienny weszła sprawa nowych wyborów i udziału w trzeciej Izbie, społeczeństwo oświadczyło się za abstynencją. Hasło bojkotu trzeciej Dumy powstało samorzutnie i narzuciło się ogromnej większości umysłów, jako prosta konieczność, jako jedyna odpowiedź na nową ordynację wyborczą.

„Zjawienie się naszej reprezentacji w trzeciej Dumie — pisa-  
no — musi wywołać najgorszą dla nas polityczną orientację: „Polaków nie stać nawet na secesję z Dumy. Można im wyznaczyć tam dowolnie najmniejszą pozycję, oni ją przyjmą, bo ich politycy nie powiedzą nigdy własnemu narodowi: „Nie mamy po co wysłać delegacji do Dumy,“ gdyż obawiają się przede wszystkim wrzenia w kraju.“

„Rozważmyż, czy wiele zyskaliśmy na udziale naszym w pierwszej i drugiej Dumie? Zatraciliśmy naszą indywidualność, przystosowując się do pierwszej Dumy. Zakażaliśmy naszą odrębność polityczną, gdy przedstawicielstwo nasze paradowało w Dumie rosyjskim patryotyzmem państwowym (kontyngens rekrutów). Zmniejszyliśmy kapitał polityczny narodu, niezbędny do budowania na pewnych fundamentach naszej przyszłości, nie osiągnąwszy nawet najmniejszych ulg wzamian.“

Te i tym podobne głosy, które zarówno słyszeć można było dokoła siebie, jak i czytać w niektórych organach prasy, śpieszą-

cych się do omawiania „na gorąco“ kwestyj, które wymagają zazwyczaj dużego namysłu i rozwagi, świadczą wymownie o sile tego odruchu, jakim społeczeństwo polskie reagowało na wymierzony przeciw sobie cios.

W polityce jednak niema nic zgubniejszego, jak odruch. Ten sam odruch, który w życiu prywatnem doprowadza nieraz do starć bardzo przykrych, w życiu politycznem może się stać źródłem i przyczyną błędów, trudnych potem do naprawienia.

Nieraz już zaznaczaliśmy na tem miejscu, że polityka nie może brać w rachubę uczuć, nie może się kierować ani gniewem, ani zapalczywością, ale musi zawsze i wszędzie, zachowując chłód i rozwagę, sprowadzić wszystko do poziomego interesu. „Interes“ jest jedynym jej wskaźnikiem. On stanowi ten kąt, pod którym muszą być rozpatrywane wszystkie sprawy i wszystkie zjawiska życia politycznego.

Stojąc na tem stanowisku, musimy się oświadczyć przeciw zbyt pochopnemu nawoływaniu do bojkotu trzeciej Izby, przeciw szerzeniu hasła abstynencyi w chwili, kiedy potrzeba lub bezowocność naszej delegacyi w Petersburgu nie zostały jeszcze ani omówione dostatecznie, ani oświetlone wszechstronnie.

Naród dojrzały i patrzący śmiało w swoje jutro, nie może kierować się w życiu politycznem nastrojem i usposobieniem chwili, zwłaszcza, jeżeli ten nastrój i usposobienie rodzą się z przyczyn, przychodzących z zewnątrz. W takich wypadkach decydować powinno *wyrachowanie*, jako jedyna droga, która może ustrzedz od fatalnych pomyłek, jakimi najeżony jest gościniec, po którym z konieczności iść muszą narody, walczące o swój byt i o lepszą przyszłość polityczną.

W tym zaś wypadku wyrachowanie zdaje się mówić zupełnie co innego, niż odruch. Bojkot wyborów żadnych realnych korzyści pociągnąć za sobą nie może. Byłby on co najwyżej demonstracją ze strony polskiej i to demonstracją, której wrażenie nie mogłoby być długotrwałe, zwłaszcza w atmosferze stosunków dzisiejszych, zmieniających się tak szybko i tak obfitych w nowe fakty doniosłości historycznej. Charakter tej demonstracyi byłby zresztą tem mniej poważny, że nikt nie może zaręczyć za jednolitość bojkotu. W pewnych warstwach ludności hasła abstynencyi mogłyby się przyjąć, w innych nie przyjęłyby się wcale i te inne warstwy mogłyby stanąć do urn *quand-même*, przeprowadzając swoich kandydatów niewielką ilością głosów, ale zupełnie prawidłowo. Dla ogółu ludności Królestwa Polskiego byłaby to niespodzianka wcale nie miła, a żywiły nam nieprzyjemne niewątpliwie

wolałyby nawet mieć do czynienia z taką reprezentacją samowładczą, niż z wyrazicielami istotnej opinii narodu i śmiałymi rzecznikami jego potrzeb.

Ten jeden powód wystarcza już do tego, aby hasła bojkotu nie traktować jako poważnych hasła politycznych.

Powtórne nieobecność nasza w trzeciej Izbie nie byłaby żadną przeszkodą do ułożenia się stosunków pomiędzy tą Izbą a rządem, o ile ułożenie takie da się przeprowadzić i zapewni Izbie trwałość. Przypuśćmy jednak, że tak będzie. Wówczas w szeregu spraw ogólnopństwowych będą także rozstrzygane sprawy, pośrednio lub bezpośrednio dotyczące naszych interesów narodowych—i będą rozstrzygane bez nas, co żadną miarą nie może być dla narodu korzystne, bez względu na nastrój i usposobienie trzeciej Izby dla nas.

Szczupła nasza reprezentacja, rozporządzająca tylko 11 głosami z ewentualnym dodatkiem niewielkiej liczby głosów, jakiej mogą dostarczyć przysłemu Kołu Polskiemu Litwa i Ruś, nie będzie wprawdzie mogła oddziaływać na wynik debatów i nie będzie mogła prowadzić w Izbie własnej polityki na szerszych podstawach, ale odezwie się zawsze tam, gdzie sprawa polska wejdzie na porządek dzienny i przemówi mocnym słowem prawdy, oświetlającej rzeczywiste nasze położenie i najkardynalniejsze nasze potrzeby.

Wiemy, że rząd centralny przez długi szereg lat stałe informowany był przez biurokrację miejscową stroniąc i nieprawdliwie o stosunkach polskich i że niejedno ograniczenie tym właśnie fałszywym informacjom zawdzięczamy. Nie możemy więc dopuścić do tego, aby i Izba rosyjska, jakakolwiek ona będzie—bezwzględnie prawa i lojalna, czyli też lewa i opozycyjna, na wzór swoich poprzedniczek, co także nie jest zupełną niemożliwością—w ten sam sposób była informowana.

Powinniśmy i musimy mieć w tej Izbie strażników swojej prawdy, których rola będzie wyłącznie polegała na zdzieraniu tajemniczych zasłon z faktów, przedstawianych rozmyślnie w innym świetle. Głos tej prawdy będzie też dostatecznie silnym, aby mógł przekonywać i pouczać.

Na tem polu szczupła delegacja polska może krajowi służyć z pożytkiem, tembardziej, że Izba będzie jedyną trybuną, z której szczerzy i otwarty głos polski będzie rozbrzmiewał, gdyż wobec ostatnich „postanowień obowiązujących“ prasa znalazła się w położeniu trudnem. Nadto trybuna ta jest o tyle widoczna, że to, co się z niej mówi, mówi się na oczach całej Europy i że przez to sprawa pol-

ska, z istoty swojej międzynarodowa, wydostaje się na *forum* szersze. Mielіśmy tego przykład pouczający w Izbie poprzedniej i sądzimy, że przykład ten wystarczy, aby nie zaniechać tej jedynej drogi, która prowadzi do informowania innych narodów o stanie obecnym kwestyi polskiej.

Słabą liczebnie i nie mającą większego znaczenia politycznego jest reprezentacja polska w parlamencie Rzeszy niemieckiej, a jednak nikt nie powie, że jest ona bezużyteczna i niepotrzebna. Przeciwnie, rodacy nasi z Ks. Poznańskiego mieli sposobność niejednokrotnie za pomocą tej reprezentacji wyprowadzić na światło dzienne fakty, które nabrały rozgłosu światowego. Tak było np. ze sprawą wrzesińską, która inaczej utonąłaby w powodzi innych tego rodzaju spraw, a przez parlament Rzeszy nabrała rozgłosu wszechświatowego i zwróciła oczy całej Europy na nadużycia rządu pruskiego.

Chociażby więc udział nasz w trzeciej Izbie nie mógł mieć większego znaczenia i nie mógł przynieść większych korzyści narodowi, jak udział Polaków poznańskich w Reichsracie, to jednak i wówczas udział ten nie jest bez znaczenia.

Rozważywszy więc sprawę wszechstronnie, należy przyjść do przekonania, że abstynencya od wyborów byłaby rzeczą raczej szkodliwą, że więc *wybierać należy*. Zachodzi teraz kwestya, jak i kogo wybierać?

Tu są do rozważenia dwie opinie. Jedna z nich twierdzi, że ponieważ naród wybrał niedawno swoich posłów, więc powinien na tym wyborze poprzestać i dokonać obecnie jedynie selekcji, t. j. wyboru 11 z pośród 37, wybierając ludzi najgodniejszych, najlepiej przygotowanych do dźwignia ciężaru poselskiego i posiadających największe dane na pracowników parlamentarnych, to znaczy najbardziej wyrobionych politycznie.

Drugi natomiast odłam opinii publicznej rozumuje nieco inaczej. Ograniczenia—mówią w tych obozach—te ograniczenia, które przyniósł z sobą Manifest czerwcowy, ostudziły w pewnym stopniu zaciekość walki partyjnej, prowadzonej od lat kilku przez stronnictwa i partye, działające w kraju. Politycy wszystkich zabarwień odczuli teraz silniej, niż kiedykolwiek, potrzebę porozumienia się, potrzebę łącznego działania, zespalającego i cementującego naród w chwili ciężkiej dla niego. Drobne różnice programowe, nieporozumienia co do taktyki, co do dróg i środków działania, zeszyły teraz na plan drugi. Na planie pierwszym stanął zaś ogólny interes narodowy, jednakowe dla wszystkich mający znaczenie i jednakowo przez wszystkich oceniany. Z takiej chwili

należy skorzystać, należy położyć kres waśni i jątżzeniom. Do przeprowadzenia tej akcji gojącej doskonale nadają się wybory. Stańmy do nich, ale stańmy pod hasłem rzeczywistej solidarności. Oddajmy sprawę 11 mandatów do nowej Izby Centralnemu Komitetowi Wyborczemu, niech jednak ten Komitet będzie istotnie Komitetem Centralnym Narodowym, niech się wyłoni z woli i z ramienia całego narodu, niech będą w nim reprezentowane wszystkie odłamy naszej opinii publicznej i wszystkie odcienia naszej myśli politycznej. W ten sposób skromna reprezentacja nasza zyska na powadze i na sile, gdyż nie będzie ona reprezentacją tego lub innego stronnictwa, ale reprezentacją ogólnej opinii narodowej. Rozkład mandatów pomiędzy poszczególne stronnictwa powinien nastąpić na podstawie porozumienia się tych stronnictw w myśl zasad słuszności i sprawiedliwości. Nie powinno być pokrzywdzonych, nie powinno być malkontentów, rzucających się w następstwie na powagę reprezentacji i krytykujących jej działanie w imię tego, iż nie będą tam mieli swojego przedstawiciela. Przeciwnie—malkontentów nie będzie, jeżeli delegacja nasza w Petersburgu otrzyma charakter ponadpartyjny. Konieczność zaś takiej reprezentacji nasuwa się tembardziej, że wątpliwą jest rzeczą, czy wobec niepomyślniej dla nas sytuacji, znalazłoby się w kraju stronnictwo, które odważyłoby się dźwigać samo odpowiedzialność za wszystko.

Rozumowaniom tym niepodobna odmówić słuszności.

Zapewne, posłom do drugiej Izby należy się od nas *volum* zaufania, ale wyraziło się ono już dostatecznie w tej sankcyi, jaką całe społeczeństwo, z małemi tylko zastrzeżeniami co do pewnych kwestyj, dało polityce Koła. Zresztą niejednen z byłych posłów siłą rzeczy niewątpliwie znajdzie się w trzeciej Izbie, ale stawianie, jako hasła wyborczego, wyboru *bezwarunkowo* tych samych—nie jest odpowiednie ze względu na sytuację polityczną wewnętrzną i zewnętrzną, gdyż może ono ponownie rozjątrzyć niesnaski partyjne.

W chwili zaś obecnej o usunięciu tych niesnasków, o zgaśzenie pożaru tych namiętności, które trawia nam życie zbiorowe od trzech lat—iść powinno przedewszystkiem, a iść powinno dla tego, że po Manifeście czerwcowym środek ciężkości naszej polityki przerzucił się nagle z Petersburga do kraju. Sprawa autonomii i walki parlamentarnej o nią została na razie odroczone, natomiast wyłoniła się potrzeba jaknajpilniejszego zwrócenia baczonej uwagi na prace kulturalne w kraju, jako jedynie możliwe w tych warunkach do prowadzenia. W tej zaś dziedzinie, o ile



owoce mają być rychłe i zdrowe, potrzebna jest większa solidarność, niż w dziedzinie prac politycznych.

Byliśmy już niejednokrotnie świadkami niezdrowego na tem polu współzawodnictwa pomiędzy sobą partyj i stronnictw, widzieliśmy, jak wzajemnie stawiano sobie najbezsensowniejsze zarzuty, jak kopano pod sobą doły, jak szkalowano się i obrzucano insynuacyami, wysuwając ponad wszystko nie ideę odrodzenia narodowego, ale interesy partyjne. Tymczasem we wszelkich pracach kulturalnych powinna być zgoda i współdziałanie, łączenie i bratanie ludzi, nie zaś dzielenie ich i podburzanie jednych przeciw drugim. Nasze warstwy robotnicze i nasze warstwy ludowe potrzebują dwóch rzeczy zasadniczych - rzetelnej oświaty i dobrego przykładu. Pierwsza musi być wolna od pierwiastków politycznych, drugi mogą dać tylko żywioty inteligentne, łącząc się pod jednym sztandarem i współdziałając z sobą w pracach, mających na celu ogólne dobro narodu. Widok ciągłych kłótni, swarów, zatargów i walk nie może zachęcać nikogo do zgody i cichej pracy, ale przyczynia się do wytworzenia tej opłakanej atmosfery, jaka zapanowała u nas wśród warstw robotniczych i wywołała tę ciężką chorobę społeczną, jaką przeżywa Łódź, a poniekąd i Warszawa.

Zawieszenia broni i pojednania stronnictw wymaga więc dzisiaj przede wszystkim sanacya stosunków krajowych, ważnym zaś i znamiennym krokiem w tym kierunku byłoby zgodne i licujące z powagą chwili dziejowej przeprowadzenie wyborów.

Okres przedwyborczy, jak wiemy już z dwukrotnego doświadczenia, jest okresem wyzwalania się wszelkich namiętności. Agitacya wyborcza, posługująca się temi namiętnościami, bez względu na cel, do jakiego zmierza, jest szkodliwą, czyni bowiem w umysłach i duszach ludzkich spustoszenie moralne i obniża poziom życia obywatelskiego, które bynajmniej nie stoi u nas wysoko.

I oto dla czego należałoby wyteńczyć wszystkie siły, aby tegoroczne wybory jesienne przeprowadzone zostały pod hasłem jedności i zamiast rozbijać naród i dzielić, łączyły raczej i godziły poważnione jego stronnictwa.

Stronnictwa te mają przed sobą jeszcze dość czasu na wzajemne porozumienie się i stworzenie Komitetu Centralnego zwłaszcza, iż jego zaczątek już istnieje. Trzecia Izba rosyjska zbierze się dopiero w listopadzie, wybory zaś rozpoczną się we wrześniu, okres więc dwumiesięczny, jaki nas dzieli od nich, powinien wystarczyć w zupełności na zorganizowanie i powołanie do życia takiego ciała obywatelskiego, któremu cały naród powierzyłby

z ufnością losy swego przedstawicielstwa w nowej Dunie i od którego oczekiwałyby dyrektywy, wyłączającej możliwość wszelkiego sarkania i niezadowolenia. W ten tylko sposób uda się zainteresować wyborami szersze warstwy, obudzić w nich świadomość obowiązku obywatelskiego, wyrwać je z tego usposobienia, w jakie popaść musiały z konieczności po ogłoszeniu manifestu czerwcowego i przekonać, że w walce politycznej nie można powodować się uczuciem, ale należy i trzeba kierować się rozumem i „intereseem.“

Ten „interes,“ jak to już zaznaczyliśmy, każe nam zająć tę małą i pozornie nic nie znaczącą placówkę w Izbie, jaką wyznacza nam nowa ordynacya wyborcza. Zajmiemy ją, aby nie stracić żadnej sposobności do odezwania się w naszych sprawach, aby nie mówiono tam bez nas o nas, abyśmy mogli bronić się, choćby nawet bezskutecznie, przed nowymi krzywdami, a przedewszystkiem, abyśmy mogli domagać się restytucyi naszych uszczuplonych praw obywatelskich.

\*

\*

\*

W miesiącu ubiegłym obradował w Warszawie pierwszy zjazd pisarzy katolickich, polskich. Owoców pozytywnych zjazd ten nie przyniósł, aczkolwiek w 4-ch sekcjach jego: *prasy katolickiej*, *prasy ludowej*, *szkolnictwa* i *propagandy katolickiej* odczytano kilkadziesiąt referatów. Niemniej jednak należy zjazd ten uważać za bardzo pożyteczny, a to ze względu, że wyjaśnił on wzajemny do siebie stosunek dwóch prądów, ścierających się w łonie duchowieństwa i przeprowadził linię demarkacyjną pomiędzy klerikalizmem a lojalnym stosunkiem wiernych do kościoła rzymskokatolickiego.

W kraju naszym, kraju nawskroś katolickim, który przez cały ciąg dziejów swoich składał niejednokrotne dowody żywego i głębokiego przywiązania do wiary świętej, w kraju, gdzie hasło „Bóg i ojczyzna“ zawsze rozbrzmiewało najszerzej i najgłośniej, a i dziś nawet w chwilach zamętu i rozprzężenia moralnego nie zdołali go przygłuszyć aranżerowie bezwyznaniowości – stosunek pomiędzy kościołem a społeczeństwem ułożył się jaknajpomyślniej. Zawdzięczać to należy duchowieństwu polskiemu, które, oprócz

nielicznych wyjątków, zawsze umiało stać na stanowisku odpowiednim i, służąc kościołowi, służyło jednocześnie ojczyźnie. Dobry obywatel nie wyłączał dobrego kapłana i odwrotnie, dobry kapłan był dobrym obywatelem. Księża nasi przez cały ciąg dziejów Polski porozbiorowej stali zarówno na straży wiary, jak i na straży skarbów narodowych, przestrzegając miłości ojczyzny na każdym swoim kroku. Od czasów konfederacji Barskiej, od czasów O. Marka, przez wszystkie powstania nasze aż do ostatniej chwili, obok najpierwszych bohaterów narodowych świecą imiona duchownych. Całe szeregi księży polskich szły szlakiem męczeńskim na Sybir, ginęły w kazamatach, wiodły żywot tułaczy „na kresach lasów.“ A nie byli to tylko zwykli słudzy kościoła, byli wśród nich także dostojnicy. Dość wymienić nazwiska Sołtyków, Fiałkowskich, Łubińskich, Felińskich, Hryniewieckich... Mając przed sobą takie przykłady, i duchowieństwo młodszego pokolenia pozostało wierne dawnym tradycjom i umiało godzić obowiązki swoje względem Rzymu z obowiązkami względem Polski. Ostatnie dopiero lata wprowadziły ferment do tej dziedziny pojęć. W pewnych sferach naszego duchowieństwa wytworzył się prąd ultraklerykalny, zmierzający do podporządkowania wszystkiego interesom kościoła i w braku tego podporządkowania upatrujący zerwanie z kościołem.

Prąd ten uwydatnił się w t. zw. grupie częstochowskiej, która zajęła znane stanowisko nieprzyjazne i nieprzejednane wobec Macierzy Polskiej, czyniąc jej zarzut libertynizmu. Nieuzasadniony ten zarzut został wprawdzie odparty, dzięki rozzumemu i bezstronnemu wejrzeniu w tę sprawę J. E. Arcybiskupa Popieła, ale rozpalone żarzewie nie zgasło. Tliło się ono i tli ciągle jeszcze, a korzystając z pomyślnego dla siebie wiatru, wybuchnęło znów z całą siłą na zjeździe pisarzy katolickich. Stało się to przy omawianiu niektórych referatów w sekcji szkolnej. Wywiązała się wówczas polemika tak ostra, że obradujący rozdzielili się wyraźnie na dwa obozy, o których pojednaniu i porozumieniu mowy być nie mogło. Przedstawiciele prądu klerykalnego zajęli więcej niż nieprzychylnie stanowisko wobec świeckiej szkoły polskiej, stanowisko, zgodne ze znanym okólnikiem biskupa Zdzitowieckiego, a sprzeczne z duchem i treścią orędzia arcybiskupiego. I byłby się zjazd zakończył niewątpliwie rozdzwękiem, gdyby nie przemówienie znakomitego gościa lwowskiego, arcybiskupa ormiańskiego, ks. Theodorowicza, który tak godnie dźwiga infułę po zmarłym arcybiskupie Issakowiczu i jego świątobliwymi kroczy śladami. Przemówienie to było oliwą, wylaną na wzbu-

rzne flukty namiętnej dyskusyi. Oświeciło ono sprawę gruntownie i wszechstronnie i — co najważniejsza — postawiło ją na właściwym gruncie, kreśląc program zasadniczy t. zw. *pracy katolickiej*, podejmowanej przez kościół i przez katolików wogóle.

Najważniejszym momentem tej mowy, która wielkie wywarła wrażenie na wszystkich i przez całą prasę polską podniesiona została z uznaniem, było śmiało postawione żądanie pogłębienia doktryny katolickiej i przyoblekania starych prawd wiary katolickiej w nową formę, przystosowaną do cywilizacji współczesnej. Mówca wystąpił kategorycznie przeciw odrzucaniu wszelkich dorobków cywilizacyjnych zarówno w sztuce, jak i w literaturze dla tego tylko, że cechuje je brak wiary, lecz zalecił wyzyskiwanie ich umiejętnie dla nauki Chrystusa.

Mając na widoku specjalne stosunki, jakie wytworzyły się w Królestwie Polskiem na terenie pracy oświatowej i kulturalnej wogóle, J. E. ks. arcybiskup w gorących i wielką nacechowanych mądrością słowach nawoływał, aby pod płaszczem katolicyzmu nie siać niezgody, ażeby poświęcać się pracy nad ludem, jako pracy dźwigającej ojczyznę i naród, ażeby w tej pracy unikać wszelkich uprzedzeń, chęci panowania nad innymi dla tego tylko, że się jest katolikiem, ale przeciwnie — zawsze i wszędzie starać się o to, ażeby być obywatelem kraju, równym innym obywatelom.

Zadaniem kościoła — mówił — jest jednoczyć wszystkich na różnych polach pracy, zespalać ich i łączyć, gdyż tylko w ten sposób kościół zdoła sobie zapewnić najliczniejsze szeregi wiernych. Kościół, który dzieli — szkodzi sam sobie.

Wiary swej nie należy się wstydzić, owszem, należy ją dokumentować, ale zgoła zbyteczną rzeczą jest wystawianie godeł katolickich tam, gdzie to nie jest konieczne. Zgoła też fałszywym i błędnym jest głoszenie hasła bojowego: „kto nie z nami — ten przeciw nam.“ Hasło to powinno brzmieć raczej odwrotnie: „kto nie przeciw nam, ten z nami.“

„Nie panować tu chcę — kończył ks. arcybiskup — dla tego, iż jestem synem tej ojczyzny, ale sługą jej być pragnę i w pracy dla narodu widzę najszczytniejsze zadanie...“

Oto słowa, godne Skargi, godne najpiękniejszych tradycji duchowieństwa polskiego, nie dziw więc, że znalazły one oddźwięk w sercach ogromnej większości uczestników zjazdu.

Sądzimy też, iż te słowa nie pozostaną bez szerszego i dalszego wpływu na właściwe ukształtowanie się stosunku kościoła do wszelkich prac społecznych, podejmowanych nie na szkodę religii, tylko niezależnie od duchowieństwa.

Temu ostatniemu powierzone jest sternictwo moralne i czuwanie nad rozwojem etycznym ludu polskiego, który jest i długo jeszcze będzie wiernym i oddanym synem kościoła. Rozumne jednak duchowieństwo na tej roli powinno poprzestać, nie domagając się pełnej i nieograniczonej władzy nad wszystkim, co tego ludu dotyczy. Korzystając z uświęconego długoletnią tradycją stosunku swojego do włościanina, ksiądz ma dzisiaj rzadką sposobność blizkiego z nim współżycia, poznania na wylot jego duszy, dokładnego zaznajomienia się z jego potrzebami i, jako taki, będzie niezbędny w każdej pracy społecznej. Żadna akcja, mająca na celu istotne dobro ludu naszego, nie obędzie się bez pomocy duchowieństwa, i do każdej takiej akcji duchowieństwo może i powinno przykładać swoją rękę, współdziałając wielkiemu dziełu odrodzenia ojczyzny przez lud.

Nie wypływa jednak z tego bynajmniej, aby zadaniem tego duchowieństwa było odgrywanie roli decydującej we wszystkim, panowanie nad wszystkim i chwytanie władzy w swe ręce tam nawet, gdzie żadnej nie może ulegać wątpliwości to, iż władza ta do całego należy narodu.

\*

\*

\*

Pierwszą, nieodzowną potrzebą szkoły ludowej polskiej jest przygotowanie odpowiedniego zastępu nauczycieli-polaków, wykształconych gruntownie i przejętych na wskroś ideą służenia sprawie oświaty.

Nauczycieli takich nie mieliśmy nadmiaru. Wprawdzie ogromna większość wychowanców t. zw. seminarjów nauczycielskich z biegiem czasu, to jest po opuszczeniu szkoły z dyplomem rosyjskim, otrząsała się z tych wpływów, jakie zaszczerpiano tam w duszę młodzieńca, dążąc jedynie do tego, aby uczynić zeń urzędnika policyjno-oświatowego, ale potrzeby są dziś znacznie większe od rozporządzalnego zastępu sił nauczycielskich polskich. Z tego względu *Macierz Szkolna* musiała, jako jeden z pierwszych punktów swego działania wysunąć sprawę założenia seminarjum nauczycielskiego.

Seminarjum takie powstanie właśnie z początkiem roku przyszłego w Ursynowie pod Warszawą.

Nie trzeba dowodzić, że taki zakład naukowy powinien budzić szczególną troskę społeczeństwa i cieszyć się stałą jego opieką. Będzie to szkoła, z której wyjdą nauczyciele ludu polskiego, ci najbardziej może odpowiedzialni pracownicy, w których ręce dostanie się prosta, niezłożona i podatna, jak воск, do lepienia — dusza ludu polskiego. Oni będą ten воск kształtowali, będą mu nadawali formę, będą go ożywiali duchem obywatelskim. Jakimi będą ci nauczyciele, takim będzie w przyszłości i lud polski, wychowany przez nich. Oni mu dadzą podstawę do rozwoju, oni pierwsi obudzą jego myśl, nauczą go orientować się w życiu i w jego obowiązkach. Dobry nauczyciel — to najkardynalniejszy postulat szkoły ludowej, bo szkoła ta jest placówką stokroć ważniejszą, niż katedra uniwersytecka. Na stanowisku nauczyciela ludowego musi być przedewszystkiem człowiek — obywatel, na stanowisku profesora uniwersytetu może być tylko uczony. Charakter ostatniego, jego osobiste wady i zalety odgrywają rolę podrzędną, gdy u pierwszego te właśnie rzeczy wysuwają się na czoło i decydują o jego wartości.

Stąd szkoła, w której się kształcą nauczyciele ludowi, musi być nie tylko szkołą, która udziela tych lub innych nauk i daje wystarczający ich zasób swoim wychowañcom na dalszą drogę życia, ale jednocześnie musi być szkołą, która kształci charakter, która dąży do wychowania człowieka możliwie najlepszego, możliwie najdoskonalszego.

Nauczyciel ludowy, jako posłannik cywilizacji i kultury, jako siewca dobrego ziarna, musi być istotnie czemś jasnym, świecącym w mroku, który go otacza, czemś, co posiadałoby siłę skupiania dokoła siebie i przyciągania ku sobie innych, gdyż wtedy dopiero będzie mógł całkowicie spełnić swoją rolę.

Jest on nauczycielem szkoły, uczy dzieci wiejskie czytać i pisać, ale terenem jego działalności jest nie tylko szkoła, a obowiązkiem nie tylko mechaniczna nauka. Na swoim kilkumorgowym gospodarstwie powinien on być wzorowym gospodarzem, doskonałym pszczelnikiem i ogrodnikiem, w zetknięciu swoim z ludem wiejskim powinien być skarbnicą wiadomości, udzielanych chętnie i w formie przystępnej. Do niego przychodzić będą po radę, po wskazówkę, od niego zażądają we wsi wyjaśnienia tego lub innego faktu politycznego, tego lub innego rozporządzenia lub prawa. On będzie musiał opowiadać o nowych wynalazkach technicznych i o wojnie, która wybuchnie na drugiej półkuli, o nawozach sztucznych i o bimetaliźmie, o szczepieniu drzew owocowych i o postępowem opodatkowaniu. Słowem niema kwestyi

w dziedzinie całego, ogromnego i złożonego życia współczesnego, która nie byłaby nauczycielowi potrzebna, o której mógłby nie wiedzieć.

Poziom jego wykształcenia nie może więc być wysoki, ale samo to wykształcenie musi być bardzo rozległe o charakterze encyklopedycznym.

Wkłada to na seminaryum nauczycielskie bardzo poważne obowiązki, a stąd dobre zorganizowanie takiej uczelni wymaga znacznych środków.

Gdzieindziej o należyte uposażenie i rozwój seminaryów dbają rządy—u nas, w chwili przełomu obecnego, dbać o to musi samo społeczeństwo. Przypuszczać też należy, iż wspierając inicjatywę Macierzy, dołoży ono wszelkich starań do tego, aby nowopowstająca szkoła była szkołą wzorową, posiadającą wszystko, co jest dla niej niezbędne. Powinna ona stać się *typem* tego rodzaju szkoły, typem, wedle którego będą się tworzyły w następstwie inne podobne zakłady, których kraj potrzebuje kilkunastu, a przynajmniej po jednym na każdą gubernię.

Młodzieży chętnej do zawodu nauczycielskiego i rozumiejącej to posłannictwo, które nauczyciela czeka, nie brak u nas. Trzeba tylko tę młodzież przygarnąć, pokierować nią i *wychować* na ludzi wzorowych. Nie na polityków, propagujących te lub inne zasady, ale na pionierów światła, na wyznawców dwóch prawd naczelných, które stanowią o sile i wartości narodów — na szermierzy pracy i obowiązku.

Nie wątpimy, iż Macierz i tylko Macierz potrafi taką właśnie szkołę urządzić i tak jej uczniów poprowadzić i dla tego podkreślamy potrzebę blizkiego i szczerego zajęcia się społeczeństwa nowopowstającym seminaryum nauczycielskiem w Ursynowie.

---

## Ś. p. Henryk Hoyer.

Zmarł w Warszawie dn. 3 lipca r. b. ś. p. prof. Henryk Hoyer, jeden z najwybitniejszych współczesnych uczonych polskich.

Urodzony w r. 1834 w Inowrocławiu, Hoyer po skończeniu gimnazyum w Bydgoszczy, udał się na uniwersytet wrocławski, gdzie wstąpił na wydział lekarski. Po trzech latach pobytu na tej wszechnicy przeniósł się w r. 1856 do Berlina, pociągnięty tam sławą znakomitego histologa i fizyologa, Jana Müllera. Pod jego kierunkiem zaprawiał się też do badań samodzielnych, pracując specjalnie nad anatomią mikroskopową, która wówczas była jeszcze nową i młodą gałęzią wiedzy. Gałąź tę następnie wzbogacił Hoyer poważnymi odkryciami, które zjednały mu sławę naukową w całym świecie lekarsko-przyrodniczym.

Po uzyskaniu stopnia naukowego doktora medycyny i chirurgii, młody uczony powrócił do Wrocławia, gdzie otrzymał asystenturę przy katedrze fizyologii, zajmowanej wówczas przez słynnego Reicherta.

Polecony przez tego ostatniego zarządowi ówczesnej akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, przybył Hoyer w r. 1859 do naszego miasta i rozpoczął wykłady histologii i fizyologii, jako profesor nadzwyczajny akademii. Po przyłączeniu akademii w r. 1862, jako wydziału lekarskiego do Szkoły Głównej, Hoyer pozostał na tej samej katedrze, jako profesor zwyczajny i utrzymał się na niej po reorganizacji i otwarciu uniwersytetu warszawskiego, przyczem na żądanie władz rosyjskich doktoryzował się powtórnie na uniwersytecie kijowskim.

Działalność profesorską prowadził Hoyer do r. 1895, jednając sobie wielkie uznanie i miłość wśród licznych uczniów. Praca pedagogiczna nie przeszkadzała mu jednak w samodzielnych badaniach naukowych, które prowadził wytrwale i z zamiłowaniem.



Imając się często pióra, Hoyer zostawił po sobie długi szereg prac pierwszorzędnej wartości. Należy tu przedewszystkiem pierwszy w języku polskim napisany podręcznik histologii, odznaczający się wielkimi zaletami. Dalej idzie całe mnóstwo studyów specjalnych, jak badania nad połączeniami tętnic i żył, nerwami rogówki, budową szpiku kostnego i t. d.

Hoyer należał też do rzędu pierwszych u nas pracowników na polu badań bakteriologicznych.

Oprócz tego pisywał liczne artykuły treści filozoficznej i przyrodniczej, drukując je w *Ateneum* i we *Wszehświecie*.

Niemale też zasługi położył zmarły profesor dla rozwoju Warszawskiego Towarzystwa lekarskiego. Jego to staraniem powstała przy tem Towarzystwie pracownia naukowa, przeznaczona do badań fizyologicznych. W uznaniu tych zasług Towarzystwo mianowało go swoim członkiem honorowym i obdarzyło godnością sekretarza stałego.

Także liczne inne ciała naukowe w kraju i za granicą liczyły Hoyera w poczcie swoich członków, że wymienimy Akademię Umiejętności w Krakowie, oraz stowarzyszenia lekarskie i przyrodnicze w Krakowie, Petersburgu, Pradze Czeskiej i t. d.

Zmarł ś. p. Hoyer w 73 roku życia, które całkowicie poświęcił umiłowanej nauce i wyteżonej pracy. Pozostawił po sobie żal wszystkich, którzy go znali bliżej i cenili wyjątkową prawość jego charakteru i wybitne zdolności światłego umysłu.

Z. D.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Na ostatniem posiedzeniu Komisji historii sztuki Akademii Umiejętności, odbytem pod przewodnictwem prof. D-ra Maryana Sokołowskiego, przewodniczący poświęcił serdeczne wspomnienie panięci przedwcześnie zmarłego Grzegorza Worobjewa, który od kilku lat, jako współpracownik Komisji, brał udział w jej pracach. Ś. p. Grzegorz Worobjew należał do tych nielicznych Rosyan, którzy wobec Polaków kierują się sprawiedliwością i żywią dla nich szczerą sympatyę. Mimo szycan zajmował się polskimi zabytkami, fotografował je i publikował w rosyjskich pismach. Dla Komisji historii sztuki przysłał często interesujące komunikaty. Mieszkał przez jakiś czas w Płocku, później w Łomży, gdzie zajmował wyższą posadę.

Sekretarz Komisji przedłożył komunikat X. Brykczyńskiego o kościele w Kleczkowie, a przewodniczący pokazał szereg dobrych kopij akwarelowych z malowideł ruskich w kaplicy Ś. Trójcy w zamku lubelskim, które nadesłał p. Józef Smoliński. P. Stanisław Zarewicz mówił o dwóch polichromowanych rzeźbach gotyckich, mianowicie o figurze Chrystusa w kaplicy M. Boskiej Częstochowskiej w kościele P. Maryi, oraz predelli z kościoła św. Floryana, przedstawiającej Zaśnięcie N. M. Panny. Obydwie rzeźby pochodzą z końca XV lub pierwszych lat XVI w. P. Władysław Bartynowski przedłożył fotografie dwóch portretów, nadesłane mu przez Lzydora hr. Czosnowskiego z Rzymu. Obydwa portrety, z których jeden przedstawia króla Zygmunta III, a drugi jakiegoś magnata polskiego z XVIII w., były dotychczas nieznanne.

P. Marceli Nałęcz Dobrowolski odczytał wyjątek ze swej pracy o „Ikonografii śmierci w sztuce,“ dotyczący zabytków polskich. Autor zatrzymał się najdłużej nad rozwojem Tańców śmierci. Z nich przedewszystkiem dwa zasługują na baczną uwagę, mianowicie Tańiec śmierci w kościele Bernardynów w Krakowie i obraz znajdujący się obecnie w gabinecie historii sztuki Uniw. Jagiell. Pierwszy, niezawodnie dzieło artysty polskiego, ma wyższą wartość

artystyczną. Utwór ten pochodzi z drugiej połowy XVII w. Znać w nim wpływy francuskie i flamandzkie. W osobach przedstawionych w tym Tańcu śmierci, referent wykazuje portrety współczesnych osobistości, mianowicie: króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, papieża Klemensa X, biskupa Andrzeja Lipskiego, Jana Alberta Wazę, St. Koniecpolskiego, ces. Maksymiliana II i t. d. Ówczesne prądy i zapatrywania odbijają się wyraźnem echem w poszczególnych scenach, w których w pierwszym rzędzie uderza charakter rodzajowy.

Drugi obraz, malowany, zdaniem referenta, w końcu XVI lub na początku XVII w. a przemalowany olejno w XVIII w., jest również ciekawym tego typu zabytkiem. Autor ilustrował swój interesujący referat szeregiem zdjęć fotograficznych z pokrewnych zabytków, jako to z obrazu znajdującego się w krużgankach kościoła św. Katarzyny, dalej z malowideł w Nowym Targu, w klasztorze PP. Wizytek, Reformatów i t. d.

Nad referatem p. Dobrowolskiego wywiązała się ożywiona dyskusya, w której brali udział pp. prof. Dr. M. Sokółowski, prof. Dr. W. Creizenach, prof. Dr. J. hr. Mycielski, Dr. Tomkowicz, ks. kanonik Górzyński i p. J. Pa-gaczewski.

Akademia Umiejętności w Krakowie w dniu 4 lipca b. r. ogłosiła konkurs im. *Mikołaja Kopernika* na następujący temat:

„Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic ziem polskich — albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonij zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska — z klimatem rodzimym.“

Nagroda wynosi 1000 koron. Termin konkursu 31 grudnia 1907. Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku, od wypłacenia mu nagrody, pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności bezimienne, pod godłem obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczątowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adresa a opatrzonej tem samym godłem.

Wszelkich wyjaśnień udziela Kancelarya Akademii.

TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI W WARSZAWIE uży-skało dn. 28 czerwca (równy w rok od pierwszego zalegalizowania) zmianę ustawy, zatwierdzoną na walnem zgromadzeniu odbytem w styczniu r. b. Nowa, obowiązująca obecnie, i przez władze zaaprobowana ustawa, różni się od poprzedniej głównie w zakresie atrybucyi członków. Stworzono nową kategorię członków czynnych, mianowanych przez Zarząd, na przedstawienie 2 członków czynnych. Na nich włożono najważniejsze obowiązki, ale też dano

im rozleglejsze prawa. Ogólne zgromadzenia mianowanych członków czynnych decydują w sprawach naukowych Towarzystwa i nadają kierunek całej jego działalności. Na tych zebraniach odbywa się wybór zarządu, rozpatrzenie sprawozdań rocznych, decydowanie wszelkich wniosków w zakresie działalności Towarzystwa, uchwalanie ewentualnych zmian w ustawie, a także likwidacyi lub rozwiązania Towarzystwa oraz mianowanie członków honorowych. Po za tem nowa ustawa wykazuje różnicę atrybucyi korespondentów i delegatów. Obowiązki pierwszych są charakteru naukowego, drugich natury gospodarczej. Korespondenci dopomagają Zarządowi w pracach naukowych i konserwatorskich, delegaci pozyskują Towarzystwu nowych członków, zbierają roczne składki, przyjmują jednorazowe ofiary i są pośrednikami między członkami swego okręgu a Zarządem. Dla rozszerzenia działalności Towarzystwa korespondenci i delegaci zakładają za zgodą Zarządu kółka miejscowe, które ustawa przewiduje, a których organizacya jest dokładniej określona w opracowanych już przez Zarząd „Zasadach organizacyjnych kół,” które na żądanie Zarząd wysyła.

Oprócz pomienionych wyżej członków czynnych, Towarzystwo składa się z członków: honorowych (wybitnie w nauce lub dla T-wa zasłużonych), założycieli (wnoszących jednorazowo nie mniej jak 1000 rb.), protektorów (opłacających corocznie nie mniej jak 10 rb.) i zwyczajnych (opłacających składkę roczną od rubla do pięciu).

Cele i zadania Towarzystwa oraz sposoby ich wykonania w nowej ustawie mało się różnią od pierwszej: T-wo ma za zadanie „zabezpieczać od uszkodzeń i zagłady oraz opracowywać naukowo wszelkiego rodzaju zabytki przeszłości, ze szczególnem uwzględnieniem znajdujących się w granicach Królestwa Polskiego (§ 1). Dla wypełnienia tych zadań Towarzystwo podejmuje: 1) Inwentaryzowanie i fotografowanie zabytków, oraz zdejmowanie z nich planów — za zgodą osób lub instytucyj, do których zabytki te należą; 2) gromadzenie zabytków drogą kupna, darowizny, zapisów — w celu utworzenia własnego Muzeum; 3) otaczanie opieką i zabezpieczanie od zniszczenia środkami technicznymi i prawnymi wszelkiego rodzaju budowle dawne i pomniki mające znaczenie artystyczne, archeologiczne lub historyczne. Nadto — odnawianie tychże budowli i pomników, będących własnością osób prywatnych, miast, kościołów i t. p., winno odbywać się za wiadomością i aprobatą Towarzystwa; 4) nabywanie na własność nieruchomości, mających znaczenie pamiątek historycznych i zabytków, lub też wyjednywanie u rządu wywłaszczenia ich na użytek publiczny; 5) pomieszczenie na ścianach domów i w miejscach upamiętnionych zdarzeniami historycznymi lub pobytym znakomitych osób tablic z odpowiedniami napisami; 6) mianowanie na całym terytorjum swej działalności, gdziekolwiek zajdzie potrzeba, korespondentów i pełnomocników (delegatów), działających dla Towarzystwa i z jego ramienia; 7) urządzenie w lokalu Towarzystwa lub w miejscach publicznych wystaw, odczytów i pogadanek dla członków Towarzystwa oraz dla publiczności; 8) założenie specjalnej biblioteki; 9) wydawanie własnego czasopisma lub pomieszczenie w jednym z istniejących już organów prasy prac członków Towarzystwa, dotyczących zabytków i pamiątek, oraz ogłaszanie peryodycznych sprawozdań z Ogólnych

Zebrań Towarzystwa; 10) utrzymywanie stosunków z towarzystwami i instytucjami, mającemi cele pokrewne.

Ukończywszy pracę organizacyjną przez uzyskanie tej ustawy, Towarzystwo wchodzi obecnie w fazę pracy konkretnej. Oprócz robót konserwatorskich, o których w poprzednim zeszycie Biblioteki daliśmy wiadomość, T-wo rozpoczęło inwentaryzację zabytków w Królestwie zwracając główną uwagę na kościoły, jako miejsca, gdzie najwięcej się jeszcze przechowało zabytków niejednokrotnie bardzo mało w nauce znanych. Dla pracy tej za podstawę służy okólnik J. E. Arcybiskupa warszawskiego do duchowieństwa swej archidiecezyi, w którym Arcybiskup poleca księżom gorące poparcie zamierzeń T-wa, zarówno w zakresie inwentaryzacji, jakoteż konserwacji, a także gromadzenia zabytków dla Muzeum T-wa. Dla uzyskania pierwsiastkowych wiadomości o zabytkach w kościołach się znajdujących, a także dla przybliżonego chociażby scharakteryzowania samych kościołów pod względem architektonicznym, Towarzystwo wygotowało dla duchowieństwa specjalny „kwestyonaryusz № 1 dla inwentaryzacji kościołów i znajdujących się w nich zabytków.“ Broszurka ta wydana przez komisję Inwentaryzacyjną przy współudziale komisji budowlanej, a w szczególności J. Wojciechowskiego (jun.), opuściła przed kilku dniami prasę drukarską i przedstawia się w szacie wielce ozdobnej, jako pierwszy tomik wydawnictw Towarzystwa. Zawiera on po krótkim wstępie poświęconym wyjaśnieniu ważności i sposobów inwentaryzacji, cały liczny szereg pytań, dotyczących kościołów murowanych, drewnianych oraz wszelkiego rodzaju zabytków w nich się znajdujących. Idą potem przykłady opisów, słownik paruset najważniejszych wyrażeń technicznych, porządkowanych przy opisywaniu oraz 14 tablic objaśniających z rysunkami charakterystycznych budowli lub ich części. Trzeba mieć nadzieję, że z takim nakładem pracy przygotowany przez Towarzystwo kwestyonaryusz, duchowieństwo nasze nie pozostawi bez odpowiedzi, a przeciwnie da swoją pracę dla zregulowania w celach ogólnie naukowych i narodowych tych pamiątek naszej kultury, które w kościołach pod opieką duchowieństwa się znajdują.

O pracach muzealnych Towarzystwa, nie możemy jeszcze podać informacji dokładnych, a to dla tego, że rzecz ta jest jeszcze w zawiązku. Od osób jednak blisko Zarządustojących dowiadujemy się, że sprawa zbiorów Towarzystwa, któreby się nazywały: Muzeum Starożytności, czy Muzeum Narodowem jest przedmiotem ożywionych rozpraw w łonie Zarządu. Są nawet bardzo poważne już deklaracje na złożenie dla przyszłego Muzeum większych kolekcji bądź to w formie daru, bądź w formie depozytów. Oprócz tego są nawet, co rzadsze i trudniejsze w dzisiejszych czasach, deklaracje na dary w gotówce, wśród których najpoważniejszą jest p. Erazma Majewskiego na 15000 rubli. Jest więc nadzieja, jakoby już w rzeczywistość się przyoblekająca, że Warszawa mieć będzie, owo niezbędne dla rozwoju badań archeologicznych laboratorium, jakim jest Muzeum naukowo prowadzone, którego gdyby nie zakazy dotychczasowe, że nie mamy, wstydziliby się należało. Podobno, po ferjach wakacyjnych sprawa Muzeum ma być wysunięta na czoło zadań T-wa.

We wrześniu 1905 założoną została Pracownia Antropologiczna przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Jest to pierwsza tego rodzaju instytucja

u nas mająca na celu: badanie ludu polskiego pod względem jego budowy fizycznej, badanie szczątków pozostałych po dawnych, przedhistorycznych mieszkańcach naszego kraju, wreszcie badanie naszej młodzieży szkolnej, jak również gromadzenie zbiorów antropologicznych. Kierownikiem pracowni jest młody, ale zaszczytnie już znany antropolog p. Kazimierz Stołyhwo. Z powodu bardzo małych funduszków, jakie udało się zebrać (198 rubli w gotówce a 759 rb. 95 k. w przedmiotach) działalność pracowni ograniczyła się tylko do pracy p. Stołyhwo nad czaszkami z Jachowicy, z Rzeczycy (drewlańskie) z Porszuszwia oraz nad rasą spy-neandertalską w okresie historycznym. Poza tem zbadano 2 groby żarnowe i 4 kurhany.

### N O W E K S I A Ą Ż K I.

— Dr. *Stanisław Tomkowicz* wydał pierwszą część dzieła swego o WAWELU, jako tom IV teki grona konserwatorów w Galicyi Zachodniej. Tom ten wydany w pięknej i ozdobnej szacie zapowiada imponującą całość. Zawiera on 14 arkuszy druku in 4-o majore, ozdobionych licznemi reprodukcjami. Część druga obejmie jeszcze 10 arkuszy tekstu, oraz atlas widoków i planów, składający się z 80 tablic formatu dwa razy większego, niż książka. Jako uzupełnienie tego wydawnictwa w 1908 r. ma się ukazać tom II-gi publikacji o Wawelu, zawierający materiały archiwalne, których przygotowaniem do druku zajmuje się Dr. Adam Chmiel. W ten sposób powstanie pomnikowe dzieło, poświęcone dziejom zamku Wawelskiego i badaniom z punktu widzenia historyi sztuki. Część pierwsza, obecnie wyszła z druku, obejmuje historję Wawelu od najdawniejszych czasów. Po wiadomościach wstępnych i wykazaniu znaczenia, jakie miał zamek krakowski w dziejach Polski, autor kreśli początkowe dzieje Wawelu do czasów Łokietka, ściślej biorąc do 1305 r., czyli z czasów budowy drewnianych. Nie mając źródeł na wykazanie jaki był wygląd zamku krakowskiego w tej odległej epoce, autor przytacza opis teoretyczny twierdzy średniowiecznej, słusznie mniemając, że w głównych zarysach zamek Bolesławowy i Kazimierzowy musiał mało się różnić od ogólnego szablonu. Następują potem (Rozdz. C.) dzieje zamku XIV i XV w. Data rozpoczęcia nowej budowli po pożarze 1305 r. nie jest wiadoma dokładnie, zdaje się jednak, że przed 1312 r. przynajmniej mury były ukończone, gdyż wójt Albert, jak podaje Długosz, z Bolesławem Opolskim zamku zdobyć nie mógł. Część mieszkalna zamku zapewne przed 1320 r. (data koronacji Łokietka) w części przynajmniej ukończoną została, za właściwego jednak budownika zamku średniowiecznego uważać należy Kazimierza W., któremu w pracy tej dopomagał zapewne Wacław z Tęczyna. Za czasów tego panowania zamek znacznie upiękaszonym i rozszerzonym został i gościć mógł w swoich murach kilku naraz monarchów (Zjazd 1363 z racyi zaślubin Karola IV). Jagiełło w dalszym ciągu budowanie zamku prowadził, podwyższył mury i, jak niesie tradycya, zmurował Kurżą Stopkę. Opisy uroczystości z czasów tego panowania dają już pewne szczegóły o wewnętrznem urządzeniu zamku i jego ozdobach. Więcej jeszcze podobnych

szczegółów autor cytuje z czasów Kazimierza Jagiellończyka, najważniejsze pod tym względem są rachunki dworu z 1461 r., oraz opis w Kronice Schedla (1492).

Następny rozdział poświęcony jest specjalnym badaniom nad Kurzą Stopką i pozostałościami gotyckimi budowy zamku, gdzie autor wykazuje, że dzisiejsza Kurza Stopka jest tylko częścią większej budowli gotyckiej tego nazwiska.

W drugiej części dzieła, zatytułowanej „Zabudowania Wawelu po za właściwym zamkiem królewskim,“ znajdujemy wykaz i poszczególne opracowanie wszystkich budowli, jakie się znajdowały w zachodniej części Wawelu, królewska bowiem rezydencya zajmowała tylko niewielką część (wschodnią) Wawelu. Po skróceniu historii każdej z tych budowli, z wyjątkiem katedry, której poświęcone są specjalne dzieła (Łętowskiego i Wojciechowskiego), przechodzi autor do takiegoż zestawienia posiadłości królewskich po za właściwą rezydencyą, a następnie do opracowania fortyfikacyj zamkowych. Temu poświęca najobszerniejszy rozdział (str. 131—192) z wyciągnięciem ze wszystkich znanych w historii wypadków, dotyczących Wawelu, szczegółów o jego ufortyfikowaniu. Zakończy książkę rozdział o „Instytucjach związanych z zamkiem krakowskim,“ na pierwszym miejscu jest mowa o skarbcu i archiwum. Dzieje skarbcza przed paru laty skreślił w specjalnej monografii F. Kopera, na niego więc się powołuje autor i przechodzi do opisanie sądów, więzień, zarządu zamku, obowiązków robocizny przy budowie i naprawie zamku. Zapoznawszy się z tą „I-szą Częścią“ dzieła o Wawelu, jedynie tylko życzyć można jaknajszybszego ukazania się dalszych jego części i ukończenia tak pięknego dzieła, służyć mogącego w przyszłości za wzór do podobnych monografij.

*Fr. P.*

Zasłużony badacz nad dziejami XV wieku, a w szczególności drugiej jego połowy, *Dr. Fryderyk Papée* wydał obecnie swoje STUDYA I SZKICE z CZASÓW KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA. Jest to zbiór prac drukowanych uprzednio w rozmaitych czasopismach (z wyjątkiem studium p. t. „Królewskie córki,“ które po raz pierwszy ukazuje się w druku). Nie jest to jednak przedruk machinalny, autor poczynił w każdej z tych prac liczne zmiany i poprawki, na które naprowadziły go studia ostatnie, a rozprawę p. t. „Zabiegi o czeską koronę“ z gruntu przerobił. Na początku tomu umieszczone są dwa szkice dotyczące spraw mieszczaństwa w Polsce, pierwszy o sławnym procesie szlachecko-mieszczańskim z powodu zabicia Andrzeja Tęczyńskiego, drugi o stosunkach miejskich za Kazimierza Jagiellończyka i zmianach, jakie za panowania tego w stosunkach tych zaszły. Wielce zajmującą jest rozprawa o zabiegach Kazimierza o Czeską koronę, wykazująca zawilość tej sprawy oraz dyplomatyczne zdolności Kazimierza i całą jego ogłędność z jaką w tej ważnej sprawie postępował. Ograniczając się co do miejsca podajemy tylko tytuły następujących po tem szkiców. Są to: Święty Kazimierz, Zatarg podatkowy Kazimierza Jagiellończyka z miastem Krakowem, Kandydatura Frydryka Ja-

giellończyka na biskupstwo Warmińskie, Wycieczka archiwalna do Węgier (pełna bardzo ważnych dla historyków wiadomości o mało nam znanych archiwach węgierskich), Listownik x. Piotra z Ostroroga, Księgi Kazimierowskie w Metryce koronnej (z racy wydawanych przez prof. Wierzbowskiego sumaryzów), i „Królewskie córki“ szkic zawierający życiorysy wszystkich córek Kazimierza Jagiellończyka. W końcu podał autor bibliografię prac swoich, wykazującą poważny ich szereg. Pierwsza praca w roku 1875 czyli 22 lat temu.

### PRZEGLĄD CZASOPISM.

— ARCHITEKT. Kwiecień. Efekt malarskie w architekturze; — Najdawniejsza architektura kościelna Słowian zachodnich; — Restauracja w starym teatrze w Krakowie; — Nowa katedra katolicka w Londynie; — Objasnienia rysunków i tablic; — W sprawiekonkursów ogłaszanych w Galicyi; — Rozmaitości; — Nowe książki; — O zadaniach Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie; — Złote myśli.

— BIBLIOTEKA NOWA... KAZNODZIEJSKA. Kazania ks. ks. J. Koterbskiego, prob. z Kamionki Wielkiej, Mateusza Jeża z Krakowa, d-ra Adama Kopycińskiego (3), Tadeusza Stycińskiego, prob. z Wytomysła (3), X. S. F., Stanisława Zastawniaka, prob. z Dobrzyca, Ignacego Adamskiego z Rogalinia, G. S., Z. d-ra Dalbora, kan. poz. i X.

— EKONOMISTA. Zeszyt I. J. Kaczkowski: Majoraty w Królestwie Polskiem; — J. St. Lewiński: Socjalizm municypalny w Anglii; — M. Poznański: Syndykaty robotnicze we Francyi; — Dr. F. Bujak: Uwagi o społeczeństwie Galicyjskiem; — B. Jasinowski: Parlamentaryzm, дума państwa i reprezentacja polska; — W. Tomaszewski: Ś. p. dr. J. Kusztelan; — St. Kozicki: Ś. p. St. Chelchowski; — Kronika współdzielcza; — Kronika finansowa; — Ruch cen i kursów; — Rozbiory i sprawozdania; — Bibliografia.

— HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Kwiecień. Piętnastowiekowa rocznica śmierci św. Jana Chryzostoma; — Duch krytycyzmu; — Przemówienie Ojca św.; — W. E. Ketteler: Doniosłe zagadnienia społeczne ostatnich czasów; — Zwierzchnictwo Kościoła katolickiego; — Falszywa litość; — Ćwiczenie duchowne dla dzieci przystępujący do spowiedzi i pierwszej komunii św. — Uwagi.

— KRYTYKA. (f): Mowa nie-kandydacka; — Edward Leszczyński: Wiosenne niebo; — Prof. J. Baudouin de Courtenay: Z ciemnicy wszechrosyjskiej; — J. Sz.: „Cyd“ Corneille'a w tłumaczeniu St. Wyspiańskiego; — Józef Jedlicz: Trzy siostry. To nie cud. Gdy ją rzuciłem. Poezye; — Jan Dąbrowski: Nowe powieści; — Konstanty Srokowski: Polska racja stanu w sprawie ruskiej; — Marion: Z obrazków rewolucyjnych; — Roznosiciel gazet; — Przegląd prasy polskiej i obcej; — Arjos: Ruch wolnej myśli; — Juliusz Tenner: Teatr lwowski; — K. B.: Kronika ruchu kobiecego; — Sprawozdania naukowe i literackie.

— MUZEUM. Kwiecień. Szkoła a wybory; — Nowa regulacja plac; — Hahn W. dr.: Karol Libelt, jako pedagog; — Habura F. dr.: Bronisław Trzas-



kowski. Jego żywot i dzieła (c. d.); — Oceny i sprawozdania przez W. Franka, dr. Wl. Semkowicza, B. A. Makowskiego, Jureckiego; — Kronika szkolna i pedagogiczna; — Wiadomości bibliograficzne; — Bibliografia Kom. ed. nar.; — Sprawy Tow. naucz. szkół wyższych.

— NOWA BIBLIOTEKA UNIERSALNA. Hello Ernest: Człowiek. Życie-Wiedza-Sztuka;—Rapacki W.: Kostka Napierski, opowiadania Imci Pana Krzysztofa Scipiona, dworzanina Jego Król. Mości. T. II.; — Blanka Halicka (Zborowska Helena): Nowele włoskie. Z życia poety. Śnieg; — Klaczko Julian: Przygotowania do Sadowy; — Krawczyński S. M.: W Rosyi w ósmym dziesięcioleciu XIX w. (Andrzej Koźuchow).

— PORADNIK JĘZYKOWY. I. Stein: O rodzaju, liczbie i przypadku rzeczowników;—II. W sprawie nazwisk żeńskich (ankieta) przez F. Hoesicka, B. Koskowskiego, J. A. Święcickiego, W. Rapackiego, M. K. dr. F. Kręka; — III. I. Stein: O powstawaniu wyrazów; — IV. O. Chomiński: Pokłosie; — V. Rozmaitości.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Marzec — Kwiecień. Parczewski: Prohor i Prokulf w katalogach biskupów krakowskich; — M. Handelsmann: Przywilej Piotrowski 1388 r., szkic historyczno-prawny (c. d.);—I. T. Baranowski: Z dziejów feudalizmu na Podlasiu, Rajgrodzko-Goniądzkie państwo Radziwiłłów w pierwszej połowie XVI wieku (dok.);— H. M.: Aryanie Polscy i Dymitr Samozwaniec (nowe źródła);—G. Manteuffel: Pierwotni krajowcy prowincyj Nadbałtyckich; — X. T. Trzeński: Miniatury w antyfonarzu katedry Gnieźnieńskiej;—Czasopiśmiennictwo polskie na emigracji;—Al. Jabłonowski: Zasiadlenie Ukrainy; — Wodociągi i kanalizacye miejskie; — Sprawozdania; — Kronika.

— PRZEGLĄD POLSKI. Maj. Dr. Józef Flaeh: Z najnowszej literatury dramatycznej Niemiec; — dr. Bronisław Dębiński: Początek Wielkiego Sejmu. Luchesini (dok.); — dr. Stanisław Zdziarski: Dżingis-Chan zmartwychwstał; — Konrad Ostrowski: Listy z Francji; — Kronika Literacka; — Teatr krakowski, przez A. E. Balickiego;—Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego;—Przegląd polityczny przez \* \* \*.

— PRZEGLĄD Powszechny. Maj. Czajkowski K. ks. T. J.: Zwycięzki rząd francuski;—Weinert Stanisław dr.: Teren polityki kolonialnej Niemiec;—Kumaniecki W. K. dr.: Pierwszy austriacki kongres ochrony dzieci (dn. 18, 19 i 20 marca 1907 r.); — Hortyński Feliks ks. T. J.: Teorya rozwjowa a katolicyzm. Naokolo książki Wasmana (c. d.); — Lipke Leonard ks. T. J.: Międzynarodowe ustawodawstwo robotnicze na kongresach berneńskich (w r. 1905 i 1906) (dok.); — Przegląd piśmiennictwa, przez A. Mazanowskiego, ks. Jarosława Rejowicza T. J., ks. K. Czajkowskiego T. J., ks. R. Kudasiewicza T. J., K. Felisia T. J., W. Gostomskiego;—Zapiski bibliograficzne, przez L. E., A. R., A. M., T. W.; — Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego, przez ks. Wiktora Wieckiego T. J., T. Jeske-Choińskiego, Leonarda Lepszego i Z.

## BIBLIOGRAFIA.

### TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BUCZYŃSKI BRONISŁAW: Kościół i kultura. Poznań, 1907. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 108.

CHARSZEWSKI IGNA CY, Ks.: Dyalog polemiczny. O tolerancyi religijnej. (Rzecz dzieje się w jednym z miast prowincjonalnych). Warszawa, 1906. Nakł. „Przeglądu Katolickiego.“ Skł. głów. w księg. Szczepkowskiego 8-o, str. 55.

DELITSCH FRYDERYK: Babilon i Biblia. Wykład ... z 52 ilustracyami. Przekład z upoważnieniem autora, dokon. z wyd. piątego, na nowo przez autora opracowanego. Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Myśli Niepodległej.“ 8-o, str. 56.

KELLER HELENA: Optymizm. Przekład Kazimierza Juliana. Warszawa, 1907. Księg. K. Idzikowskiego. 8-o, str. 60.

SZCZEKLIK Ks. DR.: Etyka niezależna i nowoczesny ruch etyczny. Lwów, 1907. 8-o, str. 21.

### HISTORIA. — GEOGRAFIA.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom X — zeszyt IV i V. Warszawa, 1907. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 4-o, str. od 121—200 od Klemens do Kmitowie.

DZIEJE POROZBIOROWE NARODU POLSKIEGO, ilustrowanego według Prof. D-ra A. Sokołowskiego z ilustracyami oraz reprodukcjami obrazów Matejki, Gersona, Stachowicza, J. i W. Kossaków, Rozena, Ryszkiewicza i innych mistrzów polskich. Tom III, zeszyt 98, 99, 100. Nakł. Tow. Akc. Wyd. „Wiek.“ 8-o, str. od 99—146.

GŁOGER Z., HEILPERN M., KULWIEĆ K. i JANOWSKI AL.: Poznaj swój kraj! I. Warszawa, 1907. Nakł. Polskiego Tow. Krajoznawczego. Skład główny w księgarni M. Arcta. 8-o, str. 15.

GŁOGER ZYGMUNT: Białowieża. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. Biblioteka Geograficzna. Opisy malownicze i podróże. 8-o, str. 48.

KLACZKO JULIAN: Studya współczesnej dyplomacyi. Przygotowania do Sadowy. Tióm. za zezwoleniem autora Karol Scipio. Przedmowa Stanisława Tarnowskiego. Kraków, 1907. Sp. Wyd. Pol. 8-o, str. 111.

KOZŁOWSKI WŁ. M.: Autonomia Królestwa Polskiego (1815—1831). Warszawa, 1907. E. Wende i Sp. 8-o, str. 277.

LIKOWSKI EDWARD, Ks.: Unia Brzeska (1596 r.). Opowiadana przez ... Wydanie drugie przejrzone i poprawione. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. Bibl. Dzieł Chrześcijańskich, zeszyt 75 i 76. 8-o, str. XVII + II + 355 + 32.

ŁOZIŃSKI WALERY: Starsza siostra Zygmunta Augusta. Szkic historyczny. Dwie nocy. Powieść. Gródek Jagielloński, 1907. Nakł. J. Czajńskiego. Księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. 8-o, str. 295.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Przed wyprawą Wiedeńską. Studium historyczne. Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 289. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 133.

MAŁECKI ANTONI: Lechici w świetle historycznej krytyki. Wydanie II, przejrzone i poprawione przez autora. Lwów, 1907. H Altenberg. 8-o, str. 264.

MÜLLER EUGENTUSZ: Żydzi w Krakowie w drugiej połowie XIV stulecia. Kraków, 1906. Dodatek: „Sprawozdanie Tow. miłośników historii i zabytków Krakowa za r. 1906.“ Nakł. Tow. mił. hist. i zabyt. 8-o, str. 24.

OFFMAŃSKI MIECZYSLAW: Słownik miejscowości, w których znajdują się jeszcze zabytki czasów Piastowskich i Jagiellońskich (903—1572). Warszawa, 1906. Nakład. M. Arcta. Książki dla wszystkich № 317. 16-o, str. 207.

TRĄPCZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Dwa powstania poznańskie. Rok 1846 i 1848, oraz proces w Moabicie. Przez ... Warszawa, 1907. Nakł. Spółki Wydawn. Tania Bibl. dla wszystkich № 9. 8-o, str. 79.

Z DZIEJÓW GMINY STAROZAKONNYCH w Warszawie w XIX stuleciu. Tom I. szkolnictwo. Warszawa, 1907. Księg. E. Wendego i Sp. 8 o, str. V + 283.

#### PRAWO I BROSZURY PRAWNO-POLITYCZNE.

CHARSZEWSKI, KSIĄDZ: W palącej sprawie młodzieży szkolnej w Królestwie. Na tle stosunków szkolnych w gimnazjum polskiem w Płocku. Płock, 1907. Warszawa, księg. M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 140.

DĄBKOWSKI P., DOC. DR.: Prawo polskie prywatne. Wstęp i część ogólna. Program wykładów w c. k. Uniwersytecie im. ces. Franciszka Józefa I-go we Lwowie, w półroczu letniem 1906/7. Kraków, 1907. Nakł. autora 8-o, str. 10.

GODLEWSKI STEFAN: Pierwszy rok konstytucyi w Państwie Rosyjskiem. Prawa wydane w okresie czasu od 14 stycznia 1906 r., do 5 marca 1907 r. Zebrał, zgrupował i w oświetleniu krytycznem przedstawił . . . . Warszawa, 1907. Nakład autora. 8-o, str. XLIV + 652.

GŁOGER Z: Z dwóch światów słowiańskich. Kraków, 1907. Nakł. księg. K. Wojnara. 8-o, str. 23.

JASINOWSKI BOGUMIŁ: Parlamentaryzm. Duma państwowa i Reprezentacya Polska. Warszawa, 1907. Skład główny w księgarni Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 56.

KINIORSKI MARYAN: Zasady wywłaszczenia w programie agrarnym. (Odczyt wygłoszony w Klubie Narodowym w Warszawie, dn. 23-go marca 1907 r.) Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 54.

MARION: Obrazki rewolucyjne. Stanisławów, 1907. Wyd. księg. A. Staudachera i Sp. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 136.

PAWLICKI STEFAN, KS. DR. PROF.: Filozofia państwowa. Według wydań ... Kraków, 1907. 4-o, str. 341.

PRINS ALFONS: O duchu rządów demokratycznych. Przełożyła z franc. Emilia Leszczyńska. Lwów, 1907. Nakł. księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, format mały, str. IV+323.

TEODOROWICZ JÓZEF, KS. ARCYBISKUP: Wobec zbliżających się wyborów w Galicyi. Nakł. red. „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, str. 25.

#### HISTORIA LITERATURY.

KOŚCIAŁKOWSKA ZYNDRAM WILA: Szkice literackie. I. Ignacy Chodźko. Warszawa, 1907. Bibl. Dziel Wybor. № 484. 8-o, str. 147.

WIEK XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki, pod redakcją B. Chlebowskiego, H. Gallego, G. Korbuta, St. Krzezińskiego. Tom II. Wypisy № 143–273. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XI+460.

#### NAUKI PRZYRODNICZE.

DENNIG ADOLF, DR. PROF.: Hygiena przemiany materji. Przełożył doc. Dr. Kazimierz Panek. Z 1 tabl. kolor. i 5 rycin w tekście. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 82.

FRIEDBERG WILHELM, DR.: Młodszy miocen Galicyi zachodniej i jego fauna. (Z rycinami w tekście i mapą). Kraków, 1906. Nakł. Ak. Um. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 108.

TENŹE: Nowe skamieliny miocenu ziem polskich. Opracował ... Z 6 ryc. w tekście i 3 tablicami. Lwów, 1907. Nakł. muzeum im. Dzieduszyckich. 8-o, str. 39.

#### M E D Y C Y N A.

EICHHORST H., DR. PROF.: Hygiena serca i naczyń krwionośnych. Część I. Przełożył Dr. Szczepan Mikołajski. Lwów. 1907. Nakł. księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 126.

EWALD A. C., DR. PROF.: Hygiena żołądka, jelit, wątroby i nerek. Przełożył Dr. Ferdynand Stankiewicz. Z 3 tablicami 3 ryc. w tekście. Lwów, 1907. Nakł. księg. Pol. B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 136.

FOREL A., DR. PROF.: Alkohol, dziedziczność i życie płciowe. Odczyt wygłoszony na X międzynarodowym kongresie antialkoholicznym we wrześniu 1905 r. Przełożyła na język polski Jadwiga Młodowska. Odbitka z „Czystości. Warszawa, 1907. Wydawnictwo „Ethosu“ № 3. Nakładem „Ethosu.“ Skł. gł. w redakcyi „Czystość“ 8-o, str. 26.

TENŹE: Hygiena nerwów i umysłu. Przełożył Dr. Edmund Brzeziński. Z 10 ryc. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 282.

SCHOTTELIUS M., DR. PROF.: Bakteryje i choroby zakaźne. Przełożyła Marya Felauer. Z 33 ryc. i 7 kolorowemi tabl. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 244.

SCHIRÖTTER LEOPOLD, DR. PROF.: Hygiena płuc. Przełożył Dr. Władysław Kruszyński. Lwów, 1907. Nakł. księg. Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 132.

S Z T U K A.

MANN TOMASZ: Fiorenza. Tłóm. z upoważnienia autora, Dr. Maryan Henzel. Brody, 1907. Nakł. F. Westa. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 86.

PILAT WŁADYSŁAW, DR.: Socyologia sztuki. Szereg studyów. T. I. 1. Socyologia sztuki. 2. Początki sztuki. Kraków, 1907. Spółka Wyd. Polska. Nakł. autora. 8-o, str. 91

SOKOŁOWSKI MARYAN: Ścibor ze Ściborzyc i Pippo Spano, tudzież kilka słów o kronice Ulricha v. Richental. Kraków, 1907. Nakł. Akad. Umiej. 4-o, szp. 24.

ŚWIEYKOWSKI EMMANUEL, DR.: Zarys artystycznego rozwoju tkactwa i haftarstwa, objaśniony zabytkami Muzeum Narodowego w Krakowie. Z 25 tablicami. Kraków, 1907. Wydawnictwo Muzeum Narod. 8-o, str. XVI—300.

EKONOMIA POLITYCZNA I ROLNICTWO.

BACH A.: Głód-Mocarz. Szkice ekonomiczne. Kraków, 1907. 8-o, str. 101.

BRZOWSKI WŁODZIMIERZ: Po co zakładamy kółka rolnicze. Warszawa, 1907. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 15.

DZIERZBICKI STANISŁAW: Wrażenia rolniczo-społeczne z wycieczki do Francji. Warszawa, 1907. 8-o, str. 31.

HEMPEL LEON: O drobnym przemyśle. Pogadanka wygłoszona na Ogólnem Zebraniu Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego w miesiącu grudniu 1906 r. Przez ... Lublin, 1906. Wydawnictwo Sekcyi drobnych gospodarstw Lubelskiego Tow. Rolniczego. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 16.

MARCHLEWSKI J. B., DR.: O dochodzie. Napisał ... Warszawa, 1907. Nakł. Wincentego Raabego. Skł. głów. w księg. Powszechnej. 8-o, str. 171.

MIKULOWSKI-POMORSKI J., PROF. I B. JANOWSKI: Wyniki polowych doświadczeń rolniczych przeprowadzonych przez Komitet c. k. galic. Tow. Gospodarskiego w r. 1905/6. Lwów, 1907. Nakł. c. k. galic. Tow. Gospod. 8-o, str. 29.

WARMIŃSKI EMIL, DR.: Patogeneza wyzysku. Felieton ekonomiczny. Zakopane, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 45.

### PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

BIEGAŃSKI WŁADYSŁAW: Podręcznik logiki i metodologii ogólnej. Dla szkół średnich i samouków. Warszawa-Lwów, 1907. Nakł. księg. E. Wende i Sp. i księg. H. Altenberga. 8-o, str. 216.

CIEŚLEWSKI R.: Zbiór zadań algebraicznych dla szkół średnich męskich i żeńskich. Część I. Warszawa, 1907. Nakład Towarzystwa „Wydawnictwo podręczników szkolnych.“ 8-o, str. 112.

DZIWIŃSKI PLACYD, DR.: Podręcznik arytmetyki i algebry dla wyższych klas szkół średnich, napisał ... prof. matem. w c. k. szkole politechn. we Lwowie. Lwów, 1907. Nakł. Tow. Nauczycieli szkół wyższych. 8-o, str. 418.

KRÓL LEON I PAPIERKOWSKI EMIL: Wzory i formuły matematyczne zastosowane do użytku uczniów wyższych klas szkół średnich (15 figur w tekście). Lwów, 1907. Nakł. księg. Maniszewskiego i Meinharta. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 138.

MALANOWICZ JÓZEF, INŻYNIER: Kreślenie geometryczne i jego praktyczne zastosowania. Napisał ... (Z 45 tablicami i 346 rysunkami). Warszawa, 1907. Z zapisu Wł. Peplowskiego w zawiad. Kasy in. J. Mianowskiego. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, format podłużny, str. XI + 176.

ROSSMAN I SCHMIDT: Gramatyka francuska w zakresie szkół średnich. Opracowała Natalia Osterloff. Warszawa, 1907. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 71.

— Podręcznik języka francuskiego w zakresie szkół średnich. Spolszczyła Natalia Osterloff. Część III. Warszawa, 1907. Nakł. księg. L. Fiszera. 8-o, str. 131.

SZCZAWIŃSKI Z. KAMIŃSKI S.: Teorya arytmetyki oraz zbiór zadań w zakresie szkoły średniej. Opracowali ... Część I. Cztery działania nad liczbami wielorakiemi. Warszawa, 1907. Wydawnictwo M. Arcta. 8-o, str. 115.

